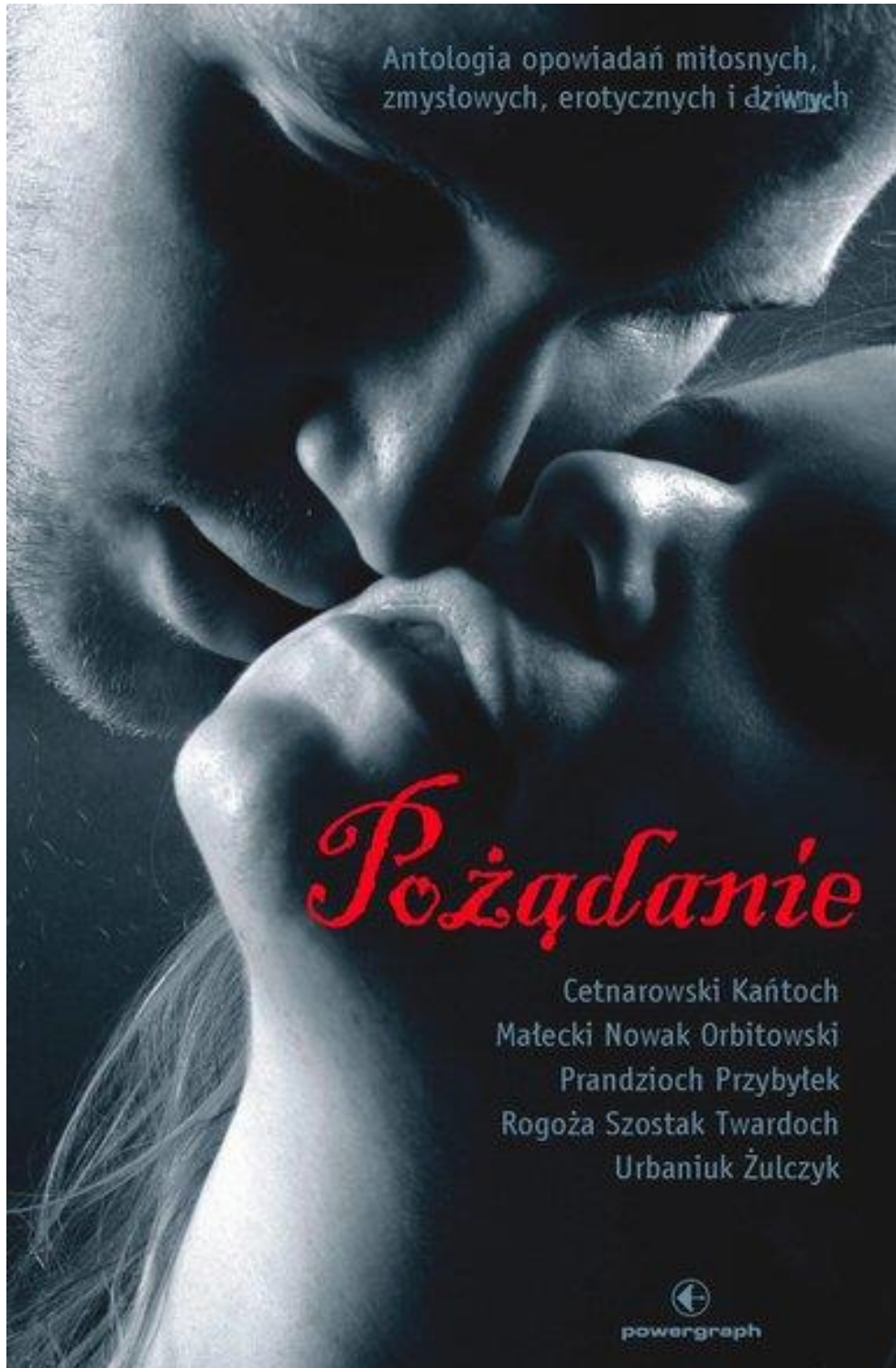


Pożądanie



Pożądanie

Cetnarowski Kańtoch
Matecki Nowak Orbitowski
Prandzioch Przybytek
Rogoża Szostak Twardoch
Urbaniuk Żulczyk

Spis treści:

Wit Szostak KOŻŁĘTA GAZELI

Anna Kańtoch CZŁOWIEK NIECIAĞŁY

Jakub Nowak ZIMNO, GDY ZAJDZIE

Michał Cetnarowski PR PRODUCTIONS

Jakub Małecki DZIŚ MAM NA IMIĘ AGATA

Bernadeta Prandzioch WYWIAD

Piotr Rogoża PLAYGIRL

Łukasz Orbitowski SKÓRY

Szczepan Twardoch FADE TO: BLACK

Marcin Przybyłek MAŁA MAY

Jarosław Urbaniuk ŻYCIA PODWÓJNE

Jakub Żulczyk OCH, RAFAŁ

Wit Szostak **KOŹŁĘTA GAZELI**

Mury rozgrzane, na kampusie coraz mniej studentów. Dziś ostatni egzamin, potem zasłużone wakacje. Najchętniej bym nie przychodził, ale uprosili mnie, żeby robić termin poprawkowy przed wrześniem. A ja uległem, jak zawsze, stanowczość zachowując na bezsilne monologi, wygłaszane w myślach. Tylko w swoim towarzystwie potrafię być bezlitosny.

Lipiec rozedrgany, wszędzie dojrzała, ciemna zieleń. Spotykam kolegów, pozdrawiamy się ze smutnym uśmiechem galerników. Nie chce mi się z nimi rozmawiać. Zaczną opowiadać o swych planach, zawsze nudnych. Tylko się uśmiecham.

W sali ciepło, klimatyzacja nie działa. Godzina, wytrzymam. Na podłodze złociste tafle światła. Zadaję tematy i zaczynam swój spacer wzdłuż ławek. Ubrani odświętnie studenci pochylają się nad kartkami, pomiędzy nimi pełno pustych miejsc. Młodzi chłopcy w sztucznych czarnych garniturach, pamiątki z matury. Źle skrojone marynarki błyszczą tandetnie, chłopcy się pocą, smętne krawaty uwierają ich pod szyją.

Studentek mniej, ale ciekawsze, pochylone nad blatem, jasne bluzki z dekolcami. Letnia sesja, lubię. Niewinnie muskam wzrokiem skrawki piękna. Z bliska widać obgryzione paznokcie, niezdrową cerę, makijaż zrobiony niewprawną ręką. Mają czas, to pierwszy rok. Szkoda, że ich już nie spotkam. Może czasem ukłonią się, idąc przez kampus. Tylko co mi z tego?

Gruby blondyn pod oknem nieudolnie ściąga. Stoję kilka kroków za nim, a ten trwożliwie rozgląda się, tłamsi w spokojnej dłoni zwitek z cennymi informacjami. Bawię się z nim

przez chwilę, muszę jakoś zabić tę godzinę. Mijam go, udając, że nic nie widzę. Ten się prostuje, wzrok utkwiony w suficie, jakby myślał, gryzie długopis. Okrążam salę. Czuje się bezpiecznie, podkłada ściągę pod kartkę i intensywnie pisze. Przysiadam na parapecie i czekam, aby uderzyć. Jeszcze czas. Ruszam bezgłośnie, nie zauważa mnie. Kiedy go mijam, w popłochu maskuje swe oszustwo, ale ja znów udaję, że nic nie widzę. Słyszę oddech ulgi, darowane życie. I żadnych wniosków. Za trzecim razem wyłuskuję ściągę, udaję oburzenie. Wpisuję pałę i grubasek kończy egzamin. Kwadrans minął, jeszcze trzy. Kto następny?

W pierwszej ławce piękna studentka. Piękna. Dlaczego nie zwróciłem uwagi wcześniej? Miałem cały semestr. Wykłady są nieobowiązkowe, dlatego.

Piękna. Orzechowe włosy, ciemne oczy, opalona skóra. Nie garbi się, nie krzywi nad kartką. Pisze niewiele, spokojnie, co chwila przerywa. Pewnie będę musiał ją oblać. Szkoda. Krążyć po sali, mijam ją często.

Pochyliła się lekko, widzę odsłonięte łądzwie i delikatny rowek. Nie mogę się zatrzymać. Może inni patrzą? Puste miejsce po grubasku, reszta skupiona nad kartkami.

Przeczesuje włosy, odchyła głowę i pije wodę mineralną. Ja tylko patrzę, ukradkiem. Jeszcze pół godziny. Przeciąga się, kręci głowę. Wie, że patrzę? Siedzę nieco z tyłu, oparty o parapet. Udaję, że podziwiam kasztany. Jak wygląda nago?

Jutro na wakacje, zasłużone. Dlaczego zasłużone? Pusty frazes.

Południe, plaża, byle dalej.

* * *

Dobre lato, takiego potrzebowałem.

Lotnisko w Maladze nieprzyjemne, uciekłem od razu. Tłum ludzi spragnionych urlopu, nie chcę być jednym z nich. Rodziny pełne nadziei, że plaża uzdrowi ich życie. Słomkowe kapelusze, klapki i kolorowe podkoszulki. Polska mowa, uciekam.

Samochodem nad Atlantyckie Wybrzeże, po drodze Gibraltar, a potem przez interior w stronę Kadyksu. Oderwać się i zapomnieć.

Miasteczko C. pod Kadyksem, na skraju Atlantyku. Kościółek, stara latarnia morska, niewielka przystań. Kiedyś rybacka osada, teraz hotele i kempingi wśród pinii. Targ rybny, to ważne. I plaże, kilometry plaż, aż do Trafalgaru.

Mieszkam za miastem, do plaży kilka kilometrów. Skromny pensjonat, nie ma basenu i zgrzebnie. Mam pokój z osobnym wejściem, schludnie i czysto. Na stole pod oknem postawiłem netbook. I tak nic nie napiszę. Nie ten czas, muszę odpocząć. Tylko dziennik, choćby kilka zdań. Niewielki taras, ogrodowe krzesło i stolik z popielniczką. Może wrócę do palenia?

Od razu nad morze. Pełno ludzi, dzieci ubabrane w piasku. Ładne dziewczyny, wszyscy radośni. Ocean wspaniały, ale jeszcze się go boję. Nie mogę się kąpać pierwszego dnia. Muszę się oswoić. Zmoczyłem nogi, potem trochę pospacerowałem brzegiem. Kąpiel jutro, jeszcze będzie czas. Wypatrzyłem spokojną zatoczkę. Trochę naturystów, trochę ubranych. Tu będę przychodził. Spokój.

Wieczorem spacer po miasteczku. Gorące ulice, wszystko zastyga, dopiero nocą budzi się życie. Stoły na placach i wzdłuż uliczek, pełno Hiszpanów. Lubię ten gwar, mogę się wtopić i zostać niezauważonym. Siadam przy niewielkim sto-

Pożądanie

liku, zamawiam jamón ibérico, do tego tempranillo. Dookoła mnie ludzie, całe rodziny, jakieś dziecko płacze w wózku. Jest północ, ale nikomu to nie przeszkadza. Kryzys? W C. tego nie widać. Może dla niektórych to ostatnie wakacje?

Wieczorami jest tak rześko. Wracam piechotą, mam czas.

Półmisek lokalnych wędlin – 12 euro; butelka wina – 10.

Przed snem: masturbacja, prysznic, mail do B., 50 stron lektury.

* * *

Nie chcę nic zwiedzać, nie za dużo, tylko leżeć beczynie i patrzeć na morze. Chwile kąpią, tak wolno, tak dobrze. Ładny poranek, trochę chmur. Upał dopiero nadejdzie.

Pierwsze zakupy, jeszcze przed śniadaniem. W hali targowej gwar, świeże ryby i owoce morza. Chodzę i chłonę zapachy. W jednej alejce mięso, w drugiej owoce. Kupuję ser z Manchy, pomidory, oliwki i ośmiornicę. W markecie dokupuję dodatki – oliwa, sól i wino. Na razie wystarczy. Przed wejściem stary mężczyzna sprzedaje owoce opuncji. Wygląda jak z dawnych zdjęć – nieogolona twarz, mądre spojrzenie, postrzępiony kaszkiet. Tylko na spękanych stopach klapki Reeboka. Uśmiecham się i mijam go bez słowa. Odprowadza mnie wzrokiem bez cienia zawodu. Miał wiele lat, by poznać swe życie.

Butelka przyzwoitego wina – 7 euro; woda mineralna 1,5 litra – 1 euro; słoiczek oliwek – 3 euro; bagietka – 1,5 euro.

W mieście pusto, wszyscy na plaży. Czasem przemknie skuter lub przejdą rozgadane nastolatki. Wszystkie podobne do siebie, za nimi opaleni chłopcy, każdy taki sam.

W pokoju kroję pomidory, polewam oliwą i mam śnia-

danie. Między mną a morzem skoszone pola, łagodne wzgórza. W oddali granatowa smuga, widzę fale.

Pierwsze plażowanie, trzeba uważać ze słońcem. Wybrałem wnękę pod klifem, łagodny cień. Nie ma tłumu, to dobrze. Kilku samotnych mężczyzn, trzy albo cztery pary, rodzina z dzieckiem. Stoję obok ręcznika i w końcu ściągam kąpielówki. Lubię to uczucie. Chwila lęku, ale nikt nie patrzy, tu każdy ma swoje ciało i swoją nagość. Brzegiem spaceruje przystojny mężczyzna o budowie piłkarza. Dłonie oparł na biodrach i przechadza się jak przywódca stada. Omiata wzrokiem nagie ciała, zatrzymując się na ułamek sekundy nad każdym. Władczo, bez podniecenia, nieco znudzony. A potem staje wyprostowany w wodzie, patrzy w morze i pozwala, by kobiety go podziwiała. Jest piękny jak starożytny bóg.

Trzy tęgie matki bez dzieci, ślady po cesarskich cięciach. Wolne, nagie, ładne. Trzy Gracje. Patrzą na nie, a one dają na siebie patrzeć. Po to tu przyszły. Śmieją się i żartują po hiszpańsku.

Idę do oceanu, biały i zawstydzony. Ale kiedy zanurzam się w słoną wodę, czuję radość. Przyjemny chłód, płynę, jest płytko. Z morza widzę, jak na szczycie klifu przystają podglądacze i ciekawie wychylają się w dół. Niewiele widzą, a ryzykują życie. Po chwili ruszają dalej; mali, podnieceni wędrowcy.

Przewodnik stada znudzony zadziera głowę. W jego oczach ta sama pogarda, którą mają goryle w zoo.

Czas kapie leniwie, nie mogę się skupić na lekturze. Akapity upływają wolno, co chwila podnoszę wzrok i zawieszam go na kobiecych piersiach. Piękny brak skrępowania, chwilę patrzę i wracam do lektury. Godziny mijają, a ja powoli wchodzę w ten spokojny rytm. Nigdzie się nie śpieszę, nie jestem głodny, nawet nie chce mi się pić. Wypoczywam.

Mieszkam za miastem, błogosławiony spokój. Gospodyni to starsza kobieta, samotna, wynajmuje pokoje letnikom. Kiedyś musiała się podobać mężczyznom, teraz wzdycha głośno co kilka minut. O czym myśli? Pusto trochę u niej. Mieszka na dole, nie wyłącza telewizora i ciągle rozmawia przez telefon. Ta wspaniała chryпка! Wieczorami przemawia do kotów, które wskakują na ogrodowy stolik, gdzie popija jerez. Żali się, to słyszać w tonacji. Wymieniamy uśmiechy, mijając się w korytarzu. Wdowa czy rozwiedziona? Bez znaczenia.

Wieczorem zjadłem cały talerz ośmiornicy po galicyjsku. Do tego wino i spokojne trwanie na moim tarasie. Gospodyni zniknęła w środku, telewizor przycichł. Kolejny samotny urlop, B. z dziećmi u teściów. Musimy od siebie odpocząć, a ja lubię tę pustkę wokoło. Cisza sprawia, że przestaję być sobą. Przez tydzień będę żył innym życiem. Chodzę ulicami andaluzyjskich miasteczek i jestem kimś innym – samotnym, czterdziestoletnim turystą.

Obrączka została w Polsce, słońce szybko opala jasną bliznę.

Koszt kolacji – 13 euro; ośmiornica droga, ale warto.

Przed snem: obcinanie paznokci u nóg, prysznic, 75 stron lektury.

* * *

Na plaży pojawiły się dwie nowe dziewczyny. Weszły między nagich ludzi pewnym krokiem, choć rozglądały się z zaciekawieniem, pewnie pierwszy raz. Jedna szczupła, nieco pałakowata, ale zgrabna. Druga piękna. Pierwsza została w kostiumie, a druga ściągnęła stanik i od razu pobiegła do morza. Wpadła w wodę, rozchlapując wszystko na boki. Przy-

wódca stada stał nieruchomo kilkadziesiąt kroków od niej.

Kiedy wychodziła, wykręcając włosy, nie mogłem odebrać wzroku. Piersi jak dwoje koźląt, bliźnięt gazeli, skóra z kropelkami słonej wody. Czasza okrągła, pełna wina korzennego, baszta Libanu. Wychodziła świadoma swej urody, pewna siebie, zuchwała, Gazela.

Miała wszystko. Niczego nie musiała się uczyć. Ruchy, gesty, leniwe przeciąganie się w słońcu. Siadła na ręczniku, nasmarowała ciało kremem i potem leżała nieruchomo przez godzinę.

Druga czytała książkę, spacerowała, szukając muszelek. Była cicha i dyskretna, jak tło. Dobrze rozumiała swoją rolę.

A Gazela promieniała. Nie musiała nic robić, a i tak świat kręcił się wokół niej. Kiedy siadała, kiwała nogą, ze śmiechem trącała koleżankę, była panią świata. Nonszalancja młodej kobiety, która wie, że jest piękna. A wszystko bez cienia wulgarności. Rzadki okaz. Przywódca stada wycofał się do swej partnerki, schowanej pomiędzy skałami. Nigdy jej nie widziałem, chronił ją dobrze.

Czasem mijaly nas wycieczki brodzące przy brzegu, odprowadzane przez nas znudzonymi spojrzeniami. Nigdy nie zatrzymywały się na dłużej. Wszystko wokoło nieważne, patrzyłem na Gazelę.

Pewnie studentka, plażowe lektury na czytniku. Co czytała? O czym myślała? Wyobrażałem sobie inteligentną dziewczynę, zaczytaną w dobrej powieści. Pewnie ma skandynawskie kryminały i studiuje zarządzanie. Dlaczego zarządzanie? O czym myśli?

Wieczór w rybnej restauracji poza miastem. Znakomita zupa z owoców morza; gęsta, intensywna, ostra. Potem talerz langustynek. Dookoła ciszej, inaczej niż w C. Rzeński wiatr od

morza. Spacer do domu i papieros na tarasie. Wypoczywam.

Zupa rybna – 8 euro; langustyńki – 13 euro; karafka wi-
na (b. dobre!) – 7 euro.

Przed snem: butelka wina, masturbacja, prysznic, ma-
sturbacja.

* * *

Dzisiaj Sewilla. Bez entuzjazmu, ale trzeba. Dlaczego
trzeba? Przymus zwiedzania, kiedy wreszcie się wyleczę?

Rankiem pomidory z oliwą, trochę sera i wsiałam w
samochód. Kłopoty z parkowaniem, naganiacze za dwa euro
prowadzą mnie do zaułka, gdzie zostawiam wóz pod plata-
nem. Uśmiechają się i dziękują.

Mosty nad Gwadalkiwirem, po drugiej stronie Triana. Po
co tu przyjechałem? Chodzę bez celu uliczkami, omijam kate-
drę i ważne muzea. Wszędzie wycieczki, zachwycone tym,
czym powinny się zachwycać. Kamery, aparaty fotograficzne,
co chwila wchodzę w kadr. Na ilu zdjęciach się znajdę? Niezna-
jomy mężczyzna uchwycony przypadkiem.

Dobry temat na opowiadanie. Historia mężczyzny, który
wchodził w kadr, a potem w internecie mozolnie wyszukiwał,
do ilu wakacyjnych albumów trafił. Cieszył się z każdego od-
krycia, nieświadomie powielony przez anonimowych tury-
stów. Potem pisał do nich maile, przedstawiał się i nawiązywał
znajomość. Notuję na marginesie planu miasta. Po co? I tak
tego nie napiszę. Nie mam talentu M. Ale przez chwilę czuję się
pisarzem. Pisarz w Sewilli podgląda życie. Drobne przyjemno-
ści, które dajemy sobie sami.

W zacienionej knajpce kawa, nie tak dobra jak we Wło-
szach, ale kawa. Cichy zaułek, turyści tu nie zagląдают. Zamiast

Sewilli Gazela, nie mogę się skupić.

Sewilla ma swoje dzisiaj, to mi się podoba. Większość miast to przybudówki do ruin, strażnice dawnych budowli. Tu jest inaczej. Targi, wystawy światowe, widać współczesność. Ale oczywiście są sklepy z pamiątkami, gipsowe figurki Giraldy, imitacja ceramiki, tandeta. Kto to kupuje? Po co?

Przyłapany przez siebie na tym, że oglądam świat z myślą, jak to później opisać w dzienniku; Sewilla do przerobienia w kilka nonszalanckich zdań. Żałosne. Własne. Nieuchronne.

W Muzeum Sztuk Pięknych nie ma nikogo, przemierzam puste patia. Najpierw chwila pogardy dla turystów, że omijają, ale zaraz refleksja: też nie chcę tu być, tęsknię za plażą. Oszukuję się, że ja mam prawo wybrać plażę, a oni, prymitywna banda, nie. Kilka minut przed Velázquezem. Ładny, idę dalej. Zurbaran poniżej oczekiwań, Murillo przereklamowany.

Stary cap, a apodyktyczność sądów jak u nastolatka! Mogę skrytykować, to krytykuję, przez chwilę mam władzę. Zurbaran poniżej oczekiwań. Kim jestem? Żałosne, żałosny; przynajmniej nikt nie widzi.

Siadam na placu, obok starzy Hiszpanie nad jerezem. Każdy sam przy swoim stoliczku, nieruchomy, poważny. Zamawiam to samo i czuję się jednym z nich. Siedzę godzinę, nic nie robię, czasem zawieszę wzrok na jakimś przechodniu. Wszystko spowolnione, upał stoi w miejscu. Jestem człowiekiem Śródziemnomorza, otwieram się na leniwie kąpiący czas. Jestem? Po chwili mam dość, godzina trwała pięć minut. Płacę i wychodzę, nieco zawiedziony.

Z powrotem do C., duża ulga. Już widzę te zdziwione spojrzenia przyjaciół: „Nie byłeś w Katedrze? Nie byłeś w Alkazarze?”. Wielkie litery będzie słychać nawet w pełnej wyrzutu intonacji.

Wczesny wieczór na plaży. Pusto, pojedyncze osoby. Przegapiłem odpowiedni czas, melancholia zachodu słońca, dzień zmarnowany. To poczucie, że przyszło się spóźnionym, że coś ważnego człowieka ominęło. Na nierównym piasku ślady po ręcznikach i odciski stóp. Szukam, gdzie leżała Gazela. Przyплыw pożera kolejne skały. Uciekam.

Odbiję sobie w Polsce, kiedy rzucę w towarzystwie: „Byłem w Sewilli”. Kilka chwil radości, kilka chwil cudzej zazdrości. Czy na pewno? Dziś każdy może.

Wieczór w towarzystwie wina. Nie chce mi się iść między ludzi, jem suchą bułkę z oliwą. Pieczywo dobre, lecz nietrwałe.

Kawa w Sewilli – 1,5 euro; kieliszek jerezu – 3 euro; benzyna – 1,47 euro za litr; wstęp do Muzeum Sztuk Pięknych – dla obywateli Unii Europejskiej za darmo.

Przed snem: masturbacja, mail do B., mail do W., mail do Z., prysznic, lektura dziennika. Ciche zadowolenie.

* * *

Znowu przyszły, jakby zaspane, ziewając. Gazela rozglądnęła się po plaży i odważnie zdjęła majtki. A potem szybko pobiegła do morza, wołając koleżankę. Czuję, że coś przegapiłem. Może zrobiła to już wczoraj? A mnie przy tym nie było. Ten wstyd, rozglądanie się po plaży, ociąganie, potem decyzja. Przegapiłem, pierdolona Sewilla. Było warto?

Koleżanka cicha, zaczytana. Czekałem na powrót Gazeli i ona też czekała. Patrzyła co chwila znad książki w stronę morza. Patrzyła tak samo jak ja. A tamta nic nie wiedziała! Kiedy wracała, bezwstydna i piękna, stawiała nad swą nieśmiałą towarzyszką i coś mówiła, śmiejąc się, a tamta odwracała wsty-

Pożądanie

dliwie wzrok. Ona ociekała słoną wodą, gładka, blada w miejscach zakrytych wcześniej kostiumem. Jakby nieświadoma, że koleżanka jej pożąda.

Na kolację paella z owocami morza. Brak słów.

Cały wieczór w C., wędrówka między stolikami w poszukiwaniu Gazeli. Może będą? Może je spotkam? Gwar i tłum, drażnią mnie Hiszpanie. Nie ma Gazeli, jestem sam w obcym mieście. Miasteczku.

Paella – 10 euro; karafka domowego wina – 5 euro.

Przed snem dużo wina i masturbacja. I masturbacja. Jest dobrze, jest dobrze. Takich wakacji potrzebowałem.

* * *

Po śniadaniu zakupy, potem na plażę. Są.

Rozkładałam się w pośpiechu i patrzę.

Gazela wychodzi z wody, linia bioder jak kolia, dzieło rąk mistrza. Teraz ona rządzi plażą. Spaceruje, mija ludzi, zagaduje. Przywódca stada po drugiej stronie, podchodzi do niego, chwilę rozmawiają. Bóg i bogini, nadzy i piękni. Śmieją się, on pokazuje w kierunku skałek, znowu śmiech, Gazela teatralnie rozkłada ręce. Ona odchodzi kilka kroków i siada na brzegu. Wokoło piana i lekkie fale, cichy szum. Potem woła koleżankę i idą się kąpać. Długo stoją blisko siebie, z dala od brzegu, zanurzone po szyję. Po wyjściu smarują się nawzajem, oglądają opaleniznę. Gazela rozpina towarzysze stanik, ta się broni, ale w końcu chowa go do torby. Śmiech. Potem leżą w bezruchu, wpatrzone w niebo. Pojedyncze chmury, błękit, Atlantyck.

Nie będę znowu tropił ich w C.

Wieczór w Kadyksie. Piękne miasto, dzikie i dumne. Na ulicach sterty śmieci, porozrywane worki, nikomu to nie prze-

szkadza, mijamy je wszyscy z obojętnością. Mury starej katedry wychłostane morskimi wiatrami, kamień przez wieki wydłubywany słonymi podmuchami. Dotykam zbyt mocno, ranię się w palec.

Na ulicy procesja, niosą podświetloną figurę Matki Boskiej, orkiestra dęta i dostojnie maszerujące kobiety, wachlujące co chwila dekolty. Wszyscy skupieni, ale w przerwach rozmawiają. Sacrum i profanum. W muzeum malarstwa wspańnięte obrazy Zurbarana z pobliskiej kartuzji. Biali mnisi, męczennicy, ostre kontrasty. Ale ja ciągle o Gazeli.

Kolacja mi nie smakowała, przypalone jagnięce kotleciki i wino o mulistym smaku. Pierwsze rozczarowanie lokalną kuchnią. Wszyscy dookoła zachwyceni, rozgadani. Przedarłem się przez spacerujący wzdłuż nabrzeża tłum i wróciłem do C.

Jagnięcina – 17 euro (w zestawie frytki i sałatka).

Przed snem: dwie butelki wina, obcinanie paznokci u rąk, prysznic, golenie. Kłopoty z masturbacją, kłopoty z zaśnięciem.

* * *

Nad ranem sen. Idę plażą i widzę Gazelę. Macha w moim kierunku, brnę przez piaski, jest coraz dalej. Jesteśmy sami, wokoło miotane przez wiatr parasole. Siedzi na ręczniku, po turecku, kciukami uciska pępek. Czuję, że chce mi coś pokazać. Nachyliłam się, ona nago obok mnie, czuję podniecenie. Nachyliłam się niżej, niemal dotykam nosem jej skóry, drobne włoski, piasek. Ona dalej uciska pępek i nagle wypływa z niego gęsta maź. Uciekam, a ona krzyczy: pomóż mi! Uciekam, ona się śmieje, budzę się.

Nie ma Gazeli. Cały dzień na plaży bez niej. Może poje-

chały zwiedzać? Godziny rozciągnięte pomiędzy lekturą i tęsknym wzrokiem. I ta nadzieja, że przyjdzie, że na pewno przyjdzie.

Wokoło ci sami ludzie, kłaniamy się już sobie, nie znamy swych imion. Wystarczy. Znowu przyszły trzy Gracje, teraz leżą blisko mnie. Gdy nie ma Gazeli, dalej mogą być piękne. Zerkam na schody, które prowadzą na szczyt klifu, nie ma nikogo. Co chwila zerkam, nie przychodzą.

Dzień zmarnowany.

Nagle trzy Gracje w śmiech i zaczynają ubierać się w pośpiechu. Szukanie majtek na czworakach, wszędzie pełno piasku. Od strony skał biegną dzieci, matki biorą je w ramiona. Potem trzej mężowie, brzuchy, łańcuchy, długie kąpielówki, opalenizna. Gracje gotowe, niewinne, w dwuczęściowych kostiumach. Po chwili wszyscy odchodzą.

Wieczorem w C., łapię się na tym, że znowu szukam jej wzrokiem. Wreszcie są, przy stoliku, we dwie, Gazela w rudej sukience. Siadam niedaleko, odwrócony i słucham. Polki. Gazela ciągle mówi, druga słucha. Coraz mniej mnie to interesuje. Dlaczego? Egzaminy, studia, kłopoty w domu, jakaś praca w wakacje. Co mnie to obchodzi? Wygląda inaczej niż na plaży, jest nie na miejscu. Nie potrafię tego dobrze ująć w słowa (pokręślony fragment w dzienniku). Nadal piękna, ale pomiędzy ubranymi ludźmi taka zwyczajna. Druga promienieje, Gazela nazywa ją Karolą. Karola ciekawsza, potrafi słuchać, inteligentnie odpowiada.

Jem swoje, gęstą potrawkę z byczego ogona. Po godzinie wstają, Gazela trąca przypadkiem mój stołek. Przeprasza, przygląda się i zagaduje po angielsku:

- Czy my się nie znamy z plaży?
- Nie znamy - odpowiadam uprzejmie.

Pożądanie

Patrzę, jak odchodzą, tłum zamyka się za nimi.

Byczy ogon – 15 euro; butelka dobrego wina w restauracji – 9 euro.

Przed snem: masturbacja, mail do B., masturbacja.

* * *

Miałem jechać do Jerez, ale znowu plaża. Zmieniłem miejsce, by nie spotkać Gazeli. Po co wczoraj kłamałem? Nie kłamałem, nie znamy się. Oglądam tylko codziennie jej nagość. Chowam się między skałki. Nie widać mnie, ja też niewiele widzę. Od razu zaskoczenie: partnerka przywódcy stada jest smutnym, bladym mężczyzną.

Dzień lektur, co jakiś czas kąpiel w oceanie. Zasypiam w cieniu klifu.

Nade mną Gazela.

– A więc jednak się znamy.

Budzę się. Stoi naga nade mną, nogi lekko rozstawione. Wie, że patrzę.

– A więc jednak się znamy – powtarza po polsku, schylając się po moją książkę. – Pamuk? Nie lubię.

Chcę powiedzieć, że też nie lubię, ale rezygnuję.

Kucając, trąca mnie kolanami. Krótki, perlisty śmiech. Kuca, a ja się gapię, złocista brzoskwinia. Dopiero teraz dostrzegam, że ma kolczyk. Obracam się na brzuch, jest lepiej. Chwilę rozmawiamy, krótka prezentacja, zwyczajowe puszenie się. Jakiś żart o Polakach za granicą, śmiech. Potem Gazela proponuje spacer brzegiem. Idziemy, każde z rękami założonymi na plecach. Nadzy perypatetycy. Wyobrażam sobie nas z dystansu i nie mogę opanować śmiechu. Wiem, że Karola patrzy, i trochę mi głupio. Wodzi za nami wzrokiem, nie mogę się

skupić. Zerkam na Gazelę; owoce granatu i ciemne, soczyste winogrona.

– Trochę czerwone, zapomniałam filtra – tłumaczy się i strzepuje piasek z dekoltu.

Nie wiem, co powiedzieć, idziemy w milczeniu. Jest dobrze, jest dobrze.

– Lubisz pływać po zmroku? Powiem Karoli, żeby została w domu.

Czuję, że znów nadchodzi podniecenie, więc w odpowiedzi proponuję kąpiel. Woda mnie zakrywa, mogę zachować godność. Zgodzić się? Odmówić? Pytanie wisi bez odpowiedzi, wychodzimy na brzeg. Karola patrzy ponuro, lecz Gazela zdaje się tego nie zauważać.

– To jak z wieczorem? – pyta już przy swoim ręczniku.

Stoję naprzeciw, a one jak para bliźniąt, koźłat gazeli. Jest dobrze, jest pięknie.

* * *

Spoglądam na zegarek, jeszcze pięć minut. Większość już oddała, sala jest niemal pusta. Kiedy wychodzą, w uchylonych drzwiach widzę na korytarzu zwiędniętego grubaska. Pewnie będzie przeproszał i prosił, bym dał mu szansę. Wrzesień i zgoda dziekana.

Duszno, głośno, za oknami kosiarki.

Gazela oddaje pracę ostatnia. Podchodzi do mnie wolnym krokiem, wręcza kartkę i na chwilę przystaje, patrząc mi w oczy.

– Ładny krawat.

– Dziękuję – odpowiadam. – Życzę udanych wakacji.

Wiem już, że jej nie obleję. O to jej chodziło. Odprowa-

Pożądanie

dzam ją wzrokiem, a ona wie, że jest odprowadzana. Kiedy drzwi się zamykają, zostaję sam.

Rzucam okiem na jej pracę. Kilka zdań przez całą godzinę. Ładne imię. W rogu zapisała swój telefon.

Nie, to numer indeksu.

Jutro na wakacje. B., dzieci, do tego teściowie. Znowu będę przekopywał grządki, teść będzie psioczył na wszystkich i na wszystko. Dlaczego się zgodziłem? Zasłużone wakacje. Na takie zasłużyłem.

Kraków, październik 2012

Anna Kańtoch
CZŁOWIEK NIECIĄGŁY

Dziewczyna jest niewiarygodnie piękna.

Jej skóra ma barwę śmietany kładącej się na języku miękką gęstością aksamitu, a po krzywiźnie piersi język ślizgałby się jak po wzgórkach waniliowych lodów, zwieńczonych kandyzowaną wisienką. Piotr jest pewien, że tak właśnie by smakowała – słodko, świeżo i chłodno, gdyby tylko odważył się jej skosztować. Rozsypane na poduszce włosy są jasne z czerwonym połyskiem, lecz powiedzieć o nich „rude” równałoby się nazwaniu V symfonii Beethovena „niezłą muzyką”. Barwa tych włosów to czysta poezja, duet skomponowany ze słońca i ognia. Ten sam kolor wychyla się pomiędzy białych ud i rozszerza w zgrabne serduszko, czego Piotr nie omieszka zauważyć z dreszczem podniecenia. Patrzy, gromadząc w ulotnej pamięci szczegóły, tak jak dziecko gromadzi swoje skarby: pełne wargi i słodki, zgrabny nosek, wąskie biodra i stopy z wysokim podbiciem, tam gdzie skóra jest rozkosznie różowa niczym wewnątrz muszli. Oczy są zamknięte, ale Piotr wie, że gdyby je otworzyła, ich błękit napełniłby jego serce spokojem, jakiego zaznać można w letni dzień, gdy człowiek kołysze się na powierzchni morza ze wzrokiem wbitym w wysokie niebo.

Oczywiście dziewczyna jest też absolutnie, całkowicie martwa, ale cóż, nie można przecież mieć wszystkiego.

Piotr nieśmiało dotyka jej dłoni, po czym przesuwa palce aż do nadgarstka, tam gdzie w białą skórę wgrzyła się czerń ciasno zaplątanego kabla. Pod jego stopami szeleści porzucona na podłodze foliowa reklamówka.

Pięć minut później stoi przed drzwiami mieszkania, czując na sobie wzrok policjanta, którego zwalistość i kwadratowa szczęka psują piękno wspomnień.

– To pan ją znalazł? – pyta surowo mężczyzna w mundurze. Piotr nie zna jego nazwiska ani stopnia służbowego; być może tamten je podał, lecz szczegóły tak szybko wypadają z pamięci.

– Ja. – Płaczący się język, pustka w głowie. – Otwarte drzwi, zobaczyłem, pan rozumie... To moja sąsiadka, coś mogło się stać. Wszedłem, wołałem, potem ją znalazłem...

– Dotykał pan czegoś?

– Nie...

– Niech pan wraca do siebie. Darek, idź z nim. – Policjant zwraca się do młodszego funkcjonariusza, który posturą przypomina wieszak na ubrania, ma długi nos i skórę różową od trądziku.

Piotr odwraca się, otwiera drzwi własnego mieszkania i słyszy za plecami ułamek rozmowy.

– Mieszkała z chłopakiem, może lubili ostre zabawy.

– To pewnie on. Prosta sprawa.

Stara się zatrzymać pod powiekami obraz rudowłosej dziewczyny, ale wspomnienia już z niego wyciekają, już niemal przestaje wierzyć, że kiedykolwiek widział ją martwą. Z trudem się powstrzymuje, by nie zawrócić i nie przekonać się, że jej ciało istotnie wciąż tam leży, ze skrępowanymi rękami i ciepłem gasnącym pod doskonałą skórą.

Zachowuj się naturalnie, upomina sam siebie, ale przecież to niemożliwe, zachowywać się naturalnie może tylko ten, kto nie wie, że powinien to właśnie robić, a Piotr ma świadomość każdego ruchu i gestu. Powinien teraz być przestraszony czy smutny? A może po prostu zdenerwowany? Jak zachowy-

wałby się w takiej sytuacji niewinny człowiek?

Jest pewny, że nie zabił rudowłosej dziewczyny, jednak świadomość własnej niewinności paraliżuje go bardziej, niż mogłoby sparaliżować poczucie winy. Siedzi sztywno, wycofany w głąb siebie; nie chce tego, ale jego ciało ma inne zdanie i Piotr pod podejrzliwym spojrzeniem młodzieńca z trądzikiem odpowiada krótko, jakby się bał, że lada moment zdradzi go własny język.

Tak, znał ją przelotnie, byli przecież sąsiadami. Nie, żadna głębsza znajomość, tyle tylko że pozdrawiali się na klatce schodowej i rudowłosa dziewczyna – Marika, Piotr dowiadyuje się wreszcie, że miała na imię Marika – raz czy dwa odebrała dla niego przesyłkę, bo listonosz przychodzi rano, kiedy on jest w pracy, a ona przez większość dnia była u siebie. Nie wie, co robiła, może studiowała wieczorowo, może pracowała w domu albo jedno i drugie. Nie zna jej rodziny ani chłopaka, z którym mieszkała, jego też spotykał tylko przelotnie, na schodach, gdy spieszył się do pracy albo sklepu i rzucał zdawkowe „dzień dobry”, a ostatnio także „Wesołych Świąt”, bo przecież niedługo Boże Narodzenie. Nie zapamiętał nawet twarzy tego chłopca – był przecież nikim, tylko dodatkiem do pięknej dziewczyny, to ją Piotr pamiętał, nie jego.

Tego ostatniego już nie mówi, choć może jednak tak? Cały kłopot z przeszłością polega na tym, że jest równie niepewna co przyszłość; słowa tak szybko wyslizgują się z ust i wpadają w miejsce, skąd nie ma powrotu, nie sposób ich wydobyć, obejrzeć, przekonać się, czy wciąż są takie, jak podpowiada nam pamięć.

Piotr proponuje policjantowi herbatę, a potem dwa razy wraca do kuchni.

Czy wyłączył gaz?

Czy powiedział coś, co zdradziło jego fascynację tą dziewczyną?

Piotr jest bowiem człowiekiem nieciąglym, zawsze taki był, a przynajmniej tak mu się w tej chwili wydaje – bo Piotr terazniejszy nie ma wiele wspólnego z Piotrem sprzed godziny, a ten z kolei różni się od Piotra wczorajszego. Kolejne wersje Piotrów gładko przechodzą jedno w drugie, a on czasami myśli, że udaje mu się zachować przy tym rdzeń swojej osobowości, a czasem, że nie.

O swojej nieciąglności Piotr myśli w sposób nieciągly wieczorem, już po wyjściu policjanta, gdy odpisuje siostrze na e-maila. To tradycyjne zaproszenia na święta, które przyjmuje, choć wcale nie ma na to ochoty; nie przepada za Bożym Narodzeniem, jednak konsekwencje odmowy mogłyby zbyt poważnie zachwiać jego kruchym światem, w którym tak mało jest rzeczy pewnych.

Potem szykuje kolację i wraca przed komputer, by kilka razy sprawdzić treść wysłanej już wiadomości.

Czy odpisał Dorocie, że chętnie przyjdzie na kolację wigilijną, czy może zdradzieckie ręce wystukały: „Pierdol się, głupia krowo”?

Piotr bierze prysznic, potem wraca przed komputer, wstaje, znowu siada. Sprawdza po raz kolejny, czy gaz pod czajnikiem na pewno jest wyłączony.

Czy zabił Marikę, tak jak sobie to wyobrażał?

* * *

Marika – imię smakuje jak suszona śliwka. Kleista słodczy długi „ma” złamana lekko kwaskowatym „ri” i dymne „ka” na samym końcu, niczym ostatnia nuta w bukiecie wina.

Ma-ri-ka.

Piotr powtarza jej imię w myślach, gdy po południu odpala samochód, by pojechać do najbliższego marketu. Trzeba kupić siostrzeńcowi prezent (Dorota z właściwą jej subtelnością wymieniła w e-mailu tytuł gry komputerowej, nie musi się więc wysilać), chleb, trochę wędliny, może parę puszek piwa. Niczego więcej nie potrzebuje, i tak przecież nie będzie spędzał świąt u siebie.

Świat na zewnątrz utknął pomiędzy jesienią a zimą. Chwila tuż przed pierwszym śniegiem, gdy w powietrzu wisi zapowiedź lodowatej zamieci, rozciągnęła się do dwóch tygodni w nieznośnym napięciu jak z filmów Tarantino. Odarte z ostatnich liści drzewa, brązowa trawa, niebo w kolorze chłodnego ołowiu – to pozbawiony błogosławieństwa bieli martwy świat, w którym zima jest przyczajonym za drzwiami obcym. Nie widać jej, ale ją czuć; wiatr niesie zapach ciężkiej od wilgoci ziemi i korzeni gnijących pod warstwą nocnego lodu. Śnieg mógłby przynieść ulgę, ale śniegu nie ma i w tej chwili Piotr niemal wierzy, że Boże Narodzenie nigdy nie nadejdzie.

Nie jest jedyny – w markecie przebrany za Świętego Mikołaja mężczyzna potrząsa dzwonkiem, którego głos brzmi płasko i fałszywie, a ludzie pchający wyładowane wózki uśmiechają się bez przekonania.

Wesołych Świąt, ho, ho, ho.

Ma-ri-ka, smakuje imię Piotr.

Gdy wraca do domu, jest już prawie ciemno; niebo zaciągnięte nocą jak burzowymi chmurami, których jałowość drażni nerwy. Pod klatką widzi przyczajoną sylwetkę, a może tylko mu się zdaje? Oderwana sklepowa markiza łopocze w podmuchach grudniowego wiatru, przy śmietniku, od którego ciągnie słodki zaduch, buszują bezdomne koty. Nagle w krąg

rzucanego przez latarnię światła wskakuje łaciaty cień i miaucząc przeraźliwie, przebiega obok Piotra. Mężczyzna klnie i wtedy właśnie w ślad za zwierzęciem z mroku wynurza się drobnokościsty wyrostek.

Robert – Piotr pamięta nawet jego imię – chłopak Mariuki. Czy policja już z nim rozmawiała, czy może Robert się przed nimi ukrywa?

Piotr przystaje, a potem, zirytowany własnym tchórzostwem, rusza. Robert odsuwa się, nie spuszczać wzroku z nadchodzącego mężczyzny. Ma na sobie obszerną bluzę z kapturem, zbyt cienką jak na tę temperaturę, kuli się, dłonie trzyma w kieszeniach dzinsów. Po raz pierwszy Piotr na niego patrzy, nie – przelotnie zauważa, lecz naprawdę patrzy i uderza go podobieństwo do Mariuki. Są niemal tego samego wzrostu, oboje szczupli, z obojętnymi twarzami elfów. Ona była nieco chłopcica, włosy ścinała krótko, miała wąskie biodra i drobne piersi, w nim natomiast jest coś dziewczęcego: w długich rzęsach i wykroju ust, w spadających na oczy lokach, które odrzuca niecierpliwym ruchem głowy. Jakby wiążąc się, wychodzili jednocześnie sobie naprzeciw, by spotkać się gdzieś pośrodku androgynicznej jedności.

Robert – imię nie ma smaku, jest twarde, zgrzytające w zębach jak ubrudzone ziemią kamienie.

Niemniej jest też w tym chłopcu pewna dostępność, która mogłaby wydawać się pociągająca, gdyby Piotr gustował w przedstawicielach swojej własnej płci. Oto możliwy scenariusz: Piotr proponuje Robertowi kubek gorącej herbaty, a chłopak idzie za nim do mieszkania na drugim piętrze, gdzie pozwala zdjąć z siebie tę okropną bluzę i zrobić ze swoim młodym ciałem wszystko, a nawet jeszcze więcej.

Piotr wchodzi w mrok klatki schodowej, podczas gdy

możliwość rozszczepia się za jego plecami w wachlarz niespełnionych przeszłości. Czy minął Roberta w milczeniu, czy może jednak zaproponował mu herbatę i został odrzucony? A może stało się coś jeszcze innego, w wyniku czego idąc teraz po schodach, czuje wypalony na karku wzrok chłopca w zbyt obszernej bluzie?

W domu wkłada jedzenie do lodówki, a grę dla Bartka kładzie na biurku. Potem odpala komputer, otwiera puszkę piwa i wchodzi na czat erotyczny. Posługuje się różnymi nickami, gardząc w skrytości ducha tymi, którzy nie potrafią nawet poprawnie napisać: „Skąd klikasz?”. Gardzi także prymitywnymi sposobami budowania wizerunku: dwadzieścia centymetrów i klata jak kaloryfer to zdecydowanie nie jego metody. Piotr jest subtelniejszy, uwodzi, tworząc od nowa nie tylko siebie, ale cały świat: dziś jest nieśmiałym chłopcem (ubranym w zbyt obszerną bluzę z kapturem?), który proponuje scenariusz swojej fantazji: on będzie studentem konserwatorium, a spotkana na czacie kobieta nauczycielką, której zainteresowania nie ograniczają się tylko do muzyki.

Cóż, przynajmniej ma nadzieję, że to naprawdę kobieta.

Jest w tej chwili jeden, konkretny i stały. Jutro, tak samo pojedynczy, choć zupełnie inny, pójdzie do pracy, gdzie przez osiem godzin będzie odbierał telefony i wklepywał do komputera dane.

Pewnego dnia Piotr rozpęknie się i wypadną z niego wszystkie inne Piotry: te, którymi był przez dzień albo pół minuty, te, którymi mógł być i którymi bał się stać. Zdradzą go rzeczy, o których śni i które jedynie przemknęły mu przez myśl – jak to nieszczęsne zaproszenie na herbatę, które było przecież opowiedzianym samemu sobie żartem.

Być może najwyższa pora, by wreszcie coś z tym zrobić:

znaleźć sobie prawdziwą, niewirtualną dziewczynę, zacząć normalnie żyć. Siostra powtarza mu to każdego roku, gdy siedzą przy wigilijnym stole, a Piotr robi wtedy rachunek sumienia i postanawia się zmienić: nie tylko wyobraża sobie wtedy siebie jako innego człowieka, ale się nim staje, na godzinę, dwie, czasem więcej.

Miał kiedyś prawdziwą dziewczynę, Weronikę, jeszcze na studiach. Twierdziła, że potrafi odróżnić wiosnę od jesieni po kolorze słonecznych promieni. Wiosenne światło jest ostre i żółte jak cytryna, mawiała, chłodne, ale pełne życia; jesienne, za to łagodne niczym bursztyn z opiłowanymi przez wodę kantami. To jedyny w naturze paradoks, kiedy zimno jest ciepłe, a ciepło zimne.

Mieszkali razem przez jakiś czas, jednak już wtedy rzeczywistość uwierała Piotra jak źle dopasowane buty. Przy Weronice czuł się niekonkretny, granice jego płynnej osobowości bezustannie były atakowane przez samą jej obecność. Dopiero gdy odeszła, potrafił stworzyć samego siebie na nowo.

Przed dwunastą, gdy scenariusz fantazji rozkręca się na dobre, do Piotra pisze martwa dziewczyna.

* * *

„Nieznajomy przesyła wiadomość”, migocze ikonka komunikatora, a Piotr zamiera. Być może stało się wreszcie to, czego tak bardzo się obawiał: on nigdy nie podaje publicznie swoich danych, ale inne Piotry mogły przecież być mniej ostrożne.

„Cześć, tu Marika, chcesz poczytać naszego bloga?”

Wstaje, wychodzi do kuchni i sięga do lodówki po następne piwo. Wypija je z cichą nadzieją, że nim wróci, prze-

szłość zmieni się w taką, w której żadnej wiadomości nie było. Podniecenie całkiem z niego opadło, pozostawiając po sobie mdlący osad niepokoju. Kimkolwiek był mężczyzna, który przed chwilą zabawiał się z poznaną na czacie kobietą, już go nie ma i Piotr nie może uwierzyć, że kiedykolwiek go znał.

Wraca przed komputer; ekran pulsuje kolejną wiadomością – tym razem jest to adres internetowy. Piotr po chwili wahania klika w link, czując się jak rozbitek dryfujący na falach najbardziej niesamowitych możliwości. Nie sposób teraz przewidzieć, jaka będzie przyszłość ani jaka była przeszłość; przez krótką chwilę Piotr naprawdę wierzy, że dziewczyna jednak żyje, że wcale nie widział jej martwej – może tylko mu się śniło? Jednak i to jest niepewne, jak wszystko wokół, ciągnący się wstecz i naprzód czas rozmywa się i kształtuje na nowo.

Myśl, że Marika mogła zauważyć jego zainteresowanie i teraz w tak osobliwy sposób chce nawiązać kontakt, sprawia, że Piotrowi zaczyna się kręcić w głowie.

A więc klika, szybko, zanim napłynie kolejna możliwość.

Blog jest czarno-biały, w stylu, który Piotrowi niejasno kojarzy się z malarstwem Alfonsa Muchy – dużo zawijasów i esów-floresów, a do tego stylizowana na przedwojenną czcionka. Z pierwszego zdjęcia patrzy na Piotra Marika: siedzi na ławce w parku z głową wspartą na ramieniu Roberta, na jej twarz pada cień rozrosłego ponad miarę buka. Piotr z jakiegoś powodu ma pewność, że to jesień, choć na czarno-białej fotografii nie widać koloru liści – jest jednak w tej scenie jakaś łagodna melancholia, Piotr mógłby się założyć, że światło tamtego dnia miało kolor bursztynu, który tak długo leżał w wodzie, że jest teraz krągły i gładki, bez żadnych kantów.

Marika patrzy na niego tak, jak spozjrzała wtedy, gdy

zwrócił na nią uwagę po raz pierwszy. On wchodził po schodach, ona po nich zbiegała, w pośpiechu zapinając kurtkę, na uszy już miała naciągniętą czapkę, dłonie tkwiły w rękawiczkach o barwie tak czerwonej, że zawstydziłyby polne maki. Rzuciła mu spóźnione „dzień dobry”, patrząc z roztargnieniem ponad poręczą, a on jej zapragnął. Nie od razu, to przyszło później, powoli, tak iż przegapił moment, kiedy Marika nagle wypełniła jego świat, gdy jednak to się wreszcie stało, przeszłość zwinęła się z kocim pomrukiem i ukształtowała na nowo, a on wiedział już, że pożądał tej dziewczyny od początku, od tamtej chwili, kiedy jeszcze pozdrawiali się obojętnie na schodach.

Wtedy też zrozumiał, że ona się z niego śmieje i zawsze się śmiała. Kpina w jej głosie, kiedy mówiła „dzień dobry”, cień drwiny w błękitnych oczach. Nie zastanawiał się nad przyczyną, pewnie wystarczyło, że młodość i piękno Mariki zmieniały go w zgarbionego, łysiejącego mężczyznę po trzydziestce, a tego nie potrafił wybaczyć – być może dlatego pomyślał kiedyś, przez chwilę, przez całe życie, że mógłby ją zabić.

Nie byłoby to trudne; Marika, gdy była w domu, nie zamykała drzwi na klucz – wiedział o tym, bo dwa czy trzy razy widział, jak Robert wchodzi, po prostu naciskając klamkę. Piotr też mógłby tak zrobić.

Możliwy scenariusz: wchodzi cicho, ostrożnie, ledwo ośmielając się oddychać. W nowym miejscu jest zdezorientowany, ale to szybko mija, w końcu rozkład mieszkań w całym bloku jest podobny. Znajduje więc pokój, który u siebie nazywa salonem – Marika tam jest, śpi na tapczanie spowita w promieniujące od kaloryfera gorąco, krople potu spływają po unoszonych równym oddechem nagich piersiach. Zapach alkoholu jest ledwo wyczuwalny, ale gdy Piotr pochyla się nad

dziewczyną, zawiesista woń przetrawionego wina i piwa uderza go w nos, jakby wpadł na ścianę. Marika znowu wróciła nad ranem, a on znowu ją widział, jak wiele razy przedtem – tyle że tym razem poczekał, aż z mieszkania wyjdzie Robert, by potem zrobić to, co chciał zrobić.

Dalszy ciąg możliwego scenariusza: wiąże jej ręce przyniesionym kablem, a ona nie stawia oporu; budzi się tylko i mamrocze coś nieskładnie – może bierze go za Roberta? Kiedy zrozumie, co się dzieje, będzie już za późno: Piotr założy jej na głowę worek foliowy, zwykłą reklamówkę, jaką można dostać w każdym markecie, a potem zaciągnie brzegi wokół szyi i poczeka, aż dziewczynie zabraknie powietrza.

Ten worek zdejmie później, by po raz ostatni nacieszyć oczy widokiem jej twarzy – reklamówkę policjanci znajdą na podłodze, a chwilę wcześniej Piotr spojrzy na nią, nie pojmując, co właściwie widzi.

Piotr wstaje i wędruje do szafki, by sprawdzić zapas czarnego kabla, którego używa czasem przy drobnych naprawach. Zwój znajduje się na swoim miejscu, ale mężczyzna nie potrafi powiedzieć, czy jest teraz mniejszy, czy też nie.

Wraca przed komputer, wstaje, znowu podchodzi do szafki i patrzy na zwinięty w ciasny kłębek kabel, zamyka szufladę i znowu ją otwiera. Nawet przeszłość sprzed kilkunastu sekund nie jest już pewna.

Czarno-biały blog mruga do niego zachęcająco z ekranu, mija jednak dobra chwila, nim Piotr nabierze na tyle odwagi, by zacząć czytać.

WPIS PIERWSZY:

Dawno, dawno temu byli sobie mały chłopczyk i mała dziewczynka.

– *Wymyśliłam nowy sposób podróżowania – powiedziała pewnego dnia dziewczynka. – Ziemia obraca się wokół własnej osi w ciągu dwudziestu czterech godzin, prawda? Wystarczyłoby więc tylko wejść gdzieś wysoko i poczekać, aż przesunie się pod twoimi nogami. Wyobraź sobie, siedzisz w powietrzu przez cały dzień, a potem hop!, zeskakujesz już do Ameryki. Fajne, nie?*

– *Uderzyłabyś po drodze w góry. – Chłopiec jest sceptyczny. – Albo spadłabyś do oceanu.*

– *Uważałabym – upiera się dziewczynka. – A poza tym mogłabym wybrać takie miejsce, żeby po drodze nie było gór. Tylko musiałabym znaleźć punkt, który nie kręci się z całą Ziemią. Gdyby mi się udało, byłabym już nie w środku, tylko na zewnątrz. Po prostu bym czekała, aż znajdę się dokładnie tam, gdzie chcę.*

* * *

Tej nocy przewraca się pod kołdrą niespokojnie, śniąc samotność, która przysiadła na jego łóżku. Najeżona kolcami, szara jak kłęb kurzu, pochyla się nad Piotrem, a on czuje jej ciężar i zapach, drapiący w gardło, jakby próbował oddychać węglowym pyłem. Śni mu się także upływający czas, minuty, godziny i dni prześlizgujące się przez palce z gładkością namydlonych paciorków. Wiosenny pierwszy raz i jesienny ostatni, obłany złotym smutkiem jak rogalik lukrem, a w końcu śni, że stoi na statku, wpatrzony w niespokojne morze, i żuje kawałki pozbawionego smaku mięsa, które rosną mu w ustach. Wypluwa je dyskretnie do wody, z nadzieją, że inni pasażerowie tego nie widzą, ale mięsa jest coraz więcej i więcej. W końcu orientuje się, że to jego własne ciało, że od środka odrywa zębami kawałki samego siebie i pożera je.

Budzi się rano zmęczony, z bólem głowy i nieodpartym wrażeniem, że duch Mariki jest w jego mieszkaniu – być może spał z nią nawet tej nocy, choć niezupełnie w taki sposób, jak sobie tego życzył.

* * *

WPIS DRUGI:

Żadne nie pamięta czasów, gdy było samo, w ich wspomnieniach zawsze są razem. Pierwsze wspomnienie jego: wyciąga rękę w ciemności i ona tam jest, ciepła i miękka, z włosami pachnącymi truskawkowym szamponem; jej obecność odgania czające się pod łóżkiem potwory i pozwala spokojnie spać.

Jej pierwsze wspomnienie: nie ma takiego, po prostu Robert był zawsze i już. Choć gdyby miała wybierać, wskazałaby dzień, gdy płakał przy huśtawce, rozmazując ciekącą z rozbitego nosa krew, a ona podeszła i objęła go – odpowiedzialności, którą wtedy na siebie wzięła, nie będzie potrafiła się zrzec do końca życia.

* * *

Robert przychodzi wieczorem, na dwa dni przed Wigilią, gdy śniegu wciąż nie ma, a święta mimo natrętności kolęd i bożonarodzeniowego wystroju miasta wydają się odległe o lata świetlne.

Piotra nie dziwi ta wizyta – w pewien sposób się jej spodziewał, przemyka mu nawet przez myśl, że sam chłopaka zaprosił.

W przedpokoju Robert zdejmuje kurtkę, pod którą ma czerwoną sukienkę założoną na niezbyt czyste dżinsy, jasno-

rude włosy spadają na umalowane oczy.

– To jej, Mariki – tłumaczy, widząc zdumiony wzrok Piotra. – W ten sposób ona wciąż jest ze mną, rozumie pan?

Piotr kiwa głową, choć czuje się zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek zrozumieć.

– Zrobię ci herbaty – mówi.

Chłopak z umalowanymi oczami idzie za nim do kuchni. Czerwona sukienka sprawia, że jego młodzieńcze ciało wydaje się delikatniejsze, makijaż podkreśla dziewczęcość rysów. Robert wygląda prawie ładnie w swojej nieokreśloności, w zawieszeniu pomiędzy tym, co męskie, a tym, co kobiece. Dostępność, którą Piotr dostrzegł w nim wcześniej, teraz jest widoczna jeszcze bardziej – zakładając sukienkę, Robert wyszedł poza granice swojej płci, nie chronią go już konwenanse. Jest czystą możliwością, której może przydarzyć się wszystko.

– Policja cię szuka – wspomina Piotr, kiedy milczenie staje się krępujące.

Chłopak wzrusza ramionami.

– Już mnie znaleźli. Rozmawiałem z nimi.

– I puścili cię?

– Na razie, ale pewnie w końcu i tak mnie aresztują. Myślałem, że to ja zabiłem Marikę.

Piotr podaje mu kubek, o który chłopak grzeje ręce. Wygląda na zmęczonego, cienie pod jego oczami to nie tylko efekt makijażu.

– A zabiłeś? – Nie chciał zapytać, ale słowa wymknęły mu się, zanim zdążył pomyśleć.

Robert powoli kręci głową – ma to znaczyć „nie” czy może raczej „nie wiem”? Z jakiegoś powodu Piotr nabiera pewności, że to drugie – może on też jest człowiekiem nieciąglym, może Piotr znalazł wreszcie bratnią duszę?

– To powinienem być ja – mówi powoli Robert, podczas gdy Piotr obraca w ustach jego imię, starając się odnaleźć w nim smak. – To ja powinienem nie żyć.

* * *

WPIS TRZECI:

Nie ma mowy o miłości, dopóki są jednym i tym samym; zaczyna jej pragnąć, dopiero gdy staje mu się obca – dojrzewające ciało tak inne od jego ciała, jej miłość, tak bezwarunkowa, nieograniczająca się do nikogo ani do niczego. Kiedy ma jedenaście lat, dziewczynka kocha się w Henrim de Toulouse-Lautrecu, który był brzydki i nieszczęśliwy, a przecież genialny; to namiętność, która wybucha płomieniem i spala się we własnym ogniu w kilka wiosennych tygodni. Potrafi kochać muzykę na fortepian, która brzmi jak krople deszczu rozpryskujące się na uniesionej do nieba twarzy, nazwy geograficzne takie jak „Indochiny” czy „Ladakh”, a także dźwięk słowa „pieszczota”. Kocha opowieści: Kitty idącą na bal w tiulowej sukni na różowym spodzie, Caravaggia i Hanę tańczących do melodii granej przez gramofon oraz Corsa z jego króliczym uśmiechem, śpiającego z dziewczyną, która była diabłem.

Jemu całe to bogactwo uczuć wydaje się czymś dziwnym i zupełnie niepotrzebnym. Jest zazdrosny, jeszcze zanim zacznie być zakochany. Jego miłość od zawsze, od samego początku ma odcień gniewu: pragnie zabrać jej tę obcość, wymazać, jakby nigdy jej nie było, i na powrót uczynić dziewczynę swoją.

* * *

Od chwili, gdy zobaczył Marikę na schodach, każda kobieta, z którą flirtował w sieci, miała jej twarz, a czasem także imię, jeśli tylko udało mu się nieznaną namówić.

Możliwy scenariusz: zaprasza Marikę do siebie po jednej z tych kłótni, których tak często jest milczącym świadkiem – wrzeszczą na siebie wtedy, a on nasłuchuje przy cienkiej ścianie gierkowskiego bloku, udając, że nie słucha wcale. To Marika zawsze głośniej krzyczała, Robert był łagodniejszy, w jego głosie więcej było prośby niż złości. Po takich sprzeczkach dziewczyna wypadła z mieszkania, trzaskając drzwiami, i wracała dopiero nad ranem, z rozmazanym makijażem i cuchnąca papierosowym dymem. Mógłby otworzyć przed nią drzwi, powiedzieć, że wygląda na zmęczoną, a u niego dostanie filiżankę świeżo zaparzonej kawy. Zgodziłaby się, był – czy może raczej czasem bywał – tego pewien. Miał swoją wizję takiego dnia: w okno bębni deszcz, słońce rozmyte szarością grudniowego poranka. Ten dzień mógłby taki właśnie być, ani jesienny, ani zimowy, zawieszony w bezczasie tylko dla nich. Dziewczyna przymknęłaby oczy, grzejąc dłonie o kubek z kawą, czerwona sukienka podciągnięta do połowy uda pokazywałaby zaróżowioną od zimna skórę. Mógłby Marikę objąć, mówiąc do niej kojącym tonem rzeczy, które nie mają żadnego znaczenia. W takich chwilach zaciera się granica pomiędzy pocieszeniem a pożądaniem, ręce tak zgrabnie wślizgują się pod warstwy zimowej odzieży, gładka i chłodna skóra czeka, aż ktoś ogrzeje ją dłońmi. Zdejmowałby z Mariki po kolei wszystkie ubrania, aż wreszcie zostałaby naga, cała biała, miękka i zimna od deszczu – istota doskonała, bo ani kobieca, ani męska, zmęczony anioł w jego łóżku, pozwalający Piotrowi nasycić się do woli idealnym ciałem.

* * *

WPIS CZWARTY:

Powiedzą później, że to była jego wina, ponieważ jest mężczyzną, a ona kobietą – on jednak ma pewność, że sprawy wyglądały zupełnie inaczej, to ona od początku chciała go mieć, tak jak miała wszystko inne: chłopców i dziewczyny, książki, muzykę i słowa. Sukienki zdejmowane, gdy wiedziała, że patrzy na nią z ukrycia, dotyk pachnących truskawkami włosów, gdy pochylała się nad nim, chichocząc. Czy można się dziwić, że wreszcie jej zapragnął?

W którymś momencie ona wystraszy się tej miłości i będzie chciała odejść, zostawiając go lekko, jakby między nimi nigdy nic się nie zdarzyło. Wtedy on wyjmie z szafki tabletki, a ona wróci, kiedy będzie wymiotował w łazience. Nigdy już później nie będą sobie tak bliscy jak wtedy, gdy dziewczyna trzyma rękę na mokrym od potu karku chłopaka, wyczuwając pod palcami rozrywającą jego gardło kwaśną rozpacz.

* * *

– Ty przesłałeś mi linka do waszego bloga, prawda? – Teraz, gdy Piotrowi przyszło to do głowy, wyjaśnienie wydaje się oczywiste. Jakim cudem mógł kiedykolwiek myśleć, że wiadomość przesłała martwa Marika?

– Ja. – Robert siedzi na tapczanie w jego mieszkaniu, ciemne rajstopy opinają zgrabne łydki, krótka spódniczka pokazuje więcej uda, niż nakazywałaby przyzwoitość.

– Po co?

Wzrusza ramionami, dając do zrozumienia, że pytanie nie jest warte odpowiedzi. Piotra irytuje jego postawa: czy

wszyscy młodzi ludzie są tak obojętni i mrukliwi, czy może Robert po prostu cierpi po śmierci Mariki?

– Które z was pisało ten blog? Ty czy ona?

– A co za różnica? Myśleliśmy tak samo.

– To prawda, co tam jest napisane?

Robert uśmiecha się powściągliwie umalowanymi czerwoną szminką ustami.

– Tam jest to, co pamiętamy. Może wszystko wyglądało tak, a może inaczej. Pan nie ma wspomnień, które nie są prawdziwe?

– Nie, oczywiście, że nie.

– To co pan pamięta z dzieciństwa?

– Padał deszcz, a ja wyszedłem z domu i puszczałem papierowy statek na wodzie płynącej wzdłuż ulicy. – Piotr wymienia najżywsze ze wspomnień. – Miałem na sobie żółtą pelerynę przeciwdeszczową i taki zabawny żółty kapelusik. Nieważne, mieliśmy rozmawiać o Marice, nie o mnie. Ona chciała z tobą zerwać, tak jest tam napisane.

– Zrywała ze mną już wiele razy i zawsze wracała. Nie zabiłem jej z tego powodu, jeśli o to panu chodzi.

– Po co właściwie tu przyszedłeś?

Chłopak sięga do kieszeni różowej bluzy i rzuca na stół złożoną wpół kartkę.

– Wezwanie na komendę, dla pana. Zostawili je u mnie dziś rano.

Piotr rozkłada biały prostokąt – przesłuchanie ma się odbyć jutro, 24 grudnia. To wydaje się nie w porządku, ale ostatecznie przecież Wigilia jest zwyczajnym dniem pracy.

– Wygląda na to, że będzie miał pan spieprzone święta – mówi Robert beznamiętnym tonem.

Powinien teraz wstać i wyjść, Piotr tego właśnie chce, bo

napięcie i niepewność wydają się nieznośne. Niemal to widzi: chłopak, który wygląda całkiem jak dziewczyna, podnosi się i kieruje do drzwi, ciężki i niezgrabny od przepelniającego go smutku. Ostatecznie jednak jego rzeczywistość przegrywa z rzeczywistością Roberta i chłopak wciąż tkwi na kanapie. O szyby zaczyna bębnić deszcz, słońce rozmyte szarością grudniowego poranka.

– Czasem pan tak na mnie patrzy... – zaczyna chłopak, a Piotr, choć nie chce, jednak zadaje pytanie:

– Jak?

– Jakby miał pan na mnie ochotę. – Piotr nie ma pewności, co jest w tych oczach: kpina, wyzwanie czy zwyczajna młodzieńcza przekora. – To prawda?

Wpatrzony w siedzącą na tapczanie istotę, mężczyzna nie czuje ani odrobiny podniecenia. Powoli kręci głową.

– Może to przez to ubranie? Wolałby pan, żebym założyła spodnie? Żebym była chłopakiem?

– Nie wiem, może.

– Sorry, nie ten adres.

Robert wstaje i idzie w stronę drzwi. W progu jeszcze się odwraca.

– A tak w ogóle pana wspomnienie, to z papierowym statkiem, jest z filmu, tytuł wyleciał mi z głowy. Tam coś podobnego było.

Zamyka za sobą drzwi. Deszcz wciąż bębni w okno, a Piotr ledwo ma odwagę oddychać, bojąc się, że lada moment rozpadnie się jak szyba, o którą zbyt mocno uderzył wiatr.

* * *

WPIS PIĄTY:

W jesienny dzień chłopak i dziewczyna siadają na ławce w parku. Ona mówi do niego coś z przejęciem, on uśmiecha się, kiwa głową i nawija na palec kosmyk jej włosów.

WPIS SZÓSTY:

W jesienny dzień chłopak i dziewczyna siadają na ławce w parku. On mówi do niej coś z przejęciem, ona uśmiecha się, kiwa głową i nawija na palec kosmyk jego włosów.

* * *

Dzień dogasa w zimowej szarości, gdy Piotr tkwi na komendzie, a gruba policjantka spisuje jego zeznanie. Robi przy tym mnóstwo literówek; Piotr widzi to, ale nie ma śmiałości zwrócić jej uwagi.

Imię, nazwisko, adres.

Patrzy przez okno, smakując w ustach słowo grudzień: szorstkie i zimne. Grudzień jest bryłą lodu pełną ziemi i kamieni, starą zmarzliną, która zalega w cieniu jeszcze wtedy, gdy słońce dawno zaczęło świecić wiosennym blaskiem w kolorze cytryny.

Przenosi wzrok na policjantkę, która pewnie wolałaby być w domu, przygotowując się do kolacji wigilijnej. Piotr ją rozumie, choć sam niedawno zadzwonił do siostry i nie bez pewnej satysfakcji poinformował ją, że się spóźni, bo musi iść na przesłuchanie – wtedy był innym człowiekiem, takim, który uważał to wszystko za niezły żart. Teraz nie pamięta już, na czym właściwie ten żart miałby polegać.

Policjantka od czasu do czasu zerka w stronę leżącej na biurku komórki, by dyskretnie sprawdzić godzinę. Telefon rozdzwania się w pewnym momencie świąteczną melodyjką, a

kobieta ucisza go niecierpliwym gestem. Z zaciśniętymi ustami czyta SMS-a. Mąż czy dzieci, które nie mogą się doczekać, aż mama wróci z pracy?, przelotnie rozważa Piotr. Policjantka opanowuje irytację i zadaje kolejne pytanie.

Piotr zastanawia się, czy komuś tu przyjdzie do głowy, że mógłby naprawdę zabić. Im dłużej nad tym myśli, tym bardziej wydaje mu się, że tak; obojętna twarz grubej kobiety wydaje się kryć oczywiste, choć nieme oskarżenie.

– Nie zabiłem jej – mówi, gdy napięcie staje się nieznośne. – Nawet jej nie znałem.

Policjantka unosi brwi.

– Jej?

– Mariki – mówi Piotr. – Nie znałem Mariki.

– Marika Mikołajczyk ma się znakomicie, to przesłuchanie w sprawie zabójstwa Roberta Mikołajczyka. O czym pan mówi?

Piotr patrzy pustym wzrokiem, sekundy upływają w ciszy. Zamyka wreszcie oczy.

– Roberta?

Policjantka się irytuje.

– Niech pan nie udaje idioty. Przecież znalazł pan jego ciało.

Ciało, ach tak, przypomina sobie Piotr. Doskonałe ciało młodego mężczyzny, który wyglądał trochę – ale na szczęście nie za bardzo – jak dziewczyna.

– Ładny chłopiec – mamrocze.

– Ładny? – Gruba policjantka robi się mniej obojętna, a odrobinę bardziej podejrzliwa. – Jak dobrze pan go znał?

– Przelotnie, spotykaliśmy się czasem na schodach, wie pani, jak to sąsiedzi... Myślałem o nim czasem, choć on się ze mnie śmiał.

– W jakim sensie pan o nim myślał?

– Nie wiem. Że chciałbym go dotknąć. To ma sens, prawda?

Kobieta patrzy na niego, w jej oczach widać nagły błysk strachu.

– Panie Szulkowski, czy zabił pan Roberta Mikołajczyka?

– pyta, jakby sama nie była pewna, czy chce usłyszeć odpowiedź.

– Tak – mówi Piotr z ulgą. – Musiałem to właśnie zrobić.

Policjantka przełyka ślinę – Piotr ją zaskoczył, co w pewnym sensie sprawiło mu przyjemność. Uśmiecha się, chcąc złagodzić lęk w jej oczach, a potem znowu przenosi wzrok na okno. Jest prawie zupełnie ciemno, na kolację wigilijną i tak pewnie już nie zdąży. Trudno. Mimo to czuje się niemal szczęśliwy, kiedy przeszłość układa się wokół niego miękko jak fałdy dobrze skrojonego płaszcza. Oczywiście wszystko dobrze pamięta. Nigdy tak naprawdę nie interesowały go dziewczyny, jego zamiłowanie do chłopięcych bioder i małych piersi było w istocie skrywanym pożądaniem chłopięcego ciała. Dopiero Robert mu to uświadomił. Teraz wszystko nabiera sensu: jego długoletnia samotność, fakt, że nigdy nie czuł się dobrze w towarzystwie kobiet.

Jak powiedział tamten młody policjant, to naprawdę była prosta sprawa.

Piotr nie przestaje się uśmiechać, nawet gdy na jego rękach zatrzaskują się kajdanki. Przez krótką chwilę, która obejmuje całą jego przeszłość i przyszłość, czuje się wreszcie człowiekiem kompletnym i ciągłym.

Jakub Nowak
ZIMNO, GDY ZAJDZIE

Wciąż nie mogę patrzeć w lustro. Boję się, że się rozplączę, z żalu nad Anią, nad sobą i z tęsknoty za tobą, synku.

Nasza pierwsza próba. Jej wspomnienie pali od środka. Wstyd i bezsilność wsiąkły w skórę i wciąż wracają, jak niechciany zapach, przy każdym gwałtownym ruchu.

Nasza pierwsza próba.

Ania czeka na mnie w sypialni. Stoję w łazience, tyłem do lustra, w samych bokserkach. Bose stopy na zimnych kafelkach. Jest bardzo gorąco. Rury żyją, posapują w ścianach, a może te dźwięki dochodzą ze mnie, szum życia i strachu. Dłonie mrowieją, spoglądam na nie, choć nie powinienem. Znam je i jednocześnie ich nie poznaję, drobne, niesfatygowane ręce mojego czternastoletniego dziecka. A niżej, poza głębią ostrości, wybrzuszenie w bokserkach. Sztywne, skromne, dziwne. Erekcja.

Niemal się uśmiecham. Erekcja. Boże.

Ania czeka na mnie w sypialni. Ruszam do niej. W półmrok.

Siedzi w łóżku, w dziwnej pozycji, jakby chciała położyć się do snu i jednocześnie móc wyskoczyć przez okno. Chowa się, zapada w bawełnę piżamy, w cienie czynione przez nocną lampkę. Konfiguracja jej ciała mnie nie uwzględnia.

Patrzy, jak wchodzę, i zamyka oczy. Stoję, tuż za progiem, daleko i długo. Zasłony w oknie falują, miasto oddycha. Ania jest taka piękna, gdy jest w rozpacz. Coś puchnie mi w gardle, gorące i lepkie.

Wreszcie spogląda na mnie. Próbuje coś powiedzieć,

przełyka ślinę.

– No chodź do mnie – mówi.

Jej głos niemal wywołuje łzy. Czują litość i rezygnacja, i sam już nie wiem, czy robi tak specjalnie.

Siadam obok niej, w pół gestu do jej ciała. Idę za jej spojrzeniem i końcem kołdry przykrywam namiot w bokserkach. Czuję bijące od niej ciepło, przypominam sobie, jak potrafi pachnieć, kiedy już nic nie mówi i przyciska mnie do brzucha. Ania patrzy w noc, w szparę między zasłonami. Bezpieczne rutyny umarły wraz z moim ciałem, tamtym, pierwszym, trwamy więc w bezruchu, jak manekiny przypadkowo położone obok siebie.

Ania odwraca się do mnie. Bierze głęboki oddech, jakby miała skoczyć do wody. Zbliża dłoń do mojego policzka. Jej palce pachną czosnkiem. Lubię, gdy tak pachnie.

Sięga za siebie i wyłącza lampkę. Mrok połyka nas jak zdradliwy staw.

Czekam, chłonąc jej ciepło. Słyszę nasze oddechy w ciemności.

Czekam. Ruch, szelest materiału, sapnięcie materaca. Zapachy: jej szampon, i płyn do płukania tkanin, i jej spocony kark, który całuję znienacka, gdy Ania gotuje. Fałszywa cisza: szum miasta, oddechy. Czernie wokoło, o różnych fakturach i gęstościach, martwe i żywe, wszystkie ciepłe.

Jej dłoń na moim ramieniu, delikatnie. I niżej, mocniej, łapie mnie za nadgarstek. Ten dotyk podnosi mi włoski na karku. Pod jej palcami wyczuwam swoje tętno. Powoli przyciąga moją dłoń ku sobie. Jest wreszcie: chłodniejsza, gładka i miękka. I ta znajoma, gęstsza faktura, opuszkami palców widzę ciemny kolor brodawki jej piersi. Wspaniały, pełen życia. Zawrót głowy.

Wzdycha. Dotykam jej mocniej, opieram dłoń na jej ciele. Przechyliła się do tyłu, lecz nie wiem, co to znaczy. Gdy brodawka reaguje na dotyk, drugą dłonią sięgam do jej uda. Bawełna spodni. Dreszcz: jej palce na mojej szyi, paznokcie, przyjemnie konkretne i chłodne, lekko, potem mocno.

Dziwny dźwięk. Zabieram ręce. Frustracja niemal urywa mi głowę.

Ania płacze. Cień pośród cieni.

– Aniu.

– Cicho – odpowiada.

Sięgam ku jej dłoniom, ale się wyrywa.

– Aniu.

Słyszę, jak się ubiera.

– Aniu.

– Zamknij się.

Włączam lampkę i widzę, że leży na skraju łóżka. Siedzę nad nią i patrzę tępo, wciąż ze sterczącym chujkiem.

Wreszcie gaszę światło. Układam się z drugiej strony.

Leżymy długo, tyłem do siebie. Nad miastem krąży helikopter. Ściany sypialni drgają spocone, jest zimno i gorąco jednocześnie.

– Jaruś – mówi wreszcie. – Przepraszam.

Cisza wyżęta przez błagalne oczekiwanie.

Nie odpowiadam.

– Kochanie – mówi do mnie.

Nie odpowiadam. Zasypiam dopiero o świcie, gdy ona wreszcie przestaje płakać.

* * *

Ania ucieka z łóżka z pierwszym dźwiękiem budzika.

Udaję, że śpię, zagrzebany w pościeli. Mam wzwód, oczywiście.

Słyszę, jak wraca do sypialni, już wyszykowana i pachnąca. Mocniej zaciskam powieki i ciężiej mi się wtedy oddycha. Gdy słyszę, że rusza w stronę łóżka, zawartość mnie na chwilę przestaje działać. Nachyla się, jej włosy smyrają mnie w ucho, skapują z nich wonie perfum, lakieru, szminki, kawy. Szybki, ciepły całus.

Ania wychodzi do pracy, a ja zastanawiam się, którego z nas pocałowała, ojca czy syna. W łóżku, gorącym, lepkiem barłogu jest jakby lepiej. Mogę pławić się we własnym smrodzie i nieszczęściu, nie muszę patrzeć na nie swoje ciało, nie czuję go, skrępowanego pościelą.

Zwlekam się wreszcie. I jak każdego ranka: sto pompek, na kostkach, zwalniam dopiero po dziewięćdziesiątej. Gdy wstaję, serce uspokaja się niemal natychmiast, mięśnie i płuca chcą więcej. I wciąż mi stoi. Perfekcyjna maszyna, młoda i zdrowa. Nienawidzę jej, nienawidzę twojego ciała, synku. I kocham je, pokochałem je szczerze i niemal od razu.

Ania wróci wieczorem. Ja – przywrócony, Łazarz, który zajeżdżał ciało swojemu zmarłemu dziecku – nie muszę pracować. Kosmiczny zgrywus dał mi drugie życie, a rząd hojną rentę. Nie ma sprawy, nie, to nie.

Polubiłem je po powrocie: twoje bluzy z kapturem, trampki, deskorolkę. I rap w empetrójce, kroniki świata asfaltu i marihuany.

Wiedziałem, gdy tylko spojrzałem na deskę. Pamięć mięśniowa, szczególny jej rodzaj, wyjątkowy, jak to, co się nam przydarzyło. Leżała pod łóżkiem, nieruchoma, martwa, jakbym patrzył na bezdomnego kundla. Od razu czułem, że potrafię. A skoro tak, to że powinienem.

Pamięć mięśniowa. Gardzę windą i zbiegam po scho-

dach, siedem pięter w dół, po trzy stopnie naraz, w miasto. Nabieram prędkości i mocy, chodniki witają się klekotem i wibracją, a ja jadę, jadę i żyję. Ulice parują spalinami, a resztki trawników psim gównem, gdy przedzieram się przez tłum.

Jadę, słuchając twojego hip-hopu, który nagle jest bardzo na miejscu. Jadę i żyję, i już śmieję się na głos, do siebie i do ciebie, bo wiem, że to ty jedziesz, nie ja, ty prowadzisz, a ja z tobą, pasażer na gapę. Śmigamy przez miasto razem, wszystkie światła są zielone, krawężniki niskie, dziewczyny śliczne, i czuję, że cię przytulam, a ty się wyrywasz, lecz bez przekonania, bo lubiłeś, gdy brałem cię w ramiona.

Klekot deski i tłuste bity, słoneczne promienie załamują się w ulicznym smogu. Wjeżdżamy w nie, udając, że wcale nie umarłeś i że tam, przed nami, coś jeszcze na ciebie czeka.

* * *

Podglądam ją, gdy się przebiera. Stoję w przedpokoju, w kuchni skwierczy niemal gotowy obiad.

Rozrzuca ciuchy po całym pokoju, robi tak od zawsze, byle szybciej strząsnąć z siebie pracę. Na podłodze sypialni lądują firmowe uniformy: żakiet, spódnica, bluzka.

Ania wróciła i przestrzeń pokoju nabiera sensu, to ona ją spaja i legitymizuje. Zmęczona królowa na włościach i jej atrybuty: elegancka koronka stanika; przesłonięta rajstopami Atomówka, lecąca wzdłuż pośladka po bawełnie majtek; płatki słonecznika, wytatuowane podczas urlopu w Berlinie, które falują, kiedy masuję jej krzyż.

Podglądam ją, gdy w rutynowych gestach szuka odpoczynku. Przeciąga się, tyłem do mnie, długo i niespiesznie, jakby bolało ją, gdy jej skóra przesuwa się wzdłuż kręgosłupa, i

jakby ten ból lubiła. Gdy przysiada na łóżku i zdejmuje rajstopy, wydaje mi się, że czuję ich zapach. Ania prostuje nogi, wyciąga je daleko przed siebie, aż mięśnie wokół kolan zaczynają drżeć. Chciałbym położyć dłonie na jej gładkich, chłodnych udach, ale tylko stoję i patrzę, jak ona drapie się po kostce, poprawia gumkę majtek, zdejmuje okulary, związuje włosy. Wtedy mnie zauważa.

Uśmiecha się, dziwnie zwyczajnie, wspaniale. I sięga dłonią za siebie, do haftek biustonosza.

Rozepnie go, pozwoli spaść na podłogę i zrobi to, co robi tak rzadko: opuszkami palców dotknie brodawki, jakby niezdecydowana i nie do końca świadoma, i spojrzy na mnie tym wyjątkowym matowym spojrzeniem.

Ania posyła mi jeszcze jeden uśmiech i znika z pola widzenia.

– Przypali się – mówi zza ściany i dopiero gdzieś tam kończy się przebierać.

Przypali się.

Wspólne posiłki są dobre, w tych rolach, na tych pozycjach jesteśmy bezpieczni.

– Jak było?

– Weź – mówi Ania. – To są tacy debile. Nie wiem, jak ta firma jeszcze działa.

– Ma ciebie.

Celuje we mnie widelcem.

– Monika z księgowości – mówi.

– Ta piegowata.

– Ta piegowata. Idzie na rentę, bo instruktorka jogi zniszczyła jej kręgosłup.

– O.

– Co robiłeś?

Dolewam nam soku, sięgam po sól, wzruszam ramionami.

– Nic. – Próbuję sobie przypomnieć, czy pamiętałem, żeby odłożyć deskę pod twoje łóżko. – Łaziłem.

– No i dobrze – odpowiada, a ja nie wiem, co ma na myśli.

– No, ale od razu na rentę?

– Będzie mieć operację. Podała tę babę do sądu.

– Umówiłem się z Artkiem – mówię.

Na chwilę przerywa jedzenie.

– Tak?

– Wpadnie w sobotę, koło południa. Obejrzymy jakieś mecze, wypijemy piwo.

– Przyjdzie sam?

– Tak.

– W tę sobotę?

– Tak.

Mam wrażenie, że jej ulżyło.

– W sobotę muszę iść do pracy – odpowiada.

– Wiem, ale inaczej mu nie pasowało – kłamię.

To będzie pierwszy raz, chcę być wtedy sam.

– Fajnie – mówi wreszcie i być może naprawdę tak myśli. – Wreszcie się zobaczycie.

Minęło ponad pół roku, odkąd wróciłem, już czas. Mam to dobrze przemyślane, teraz albo nigdy.

– Zostanie w firmie? – pytam Anię. – Na rencie?

– Nie wiem.

– Artek pewnie jeszcze będzie, jak wrócisz.

– Coś jej się przesunęło, jakby przepuklina, tylko z tyłu.

Pokazała nam dzisiaj.

– Krąg?

– Właśnie nie. Ale nie pamiętam, co. Trochę wystaje, jak piłeczka do ping-ponga.

– Piłeczka do ping-ponga.

– Tak.

– Kurwa.

– No.

Dolewam soku. Wspólne posiłki, bezpieczne pozycje.

* * *

Jak poznałem twoją mamę.

Pryszcze, jabole, plaża. Płonące pomarańcze toczące się nocą w dół pagórka.

Siedzimy we trójkę, po turecku, na podłodze. Pełni ufności przeglądamy się nawzajem w piętnastoletnich twarzach. Butelka wampira krąży z ust do ust: obowiązkowo przecierasz dłonią szyjkę, pijesz, podajesz dalej. Między nami leży miednica, jądro tego pozornie statycznego układu. Rzeczywistość drga.

Gorąca letnia noc, gęsta i namacalna. Tekturowy letniskowy domek pachnie stęchlizną, wnętrzem trampek, zleżałymi kanapkami z serem. Na żółtym jamniku panasonica leci Pantera. Między piosenkami słyszymy szum morza albo tak się nam wydaje i to tylko trzaski zajeżdżonej taśmy. Zabijamy komary przysiadające na przedramionach. Jest wspaniale, żyjemy.

Wino krąży, miednica leży raczej dla zwiększenia dramaturgii niż z rzeczywistej potrzeby. Artek zdjął koszulkę, gęste loki głaszczą mu kark przy każdym łyku. Na przemian bawi się sygnetem z trupa czaszką i mlecznobiałym kłem, wiszącym na szyi. Z naszej trójki tylko jemu przystoi biżuteria, i on

dobrze o tym wie. Z wystudiowaną nonszalancją rozpuszcza włosy, frotkę wsuwa na chudy nadgarstek. Gdy pochyla się, sięgając po butelkę, kieł kołysze się nad plastikową miską.

Bizon ma tiszert z Metalliką, ten z wojskowym cmentarzem, podróbkę, brakuje hełmu na jednym z krzyży. Pije najwięcej, rzuca we mnie paluszkami, które skrupulatnie zbieram i zjadam. Bizon śmieje się głośno i przeklina moją matkę.

Mamy w dupie opiekunów obozu i, co ważniejsze, oni mają w dupie nas. Są starzy, zajęci piciem wódki i obrażaniem się na siebie. Jedyne dorosły, który poświęca nam trochę uwagi, to Siergiej, rosyjski konserwator. Cierpliwie kołuje z kuchni plastry cebuli, którymi okładamy ukąszenia os i pszczoł. Jedyne dorosły, poza nami oczywiście.

Z Artkiem znamy się od zawsze. Bizon to nowość, poznaliśmy się dopiero tu, na obozie. Okazało się, że będziemy chodzić do tego samego liceum. Bizon jest w porządku. To już druga butelka wampira tej nocy.

Artek nagle odmawia.

– Muszę się odlać – mówi.

– Pij, pedale – zachęca Bizon.

– Weź.

– Pij, psi wytrysku.

Artek podnosi się, ale pije. Bizon rechocze.

Czuję pot spływający po brzuchu. Opieram się o ścianę, uśmiecham do nich i jest dobrze.

Pukanie do drzwi domku. Do środka zagląda dziewczyna.

– Cześć – mówi Sowa.

– Hej – witamy ją, Artek i ja, i tylko Bizon milczy.

Sowa jest starsza i ma fajne włosy: farbowane i krótko przycięte. Nosi długie wełniane swetry, takie jak nasze, tylko

ze sklepu, a nie z bazaru. Słucha dwóch rodzajów zespołów. Tych, których nigdy nie słuchałem, i tych, o których nigdy nie słyszałem. Ma je od brata, który już studiuje, w Kielcach.

– Idziesz na plażę? – pyta Sowa. Pyta m n i e.

Strona w kasecie zaraz się skończy, taśma trzeszczy na popiskujących rolkach.

Zrywam się na równe nogi.

– Jasne.

Sowa uśmiecha się i, nie czekając, wychodzi.

Odwracam się do przyjaciół, trochę przerażony.

– Spierdalaj, Jarek – mówi Bizon.

– Tak – odpowiadam.

– Może też się przejdziemy na plażę – proponuje Artek –
Na luzie.

– To byłoby pedalskie – odpowiada Bizon.

Uśmiecham się do nich i biegnę za dziewczyną.

To jak zaciemnienie podczas zmiany levelu: idziemy ścieżką w lesie, w mrok, szyszki strzelają pod stopami. Idziemy w stronę szumu, cichego i jednocześnie głośnego, odbierając go czymś czułym głęboko w żołądkach.

Gdy dziewczyna bierze mnie za rękę, natychmiast mi staje. Daję słowo, że słyszę, jak ona się uśmiecha.

Kładziemy się na plaży, patrzymy w niebo. Piasek jest miękki, miły i zimny. Gwiazdy są tak nisko, że boję się wyciągnąć rękę.

– Słuchałeś L7? – pyta mnie.

– El-sewen?

Nawet nie wiem, czy dobrze usłyszałem.

– Tak.

– Tak – odpowiadam jej. – Rewelacyjni goście.

– Jareczku! – Sowa śmieje się. – L7 to panny.

Nachyla się nade mną i całuje mnie w usta.

Ktoś robi mi tak pierwszy raz i od razu wiem, że to o to zawsze chodziło. Dziwna transakcja: dziewczyna daje mi tę świadomość i jednocześnie zabiera nieśmiertelność.

Długo leżymy, zajęci sobą, skoncentrowani i czujni, i całujemy się tylko, i to jest tak wiele. Już nigdy potem nie będzie tak niewinnie, nigdy potem nie pocałuję dziewczyny, kobiety, nie mając świadomości perspektywy na coś więcej.

Wreszcie odpoczywamy, choć wcale nie chcę. Moje usta pulsują, zmęczone. I pulsuje mi w gaciach. Piasek wyziębła się i wilgotnieje. Szum morza kojarzy mi się z jej śliną.

Wracamy przez las, bez słowa. Gdy wchodzimy na teren ośrodka, Sowa puszcza moją dłoń.

– Musisz ich posłuchać – żegna się.

– Co?

– L7.

– Posłucham – kłamię i nawet o tym nie wiem.

Wracam do przyjaciół.

Bizon siedzi na podłodze. Butelki są puste.

Patrzemy sobie w oczy.

– Gdzie Artek?

– Odlewa się.

Nie umie spytać, zresztą ja i tak nie umiałbym odpowiedzieć.

Gdy Artek wychodzi z kibla, wskakuje tam Bizon. Słyszymy, jak rzyga.

– I jak? – pyta mnie Artek.

Uśmiecham się nerwowo.

– Wiesz.

Przecież nie wie. Bizon wraca. Dotyka językiem zębów.

– Który ma zieloną szczoteczkę?

- Ja - odpowiadam. Błysk zrozumienia.
- Kurwa, Bizon - krzywię się. - Noż kurwa mać.

Bizon śmieje się, śmiejemy się wszyscy.

- Macie pomarańcze z obiadu?

Mamy. Bizon wraca do łazienki po dezodorant. Wycho-
dzimy przed domek. Jesteśmy na górcie, w najwyższym punk-
cie ośrodka. Bizon spryskuje owoce maklerem, podpala je i
puszcza po trawie z górci. Aromatyczne płonące kule toczą się
w ciszy, jak najdalej od nas.

Noc kończy się, rozrzedza i zaczyna spływać z nieba nad
czernią lasu. Kapie na nas, gdy tak siedzimy na mokrej trawie,
a my wchłaniamy ją chętnie, bo przynosi ulgę rozgrzanej skó-
rze. W szarości na dole leżą nasze pomarańcze.

Nigdy więcej nie porozmawiam z Sową i dostanę za nią
wpierdol od najstarszych chłopaków, gdy będziemy wracać
pociągiem do domu.

Artek będzie, jest moim przyjacielem.

Bizon, Ania Bizacka, będzie, jest moją żoną, miłością ży-
cia.

* * *

- Co słyhać u Anny?
- Nic - odpowiadam. - Po staremu.
- Po staremu.

Nie lubię, gdy ona powtarza, co mówiłem, kojarzy mi się
ze starym programem telewizyjnym Szczygła. Mówiłem jej pa-
rę razy, że mnie to wkurza, ale przestałem, bo chyba o to jej
chodzi.

- Tak - odpowiadam niechętnie. - Po staremu. Instruk-
torka jogi rozwalila kręgosłup jej koleżance. Takie tam.

– A jak ona się czuje?

– Koleżanka?

– Anna.

Wzruszam ramionami.

– Dobrze.

Wypluwam troczek sznurka z kaptura twojej bluzy, który żuję ostentacyjnie podczas tych rozmów.

– Dobrze – powtarza.

– Dobrze.

– I nadal nie chce takich spotkań.

– Źle jej się kojarzysz.

– To nie muszę być ja.

– Nadal nie chce takich spotkań.

Kiwa głową.

– Chodziłam kiedyś na jogę – mówi. – Ale zmieniłam ją na pilates. Daje mi większą świadomość ciała.

Patrzę na nią i zastanawiam się, czy to kolejny element kreacji, roli przybranej na potrzeby naszych spotkań.

Rytuał co drugi czwartek: fałszywa taksówka wiezie mnie do niepozornej willi, gdzie cały tłum ludzi bada mnie i opomiarowuje, wszyscy równie mili, co enigmatyczni. I potem rozmowy, we dwoje, w przestronnym gabinecie, pełnym przedwojennych, zbyt dużych mebli. Kiedy przyzwyczailem się do tego miejsca i przestałem się rozglądać za kamerami, od razu polubiłem widok za oknem: przytulny sad, jakby z serialu na Dwójce.

Spotykamy się koło południa i rozmawiamy do wieczora. Siedzimy naprzeciw siebie, w rozłożystych fotelach, pachnących środkami na kurz. Ona pyta, ja odpowiadam. Nawet lubię jej się przyglądać, a jej to chyba nie przeszkadza.

Wygląda jak niespójny remiks przypadkowo dobranych

popkulturowych tropów. Ma włosy jak Harry Potter i wąskie okulary, których oprawki w cielistym kolorze wrzynają się w skronie. Ubiera się w ostentacyjnie nijakie kostiumy, zbyt duże i jednocześnie zbyt ciasne, obowiązkowe uniformy podstarzałych brzydkich kaczątek z amerykańskich romantycznych komedii. I jeszcze to nazwisko, nie wierzę w nie równie mocno, jak w całą resztę. Doktor Marianna Szulc, psycholog kliniczny i psychoterapeuta, rządowe narzędzie do rycia mi bani.

– Jakie macie plany na weekend? – pyta mnie.

– W sobotę przychodzi Artek.

I tak by się dowiedziała. Pewnie już wiedzą. Podśluchują, podglądają, czytają.

– Twój najlepszy przyjaciel.

Nie lubię, gdy ktoś tak mówi.

– Nie lubię, gdy ktoś tak mówi – mówię jej.

– Dlaczego?

Wzruszam ramionami. Żuję sznurek. Patrzę w okno.

Mógłbym zerwać się, rozpedzić i przebić szybę, wyłamać futrynę, miękko wylądować na trawie i ruszyć biegiem przez siebie, za płot, wzdłuż ulicy. Pewnie by mnie gonili, radiowozy incognito, jakiś helikopter, filmowe klisze. Może po piątej przecznicy zabrakłoby mi tchu, a może nie. W myślach pieszcze tak twoje ciało, uruchamiam jego fragmenty, silne i gotowe, upajam się jego świadomością.

– Rozmawiałeś już z Arturem – mówi Marianna Szulc. – Po twoim powrocie.

– Tak. Przez telefon.

– Dowiedział się od ciebie.

– Ode mnie.

– Jak zareagował?

Odklejam spocone plecy od oparcia fotela. Nie chcę iść,

gdzie ona mnie prowadzi.

– Wiedział już o wypadku – odpowiadam. – Myślał, że to pomyłka i pomylili informacje, kto zginął. Że to Łukasz zadzwonił i oszalał. Albo że to z powodu szoku.

– Kiedy uwierzył?

– Opowiedziałem mu parę rzeczy. Takich, które wiemy tylko my dwaj. I Ania. Zresztą, sam nie wiem, czy wierzy. Może przychodzi sprawdzić.

– Z rodziną?

– Sam.

– Będziecie we trójkę.

– Ania będzie w pracy.

Marianna Szulc kiwa głową.

– Dlaczego spotykacie się dopiero teraz?

Bo się boję.

– Pewnie się boi. Nie śpieszył się z tym. To ja zadzwoniłem.

– Obawiasz się tego spotkania?

Patrzę na twoją drobną, gładką dłoń.

– Ja się teraz obawiam wszystkiego.

Marianna Szulc niespodziewanie uśmiecha się.

– Przyszło mi coś do głowy – zaczynam.

– Tak?

– Ile lat miał najmłodszy returner?

– Najmłodszy przywrócony?

– Tak. To znaczy nie. W jakie najmłodsze ciało trafił?

– Wiesz, że nie wiem. Zresztą...

– I tak nie mogłabyś mi powiedzieć.

– Ale nie wiem.

– A co, jeśli niektórzy zmarli wracają w ciałach niemowląt? I noworodków?

Poprawia się w fotelu, który sapie pod nią.

– Z jaką świadomością by wracali? – pytam ją.

I tak nic mi nie powie.

– No bo ja – uśmiecham się do niej kwaśno. – Ja wróciłem w ciele czternastolatka. I fizycznie mogę tyle, co czternastolatek. Czy raczej: aż tyle.

– Fizycznie.

– Tak – kiwam głową. – Ale nie tylko. Bo widzę, że mam lepszą pamięć niż kiedyś.

– Masz świetną pamięć.

– Tak wynika z testów?

– Tak.

Uśmiecham się szeroko i jestem zaskoczony swoją reakcją. Rozumiem po chwili: jestem z ciebie dumny.

– No właśnie – kontynuuję. – I jednocześnie mam swoje wspomnienia, osobowość.

– Jesteś sobą.

– Jestem sobą. Ale trochę jakby nim. Jakby przeciekał, ze skóry, z kości, do wewnątrz mnie.

– Ciekawe.

– Jego odruchy, gusty, zainteresowania.

– Jak język?

– Noworodki – mówię.

– Tak.

– Ich ciała to więzienie. Ale co ze świadomością? Kim byłby przywrócony w ciele niemowlęcia?

Milczy.

– Co wiedziałby i czego byłby świadomy? Co zapamiętał?

I tak mi nic nie powie.

Zerkam na jej biodra, opięte przez grube wełniane spodnie. Materiał szeleści, gdy Marianna Szulc zakłada nogę na

nogę. Stoi mi, oczywiście.

* * *

W poprzednim życiu.

Gorąca woda i zimne powietrze: to przez te kontrasty dostała gęsiej skórki. Patrzą na jej piersi. Resztę skrywa piana.

– Ostatnio znowu się nad tym zastanawiam – mówi Ania.
– Kto sprawia, że ludzie wracają.

– Że zmarli wracają?

– Tak, że zmarli wracają. – Robi mi miejsce w wannie: przysuwa kolana do siebie, ramionami obejmuje nogi. – Boże, jak to brzmi.

Siadam naprzeciw niej. Aż mnie zatyka, woda jest gorąca.

– Ale dlaczego ktoś musi to sprawiać? – pytam ją.

– Nie wiem. Bo to nie mogło tak samo. Wtedy wszystko byłoby bez sensu.

– Życie jest bez sensu.

– Nie jest bez sensu – odpowiada i widzę, że naprawdę jest przejęta.

– To przez tę kobietę – mówię.

Ania spogląda w stronę drzwi.

– Zamknąłeś?

– Tak.

– Tak, przez nią. Wyobraź sobie. Idziesz spać. Budzisz się i widzisz własne ciało. Leży obok, martwe. W pokoju obok leżą martwe dzieci.

Historia sprzed tygodnia. Zepsuty piecyk, cała rodzina się zaczaadziła. Żona wróciła.

– A ty jesteś w ciele zmarłego męża – mówię.

– A ty jesteś w ciele męża. – Ania kręci głową, mruży oczy. Para kręci jej włosy i przykleja je do twarzy. – Boże.

To już trzeci przypadek w tym kraju. Pierwszy z osobami innej płci.

– Zabiłabym się.

– Wątpię. – Wyciągam trochę nogi i opieram je o jej uda.

– Mówię ci. Zabiłabym się.

– Żyłabyś, właśnie dlatego, że wróciłaś. Żyłabyś dalej.

– Znowu.

– Żyłabyś znowu. Szczególnie ty.

– Będą o niej pisać, jak się zabije.

– Nie dadzą jej żyć – mówię. – Jeśli się zabije, to przez nich.

– I tak nie wiedzą wszystkiego. – Ania przeciąga się, ręce wysoko nad głową. – My nie wiemy wszystkiego.

Dostrzegą, jak na nią patrzę.

– Wracających jest więcej – mówię. – Ukrywają ich.

Sięgam pod wodę, łapię jej kostkę i przyciągam do siebie. Mruczy, gdy zaczynam masować jej łydkę, miękką i gładką.

– I bardzo dobrze, że ukrywają – mówi Ania. – Biedni ludzie.

– I naprawdę nie chciałybyś wrócić w moim ciele?

– Boże, nie.

– Powinno mi być przykro.

Odwzajemnia mój uśmiech. Unosi drugą nogę, stopę opiera o moją pierś.

– Pomalowałaś paznokcie.

Przewraca oczami.

– Tydzień temu.

Ma zabawne palce u nóg, króciutkie i pulchne. Wstydzi się, gdy zwracam na nie uwagę. Kostka, łydka, kolano, trochę

uda, a reszta pod pianą. Odwzajemnia mój uśmiech.

Przysuwam się do niej, pochylam ku jej twarzy. Smakuje płynem do płukania ust i jakby mydłem. Ania obejmuje mnie nogami. Sięgam pod pianę, woda jest przyjazna, pomocna, szukam jej i ją znajduję. I czuję, jak Ania chwyta mój członek, kąpiel pomaga zredukować niepotrzebne dysonanse. Siedzimy blisko siebie i wciąż za daleko, woda chlupie.

– Ta!–to!

Krzyk Łukasza z za drzwi łazienki.

Odruchowo cofam rękę.

– Tak, synku.

– Internet znowu nie działa!

Zerkam na Anię. Uśmiecha się. Zwolniła tempo, ale nie zabrała dłoni.

– Zresetuj router – mówię głośno.

– Ale jakie jest hasło?

– Na routerze jest karteczka.

– Wyrzuciłeś – szepcze Ania, wyraźnie zadowolona.

Przymknęła oczy. – Przy sprzątaniu.

– Wyrzuciłeś – krzyczy Łukasz.

Mówię mu hasło i przyglądam się rumieńcowi na jej szyi.

– Czekaj! Wezmę coś do pisania.

– Zapamiętasz.

– Nie! Czekaj!

Ania chichocze. Kręcę do niej głową, bojąc się, że przestanie robić, jak robi.

Jeszcze raz dyktuję hasło.

– Dzięki! – krzyczy do mnie syn.

Gdy dochodzi nas trzaśnięcie drzwiami, Ania wzdycha, głęboko i ciężko.

Znów się do niej przysuwam i napotykam jej dłoń.

– Ja już – mówi do mnie, uśmiechnięta i odprężona, i trochę uroczyście, jakby zdradzała sekret.

Woda chlupie.

* * *

Miała rację: chciałem się zabić, gdy wreszcie dotarło do mnie, co się stało. Nie rozumiałem, gdy mi tłumaczyli, mimo że wcale nie byłem pierwszy i wiedziałem, że to się wydarza. Nie chciałem zrozumieć.

Musieli pokazać mi moje ciało. Ciało mnie. Połataną czterdziestoletnią skorupę, wywleczoną bez pośpiechu z wraku naszej toyoty.

I dopiero wtedy wzięli mnie do sali z lustrem.

Zobaczyłem ciebie. Siebie. Wtedy uwierzyłem. I natychmiast postanowiłem się zabić, mimo wiadra prochów, którymi mnie nafaszerowano. Zrobiłbym to, prędzej czy później dopiął swego, gdyby nie baba, która weszła do szpitalnej celi tylko na chwilę. Powiedziała, że jeśli to zrobię, zabiję też ciebie. Że znowu umrzesz, synku.

Nigdy w życiu nie bałem się tak bardzo, jak przed spotkaniem z Anią, pierwszym po moim powrocie. Przygotowywali nas długo, dając dragi, które szatkowały życie na niemal obce sceny. Najgorszy z seriali, z najgorszym z finałów.

Gdy powiedzieli mi, że czeka w sali obok, zwymiotowałem do umywalki. Ogarnęli mnie jakoś i wtedy zwymiotowałem znowu, na buty. Poprosiłem o drugą parę, ale widzieli, że gram na zwłokę, więc mi odmówiono.

Wspominam to, gdy zrobię coś złego. Dobra, skuteczna pokuta.

Wchodzę i widzę krzyż. Wisi na ścianie, nad nowym

szpitalnym łóżkiem, mały, drewniany. Wypasione łóżko, świeże i gotowe, kwiaty w absurdalnych bukietach, obłe fotele, stoliczek z Ikei. Biele odmienione przez wszystkie odcienie, i światło, letnie, ostre i rzeźkie.

Ania stoi przy oknie, tyłem do mnie. Ktoś zamyka za mną drzwi.

Poświata wokół jej postaci jest bardziej elektryczna niż słoneczna. Im dłużej na nią patrzę, tym cieńsza się robi, blednie i rzednie, faluje i rozplywa się w jasnościach zza okna. Mózg piszczy mi w uszach i znów mam mdłości. Opieram się o ścianę, zaciskam dłonie na udach.

Ania odwraca się wreszcie, powoli i jakby bez przekonania. Poznaje jej zapach, tak pachnie, gdy jest chora.

Wygląda okropnie. Mam wrażenie, że garbi się, mimo że stoi wyprostowana. Szpetne czarne ubranie wyżera resztki pigmentu z jej skóry, jej twarz marszczy się w miejscach, których nie znałem. Ma takie zmęczone oczy, spuchnięte i bezradne.

– Aniu.

Z trudem ogniskuje na mnie spojrzenie. Życie, pojedynczy rozbłysk, po którym coś jednak zostaje, liche powidok wśród cieni.

Stoi i patrzy, i kojarzy mi się ze strachem na wróble. Myślę tak i nienawidzę się za to.

– Aniu – powtarzam.

– Mamo – mówi Ania.

Jakby mnie ktoś zamroził i roztrzaskał.

– Aniu.

– Mamo – poprawia mnie znowu i uśmiecha się. Wtedy zaczynam płakać.

Znam ten uśmiech, cierpliwy i najcieplejszy. Tak uśmie-

chała się, kiedy po trzech dobach beznadziejnej szpitalnej szamotaniny wreszcie załapałeś, jak ssać jej pierś. Tak uśmiechała się, gdy darłeś się, na całe gardło i całe kino, że chce ci się kupę. Tak uśmiechała się, za twoimi plecami, gdy przyłapałiśmy cię na studiowaniu pokazu bielizny na Fashion TV.

– Wszystko będzie dobrze, synku – mówi do mnie i robi gest, jakby chciała podejść. Nie mam gdzie uciec. I sam już nie wiem, czy chcę, widząc, co z jej twarzą robi nadzieja.

Przecież mógłbym udawać. Tylko dla niej, zostać jej synkiem, być nim, być tobą i przywrócić ją tym do życia.

Rękawem przecieram mokre oczy. Podbiegam do niej, uwieszam się jej szyi i niemal ją przewracam, znikając w dobrym, znajomym mroku.

To chyba wtedy się obudziłeś, tylko ja się jeszcze nie zorientowałem. Ona cię wtedy obudziła.

– Wszystko będzie dobrze – powtarza, przez łzy i wybuchy śmiechu. – Nie ma co płakać. Zaraz przyjdzie tata. Już po niego poszli. Zaraz jedziemy do domu.

Odrywam od niej głowę, odsuwam się powoli.

– Aniu. – Głęboki wdech. – To ja. Jarek.

Patrzy, kręci głową. Nie rozumie.

– Jarek – powtarzam. – Łukaszek, on...

Puszcza mnie i chyba chce się cofnąć.

– Wróciłem. Już ci mówili. Tłumaczyli ci.

Robi krok wstecz. Nie rozumie, lecz jednocześnie nie wierzy w to, co mówię.

Waham się, ale to robię.

– Nie ganiaj jej – mówię.

Patrzy, tylko stoi i patrzy, nie wiem jak długo.

– Pamiętasz? – pytam. – Nie ganiaj jej, panie.

Wreszcie coś zmienia się, przestrzeń między nami na-

bywa nową, trudno definiowalną właściwość. Rozumiem dopiero po chwili. Dostrzega mnie. Mnie.

Zaczynam się śmiać, z miłością i ulgą. Wtedy ona odwraca się i rzuca do okna.

Skaczę i łapię ją w ostatniej chwili, i wrzeszczę, by tu przyszli, a Ania drapie mnie i gryzie, ale szybko przestaje walczyć, ucieka w głąb siebie, pełna rozpaczy i sprzeciwu, a tak jest jeszcze gorzej.

* * *

Jak poznałem twoją mamę. Jak naprawdę ją poznałem.

Pokój wytrwale absorbuje kolejne postaci, rozpuszcza je w gwarze i dymie. Meble i przestrzenie pomiędzy, butelki i kubki, papierosy i zapalniczki – płynne przepływy gestów, zainteresowań i niepewności. Mamy po dwadzieścia lat i imprezy w akademiku wciąż nam smakują. Jeszcze nie umiemy się porządnie popisywać, dlatego pijemy zapamiętałe, z oddaniem i wprawą, a gdy chodzi o cielesność, jesteśmy intuicyjni i jakby bardziej hojni niż później. W każdym razie one są bardziej hojne.

Artur wrócił z weekendu w domu. Pojawił się i natychmiast zmienił dynamikę sytuacji. Posadziły go przy stole, otoczyły, dały fajkę, wódki w kubku i kanapkę. Dziewczyna, która do mnie przyszła, patrzy, jak on się zaciąga, i mocniej ściska mi rękę. Nie mam żalu, w końcu to Artur.

Szukam wzrokiem Ani. Przewraca oczami i znów bajeruje Josha. Wcisnęła go w kąt, odcinając możliwość ucieczki, opowiada coś, krąży, kołuje nad nim, upija metodycznie. Josh jest przystojny, podobny do Artka, kojarzy mi się z surferem, pewnie dlatego że jest Amerykaninem.

Ania bawi się jego czupryną i chyba jest o nią trochę zazdrosna. Była wolontariuszką na przeglądzie offowych teatrów, po jego zakończeniu ogoliła głowę na łyso. Teraz często dotyka nagiej czaszki, czerwone paznokcie na tle jasnego meszku. W tych gestach jest coś niezdrowego, jakby szturchała językiem bolący ząb.

Pijemy, stłoczeni, śmiejemy się, dziewczęta śliczne i hojne.

– Mój chomik nie żyje – mówi Artur po którejś kolejce.

Dziewczęta jęczą.

– Artek. – Ania nawet nie odwraca do nas głowy. – Przecież ty masz świnkę morską.

– Tak – odpowiada Artur. Zapada się w krzesło, jakby w nie wsiąkał. – I ona nie żyje.

Polewam, najlepsze preteksty to te niepotrzebne, i wracam do dziewczyny, która do mnie przyszła. Obejmuję ją, głaszczę po szyi. Rozmawiamy, śmiejemy się, opowiadam jej o książkach, których nigdy nie czytałem, lecz ona i tak nie wie, o czym mówię.

Ania podnosi się i pomaga wstać Joshowi.

– Daj mi klucz – mówi do mnie. – Do was.

Przez głowę przelatuje mi tysiąc odpowiedzi. Daję jej klucz.

Josh zrozumiał. Jego wielkie amerykańskie oczy są jak neony reklamujące lepką, szczerą wdzięczność. Obejmuje ją niecierpliwie, wychodzą. Dziewczęta wymieniają spojrzenia.

Piję, od czasu do czasu przytakując dziewczynie, która do mnie przyszła. Wypalam z pół paczki, to już pół roku, a papierosy wciąż mi nie smakują.

Artur jest pijany, więc będzie śpiewał. Chce przynieść gitarę.

– Ja pójdę – mówię szybko.

Korytarz śmierdzi przypaloną kapustą.

Pukam. Cisza. Pukam.

– Czego?

– To ja. Przyszedłem po gitarę.

– Właż.

Dziwne: otwarte. Leżą w półmroku, w łóżku Artka, a ja jestem zazdrosny, że nie w moim. Dwie pary dzinsów, jego pieprzniete na podłogę; jej – złożone i przewieszane przez krzesło. Josh śpi, wyciągnięty przy ścianie, pochrapując cicho. Ania leży obok, pali.

– Szybko poszło – mówię.

– Nic nie poszło.

– Przykro mi.

Chyba się uśmiecham.

Wzrusza ramionami.

– Chodź – mówi.

Wstaje i zakłada spodnie. Zanim się odwrócę, widzę, że ona ma siniaka na kolanie.

Wychodzimy, zamykamy Josha. Zatrzymujemy się przed drzwiami jej pokoju. Łapie za klamkę, milczy i tylko patrzy na mnie, dziwnie poważnie.

– Anka – mówię.

– Cicho. Ewelina na pewno śpi.

W środku jest ciemno, cicho i bardzo duszno.

Zostajemy tuż za progiem. Nic nie widzę. I wtedy słyszę, że ona zdejmuje buty. A potem spodnie. Robię tak samo. I zastanawiam się, czy widzi moją twarz.

Bierze mnie za rękę i prowadzi do łóżka. Ma gorącą dłoń.

W pokoju pachnie pomarańczami i kremem Nivea. Ewelina śpi w łóżku naprzeciw, chyba odwróconą, na szczęście,

plecami do nas.

Ania układa mnie przy ścianie. Potem ona, potem gruba kołdra, której sam zapach wystarczyłby, by wywołać u mnie erekcję. Przychodzi mi do głowy, że tak jak teraz powinno być już dawno temu.

Pod kołdrą jest ciemniej i cieplej. Nasze twarze blisko, stykają się na chwilę, dalej i bliżej. Odwlekamy ten moment, bo tak będzie przyjemniej, ale również ze strachu. Wiemy, jakie to ważne, czujemy, że zmieniamy całe wszechświaty, ta świadomość jest równie straszna, co ekscytująca.

To Ania dyktuje rytm i to mnie uspokaja. Dotykam jej pleców, łopatek, zagłębień wzdłuż kręgosłupa, matowej, suchej skóry, niespokojnych miejsc, w których czai się ruch, ciepło i życie, uczę się jej, wcale nie tak powoli, choć wydaje się inaczej. Głaszczę ją po krzyżu, przytulnym i pokrytym niewidocznymi włoskami. Kiedy całuje mnie, pierwszy raz, zetknięcie języków spycha mnie w przepaść. Chwytam ją mocniej, by złapać równowagę, by nie dać się roztrzaskać, ściskam skórę jej pleców, przytulną i suchą, Ania mruczy i napiera na mnie. Sięgam dłonią niżej i otwieram oczy. Jest bez majtek. Wycofuję się, ale tylko na chwilę. Gorąco, ciemno i dobrze.

– Już? – szepcze Ania. Ma spierzchnięte usta.

Nie wiem, czy już, nie wiem co.

Sięga niżej, dotyka mnie.

– Już – mówi i chyba słyszę jej uśmiech.

Podnosi się do półki nad łóżkiem. Powietrze w pokoju wydaje się lodowate.

Zdejmuje mi koszulkę i pozwala zdjąć swoją, patrzymy na siebie. Unoszę głowę, zerkam na dziewczynę śpiącą tuż obok i całuję pierś Ani. Jest słona, twarda i chłodna. Ania zostaje tak nade mną i daje się całować, rozluźnia i spina jednocze-

śnie, pachnie coraz intensywniej i na chwilę zapomina o moim ciele. Wreszcie wraca, kładzie się obok, szuka mojej dłoni, w którą wkłada paczkę z prezerwatywą.

Kochamy się krótko, nieporadnie, fajnie. Ania chichocze, gdy kończę i dopiero po chwili rozumiem, że ona też.

Potem leżymy, starając się nie przysnąć. Wkrótce będzie dniało, ptaki wrzeszczą w krzakach za oknem.

– Kurwa – szepczę.

– Co?

– Nie zaniósłem mu tej gitary.

– Nie ganiaj jej – mówi nagle przez sen Ewelina. Aż podskakujemy. – Nie ganiaj jej, panie.

Gdy przestajemy chichotać, znów sięgam ku niej, ale Ania łapie moją dłoń i zabiera ją wyżej, do twarzy.

– Nie – mówi. Robi się widno, więc widzę wyraźnie, jak się uśmiecha.

* * *

– Stresujesz się wynikami badań – mówi Marianna Szulc podczas jednej z naszych pierwszych rozmów. – Za każdym razem.

– Dziwi cię to?

– Nie.

– Więc widzisz.

Przychodzi mi coś do głowy.

– Chociaż, czekaj. Stresuję się bardziej niż inni, prawda?

Zastanawia się.

– Prawda – odpowiada wreszcie.

– Ilu nas jest?

I tak mi nie powie.

– I tak mi nie powiesz.

Dziwnie się uśmiecha, życzliwie i ponuro.

– Czego obawiasz się najbardziej? – pyta.

– Pytasz o badania.

Mam ochotę się roześmiać, widzi to i pogodnieje.

– Tak.

Wzruszam ramionami.

– Wszystkiego. Raka. Schizofrenii. Gnicia. Że się błyskawicznie zestarzeję, obudzę się rano tak stary i słaby, że nie będę w stanie ruszyć ręką.

Patrzę na bezwłose przedramiona.

– I że się nigdy nie zestarzeję, zostanę taki, jak teraz i będę patrzył, jak odchodzi Ania.

– I co byłoby potem?

– Dla mnie już jest p o t e m.

Dostrzegam rybika w kącie pokoju, przesuwa się po parkiecie pod kaloryferem.

– Myślisz czasem, dlaczego to wszystko? – pyta mnie.

– Dlaczego to wszystko.

– Tak.

– A dlaczego nie?

– No ale dlaczego akurat ty?

– Biologiczne przyczyny. Wyjątkowy splot atomów. Albo konfiguracja informacji w moim DNA. Naszym DNA?

– Nie o to pytam.

– Wiem, o co pytasz i to jest moja odpowiedź.

Trę oczy i Marianna Szulc rozlewa się burą plamą na powierzchni fotela.

– Dlaczego ja – powtarzam. – Bo tak, i już. Nie mogę o tym myśleć. To znaczy, nie mogę o tym myśleć inaczej niż w ten sposób. Oszalałbym. Wiem, że nie wolno mi się doszuki-

wać przyczyn.

- Dostałeś kolejne życie.
- To nagroda?
- To kara?
- To nic. Właśnie o to chodzi. To jest, stało się, jest i już.
- Rozumiem.

Śmieję się nerwowo. Wiem, że z bezsilnej złości, ale nie umiem tego powstrzymać.

- Co ty możesz wiedzieć.

Wzrusza ramionami i potakuje, co tylko podkurwia mnie bardziej.

- No, słucham – mówię. – Dajesz.
- Proszę?
- Co takiego rozumiesz. Słucham.

Przeciera okulary ściągaczem swetra.

- Odrzucasz przyczynowość swojego powrotu, bo nie chcesz wracać do tego, co było przed wypadkiem.

Prycham.

- Albo przeraża mnie założenie, że to ktoś – czy coś – może robić tak celowo. Chciałabyś tego?

Doktor Marianna Szulc milczy. Po chwili rozumiem: nie tyle zastanawia się nad odpowiedzią, ile czy w ogóle odpowiedzieć.

- Dla mnie – mówi wreszcie – alternatywa zawsze będzie gorsza.

- Żartujesz.

Kręci głową. Patrzą na rybika, wciąż tam jest. Ona podąża za moim spojrzeniem, ale go nie widzi.

- Mieliśmy dziś porozmawiać o twoim cielem – mówi wreszcie. – O zmianach.

- Tak. Jego ciele.

– Łukaszka.

– Stoi mi.

– Słucham?

– Pyta.

– Słucham?

– Stoi mi. Non stop.

Wreszcie rozumie.

– Mówisz o erekcji.

– O erekcji. Łatwo się podniecam, łatwo i szybko. Fizycznie, ale nie tylko.

Złość przechodzi mi, gdy widzę, że ona stara się nie uśmiechnąć.

– Budzę się ze sterczącym wackiem. I potem tak przez cały dzień. Na widok co drugiej kobiety.

– Co drugiej?

– Mniej więcej.

Szczerzę się do niej i ona też. Konfidencjonalne, uczciwe spojrzenia, rodzaj wspólnoty sprawców, jak kiedyś z Artkiem, gdy zegnaliśmy się podczas studenckich nocy, po ulicznych bójkach.

– Sąsiadka z dołu, jara przy samochodzie, zanim pojedzie do pracy. Tłuste włosy, czterdzieści pięć lat, zbyt ciasne dżinsy. Córka Pana Warzywo, sprzedawcy z osiedlowego warzywniaka, jeszcze licealistka, pomaga ojcu. Ma zawsze zimne ręce, gdy podaje mi siaty z ziemniakami. Pachnie drogimi perfumami i jest sporo ode mnie wyższa, lubię wyobrażać sobie, że się na nią wspinam. Urzędniczka, za którą jeżdżę na desce, gdy idzie do pracy. Nazywam ją w myślach panią Matrix, bo lubi skórę: spódnice, buty i torebki. I obowiązkowe, obcisłe białe bluzki. Wie, że za nią jeżdżę, czasem się odwraca i widzę uśmiech w jej spojrzeniu. Domyślasz się, jak wizualizuję sobie

jej styl w sypialni. I jedna z laborantek, które się tu mną zajmują, ale nie powiem ci która. I opiekunka dziewczynki z bloku naprzeciwko, którą minąłem, gdy wsiadałem do taksówki. Starsza pani, dystygowana, miła, kiedyś była piękna. Zawsze elegancko umalowana, trzyma się prosto i na pewno obłudnie robi laskę. – Pozwalamy wybrzmieć ostatnim słowom między wypolerowanymi meblami. – I to byłoby na tyle, gdy mowa o dzisiaj.

– O dzisiaj?

– Tak. No i Ania, oczywiście. Aha. I prezenterka pogody z hiszpańskiej telewizji, na którą przełączyłem przypadkiem dziś rano. I Dorota Wellman.

Marianna Szulc unosi brwi.

– Dorota Wellman?

– Tak. No co?

– Nic.

Uśmiechamy się, para cwaniaczków w bramie. A potem sobie wszystko przypominam, ona to widzi i znów jest jak dawniej. Tylko że o nic nie pyta. Milczymy oboje, długo i każde dla siebie.

– Rozvodu – mówię, studiując fakturę sznurówek w twoich vansach. – Najbardziej ze wszystkiego boję się, że Ania odejdzie.

Gdy widzę, jak ona rozpaczliwie stara się wymyślić dobrą odpowiedź, serce zaczyna mnie boleć. Dosłownie, fizycznie.

* * *

Patrzę na świeżą mogiłę człowieka, który nas zabił. Jesteśmy tu razem, kaptur twojej bluzy moją przyłbicą, desko-

rolka moją tarczą. Stare kobiety, krzątające się przy grobach, uśmiechają się do mnie z dobrotliwą zadumą. Słońce wyostrza kanciastości cmentarnych krzyży.

Niesprzątnięte wiązanki pogrzebowe walają się na drogim marmurze. Miał pięćdziesiąt lat, słabe serce i opancerzonego SUV-a, który zmiażdżył naszą corollę.

Powietrze gęstnieje, jak przed burzą, ale może czuję tak, bo tu stoję. Po drugiej stronie cmentarza pochowali moje ciało. Jeszcze tam nie byłem.

– Cześć – wita się dziewczyna.

– Cześć.

– Masz fajkę?

– Nie.

Jest mniej więcej w twoim wieku. Ma bystre oczy, drogą bluzę i zniszczone trampki. Przygląda mi się.

– Mam ostatnią – mówi. – Możemy wypalić razem.

– Nie trzeba. Rzuciłem.

Widzi, że nie żartuję, i kiwa głową.

– Łukasz – przedstawiam się i nie wiem, czemu tak mówię.

– Daga.

– Dagmara.

– Daga – poprawia mnie.

– Daga.

Znów kiwa głową.

– Kto to? – pyta i patrzy dziwnie.

Powiało i jedna ze wstążek owija mi się wokół kostki.

– Ten facet – mówię – dostał zawału i swoją wielką furą wpierdolił się w samochód, którym jechałem z ojcem.

– Rozumiem.

– Tato zginął na miejscu – mówię.

Opiera trampek o kant nagrobka.

– Przykro mi.

– W porządku.

Dziwny dźwięk, myślałem, że to wiatr szeleszczący brzoškami, a to meleks na głównej alei.

– Tyle tu dziadków. – Daga rozgląda się po cmentarzu. – Starzy ludzie i my.

– Będziemy tacy sami.

– Tylko że my będziemy nosić bluzy z kapturem.

Uśmiecham się na tę myśl.

– Może tak być.

– Postacie w kapturach to nie mnisi – mówi Daga.

– Co?

– Nic.

Chyba jest zawiedziona, a ja nie wiem, co powiedzieć.

– Jestem jego córką. – Wskazuje na nagrobek.

Długa chwila zimnej ciszy.

– Żartuję – mówi wreszcie i uśmiecha się kwaśno.

– Żartujesz.

Robi mi się gorąco, zdejmuję kaptur. Dziewczyna przygląda się twojej czuprynie.

– Spierdalam – mówi.

– Tak.

– I ty lepiej też. To na nic.

– Chyba tak.

Zanim zniknie między krzyżami, odwraca się jeszcze.

– Łukasz?

– Tak.

– Jak się wie jak, łatwo mnie znaleźć na fejsie.

– Nie mam konta.

Wreszcie uśmiecha się szczerze. Odchodzi.

Stoję, jak stałem, dziwnie spanikowany. To przez tę rozmowę. I przez to, że erekcja rozsadza mi gacie.

Wieczorem śnię o niej, po raz pierwszy. Środek nocy, stoimy przy tym samym grobie. Czuć wilgotną ziemią, w której szepczą dżdżownice. Dagmara mówi mi, że ma czterdzieści lat i też wróciła, w ciele zmarłej córki. Mówi tak, a potem zdejmuję bluzę, dżinsy i całą resztę, rozgarnia wiązanki i kładzie się na zimnym marmurze.

* * *

Leży na kanapie, a ja siedzę okrakiem na jej udach. Wieczorne słońce i balsam do ciała sprawiają, że skóra Ani mieni się fotoszopowymi jaskrawościami przy każdym jej oddechu. Otwarty balkon przynosi miejski harmider, który pachnie rozgrzanym asfaltem i skoszonymi trawnikami, znajomy i uspokajający.

Milczymy. Ania ma zamknięte oczy i pomrukuje, uśmiechnięta, gdy masuję jej kark, ramiona i plecy. Uczciwa wymiana: bawię się jej ciałem, a ona bierze mój dotyk, odrywa go ode mnie i ma tylko dla siebie. Jej koszulka i szorty leżą na podłodze. Ramiączka rozpiętego stanika rozrzucone na kanapie, jak jej włosy, pozornie bezładne, poddane dominującej formie relaksu. Milczymy.

Masuję jej krzyż, a kwiat słonecznika faluje do mnie, coraz cieplejszy i bardziej aromatyczny. Twoje szczupłe dłonie ugniatają jej skórę, która nagle wydaje się taka znoszona. Spoglądam niżej, na pośladki pod bawełną majtek, rezonujące wibracjami przy każdym ruchu nas obojga. Pyta próbuje rozsadzić mi gacie. Mija trzydziesta minuta bolesnej erekcji, która zaczęła się, zanim Ania zdążyła zdjąć koszulkę i się położyć.

Ania mruczy, nie patrzy. Milczymy.

Sięgam niżej, do granicy bielizny, znajome miejsca i kombinacje ruchów. Uśmiecha się, więc drapię ją paznokciami, wzdłuż linii, za którą robi się miększa i delikatniejsza. Wierci się i wtedy czuję, jak pachnie naprawdę, bez perfum, mydeł i kremów.

Podnoszę się, by i ona mogła się unieść, bym mógł zsunąć jej majtki, do miejsca, w którym siedzę. Ania uśmiecha się, nie patrzy.

Gdy sięgam po więcej balsamu, przełykam ślinę, ciężko i głośno, i mam wrażenie, że ten odgłos niesie się echem po całym osiedlu. Nie mogę oderwać od niej wzroku. Kisiel w gaciach mi nie przeszkadza, już dawno temu przypomniałem sobie, jak to jest z nim żyć.

Masuję jej nagie pośladki, miękkie i twarde jednocześnie, śliczne. Studiuję ją, spojrzeniem i dotykiem. To jest tak wiele i jednocześnie nie wystarczy, nigdy nie wystarczało, więc teraz tym bardziej. Masuję ją i nie mogę oderwać wzroku. Od niej.

Od niej.

Wystarczy chwila. Jeden jej grymas, najdrobniejszy ruch bioder. Dotykam jej i wciąż nie wiem, czy oboje zmierzamy tam, gdzie ja tak rozpaczliwie chciałbym się znaleźć.

Ania otwiera oczy. Wspaniały, drobny ruch, jakby przeciągała się, samymi powiekami, leniwie i w spokoju.

– A wiesz – mówi, uśmiechając się do słońca za oknem. – Poszłabym do kina.

Twoje dłonie gubią rytm, na ułamek sekundy. Już wiem, choć wolałbym nie.

– Pewnie. Kiedy?

– Teraz.

– Teraz?

– No chodź, będzie fajnie.

Jej uśmiech mieści tak wiele: szczerą, uczciwą prośbę; i wdzięczność, z góry i na wszelki wypadek; i nowy rodzaj niepewnej ulgi; i ciepło.

Przebiera się przy mnie, wiedząc, że tego wieczoru już nie będę jej zaczepiać. I że tym bardziej chcę patrzeć.

W kinie bawimy się świetnie, bo film okazuje się wyjątkowo chujowy. Wracamy w milczeniu, myśląc o tym, że jutro przychodzi Artek.

* * *

Artek przygląda mi się, z uczciwą, niekrytą ciekawością. Gapi się, jakby szukał szczegółów różniących mnie od kogoś innego, z obrazka obok. Przez chwilę ogniskuje wzrok na którymś z mebli, po czym znów mi się przygląda. I przeczesuje gęstą brodę.

Gdy byliśmy dziećmi, zazdrościłem mu długich, kruczoczarnych włosów. Był jednocześnie słonecznym hippisem i dumnym paladynem z galerii w „Fantastyce”. Kiedy zaczął łyśać, ogolił głowę i zapuścił brodę, którą obnosi z porównywalną nonszalancją.

– Kurwa mać, Jaro – mówi do mnie mój przyjaciel. – Normalnie nie wiem, co powiedzieć.

Wzruszam ramionami. Rano dopiero minęło, a siedzimy niemal w półmroku, za oknem chmury jak sierść brudnego psa.

– Gorąco tu.

Zdejmuje bluzę i rzuca ją na podłogę obok kanapy. Ma koszulkę z okładką płyty: długowłose koleś dostaje pięścią w

ryj. Wiem, że to dla mnie.

– Jaro – wzdycha Artek. – Kurwa mać.

– Broda ci siwieje.

– Nie tylko broda.

Myślę o twoich gładkich policzkach i uśmiecham się smutno.

– Mogę zobaczyć, jak teraz mieszkanie? – pyta mnie.

Idę po piwo, gdy on ogląda mieszkanie.

Po moim powrocie kupili nam nowe, większe, na drugim końcu miasta. Nowe rozdanie w każdej z gier: pomogli uciec od wścibstwa tych, którzy wiedzieli. Ania broniła się długo, ale ostatecznie chyba zrozumiała, że tak jest lepiej.

Po krótkiej gadce szmatce milczymy, wymownie, ciężko i z przekonaniem. Pijemy piwo i słuchamy metalu, sięgając pamięcią do czasów naszych nieśmiertelności. Próbujemy w ten sposób zredefiniować tę przyjaźń, odnaleźć jej pogubione współrzędne. Patrzę na niego z zazdrością, jest taki duży i pewny, taki stabilny. Potrzebuję go, jak nigdy wcześniej, bo brak mi luster, które odbiją tamtego mnie. Pragnę się w nim odszukać. Skoczyć i zanurkować, by w obcej ciemności wymacać znajome, własne kontury.

– Pamiętasz? – Wskazuję nadruk na jego koszulce. – Kupiliśmy tę kasetę u dziada na bazarze. Dzień przez wyjazdem na obóz.

– Zdradzam Marysię – mówi Artur.

Cisza między piosenkami. Dzieci za oknem wrzeszczą, że darowane kreski.

– Miałem odłożone na Samaela – odpowiadam. – Ale nie było, więc wziąłem Panterę.

– Od kilku miesięcy.

– Gdzie wtedy jechaliśmy? Do Sarbinowa? Czy Darłów-

ka?

– Zdradzam Marysię – powtarza.

Jest zły.

– To przestań.

– Nie kpij.

– Artek, kurwa, bywam... bywałem u was na obiadach, kolacjach. Ty i Marysia. I Krzyś.

Artur oddycha ciężko.

– Co mam powiedzieć? – pytam go.

W oczach ma strach. Wstaje, wychodzi, wraca z pełnymi butelkami.

– Regularnie – mówi. – Pewnie byłoby częściej, gdyby się dało.

– To na serio?

– Na serio.

– Romans.

– Romans. Z litości.

– Masz żonę i syna.

– Pewnie bardziej nade mną.

– Masz wspaniałą żonę.

– Mam.

– Ania nie chce ze mną sypiać – mówię.

To go wytrąca.

– Nie chcę o tym słuchać – odpowiada bez przekonania.

– Brzydzi się.

– Boi się.

– Boi się – powtarzam.

– Że to ją zabije. Was.

– Zabije.

– Nie wiem, co robić – mówi. – Nie chcę tego kończyć i...

– Niedobrze.

– I wiem, co to znaczy.

– Dziada już nie ma na bazarze – mówię. – Szukałem go.

– Jakiś czas temu handlował płytami z disco polo. I grammi.

– Już go nie ma.

Wstaję, żeby zmienić płytę. Ale włączam ją jeszcze raz.

– Marysia nie pozwala Krzysiovi się z tobą zobaczyć. – Artur trze oczy. – Młody szukał w sieci śladów Łukasza, bardzo chce się pożegnać, ale Marysia mówi, że to zły pomysł.

– Pewnie ma rację. Jak to zniósł?

Artek wzrusza ramionami.

– Normalnie. Koszmarnie.

– Biedny chłopak – mówię i milkniemy, myśląc o tobie i o mnie.

– Chyba nigdy was nie lubiła – podejmuje Artur. – Marysia.

Z każdym łykiem jest mi bardziej gorąco.

– Nas?

– Ciebie i Ani.

– To nieprawda – odpowiadam.

– Prawda. Zawsze była zazdrosna. I chyba się domyśla.

– Niedobrze.

Uśmiecha się dziwnie.

– Niedobrze – powtarza.

Zastanawiam się, czy mu powiedzieć. Nigdy mu nie mówiłem, może mógłbym się przyznać i mu ulżyć. Artur szuka tanich rozgrzeszeń, a ja jestem tu, dla niego.

Ale milczę, milczymy długo. Udajemy, że słuchamy muzyki, w rzeczywistości słuchając samych siebie. Przegrywane kasety, przerysowywane okładki. Książeczki z tekstami piosenek i ich koszmarnymi tłumaczeniami. Marzenia o wyjazdach

na koncerty. Pogubione współrzędne.

– Jaro – zaczyna wreszcie.

Patrzy tak, że piwo w moim żołądku zmienia się w cement.

– Będę szedł – mówi.

– Posiedź jeszcze. Będą mecze.

– Nie, idę już.

– Posiedź. Chociaż na jeden.

– Muszę iść.

Nie wstaje z fotela, ale obaj wiemy, że już wyruszył z powrotem.

– Masz romans – mówię mu.

– Nie mów Ani.

– Stary, zdradzasz żonę.

– Nie mów, obiecaj, że jej nie powiesz.

Wreszcie wychodzi słońce. Światło dzieli nasze przestrzenie na dwa nierówne fragmenty.

– Artek – mówię.

Nie odpowiada.

– Artek, Jezu, nie płacz.

– Sarbinowo – mówi i niepewnie podnosi się z fotela. – Tamtego roku pojechaliśmy do Sarbinowa.

Zamykam za nim drzwi i biegnę do kibla. Wymiotuję alkoholem i śniadaniem.

W pokoju leży jego bluza. Wyrzucam ją do kosza, idę na balkon. Wracam po nią. Pachnie naszymi wspólnymi wakacjami. Wynoszę ją do zsypu na klatce.

Zanim położę się spać, odbieram SMS od twojej mamy.

Odpisuję jej, że też ją kocham, a potem długo nie mogę usnąć. Pościel i przeszłość parzą mnie, uwierają.

* * *

W poprzednim życiu.

Wstaję od komputera i rozglądam się po biurze. Puste boksy i martwe monitory, kanciasta pustynia papieru i plastiku. Ciemność za oknem wyświeśla obraz: zgarbiony mężczyzna, wymięta koszula i brzydki krawat. Żółte światło, żółta skóra. Elektrostatyczna cisza.

Żółte myśli.

Ruszam między biurkami, najpierw do wiszącej szafki, po klucze. Idę i patrzę uważnie. Pusto, tu i w korytarzu, i w socyjnym, w kuchni, wszędzie pusto.

Kolejny korytarz. Gdy widzę uchylone drzwi, tętno przyspiesza, rośnie ostrość widzenia.

Otwieram drzwi szerzej.

Podnosi wzrok znad monitora. Patrzy na mnie długo i bez słowa. Wreszcie sprawdza coś w telefonie i odkłada go na biurko. Chwilę pisze coś na klawiaturze. Zdejmuje okulary. Poprawia gumkę, którą zebrała włosy w kucyk. Rozgląda się wokół siebie i do wewnętrznej kieszeni żakietu wkłada paczkę chusteczek higienicznych. Sięga dłońmi pod spódnicę i, nie wstając z fotela, zdejmuje majtki, które chowa do torebki leżącej obok. Dopiero wtedy wychodzi zza biurka.

Puszczam ją przodem, wychodzimy na korytarz. Idzie pierwsza, nie ogląda się, czuję perfumy i papierosy. Schodami w dół, studzienne echa jej obcasów, granatowa rozkołysana spódnica, świetlówki ciekące brzęczącym blaskiem, schodami w dół.

Zatrzymuje się, gdy niżej już nie można, obok piwnicznych drzwi do serwerowni. Czeka. Przygląda mi się chłodnym spojrzeniem z rozmowy kwalifikacyjnej.

Gdy otwieram drzwi, nie patrzę na nią, mimo że stoi bardzo blisko. Czuję jej gorący oddech, wonie makijażu i czosnku w sałatce z lunchu.

Włączam światło, puszczam ją przodem, zamykam za nami na klucz. Niska kanciapa, pełna szemrzących komputerów i kurzu, który śmierdzi przepoconym tiszertem.

Zdejmuje żakiet i starannie wieszka go na oparciu krzesła.

Staje dwa metry ode mnie, oparta pośladkami o biurko. Patrzymy na siebie. Wyswobadza dół bluzki ze spódnicy. Gdy siada na blacie, zrzuca na podłogę jakąś powieść fantasy.

Rozpina guziki bluzki, robi to szybko i dla siebie. Ostre cienie obojczyków, kremowa biel stanika, pępek. W tym świetle jej skóra ma barwę i fakturę mąki. Ciemność między jej nogami. Gdy się porusza, widzę, że ma ten sam stanik co wczoraj. Czeka na mnie.

Mógłbym teraz wyjść.

Podchodzę i wpasowuję się w nią, ściskam dłońmi jej uda.

– Delikatniej – mówi do mnie. Naciskam mocniej, aż syczy i odchyła się do tyłu. Przesuwam dłonie w głąb niej, w śliskie, szeleszczące nylonem ciepło. Oboje drżymy, gdy docieram do miejsca, gdzie kończą się pończochy. Dotykam jej gorącej skóry i myślę o tym, że jej majtki zostały na górze i już nic mnie od niej nie dzieli.

Patrzy na mnie i czeka. Przesuwam dłonie głębiej, aż wyczuwam miejsce, w którym zaczynają odrastać włoski. Zmarszczki wokół jej oczu drgają. Pófleżąc, oparta na łokciach, obserwuje mnie, kołysząc biodrami, zachęca, żeby dalej. Skóra między jej piersiami jest ciemnoróżowa.

Głaszczę ją i mam wrażenie, że słyszę ją, tam, spod spódnicy.

Spogląda w głąb siebie i mruczy, krótko i niecierpliwie. Cofam dłonie. Sięgam do kieszeni i wręczam jej paczkę z prezerwatywą. Zakłada ją sprawnie, niemal niedbale, nie dając przyjemności.

Podwija spódnicę, wysoko, do pasa. Celuję, ale powstrzymuje mnie.

– Czekaj. Ja. – Bierze go w dłoń i dyktuje tempo, przynajmniej na początku.

Jest cicha, skoncentrowana na sobie i zdeterminowana na finał. Oboje jesteśmy, to jest jak zapasy i wyścigi, przepychanka w kolejce do supermarketowej kasy. Obserwuję ją z góry, widzę, że jej niewygodnie na blacie biurka i mam to w dupie. Kończę, błysk rozkoszy, po której przychodzi ponura niechęć.

Patrzę, jak korzysta z chusteczki, i myślę o tym, że jej nie lubię. Zanim wyjdziemy, odkładam książkę na biurko.

– Do jutra – żegna się, zanim zniknie w swoim gabinecie.

Mam dwa nieodebrane połączenia. Oddzwaniem.

– Halo.

– Cześć. Dzwoniłaś.

– Tylko żeby ci powiedzieć, że nie musisz się śpieszyć. Łukaszek już dużo lepiej.

Temperatura spadła do trzydziestu ośmiu i kazał włączyć sobie *G.I. Joe*.

– Super.

– Super. I nawet zjadł zupę.

– No to rzeczywiście.

– Więc dokończ sobie wszystko spokojnie, a my czekamy.

– Już jadę.

– Bomba. Oby nie za szybko.

Pożądanie

– Jasne. Pa.

– Pa, pa.

Męczyzna w wymiętej koszuli. Elektrostatyczna cisza.

* * *

– Policzyłam butelki – mówi Ania. – Tyle, co nic.

– Większość Artura.

– Domyślam się.

Nie wiem, kiedy przyszła. Obudziłem się późnym popołudniem i pobiegłem rzygać. Teraz leżę w łóżku, z głową na jej udach. Ania siedzi, pije piwo i bawi się moim włosami. Chyba nigdy wcześniej tego nie robiła.

Zza okna pachnie deszczem.

– Chcesz łyka?

– Boże, nie.

Wzdycham. Dzisiejsze dopołudnie jest ciemnością.

Dostrzega coś w mojej twarzy.

– Jak było? – pyta mnie.

– Dziwnie.

Kiwa głową.

– Bardzo się bałem tego spotkania.

– Wiem – uśmiecha się do mnie, smutno i ślicznie. – Ja też.

– Ty też.

Kiwa głową.

– Mieliśmy straszną treść. Wspominaliśmy stare czasy.

– Stare czasy – mówi Ania i ma na myśli tyle rzeczy. Najbardziej na świecie chciałbym jej powiedzieć, że jeszcze będzie jak dawniej.

– Słuchaliśmy muzyki.

– Widziałam.

– Siwieje.

Patrzy na mnie, na ciebie i uśmiecha się tylko. I przestaje.

– Co u nich?

Ciemność.

– Nie wiem. Krzyś chciał mnie zobaczyć. Pożegnać Łukaszka.

– To nie jest dobry pomysł.

– Marysia też tak twierdzi.

Jej twarz nad moją. Patrzy uważnie, czeka.

– Nie wiem. Chciałem powiedzieć mu tyle rzeczy.

– I nie powiedziałeś.

– Nie powiedziałem.

– Umówiliście się?

– Nie zdążyliśmy, bo pobiegłem spawać.

– Spawać. Dawno nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił.

– Rany – jęczę. – Za co to wszystko.

– Dobre pytanie.

– Może i dobre.

– Chociaż nie – mówi Ania. – Nie chciałabym być częścią twojej pokuty.

Dotyka dłonią mojego policzka. Chłodne paznokcie na gorącej skórze.

– Dwa piwa – mówi.

Szarpie mnie za włosy i nagle śmieje się, głośno i szczerze. Jej piersi i uda trzęsą się wokół mnie. I ta chłodna dłoń, i ostre paznokcie.

Patrzemy na namiot w moich bokserkach.

Całuje mnie w czoło i zrzuca z siebie.

– Przyniosę ci coli.

Ogląda się, zanim wyjdzie z sypialni. Uśmiech jak deszcz, spokojny i ciepły.

Zaczynam rozumieć, że jeszcze wszystko się jakoś ułoży.

* * *

– Nie chcę tu więcej przychodzić.

– Nie chcesz – mówi doktor Marianna Szulc. – Chodzi o badania czy o nasze rozmowy?

– Jedno i drugie. Nie mogę zapomnieć.

– Myślisz, że to przez nas?

– Nie pomagacie.

– Rzeczywiście.

– Dlatego chciałbym, żeby to było nasze ostatnie spotkanie.

– Rozumiem.

– Czytałem materiały od was. Moja rezygnacja nie oznacza cofnięcia renty.

– Oczywiście, że nie. Renta jest dożywotnia. A w systemach zostajesz jako czternastolatek.

– Pełny reset.

– Można tak powiedzieć. Konsultowałeś to z Anią?

– Nie. Ania nie wie.

– Ale powiesz jej.

– Oczywiście.

– Chcesz poszukać innych przywróconych.

– Nie wiem.

– Chcesz. Myślisz, że tak będzie łatwiej. Bez naszej obserwacji.

– Bez żartów. Obserwacji będzie teraz więcej.

– Doprawdy?

Pożądanie

- Nie przeceniaj się. To najmniejszy z moich problemów.
- A co jest największym?
- Chyba nadzieja. Teraz – nadzieja.
- Nadzieja.
- Zacząłem wierzyć, że się ułoży. Że jeszcze będzie dobrze. Ale to sprawia, że boję się jak nigdy wcześniej.
- Do tej pory wszystko działało się siłą rozpędu. Teraz myślisz o przyszłości. Zaczynasz planować i podejmujesz decyzje.
- Nie przeżyję, jak się nie uda. Jak nam nie wyjdzie. Bo Ania się nie przyzwyczai. Ale się stara, walczy. Jest inaczej i już nie wrócimy do tego, co było, możemy tylko wracać do tego, jak było. Tylko zaczynać na nowo. Uciekać do przodu. Ona zaczyna mnie dostrzegać. M n i e.
- Wydarzyło się coś dobrego?
- Właśnie nie, nic szczególnego. To znaczy tak, ciągle się wydarza. To moja głowa, to w niej. Odkąd to zrozumiałem, jest inaczej.
- Uśmiechasz się.
- Dziwne, prawda?
- Cieszę się – mówi Marianna Szulc, chyba szczerze.
- Dlatego nie chcę więcej tu przychodzić.
- Rozumiem.
- Ona zawsze będzie widzieć Łukaszka. Będzie patrzeć na swojego syna. Jak nie będę z tym walczyć, Ania mnie zaakceptuje. Będzie miała nas obu. Wypracujemy to.
- Tylko czy będzie chciała tego mężczyznę, którym jesteś? Którym byłeś?
- Przecież ci tłumaczę. To bez znaczenia, poradzę sobie. Bo ja będę ją miał.
- To dobra wymiana?

- Znowu będę ją miał.
- Rozumiem.
- Myślisz, że tu wrócę, prawda?
- Nie wiem.
- Przecież widzę. Nie jestem pierwszy, co?
- Który rezygnuje z opieki?
- Opieki. Dobrze.
- Nie jesteś pierwszy.
- Oni wracają do was.
- Wszyscy bez wyjątku – mówi doktor Marianna Szulc. –

Wszyscy.

Nie słyszę w jej głosie satysfakcji.

* * *

Algorytmy flirtu. Nonszalanckie spojrzenia, lekceważące i jednocześnie gęste od znaczeń. Dynamiczne trajektorie gestów i rozmów, kurs pozornie kolizyjny, w ostatniej chwili korekta, tak, by przez chwilę iść równolegle, bez otarcia, poczuć wzajemnie stałe grawitacji. Stałe, a jednak zmienne.

Patrzę na nią, dotykam jej wzrokiem, odkąd tylko przyszedliśmy. Jej jest trudniej, potrzebuje rozmowy, gry w ramach bardziej złożonych systemów. Wiem, że to z mojego powodu, zresztą zawsze tak było.

Jesteśmy wśród obcych i tak jest łatwiej. Obcy hotel w obcym mieście, w którym porzuciliśmy nasze rzeczy na pastwę nieoswojonych mebli. Anonimowi w tłumie, Ania załatwiła w pracy wejściówki na wernisaż, i przyszła tu z synem. Nikt nie sprawdza, jesteśmy więc, chodzimy od płótna do płótna, zawsze razem, nawet gdy plecami do siebie, wzdłuż przeciwnych ścian. Krótkie spotkania przy tacach z alkoholo-

lem, zabawa w uszczypliwe komentarze do podsłuchanych ocen. I wzajemne złośliwości, które przenoszą nas do czasów, gdy wszystkiego mieliśmy aż nadto.

Stoi parę metrów dalej, w grupce wsłuchanej w kuratorkę wystawy, bezwiednie stuka paznokciami w nóżkę trzymanego kieliszka. Jest trochę pijana i wino na jej policzkach ładnie współgra z makijażem. Upija łyk, przez chwilę patrzy na mnie, potem znów udaje, że słucha, a może rzeczywiście jest zainteresowana, a ja przyglądam się, zadziwiony, jak alkohol i wiara potrafią ją odmłodzić. Zerka na mnie, cień uśmiechu i pół spojrzenia, łyk wina, znam ten rumieniec. Patrzę na jej bluzkę, zapiętą pod szyję, na spódnicę, niezbyt krótką, ale obcisłą, stawiającą fizyczny opór, na jej nogi, na fakturę rajstop, i nie wiem, jaką bieliznę ma na sobie, a ta niewiedza jest inspirująca. Znów na mnie zerka, a gdy chcę dać jej znak, Ania uprzedza mnie i wychodzi do innej sali. Jej ciało jak wazon, oddala się i robi to dla mnie, algorytmy flirtu.

Przynosi mi szklankę soku. Wiem po samym jej spojrzeniu, miałaś te same iskierki w oczach, gdy coś nabroiłaś, miałaś to po niej. Próbuję. Mocne, mnóstwo wódki, aż mnie krzywi.

Dotyka włosów, gdy chwilę rozmawiamy, znów bawiąc się w lożę szyderców. Dłoń, bransoletka, ucho, już niemal zapomniałem, jaki to wspaniały gest.

Patrzy gdzieś obok, trochę zbyt długo. Odwracam się i od razu wiem. Starsza pani, przygląda się nam, nie chcąc uwierzyć w to, co widzi. Pijana czterdziestoletnia baba flirtuje z chłopcem, poi go alkoholem. Wzrok tej staruszki. Pogarda, strach i litość, nie wiem tylko, do którego z nas.

Myślę o Ani, pierwszy raz tego wieczoru tak naprawdę. Rozumiem, że już po wszystkim, i wzdycham do trzymanego

drinka.

– Wracajmy do hotelu – mówi Ania.

W jej spojrzeniu jest coś wspaniałego, nie patrzyła tak na mnie od lat. Nie umiem powstrzymać uśmiechu.

Zanim wyjdziemy, idzie do toalety. Uciekam do innej sali, by móc skończyć drinka. Telefon.

– Cześć, Artek.

– Cześć.

Cisza po tamtej stronie.

– Co jest, Artur.

Nierówny oddech.

– No, co jest? – pytam i rozglądam się za Anią.

– Nic. Sorry. Pomyliłem numery.

Jest pijany.

– Artur, kurwa, o co chodzi?

– Ona wie – odpowiada. – Marysia wie.

– Niedobrze.

– Domyśliła się.

– Przyznałeś się.

– Domyśliła się.

Dopijam alkohol.

– Nie wiem, Artek. Nie wiem, co powiedzieć.

– Jaro – mówi innym głosem, już spokojniejszy. Jakby zmienił zdanie. Albo dostał, czego chciał.

– Tak, Artek?

– Nie mów Ani.

Rozłącza się.

W końcu podchodzi Ania. Patrzy dziwnie, jakby czegoś we mnie szukała albo już dostrzegła, wódka miesza w głowie.

Wychodzimy w letnią noc, ciepłą i miękką. Taksówka jest za chwilę.

Ania siedzi blisko, ale patrzy w okno. Przyglądam się jej szyi, czuję kolano oparte o moje. Nagle odwraca się do mnie, wygląda, jakby podjęła decyzję. Mówi kierowcy, by zawiózł nas pod monopolowy. Nie wiem, co powiedzieć.

Kładzie dłoń na moim udzie i patrzy na mnie niejasnym, zaciętym spojrzeniem. Przez dżinsy wyczuwam drżenie jej ręki i nie rozumiem, co to oznacza, trudno mi zebrać myśli. Przesuwa dłoń odrobinę wyżej.

Wtedy kierowca kicha. Zerkamy w jego stronę. Opuchnięte, wybałuszone oczy, gapią się przez wsteczne lusterko. Ma płytki świszczący oddech i aż wibruje z podniecenia.

Zatrzymuje samochód pod sklepem. Ania wychodzi.

Oczy w lusterku kurczą się do mnie, po chwili rozumiem, że to uśmiech. Odwracam wzrok, rozglądam się po smutnym wnętrzu taksówki. Wonie podróży: wytarta tapicerka, zbyt wiele oddechów i pot, ten, który bierze się z braku ruchu. Ciąśno w gaciach, moszczę się, ale wciąż jest niewygodnie. Myślę o telefonie od Artura.

Wraca Ania z otwartą butelką wina.

– Zmiana planów – mówi do kierowcy. – Pojeździmy trochę.

Ruszamy.

Podaje mi butelkę. Wino jest pyszne. Ania wyciera mi palcem kącik ust.

Jedziemy i patrzymy na siebie, oglądam ją jak poklatkową animację, uliczne latarnie wyświetlają kolejne kadry. Jest piękna i śmiertelnie poważna. W oczach ma miasto przewijające się za oknami i całe nasze życie. Oddycha ciężko. Opiera dłonie na moich ramionach, ścisza je i na chwilę przemyka oczy. Nachyla się do mnie, ale frustrująco powoli, jakby powietrze między nami gęstniało z każdym milimetrem, albo to

wszystko mi się tylko wydaje, a ona po prostu kołysze się w rytm jazdy.

Kładę rękę na jej udzie, tuż nad kolanem. Ona przesuwa nogi w nieznanym geście, nierówne piksele rajstop, szelest ubrań. Drapię po jej skórze, świst paznokci na syntetycznym włóknie. Ania poprawia się na siedzeniu, wąska spódnica krępuje ruchy. Sięga dłonią do moich włosów, łapie ich dużo i mocno, i mruczy krótko, niezrozumiale. Rumieniec wspina się po jej szyi.

Bierze ode mnie butelkę, pije długo, a potem gwałtownie chwyta powietrze, jak po długim zanurzeniu. Włosy lepią się do jej spoconego czoła i do jej szyi.

Zerkamy przed siebie, na oczy we wstecznym lusterku. I znów jesteście sami.

Opiera dłoń na moim przedramieniu, potem karku, na klatce, na udach. Maca je, powoli i metodycznie, jakby sprawdzała ich trwałość. Ma szkliste oczy i nie wiem, czy to od wina.

Dotykam jej obojczyka, po chwili przesuвам dłoń niżej.

– Mój Boże – mówi Ania. Wzdycha ciężko i cicho.

Zabiera mi rękę na swoje udo. Rozpina guzik bluzki i drapie się po miejscu, gdzie kończy się szyja. Obce barwy, na niej i między nami, latarnie, neony, uliczne światła.

– Aniu – mówię. – Pokaż mi swój telefon.

Marszczy brwi, jakby nie dosłyszała.

– Kto zadzwonił? – pytam.

Patrzy za okno. Czerwone światło.

– Cicho – szepcze łagodnie.

– Które z nich?

– Cśś. – Palec przy ustach. – Potem.

Ruszamy. Znów mnie częstuje, potem pije sama, a ja myślę o naszych pierwszych wakacjach. Na chwilę opuszcza szy-

bę i wyrzuca butelkę, która rozbija się na asfalcie. Kierowca milczy, jedziemy.

Rozpina mi rozporek. Poprawia się na siedzeniu, odgarnia włosy za uszy.

Słyszę, jak biją nam serca.

– Nie – mówię do niej i nie pozwalam jej się schylić.

Biorę jej dłoń i kieruję w stronę krocza.

Gdy na chwilę otwieram oczy, widzę, że Ania płacze. Powinienem kazać jej przestać.

Zamykam oczy. Latarnie, neony. Jedziemy.

* * *

Kobieta siedzi przy stoliku w hotelowej kawiarni. To nie jest jej miejsce, co chwilę poprawia się na krześle, przestawia filiżankę z kawą. Pali często i szybko, mruży oczy od południowego słońca.

Przysiada się mężczyzna. Przygląda się jej. Czeką, aż skończy papierosa.

– Palisz – mówi do niej.

Kobieta patrzy w okno.

– Będzie zimno, gdy zajdzie słońce.

Mężczyzna milczy.

– Marysia dzwoniła – mówi ona. – Przed chwilą. Umówiłam się z nią dziś wieczorem, jak wrócę.

– Dlaczego?

– Bo jestem jej to winna.

– To nie jest dobry pomysł.

– To nie był dobry pomysł od samego początku – mówi kobieta.

Milczą.

Pożądanie

– Artur chciał ci powiedzieć – mówi kobieta. – Ale bał się, że powiesz Marysi.

– Powiedziałbym.

– Zawsze był rozsądniejszy.

Mężczyzna kręci głową.

– To nic – mówi do niej.

– Nie czekaj na mnie wieczorem.

– Wrócisz późno.

– Nie wrócę.

– To wszystko nic – powtarza mężczyzna. – Będzie dobrze.

– Nienawidzę naszego mieszkania.

– Nieprawda.

Kobieta uśmiecha się smutno i zapala papierosa.

– Będzie dobrze, Aniu.

– Nawet nie masz pojęcia – mówi kobieta. – To ja jestem dziwakiem, któremu się przygląda i o którym się szepcze. To ja nie mogłam odciąć się od pracy, od rodziny.

– Wyjdziemy.

– Nie.

– Damy sobie radę.

– Nie mogę na ciebie patrzeć – mówi kobieta. – Rozumiesz?

– To nie jest moja wina.

– Nienawidzę cię za to, że nie jesteś nim. Że zająłeś jego miejsce.

– Nie chciałem tego.

– Już tak nie mogę.

– Zdradzałem cię – mówi mężczyzna.

Kobieta zamyka oczy.

– Wiem.

– Wiesz – powtarza po niej.

Patrzą długo na dzieci bawiące się pod ścianą.

– Oszaleję, jak nie ucieknę – mówi ona. – Od tego wszystkiego.

– Ode mnie.

– Tak, od ciebie.

– Wcale tego nie chciałem – powtarza mężczyzna.

– Wiem. Przykro mi.

Kobieta zagląda do pustej paczki.

– Obiecuj mi, że już nie będziemy musieli się spotykać.

– Nie pocałowałaś mnie. Ani razu.

– Ktoś przyjedzie po rzeczy. Przekaze dokumenty do podpisu. I tak dalej.

– Ani razu nie pocałowałaś mnie w usta.

Kobieta wstaje i po chwili wahania głaszcząc po głowie nastolatka, z którym siedziała przy stoliku. Pochyla się nad nim, daje mu buziaka, a gdy jest uśmiechnięta, robi się śliczna. Kiedy uśmiech wyparowuje, kobieta odchodzi.

* * *

Opowiem wam o miłości.

Łukaszek leży tuż obok. Patrząc, jak wycieka z niego życie i miesza się z benzyną rozlaną na asfalcie. Nie mogę się ruszyć i niewiele czuję, i mam nadzieję, że on też.

Fragment któregoś z nas podskakuje między nami, zaklinowany między oparciem fotela a wygiętą kierownicą. Łukasz ma zamknięte oczy, jakby spał. Puchnie mu twarz i coraz bardziej przypomina tamtego stworka, którego pokazała mi pielęgniarka, nocą w szpitalu, czternaście lat temu. Odwinęła znoszony szpitalny becik, a tam był mój syn, siny i nierucho-

my, skulony i jakby już czujny, jakby dopiero gotujący się do drogi. Gdy kobieta uszczypnęła go w policzek, zaskrzeczał, bardziej ze złości niż bólu, najwspanialej.

A teraz jestem tutaj i patrzę na to, co z nas zostało. Nie powinno tak być.

Łukaszek otwiera oczy. Długo patrzy i nie widzi. Tak bardzo chciałbym go dotknąć.

Zdaje mi się, że słyszę syreny.

– Tatusiu – mówi wreszcie. Spojrzeniem mógłby kończyć całe światy. – Tatusiu.

Przymyka powieki i to już.

Nie powinno tak być.

Czarna wata, gorąca i gęsta.

* * *

Opowiem wam.

Pod kołdrą jest duszno i ciemno. Wyczuwam jej twarz tuż przy mojej, ma zimny nos. Ania chichocze i zatyka usta poduszką.

Przestaję ją łaskotać, ale nie pozwalam jej się odsunąć, uwolniła dłonie i teraz drapie mnie po plecach. Po omacku głaszczę jej twarz i szyję, pachnie balsamem i kremem dla dzieci. Choć poważnieje, czuję, że wciąż się uśmiecha.

– To może dzisiaj – szepcze.

– Tak?

– Tak.

– Idziemy na kanapę?

– Nie. – Dotyka moich ramion, przypomina je sobie. – Nie chcę stąd iść.

Jesteśmy ostrożni i cisi, i dużo trzymamy się za ręce. Po-

Pożądanie

tem leży tuż obok, czekając, aż znajdę oddech. Bawi się moimi wargami.

– Ma twoje usta – mówi i słyszę w jej głosie dumę.

Podnosimy głowy i patrzymy na kołyskę w nogach łóżka. Jesteś tam, choć wciąż nie mogę w to uwierzyć. Śpisz.

Michał Cetnarowski
RP PRODUCTIONS

Mówiono mi – jeszcze nad Renem – znacznie zaś bardziej szczegółowo w lata potem w Krakowie: zdobywca Kijowa, Bolesław, Włodzimierza Bazylego córkę, właśnie Przeclawę, upokorzył, zhańbił, zniewolił, uciekając zaś z Kijowa i ją też z sobą nad Wisłę czy też nad Wartę wprowadził.

Teodor Parnicki, *Robotnicy wezwani o jedenastej*

Cześć gołąbku, jak tam, trzepiesz kapucyna? Ścigał go radosny, donośny śmiech i błysk złotego zęba, nieprzyzwoita Psia Gwiazda w oblesnej gębie mistrzyni seksu oralnego.

Cormac McCarthy, *Sutree*

Miśko, pan na Gnieździe, słynna płowa pyta Polan, nastroszył węża jasnego jak wiecheć słomy i chrobrą ręką, co niejedną rzepę kradła, ścisnął książęcy nabiał.

– Dalejże, piękna suczy, podejdźże no bliżej – sapnął i w bardzo międzynarodowym geście przejechał koniuszkiem języka po skrytych pod wężyskami, pełnych wargach.

Łykowe kapcie miał rozdeptane, portki przewiązane konopnym sznurkiem, na którym nie powiesiłby się nawet kmieć, któremu margrabia Hodon zrobił wjazd na sioło, ale pod rozchełstaną koszulą z surowego lnu przeżyła się muskularna, natłuszczona klata, tatuowana w dobrze widoczne trzy skośnie przycięte pasy, rytualny znak, piramidę nocy, kwadratowa wygolona szczeka prezentowała się jak kowadło, z któ-

rego wybrańcy wyciągają dający władzę miecz bogini, kradną żelazo ojcom ognia.

Zamaszystym ruchem odłożył na niewielki bukowy stół pusty drewniany kubek i jeszcze bardziej poluźnił sznurek w obcisłych spodniach. W komnacie było ciemno, ale nie aż tak ciemno; widział doskonale, kogo przyprowadził żerca. Wielkie łoże w skórach zajęty i lisów stało za nim i już czekało.

– Oto ona, panie. – Kapłan–mag Sieciech, pierwszy tego miana, wysunął przed siebie szczupłą, wysoką piękność o płomiennie rudych włosach i mocno sterczących piersiach o czerwonych sutkach, dobrze widocznych pod przezroczystym peniuarem. Żyłasty żerca z obwisłym cieniutkim wąsem miał na sobie tylko skórzane, włochate gacie z bobra i Mieszko wiedział, że w innej scenie z chęcią by mu dopomógł, jak zwykł był mawiać: „Wzięliby ją we dwa kije”, bez żadnej słowiańskiej lipy i lelum polelum, ale to było jego solo i księżę nie zamierzał się nim dzielić. Skinął niedbale głową i pomasował się po jajcach, tak jak to wcześniej ustalili. Żerca dokończył prezentację – córka Przemyślidy, hradecka kniahini, księżna Dobrawa.

Czerwonowłosa zrzuciła podomkę, podeszła do księcia i naga, gładko wygolona, klęknęła poddańczo przed Mieczem na Germanów. Oczywiście patrzyła mu w oczy i rozchyłała usta dobre do szeptania czułych słówek i pieśczot oralnych, bezwstydnym i pogańskim. Miśko Piast zmierzył ją z uznaniem spojrzeniem i nie odrywając wzroku od branki, rzekł sentencjonalnie do maga:

– Gdzie taki włos błogi, tam ogień w rzyci srogi...

– No wa! – zaśmiał się żerca i dał dowód erudycji, w którą trudno byłoby uwierzyć późniejszym kronikarzom – jakie *benedicte*, też *oremus* taki.

– Sami byście ją, świszczypało... Już ja was znam, druidów–lubieżników.

Mieszko kręcił z zadowoleniem wąsa. Sieciech wciąż się śmiał. Wiedział, co się wydarzy, i nie opuszczał go nastrój swawolny. Wszak nie w każde święto paproci dochodziło do książęcych zaślubin.

– Choć u mnie broda siwa, jeschcem niezganiony – zarymował jak filid, których sztuki uczył się na Świętej Górze u jednego z tamtejszych celtyckich plemion, podczas wyprawy do Krain, na tereny Ślęzan. – Czosnek ma głowę białą, a ogon zielony. Wszak wiesz, księżycu: im kot starszy, tym, jak to mówią, ogon jego twarszy. A i dąb, choć mieścy przeschnie, choć list na nim płowy, przedsię stoi potężnie, bo ma korzeń zdrowy.

Miśko docenił wica. Ale pora już była po temu, żeby od słów przejść do heroicznych czynów.

– Gdyby się godziło panny jak konia spróbować, nie zawadziłoby sobie kęs podmałżonkować... – zwrócił się do półnagiej bogini.

Nie zaskoczył jej. Dobrawa wiedziała, jak się prowadzi taką politykę.

– Daj, ac ja pobruszę, a ty poczywaj... – zaszumiała gardłowo, a potem dokończyła rozwiązywanie książęcych portek. Koszulę Mieszko zdjął już sam i napiął mięśnie. – Mmm, o tak... jaki on, mhmmm, dostojny, a przaśny...

Chluba Mieszka, Berło Słowian, Oszczep na Dziewice, sama wyskoczyła na główny plan. A rzeczywiście było co podziwiać. Organ pierwszego wśród Piastów jaśniał płowo jak dobrze przesuszona kośba z nostalgicznych równin, prężył się stalowo, włócznie wojów szarżujących do walki, klinga nigdy nietępiącego się miecza. Tyle tylko że Dobrawa nie na darmo

nazywana była – z szacunkiem, wiadomo – czeską–kurewką–nie–do–wyjebania. Nie tylko się nie złąła, ale ogrom wyzwania dodatkowo zmobilizował ją do działania. Wzięła go do ust, patrząc w błękitne oczy księcia, z rozkoszą, jakby jadła pierwszego w życiu knedla. Legli na łożę, pod powałę poniosły się jęki i postękiwania.

Miśko, spłodzony przez niedźwiedzie, karmiony mlekiem turów, przez wrogów z północy zwany Dagonem, Sinym Smokiem, przez wrogów ze wschodu Czerwonym na Pysku Knurem, a przez Germana skurwysynem, zabrał się z zapalem do dzieła.

Kiedy już nabrzmiał po królewsku, zaprezentował brance żelazny wachlarz słowiańskiej *ars amandi*. Najpierw oralnie, na przystawkę: wąsem w węża; potem na groch z kapustą, klasyczny anilingus. Następnie szybko, patriarchalnie, przeszedł do sedna.

Zrobili to na topielca – głową w dół; na bałagan – po piwku; na bigos – wszędzie po trochu; na cwaniaka – z palcem w tyłku; na żur – z całym jajcami; po kmiecemu – kłonicę dzierżąc w dłoni; na Teutoński Młot – z analnym impetem; na dzika, na borsuka, na łasicę – ze sprytem, ruszając wąsiskami; na dziada – z brodą między udami; wreszcie na lenia – drapiąc się po brzuchu. Książę umęczył się srodze, ale było to zmęczenie walki, radość zwycięstwa, znój łowów: smak, jaki miewa miód, kiedy pod zimnym niebem, pomiędzy opadłym listowiem, zmywasz ze skóry dotyk żelaza lub krew ubitego zwierza.

Sieciech stał w cieniu, świadkował zaślubinom, strażnik tradycji na straży macierzy; uciskał przez portki nabrzmiały korzeń. Na koniec, na piękne, różowosutkie piersi o idealnym kształcie, Miśko wykonał swoje popisowe miodowe chluśnię-

cie mocy.

– *Bravo! Bravissimo!* – rozległo się spod ścian komnaty, kiedy władca ocierał spocone czoło, a Dobrawa lubieżnym ruchem rozprowadzała szczodry książęcy dar po swojej gładkiej skórze i krągłym, jędrnym wianie. – Genialne! Tak się rodzi historia.

Książę, zmęczony, ale niepokonany, uśmiechnął się promiennie, szczerze, jak tylko Słowianie potrafią.

– Tylko po co, powiedz mi, proszę – kontynuował głos – był ten *product placement* adidasa na kłacie?

Książę wzruszył ramionami i zszedł z załanego skórami łoża. Ktoś podszedł i podał mu plastikowy bidon z rurką, wypełniony napojem izotonicznym. Jednym ruchem odkleił wąsy i okrył się przyniesionym ręcznikiem, grubym, frotowym, jak skóra odyńca.

– Aaa, czytałem gdzieś, że oglądają nas piłkarze na zgrupowaniach.

Zapalono światła, piastowskie pomieszczenie zniknęło w blasku lamp. Na planie *Mieszka I – Księcia jebaków* kończył się kolejny znojnny dzień zdjęć.

* * *

Pierwszego grzmota zobaczył, kiedy miał trzynaście lat.

Jak na standardy czasów sieci, byłby już szkolnym emerytem o przyklepanym celibacie, stworzeniem smutnym i godnym pogardy, które nigdy nie zaznało krzepiącego uchwytu dzidy w dłoni, ale te czasy miały dopiero nadejść. Tymczasem zaczynały się ortalionowe lata 90., wąs piął się rażno po ogorzałych twarzach sąsiadów i wujków, ciocie tapirowały włosy na sztywno, na pojedynczych lokach można było ostrzyć

żyłki, wystawy sklepów zapłonęły kolorami, jak zorza, jak tęcza, a ojciec Kałamarza, Łukasza Nawojki, grubego ciula i strasznie fajnego kumpla, przywiózł z Niemiec pornosa. Był to włochaty *lesbian fetish MILF production*, o czym Paweł wtedy jeszcze nie wiedział, tak jak nie zdawał sobie sprawy, komu musiał possać kule ojciec Nawojki, za czasów PRL-u pracownik handlu zagranicznego, żeby udało mu się go zdobyć, wyłowić jeszcze zza żelaznej kurtyny; a kiedy dorósł, miał już, by tak rzec, inne kule do possania i meandry kariery ojca Kałamarza niespecjalnie go interesowały. Tymczasem zbliżał się ten dzień, kiedy życie Pawła Łazarczuka, do tej pory pozostające w młodzieńczej, kwantowej superpozycji stanów – mógł być każdym, policjantem i lekarzem, a przynajmniej wciąż umiał o tym marzyć – skonkretyzowało się, obrało cele, jakby uzyskało własną wolę, i zmieniło się nieodwracalnie.

Kałamarz dał wtedy cynk na fizie, że ma cymes towar i jak chcą, to mogą urwać się z wuefu i go u niego zobaczyć. Paweł, przez kolegów zwany bez miru Kuleczką, nie trzymał z największymi kozakami z klasy, przez co ominęło go wczesne dorastanie i pokuszenie nałogów, poznawanych od najmłodszych podstawówkowych lat, ale tę informację usłyszał, a, o dziwo, tym razem nikomu nie chciało się pogonić kujona. Może myślano już o labiryntach dojrzałości i słodko-słonych głębiach, w które kolejny raz – ojciec Nawojki nie zawodził od tej strony nigdy – przeniosą ich obrazy oglądane w opustoszałym domu, tuż przed powrotem rodziców z pracy, z duszą na ramieniu i ciśnieniem w spodniach? Poszedł więc ze wszystkimi.

Kałamarz mieszkał za mostem, już na peryferiach miasta, kiedyś w dzielnicy czerwonych notabli, później na osiedlu błękitnych kołnierzyków; już w podstawówce, żeby się tam dostać, trzeba było nieźle przebierać nogami. Szli więc rażno,

w nierównym szyku, pod upalnym słońcem kiełkującego lata, nerwowa gromadka milczących gnomów, którą ktoś wypędził spod ziemi na światło, ikona niewinności i przygody, idealizowana we wspomnieniach i amerykańskich filmach. Marsz młodzieńczy jak metafora życia, dojrzewanie zakłęte w czynność fizyczną, radość, strach, ciekawość i odwaga skupione w jednym popołudniu: uczniowie na wagarach. Powtarzający nieświadomie szlak, jakim setki przeszły przed i tysiące pójdą za nimi.

Jak na doświadczenie graniczne, wydarzenie formujące przystało, Paweł – jeszcze nie zdając sobie w pełni sprawy z rangi zajęć, w których uczestniczył, ale już czując doniosłość chwili, lęk dojrzewający w dole brzucha i podenerwowanie – zapamiętał wszystko: upał, pot pod pachami i na karku, zapach rozgrzanego asfaltu, czarne rośliny widziane z mostu, w głębi brunatnej toni leniwie kotłującej się rzeki. Fizjologiczno-genitalne docinki towarzyszy w występku, które nie w pełni jeszcze rozumiał, nerwowe śmiechy, dużo milczenia. Podwórko domu rodziców Kałamarza, wysoki płot obrośnięty bluszczem, szary chropawy tynk na ścianach.

Kiedy już weszli do środka, a Kałamarz upewnił się, że rodzice rzeczywiście, zgodnie z grafiką dnia, są wciąż w pracy, rozsiedli się w pokoju dziennym na sofie, fotelach, dywanie o długim włosie, Kałamarz zasłonił okna ciężkimi bordowymi storami, przyniósł z lodówki oranżadę w dużej plastikowej butelce – to było jego popołudnie i miał chłopak gest – aż wreszcie odpalił czarne, wielkie, wypasione, lśniące jak artefakt od obcych VHS. Z powrotnej drogi do domu Paweł nie zapamiętał nic. Jakość filmu była idealna.

Przejście na stronę fizycznej dojrzałości dokonało się nocą, jak na mitologiczne transformacje przystało, w ciemno-

ści pokoju i waginalnej duchocie naciągniętej wysoko kołdry. Paweł był jedynakiem; do tej pory nie umiał się z tym do końca pogodzić, od tego dnia zaczął ten fakt błogosławić. Leżąc w łóżku, samotnie, nienękany niczym towarzystwem, dodał dwa do dwóch, poskładał rzucane coraz śmieiej – w miarę postępu filmowej akcji – uwagi kolegów i przypomniał sobie wstawkę z wąsatym dominatorem, który pojawił się na ekranie i wywarł na nim piorunujące wrażenie, i wiedział już, co robić. Słodko-dotkliwe napięcie, które nie opuszczało go, odkąd rozstali się przed drzwiami Kałamarza, wreszcie podpowiedziało mu, co robić. Gorącą dłonią ujął rozpalone ciało, zamknął oczy, otworzył się na zapamiętane obrazy. Widok nauczycielek już nigdy nie miał być dla niego taki sam jak wcześniej.

Kiedy skończył, w bolesno-ekstatycznym skurczu, pierwszy raz, ze strachem i dumą odkrył, że dłoń i poszewka kołdry pokryły się ciepłą, lepłą wilgocią. Nie bardzo zdając sobie sprawę, co robi, polizał palce. Płyn smakował przepocnym podkoszulkiem i dorosłością; uświadomił sobie, że wkacza w wiek męski. Nie wstał, nie wytarł się, nie oczyścił pościeli. Zasnął w młodzieńczych sokach, przez noc wytarzał się w nich jak zwierzę w swym zapachu, nasiąkł nimi. Kiedy zamknął oczy, dziwnie ociężały, wciąż pobudzony, napełniony niedającym się sprecyzować lękiem i wielką ekscytacją, śniły mu się ogromne, obłe oparcia sof o naprężonym obiciu i sterzących, twardych napach, rozchylone miękko drzwi, zapraszające w ciepłą, wilgotną ciemność wijących się za nimi korytarzy, gęste, wełniane dywany o długim włosie, bardzo włochoate, zaplatające się między palcami; śnił twarde, potężne butelki z nagazowaną oranżadą, mające zaraz wybuchnąć, i wreszcie wybuchające, kaskady płynu leją się pod ciśnieniem na dłonie i twarze, gazowana ekstaza, i usta, więcej spijających

ją, lepkich ust. Obudził się i wiedział, co musi zrobić. Zaczęły się dla niego intensywne lata.

Skromną sztukę dawania rozkoszy manualnej doprowadził wkrótce do perfekcji. Zaczynał od klasycznej domowej partyzantki, kolejne kręgi przyjemności rozkręcały się po coraz szerszych ramionach spirali. A więc najpierw sypialnia i to, co w ciemności nocy; potem łazienka, początkowo w wannie, pod pierzyną pary. Ale szybko zaczął przełamywać najoczywistsze lokalizacje i naturalny dla wszystkich onanistów pasjonatów harmonogram dnia. A więc: już nie tylko wieczorem, nie tylko o zmierzchu, ale też rankiem, przed wyjściem do szkoły, i w południe, przed obiadem, w jasności, w blasku, w mocnym popołudniowym słońcu. Czuł, jakby po latach astmy zaczął wreszcie oddychać pełną piersią.

Już wkrótce człapał klonem wszędzie, gdzie tylko się dało. Wstawał wcześniej i prężył strunę przed wyjściem z domu, a potem pędził, żeby zdążyć do szkoły przed pierwszym dzwonkiem, gdzie majestatyczne, secesyjne łuki framug i sklepień w męskich toaletach, a był sumienny i przerobił wszystkie na każdym z trzech pięter, wprowadzały go w uniesienie i skłaniały do tym bardziej entuzjastycznego przycinania knota. Jak się okazało, szkolne kotłownie – i poszczególne klasy, i schowek na szczotki, i pachnący męską przygodą kantorek wuefistów, i pokój nauczycielski, w tych rzadkich chwilach, kiedy wabił pustką i nie było w nim nikogo – od tej strony również nie miały się czego wstydić. Przed powrotem do domu zniknął na chwilę za przystankiem autobusowym, by zagiąć rurę, a wiatr czule pieścił rozpaloną głowę i ciało. Już wkrótce poznał smak ryzyka przed zamkniętymi drzwiami sąsiadów, w piwnicy, w windach poszczególnych bloków na osiedlu, w pokoju rodziców, w szafie z zimowymi kurtkami,

wdychając dusząco słodką woń kulek na mole, albo nad wielkim błyszczącym zapraszająco kuchennym stołem.

Gdy wychodził w plener, dbał, by robić to z klucza faunistycznego: walił konia, dusił węża, głaskał karpia, patroszył śledzia, rozciągał węgorza, drażnił byka w parku pomiędzy ławkami, poganiał muła, ujeżdżał źrebie, budził smoka na polnych ścieżkach, nad rzeką, za miastem. Gdy był w nastroju refleksyjnym, florystycznie, niespiesznie prostował banana, łupał orzecha, łuskał kaczana, golił ogóra na działkach, patrząc z uznaniem na dojrzewające plony, pompował gruchę, opędzając się od os, gładził grzyba, gdy zażółciły się liście. Przeszedł szczęśliwie etap, gdy po stolarsku heblował belę, rzeźbił strzałę, muskał pieniek, frezował trzonek i szkolił majstra wszędzie, gdzie na dłużej przystanął. Po ślusarsku, dla fanaberii, prostował gwoździa, toczył tuleję pod obwieszonymi zardzewiałymi kłódkami osiedlowymi garażami, studził pręta, przekładał wajchę, a w dni dżdżyste i chłodne, kiedy nie wychodził z domu, niespiesznie, w swoim rytmie brał się do klepania kowadła. Ale nie zawsze było tak sielankowo – w chwilach militarystycznej złości z gniewem i dyscypliną ćwiczył młodego, musztrował jegra, aż furczało, polerował kolbę, smarował lufę, skręcał wyciora, przeładowywał gnata, szorował zbroję i do upadłego, do znoju, do braku tchu gonił kaprała. Gdy wyjeżdżał, zawsze pilnował się, żeby robić to z klucza narodowo-etnicznego: cesał murzyna, łupał tatarzyna, na ścianie wschodniej przepędzał ruska, ale też skalpował wodza, mając w pamięci rozległe niziny śródpolskich równin, w nastroju bezpieczeństwa niańczył smerfa, a w momentach szczególnie przykrych bił niemca w hełm. To były piękne i groźne chwile, fascynujące pięknem i grozą, jaką mają nieodkryte lądy i nie-napisane księgi. Kiedy prawie przyłapano go, gdy zaszyty w

zieleni parku próbował trafić łabędzia, myśl o bieli na białym tle wprawiała go w niepokojący, filozoficzny nastrój, zdał sobie w pełni sprawę ze społecznego ostracyzmu towarzyszącego podobnym praktykom. Od tej pory stał się ostrożniejszy, jednak dzieła ejakulicznej partyzantki nie porzucił do końca, nie pozwalała mu duma, poczucie obowiązku i rozpalony wąż wijący się na dłoni.

O dziwo, koleżanki ze szkoły nie interesowały go w ogóle. Albo były za chude, albo za grube, ubrane workowato, obojętne lub opryskliwe, nieuległe, na pewno nie pachnące farbą drukarską, choć kto wie, może wydepilowane? (Ta myśl budziła w nim na krótko głębsze zainteresowanie). Zasmakował za to w magazynach erotycznych, które jak kwiaty wolności zakwitły na półkach uwolnionych ekonomicznie punktów z prasą i licznymi stolikach porozrzucanych w strategicznych punktach hali targowej. Odtwarzacza wideo się nie dorobił, na wizyty u kolegów wkrótce stał się zbyt blady i za stary. Za to w wieku, w którym rówieśnicy godzinami kopią piłkę, ćwiczą wina na ogniskach i – ci o największym farcie – naprawdę poznają pod namiotami smak dziewczęcego ciała, a zbierają najwyżej barwne opowieści o kacu i epickim pawiowaniu na imprezach w parku, z przyjemnością odkrył w sobie żyłkę dojrzalego kolekcjonera. Wyszukiwał ze znanstwem pierwsze numery „Nago”, „Peep Show” i „Seksrety”, śledził perypetie wydawnicze „Foto Sexu”, swojsko-siermiężnego „Wampa” i „Erotykonu”. Znał nazwiska modelek – prawdziwe bądź przybrane – wiedział, która i pod jakim pseudonimem pojawiła się w poszczególnych publikacjach. Doceniał nordycki profesjonalizm „Catsa”, „Raportu”, „High Society” i „Playstara”, zamiast „Brava Sportu” i „Popcornu” podczytywał „Twój Weekend”, rozczulała go stosunkowa niewinność pojawiających się tam

zdjęć, zawsze zasłaniających to, co najistotniejsze, z modelkami o rozchylonych ustach zastygających tuż nad kolorowymi gwiazdkami, pod którymi skrywano wyprężone fallusy i otwarte na oścież waginy. Kiedy po dwóch numerach zawieszono wydawanie „Penthouse’a”, naprawdę zapłakał. Pisał listy do redakcji i próbował swoich sił, tworząc pieprzne erotyczne opowiadania słane na konkursy. Raz wygrał, pocztą przesłano mu *Kompleks Portnoya*, ale nie przeczytał książki, uznał ją za hardkor dla dewiantów i dziwaków.

Miłością potężną i prawdziwą, niespodziewanie dla samego siebie, pokochał też komiksy, które razem z pornobiznesem przekroczyły granice uwolnionego z historycznej homeostazy kraju. Już wkrótce, z utęsknieniem nie mniejszym niż to towarzyszące oczekiwaniu na nowego „Wampa”, oczekiwał na następne numery kolejnych –manów. Ileż to stron skleił z płomiennowłosą Mary Jane, dziewczyną Człowieka Pająka, z Gwen Stacy o wąskiej talii, zawsze nienagannie ubraną... Wyczekiwał nowych odcinków *X-Manów* z czarnoskórą Storm o białych oczach i włosach jak wybuch na Słońcu, piękną w tym swoim wyciętym głęboko w pachwinach, futurystycznym wdzianku, i sam nieudolnie próbował szkicować Jean Grey w niegrzecznych, wyuzdanych pozach. Śnił o lolitce Jubilee i lateksowej Kobiecie Kot, bardzo dojrzałej, dominującej w snach. Obcisły trykot Czarnej Wdowy rozciągającej się w kadrze niczego nie ukrywał, kobiece krągłości, pasma mięśni i sutki były widoczne jak w atlasach anatomicznych; zastanawiał się, jak w stroju pokojówki i z odkrytymi piersiami wyglądałaby Lois Lane. To były jego pierwsze miłości, losy tych kobiet – tak prawdziwych mimo wyimaginowanych przygód oraz niewprawnej kreski ilustratorów, którzy nigdy nie zawahali się, malując na wieczność wydepilowane kobiece pachy i nogi dłu-

gie jak wymarzone przez mężczyzn fallusy – śledził z prawdziwym zaangażowaniem i emocjami. Bał się o nie, cieszył wraz z nimi, kibicował im i wygrażał tym, którzy je poniżali; cokolwiek by o nim mówić, nad ich podobiznami wytapiał świecę zawsze z czułością i bardzo delikatnie.

Później błogosławił ślepym bogom losu, że były to wciąż czasy, kiedy nie istniał powszechny dostęp do sieci. Gdy nieco dorósł i spojrzął na swoje życie z tej krótkiej perspektywy, jaką daje drugi krzyżyk na karku, ze stoickim spokojem zdał sobie sprawę, że w zalewie dwu-, trzyminutowych filmików zatraciłby się zupełnie, z lubością dałby się pochłonać, strugałby wtedy kloca nawet podczas jazdy autobusem i wspólnych rodzinnych obiadów. Jedno, co może by się nie zmieniło, to matura: nieważne, z siecią czy bez, zdałby ją prawdopodobnie tak samo. Drugim z przełomów w jego życiu, wydarzeniem naznaczonym brzemieniem dotknięciem fatum, stał się bowiem egzamin dojrzałości. Dotknęło go wtedy nienazwane, świat pokazał mu swoją utajoną twarz i bez maski rzekł, co chciałby, żeby czynił dalej. Paweł Łazarczuk wkroczył w wiek dojrzałych cudów.

Początek ostatniej licealnej klasy nie zwiastował jeszcze gromu i lśnienia. Jak miał w zwyczaju, Paweł wciąż często wyginał pałąk, w szkole przebywał tylko tyle, ile było to konieczne, by dyrektorka nie zadzwoniła do rodziców i nie zrobiła dramy, nieśmiało zaczął uczyć się na siłownię, karmiąc i tam uwielbienie dla ciała, raczej unikał rówieśników i sporo podróżował wewnątrz. Stopnie miał niezłe, to znaczy przeciętne; na tyle przezroczyste, żeby nie rzucać się w oczy ani rodzicom, ani nauczycielom, ani kolegom z klasy. Ale to było względnie łatwe, wystarczyło od czasu do czasu pouczyć się słówek, raz na trzy razy udanie ściągnąć na kartkówce, nie dać

się przyłapać na szkolnym obnażaniu. Widząc, że jest smęt-
nym melepetą, który nikomu nie zalażł za skórę (gdyby wie-
dzieli, jak nietrafna to metafora w jego przypadku), nauczycie-
le przepuszczali go bez bólu serca dalej. Rzecz miała się gorzej
z maturą i powtórkami materiału. Tu już nie było przebaczenia i
Paweł, w słodko-słonych chwilach samotności, już uspokaja-
jąc oddech, z rezygnacją przyzwyczajał się do myśli, że nie zda,
rodzice go wydupczą z domu i z braku innych perspektyw,
biorąc pod uwagę jego predyspozycje, będzie musiał zostać
rockmanem. Myśl, która większą część jego rówieśników
przyprawiałaoby o żywsze bicie tętna, nie wprowadzała go w
ekstazę, gdyż podświadomie czuł, że jest stworzony do innych
celów i większych dali. Tymczasem ze zdziwieniem dla same-
go siebie zauważył, że nieproporcjonalnie wiele czasu spędza
nad nauką polskiego, i wtedy się przeraził.

Nową nauczycielką polaka, która niespodziewanie i
wbrew praktyce przejęła ich w klasie maturalnej, była Natalia
Marzec, pani Natalia Marzec: mała, krępa, niewywrotna, z cał-
kiem słusznym wąsem pod czujnymi nozdrzami, którego nie
powstydziliby się żaden trzeźwo patrzący na życie Madziar,
gdyby za młodu, w ciemno, właśnie takiego mu zaproponowa-
no, głośna, energiczna i ostra jak kurwa na kacu, „pani”, ina-
czej nigdy o niej nie myślał, pani, szkolna domina z rozkołysa-
nymi piersiami. Z zaskoczeniem dla samego siebie odkrył, że
jej jednej z grona nauczycielskiego się obawia – a przecież to
żeńską część ciała pedagogicznego, niezależnie od wieku i
kondycji, fetysz władzy i poddawania się tej władzy, była
przemocnym afrodyzjakiem, od lat pozwalała mu przetrwać
trudne szkolne chwile, pomagała znajdować siły, żeby konty-
nuować edukację. Z panią Natalią Marzec, o słodkim imieniu
niepasującym do nieznoszącego sprzeciwu ciała, było inaczej.

Wzbudzała w nim podskórny niepokój; ale nie strach, jaki przywołują obnażone miecze, pałki nabijane szkłem i noże w bramie, ile raczej lęk, którym tchną wielkie kamienne mosty, niedomknięte drzwi, ciemne ekrany i puste krajobrazy. A jednak to właśnie na polski uczył się najwięcej, czytał lektury, wkuwał bryki, nawet, o zgrozo, zmuszał się, by oglądać *Pegaza* i przeróżne inne najnudniejsze programy kulturalne; nie było to łatwe, bo zawsze, bez wyjątku, nadawano je w porze, kiedy uczniowie już śpią, a jeśli nie śpią, to właśnie zaczyna się czas, gdy najlepiej poleruje się kasztany.

Nie opuszczał lekcji, siadał w ostatniej ławce, spuszczał wzrok i wyczekiwał, kiedy padnie jego nazwisko, zostanie wywołany do odpowiedzi; nie myślał wtedy o niczym, oprócz wieszczy i guślarzy, Wokulskich i zapiętych na ostatni guzik Izabel, i to była miara jego desperacji. Do odpowiedzi zresztą wywoływano go nieproporcjonalnie często, dwoił się wtedy i troił, dukał nazwiska i wyczytane w ściągach interpretacje, nie wiedząc, skąd taka nauczycielska perfidia i zajadłość, przecież na polskim u pani Natalii ani razu nie wycisnął cytryny, nie skropił na samotnej przerwie rododendronów w wielkiej ceglanej donicy ani lepkiej od mokrej kredy gąbki do ścierania tablic. Rzecz wyjaśniła się, kiedy umęczony, osaczony, został w końcu zmuszony do przyjścia na odbywające się w godzinach popołudniowych konsultacje; po prawdzie popierdolił wtedy na sprawdzianie Kordiana z Konradem, ale i tak uważał, że kara jest nazbyt sroga. A przecież jeszcze nie wiedział, co na niego czekało.

Klasa była pusta, powietrze pachniało kredą i czymś jeszcze, czego nie umiał nazwać, ale powodowało dziwne drżenie kończyn, a on stał przed tablicą i rozdygotaną ręką, nie widząc pani Natalii, ale czując, że jest gdzieś z boku i za

plecami, próbował rozrysować schemat fabularny wszystkich części *Dziadów*. W głowie miał jasność, przykręcone rolety w oknach rzucały poszatkowane cienie, słyszał, jak serce bije mu nieregularnie, pompując krew, rozsadzając żyły.

Wreszcie poczuł za sobą ruch i dotyk, dętka zaczęła mu mimowolnie pęcznieć między nogami. Ktoś włożył mu rękę za spodnie, od tyłu, z dłonią dokładnie między pośladkami, i zjechał nią w dół. Paweł oblał się potem, stracił dech, przed oczami mu pociemniało; momentalnie cały zeszywniał. Pani Natalia pochyliła się nad jego karkiem, podciągnęła go za pasek, żeby nie upaść, musiał się oprzeć o tablicę rękami, ale i tak spadał, leciał w dół, w słodką otchłań bez dna, a nauczycielka wydyszała mu w skórę, co teraz z nim zrobi i żeby nie zamykał oczu, i zjechała dłonią jeszcze niżej, zaczęła go pieścić palcami.

Obróciła go, kazała rozpiąć spodnie, sama podwinęła tylko spódnicę, pozostając wciąż w skromnym, brunatnym kostiumiku, bardzo roboczym i dobrze tuszującym niedoskonałości kształtów. Kiedy zobaczył, że pod spodem nie ma bielizny, zachwiał się, coś w nim pękło, resztki myśli uleciały z głowy, spodnie zjechały do kolan, a on w przerażeniu bezgłośnie prosił, zarazem wyzwolony i okiełznany, żeby ktoś go wreszcie tam dotknął, że już dłużej nie wytrzyma, za chwilę eksploduje, tym razem cały.

Nauczycielka pchnęła go na niewygodne krzesło i już miała usadowić na nim swoje niezgrabne ciało, gdy niezamknięte drzwi do klasy otworzyły się i z korytarza, który powinien pozostawać o tej porze pusty, do pomieszczenia wkroczył on. Wicedyrektor Jóźwiak. W rozpiętej koszuli, bez krawata, z szorstkim włosem prześwitującym na piersi, męski jak *homo erectus* żywiący się krwią i ciepłym mózgiem z rozłupy-

wanych czaszek, spocony pod pachami.

Paweł nigdy się nie dowiedział, czy to był rzeczywiście przypadek, czy może nauczyciele sami to ukartowali. Słowa powitania uwięzły wicedyrektorowi w ustach. Całą scenę ogarnął od pierwszego spojrzenia – panią Natalię z podwiniętą spódnicą, której nie opuściła, Pawła sterczącego na krześle z bladziutkimi udami, ogryzek kredy leżący na ziemi pod tablicą – i nic nie mówiąc, tym razem przekręcił w drzwiach zamek. Jednym ruchem zdjął koszulę i pozornie nie zwracając uwagi na ucznia, podszedł do pani Natalii. Posłusznie ściągnęła zgrzebną górę kostiumu, rozpięła koszulę i w białym, bardzo zwyczajnym staniku, jak co dnia obejmującym jej pokaźne i wylewające się poza jego granice piersi, bez słowa, przyłapaną albo dająca się przyłapać, ukłękła na dawno niecyklinowanych klepkach przed wicedyrektorem Józwiakiem. On rozpiął spodnie; pani Natalia nie spuszczała z niego wzroku i wiedziała, co robi się w takich chwilach. Dalej radziła już sobie sama.

A Paweł siedział, otumaniony, przerażony, podniecony do granic, nie mogąc wytrzymać wewnętrznego ciśnienia i zewnętrznej presji, nie umiając nazwać tego, co właśnie się przed nim działo. Nie potrafił oderwać wzroku od nieruchomych wąsów wicedyrektora Józwiaka, bardzo gęstych, szorstkich, równo przyciętych, bardzo niemieckich. Takich jak na filmie, myślał Paweł, w końcu jedna myśl go odnalazła i nie chciała opuścić, zupełnie takich samych, tylko że to działo się naprawdę, w klasie, na tle równo ustawionych ławek, pod wygaszonymi jarzeniówkami.

Kiedy wydawało się już, że pani Natalia skończy, rozchylając usta i pomagając sobie ręką, nauczycielka wstała, otarła wargi, swoim mocarnym, wiedzącym czego chce zadem usiadła na chudych udach ucznia, dłonią pomagając mu znaleźć

wejście do gorącego i tajemnego wnętrza. Wicedyrektor jedną dłonią złapał ją za pierś wyłuskaną z chłodnego atłasu, a drugą ujął własny sprzęt i zaczął karcić łobuza. Pani Natalia odchyliła głowę i gardłowo wydyszała do Pawła, żeby się postarał, bo będzie mu musiała postawić gałę. Przygryzł wargi, jęknął, jakby wzywał pomocy, ale nie miał czasu zdziwić się tym dźwiękiem.

Doszedł dokładnie w tym momencie, w którym z sapnięciem skończył też Józwiak. Jak przez mgłę zauważył, że wicedyrektor, choć dalej miętosił pierś polonistki, nie patrzy na nią, tylko z uwagą, znad wąsów, zerka właśnie na niego. Od tej pory już nic nie miało być takie samo.

Kiedy opuścili klasę, w milczeniu, spoglądając sobie w oczy, przypieczętowując tym spojrzeniem łączący ich sekret, choć czuli wiele rzeczy – zażenowanie jednak nie było żadną z nich – nigdy nie wrócili do tematu. Czasem tylko, kiedy spotkali się na korytarzu, uśmiechali się do siebie dyskretnie, krótko, i badali swoje ciała niebojącymi się konwenansów spojrzeniami. Paweł zdał maturę, z polskiego na mocną trójkę, w dopuszczających ocenach z innych przedmiotów czuł – a może mu się wydawało? – muskularną, opiekuńczą, owłosioną na przedramieniu rękę wicedyrektora Józwiaka. Po ostatecznym opuszczeniu murów szkoły, idąc na studia polonistyczne, których nigdy nie zamierzał skończyć, Paweł Łazarczuk wiedział już, co mu jest pisane. Wiedział, co powinien w życiu robić.

Postanowił, że zostanie porno gwiazdą.

* * *

Nie mógł się napatrzeć.

Ekipa dokręcała jeszcze ostatnie sceny z Sieciechem, trzema z siedmiu pogańskich nałożnic Mieszka i z Dobrawą, tym razem w ciemnej peruce, owiniętą grubymi rzemieniami, książęcą dominatrix. Paweł nie mógł się nadziwić, w jaki sposób grająca ją Isis potrafi się tak zupełnie przeistoczyć. Po całym dniu pracy tylko ona wydawała się wciąż świeża i gotowa do pracy. Ale światło było idealne, ściany z dykty ustawione tak, by udawały chram wróża, a dzienny terminarz zdjęć rozpisany co do sceny. Jak zaś wiedzieli wszyscy, o grafik Edek dbał jak o własną prostatę.

– No, kochani, to już ostatnie sceny, weźmy się w garść, jeszcze pół godzinki, no proszę ja was uprzejmie. Judyta, Kinga, włóżcie w to trochę wigoru. Bierzcie przykład z Isis, no naprawdę zaraz kończymy.

Operator dopił kawę i ustawił się tak, żeby mieć dobry widok, a Kasia, dziewczyna od make-upu, szybko przeleciała po planie i przypudrowała policzki aktorów, piersi dziewczyn i pytonga Sieciecha. Grający go Baruch Benedict przywołał wszystkie umiejętności aktorskie, dokleił mocniej siwego wąsa, przegrywającego walkę z potem, i uśmiechnął się w końcu prawie że promiennie i zawadiacko. Reżyserujący film Edek odrzucił nadchodzące połączenie na komórce, poprawił się na rozkładanym krzeselku, stłumił przekleństwo i przejechał ręką po wilgotnej czaszce. Każdy dzień na planie męczył go nie mniej niż aktorów, i także za to go uwielbiano. Parapety umieszczonych wysoko, niewielkich okien pustego hangaru, który służył im za studio i w którym wybudowano słowiańskie wnętrza, obsiadły ptaki, bracia mniejsi wielkiego orła, rozpścierającego skrzydła na karminowym godle zawieszonym na ścianie.

– I... akcja!

Paweł lubił te chwile po ciężkim dniu pracy, kiedy, niechby i nieco obolały, czuł się częścią większej całości, stał pod betonowymi ścianami, poza okiem kamery, w chłodnym cieniu, i niewidziany przez innych, w swoich ulubionych puchatych kapciach sączył resztki kawy w biało-czerwonym kubku wyniesionym z jadalni. Patrzył. Na aktorów, grę światła na matowej od pudru skórze, na technicznych z ekipy, przyjaznych i profesjonalnych, aktorki w szlafrokach, które pauzowały w poszczególnych scenach, chłopaków wychodzących właśnie spod prysznic, ze swojej garderoby czy z pomieszczenia ze starym telewizorem i kilkoma zniesionymi tam konsolami; pomieszczenie zajmowało dobudówkę, w której mieściła się kiedyś kanciapa ochroniarzy. Stara hala była na tyle duża, że wśród oddzielających poszczególne garderoby gipsowych ścianek działowych można się było zaszyć, złapać trochę powietrza, odsapnąć, nawet zdrzemnąć na wytartej, przytulnej kanapie, którą przytargali tu kiedyś z Edem. Niezauważany przez innych, eteryczny, lekki jak widmo, płynąc w cieniu, Paweł odnajdywał tam siebie.

– Nie, nie, stop. Stop! Cięcie!

– Jasny gwint, Edek, co się, kurna, stało? Żle było? Walnąłem przecież aż miło, sam się dziwię, że jeszcze o tej porze mi się...

– Nie, nie, z tym wszystko w porządku. Ale i tak musimy zrobić dokrętkę. No bo... No, jak ryczałeś w czasie orgazmu, to ci się wąż odkleił.

– Bywa. Biednemu zawsze wiatr w oczy, jak to mówią, i chuj w czarną dupę. No dobra, to dawaj.

Paweł lubił te chwile, kiedy przemieszczał się pomiędzy siłownią i pokojem socjalnym, jadalnią i palarnią, popijając napój izotoniczny z plastikowej butelki, rozdeptując domowe

kapcie i tonąc, tonąc w szlafroku (frota, haft na kołnierzu i ob-szyty jedwabiem pasek w talii, śliski pod palcami). Przegryzał tosty z przyniesionego przez kogoś opiekacza, mało mówił i słuchał. Czuł się częścią całości. Żył ich problemami.

Przy baniaku z wodą stawał pomiędzy weteranami i młodymi, którzy dopiero zaczynali robotę w branży:

– Ty, stary, a w ogóle... Dużo można zarobić na tym całym porno?

– E... nie bardzo.

– No jak to, nie bardzo czy bardzo?

– No niespecjalnie. Ale powiedz sam, podobało ci się?

– No podobało, jasne. Oż ty, podobało.

– Sam wiesz, cienko jest, bryndza jest. Najebiesz się jak głupi, nazadupczasz, a zarobisz, no, powiedzmy, żeby jeździć fabią.

– Czyli co, lepiej by zostać politykiem?

– Nie no, wszystko jest lepsze niż bycie politykiem.

Płynąc przez siłownię, słuchał, jak starsze koleżanki udzielają rad młodszym:

– Bo wiesz, zapamiętaj, dobrze poznać scenariusz już podczas castingowania. Od razu wiesz, co masz zagrać, wiesz z kim, możesz od razu zapisać to w umowie, żeby później nie było zdziwień. No wiesz, tekstów w stylu, że nie godziłaś się wcześniej na anal albo że miało nie być na dwa baty.

– No tak, tak. Racja. Ale czekaj, jak takie rzeczy zapisać w umowie: „na dwa baty”?

Śmiejąc się z zombich zabijanych na ekranie, poznawał nowe żarty:

– Ty, a ten słyszałeś?

– Nie, dawaj.

– Co powiększa biust dziewczyny...?

- Natrysk z męskiej proteiny.
- E, ciulu. Wiedziałem, że słyszałeś.

Albo, na papierosie, zaciągał się intymnie, przepływając w dymie:

- Jedno wam powiem, laski. Wiesz, że czas się zbierać, kiedy chwilę po tym, jak zaczyna ci się dobierać do majteczek, nagle przerywa i mówi, żebyś się nie martwiła krokami za drzwiami, bo matka na pewno nie ma klucza do jego pokoju.

- Albo że kuzynki mają lepsze cycki. Święta prawda.

- Albo czy masz jakieś drobniaki, bo chyba właśnie zajechał facet z pizzą.

- Albo, że jeśli to gliny, to lepiej im powiedz, że nie mieszka z żoną.

- Nie, najlepszy tekst jest inny. Wiem, bo słyszałam.

- No?

- Kiedy cię prosi, czy nie zgodziłabyś się popatrzeć, jak robi to sobie sam. Ustami.

Często rozmawiali też o tym, jak chcieliby żyć lub jak żyją w świecie poza studiem. Kiedy – nie lubił tego słowa – kiedy wracają.

- Bo wiecie, ja nie jestem uzależniony od pornoli. Ale lubię je oglądać raz, dwa razy na tydzień. Trzeba być na bieżąco, wiadomo. No i mam taką dziewczynę, bardzo się kochamy. Cieszę się, że zgadza się prawie na wszystko, co robią na filmach. Ale wiecie, ona nie jest z tych. Nigdy bym jej nie pozwolił, żeby sama zagrała.

- Szczęściarzu.

Paweł dopijał powoli kawę. Wcielająca się w Dobrawę Isis Love właśnie upokarzała malowniczo obrabianego przez książęce kochanice Sieciecha, wszystko zgodnie ze scenariuszem, siekąc zapamiętałe pękiem brzoźowych witek. Dorodne,

jędrne piersi, w tym świetle jakby większe niż we wcześniejszej scenie, kołysały się apetycznie i prowokująco. Paweł nie mógł się napatrzeć.

Isis Love. Dzisiaj, wreszcie, zagrał z nią po raz pierwszy. Legenda branży.

Powiadano, że debiutancką scenę, symbolicznie, zagrała w ostatnim filmie Teresy Orłowski, w którym gwiazda żegnała się z ekranem. Nikt w to nie chciał wierzyć, obliczając daty i spoglądając na wciąż gładkie, jędrne ciało Isis, jednak nawet w najdawniejszych anegdotach dinozaurów porno polo, będących w biznesie od samego początku, już była legendą. Opowiadano, jak przecierała szlaki z pierwszymi niezależnymi produkcjami na gruboziarnistym VHS-ie, organizowała pierwsze *striptease party* w dawnych hotelach robotniczych i woziła kasety z byłego RFN-u, kiedy granica puściła. Prześcigano się w wymienianiu pseudonimów, pod jakimi występowała. Ponoć w latach 90. zrobiła porno rundę przez kraje byłego ZSRR, ciekawa tamtejszych tajników zawodu, gdzie poznała, co to życie. Zawsze dostawała najlepsze sceny, nigdy się nie męczyła, zawsze gotowa, nigdy nie cofała się nawet przed najtrudniejszymi wyzwaniem. Miała ponoć propozycję z samych Stanów Zjednoczonych, lepszego świata, z której wielkodusznie nie skorzystała. W jednym roku zdobyła najważniejsze nagrody branżowe we wszystkich kategoriach – sceny solo i grupowe, parami i trójkami – co przed nią ani po niej nie udało się nikomu. Na gali w Barcelonie, gdzie zamierzano jej wręczyć statuetkę dla najlepszej aktorki Europy Wschodniej, nawet się nie pojawiła, zajęta ponoć prowadzeniem warsztatów *indie* dla amatorów w wynajmowanej mazurskiej daczce. Reżyserzy nie mogli się jej nachwalić, aktorzy wielbili, aktorki chciałyby znienawidzić, ale po kilku pierwszych ujęciach naturalnie,

dziwiąc się same sobie, uznawały za autorytet i gwiazdę, składały hołd randze i doświadczeniu. Producenci próbowali zdobyć aktualny numer telefonu, wkurwiali się wściekle, nigdy jednak nie do mikrofonu, i ze złotozębnym uśmiechem obiecywali najlepsze warunki, byleby tylko zgodziła się u nich zagrać. To zresztą nie byłoby jeszcze nic, co zasługiwałoby na legendę. Tyle że wszyscy, którzy z nią pracowali, opowiadali, że i im udzielał się ten zastrzyk energii, powiew dobrej mocy, fala ekscytacji. Przywiedłe sutki znów się zaróżowiły, jak kielichy kwiatów podrażnione światłem, w ciastowate członki napływała na powrót krew, jasnoczerwona, tętnicza, mocno natleniona. Światło zaczynało się wreszcie układać w zagłębieniach skóry, ciała w lufach kamer wyglądały znów jak ciała, nie manekiny z plastiku i gumy, reżyserom przychodziły do głowy pomysły na nowe ujęcia, odmienne, nietypowe, których nikt jeszcze nie zagrał. Wystarczyło, żeby – zawsze radosna, przed zdjęciami w bawełnianych T-shirtach i dżinsowych szortach, z włosami skrytymi pod czapką z daszkiem, już z rozchyłonymi wargami – pojawiła się na planie. Milcząca, skupiona na pracy, w tej samej chwili dzika i profesjonalna.

Isis Love. Piękna, choć zawsze inna, zmieniająca przed kamerą osobowości jak maski, wulgarna i naiwnie niewinna, dziwka i dziewica, *call girl* i matka; mistrzyni makijażu, doskonale dopasowująca się do każdej kolejnej roli. Zawsze nienasycona, zaspokajana po wielokroć, ale nigdy nie na długo, melancholijnie rozpasana. Chodzący pomnik wyuzdania.

Paweł wycinał jej zdjęcia, kolekcjonował filmy, choć wciąż tyłu mu brakowało, nigdy nie przegapił możliwości, żeby porozmawiać z tymi, którzy rozmawiali z tymi, którzy z nią zegrali. A dzisiaj, po raz pierwszy, sfilmowali ich razem.

Czekał, aż Love skończy grać. Miał nadzieję, że po

wszystkim uda mu się choćby z nią porozmawiać. Miał jej tyle do powiedzenia, że nawet nie wiedział, od czego powinien zacząć.

– No, Baruch – Edek się nie poddawał – jak tam, dajesz radę? Ja ciebie proszę, skup się. Walcz z drągałem, walcz, bo za minutę kręcimy. To już ostatni raz, daję słowo.

– Ech, biednemu, jak to mówią...

– Wiem, wiem. No... jedziemy!

Wielkim wysiłkiem woli Baruch Benedict postawił swego kolosa do pionu.

Ed na krześle reżyserskim pił już chyba siódmą kawę, operator uwijał się jak w ukropie. Uwagę Pawła przyciągnęło wąskie cięcie blasku, jak refleks na spadającym szkłe, które otworzyło się na moment w betonowej, własnymi siłami docieplanej styropianem ścianie studia. To pewnie pan Kaziu, miejscowy żulio – doświadczony przez życie, choć wciąż krzepki, jak sam o sobie mówił: wielki miłośnik kinematografii, który uprosił Edka, żeby mógł zostać portierem przy bocznych drzwiach jedynie w zamian za możliwość oglądania – wprowadził na salony nową dziewczynę. Jutro mieli kręcić sceny zbiorowe, Edek wspominał, że chciałby w nich zaprezentować trochę świeżej krwi.

Grany przez Barucha wróż czarował i czarował, wygrywał z samym sobą i powoli kończył, kolejny raz, więc Paweł zdołał w końcu oderwać wzrok od planu. Nowa dziewczyna stanęła pod ścianą, w sinym cieniu, ale mimo to ją dostrzegł. Niska, bardzo chuda, z niewielką torebką przy piersiach. Cienkie blond włosy, wielkie, wielkie oczy. Przypatrywała się, jak kręcą, potem zdała sobie sprawę, że ktoś patrzy również na nią, ale nie spuściła wzroku. Było w niej coś takiego, że Paweł... Wydawało się, że mu kogoś przypomina, ale nie mógł skoja-

rzyć kogo, dopasować oczu do twarzy.

– I... cięcie! Brawo, panie i panowie, wielkie, wielkie dzięki. Wyszło lepiej niż dobrze. Powtarzam, wielkie brawa. Po krótkiej przerwie dokręcimy jeszcze finisz z „Profesorkiem” i słowiańską branką. Oleńka, gotowa? A my widzimy się jutro.

Ed podniósł się z krzeselka, też dostrzegł nowo przybyłą. Od bardzo dawna, może pierwszy raz w życiu, Paweł chciał do niej podejść, zagadnąć, ale Edek już ją namierzył, zbliżył się, poprosił, żeby poczekała. Zniknął na chwilę w atelier z operatorem, żeby przygotować materiał do montowania. Baruch pił łąpczywie płyn izotoniczny i uśmiechał się szeroko, kiedy tylko zdołał oderwać szyjkę plastikowej butelki od ust, wyglądał, jakby nie mógł się nacieszyć niekończącym się *fellatio*, dziewczyny wycierały strategiczne miejsca wilgotnymi ręcznikami i odbierały *cold packi* od chłopaków z ekipy. Ktoś zaoferował się, że może odgrzać w mikrofali pierogi z obiadu, dobre, staropolskie, znaczy się ruskie, a nie to gównno ze szpinakiem; przyniesiono kawę. Isis, która nie przypominała już ani jednego wcielenia Dobrawy, odpowiedziała skinieniem głowy i delikatnym uśmiechem na podziękowania i gratulacje, po czym w milczeniu, wciąż naga, spiżowo prosta, kołysząc spracowanymi biodrami, skierowała się do odstąpionego jej regipsowego boksu.

Paweł zastanawiał się, czy może jej teraz przeszkodzić. Ale jak nie teraz, to kiedy? Przecież nie będzie tu nocowała. Blondynka pod ścianą wciąż stała, nagle dziwnie samotna i opuszczona, jakby ktoś wyciął ją z tła, jakby tu nie pasowała, i wyglądała na kogoś, kto nieśmiało chciałby, żeby z nim porozmawiano. Paweł dalej nie mógł sobie przypomnieć, skąd zna jej twarz, ale wiedział już na pewno, że kiedyś musiał ją

widzieć. Jakby rekonstruował zapomniany sen.

Postanowił jednak, że najpierw spróbuje porozmawiać z gwiazdą. Odwracając głowę, skierował się do przepierzenia z garderobami.

* * *

Jak w każdym dobrym krajowym genesis: na początku był budynek opustoszałej hurtowni, lewa forsa od tajemniczego inwestora, skombinowana na sprzedaży ziemi pod markety, obiad z burmistrzem, skrzynka koniaku dla komendanta Straży Miejskiej, paczka szlugów na dwóch i pół litra wódki rozpijane nocą, w parku na plantach, kiedy rodzą się plany, oraz student, którego wypierdolono z uczelni.

Paweł poznał Edka, kiedy – zdawszy na polonistykę, gdzie dał sobie rok na rozruch, który przemienił się już w trzy lata – rozglądał się, jakby pchnąć do przodu sprawę życiowego powołania. Poznali się epicko, jak na pogańskich obrzędach, w ekstazie i szale, zawiązując pakt nasienia i krwi, i to było dla Pawła wystarczającym znakiem. Wreszcie znalazł kogoś, komu mógł zaufać. Choć kiedy zobaczyli się pierwszy raz, nic na to jeszcze nie wskazywało.

Huk dyskoteki, w której świętowano urodziny jednego z członków studenckiej braci, był infernalny i ogłuszający. Mikrowybuchy stroboskopu cięły po oczach, lasery w chmurach puszczanego co chwilę dymu wyglądały jak świetliste lance. Paweł nie znał solenizanta, tyle wiedział, że jest z nim na roku; do dyskoteki – trzypoziomego „Big Stara”, betonowego monstrum karmiącego się niezaspokojoną żądzą, sztucznym światłem, naiwnymi nadziejami prawiczków i żółcią wyrzygiwaną do pisuarów tuż nad ranem – przyszedł niezależnie od znajo-

mych z uczelni, jak owad ciągnięty w płomienie widokiem opalonych brzuszków, kolczyków w pępuszkach, rozjaśnianych włosów. Już wcześniej zrozumiał, że ten poziom umowności, kobiecość wzięta w nawias, zabezpieczona lakierem, bez dosadności fizjologii, bardzo mu odpowiada. Z socjale wciąż zostało mu też nieco grosza i zanim podejmie decyzję, co dalej – z wieczorem i życiem – chciał się napić piwa.

Kiedy go zobaczono z wypełnionym dzbankiem, który miał nadzieję donieść na stolik w rogu sceny, wprowadzie nieustannie okadzany ciężkim, cuchnącym dymem, za to znajdujący się tuż przy podeście do tańczenia, zadziałała tajemna magia, dzięki której w chwilach próby ludzie przypominają sobie o swoich przyjaciółach, a bankruci o dawnych kochankach; rozpoznano go, powołano się na solidarność wojowników z tego samego roku i bez awantur, lecz stanowczo zaciągnięto do okupowanego boksu. Poczul się zdominowany. Delikatnie zamrowiło mu podbrzusze i dał się poprowadzić.

Edka wnieśli we trzech, tuż po północy. Wszyscy ryknęli zgodnym chórem; widać, że na niego czekano. Trudno powiedzieć, żeby ktoś z towarzystwa był jeszcze trzeźwy; sekretna umiejętność studentów, pozwalająca zawsze znaleźć piątaka na jeszcze jedno piwo, tracona bezpowrotnie wraz z opuszczeniem Alma Mater, niezmiennie Pawła fascynowała. Jednak powiedzieć o nowo przybyłym, że dał był w palnik, to jak rzecz o studencie w czasie sesji, po całym semestrze okrutnych przygód, że jest nieco nieprzygotowany. Edek – a mówili tak na niego wszyscy, więc nie mogło to być zwyczajnie imię, raczej ksywa wywalczona przez lata używania – przelewał się przez palce, leciał z rąk, coś bełkotał i ciągle się szczerzył. Po czym, kiedy już złożono go między braćmi, wypluł do pustego kufła naprawdę wielką melę śliny, jakby oczyszczał ciało ze

złych duchów podczas pradawnych rytuałów, dopił czyjaś szklankę piwa, wciąż prawie całą, może dlatego że kołysało się w niej kilka spławików kiepów, i podźwignął się po raz pierwszy. Ożywił się – towarzystwo ryknęło; odpluł połkniętego peta – zaśmiano się życzliwie; wyciągnął zmięty jak rekultywowana prezerwatywa banknot i zaordynował piwa – towarzystwo wiło się w ekstazie i zapłakało.

Potem zarządzono zbiórkę: na stacji benzynowej zakupiono wódkę, dobrodziejem, który podsycił ogień chlejparty, był oczywiście Edziu, cudotwórca o kieszeniach przepastnych i promieniujących miłym blaskiem, dodano do niej trzy siatki piwa i postanowiono pójść na akademiki, rozbijać butelki pod oknami biura kierowniczkii. Robiło się już wszak ciepło i nadchodziła wiosna. Walczono dzielnie, pito z gwinta, żartowano grubo i zapijano browarem. Puste szkło butelek, zanim rozprysło się kruchym deszczem drzazg pryskających na twarze, diamentowo błyskało w powietrzu, na moment zamrożone w amplitudzie lotu, odbijające bliższe niż zazwyczaj gwiazdy. Edek zaliczył zgon i podniósł się z popiołów po raz wtóry, akurat żeby zobaczyć zimny ścieg błękitnego światła, kręcący się obłądnie na kogucie policyjnej suki.

Potem był bieg, zamazane obrazy, nogi młójące o chodnik i radosne twarze, zdyszane i zakrwawione, z których wydłubywali sobie nawzajem szklany śrut, komentowali abstrakcyjne wzory cięć i głośno się przy tym śmiali. Potem był nocny klub, do którego nie chcieli ich wpuścić, przepychanka z bramkarzem, raczej zagubionym i zblazowanym niż żądnym krwi skurwysynem, był kolejny ciąg chaotycznych obrazów, sos z kebaba na dłoni i na koszuli, wyglądający znajomo, nasyp kolejowy, niekończąca się droga pod górkę po tłustej zimnej darni, dwa małe światła w oddali.

Kiedy Paweł ocknął się i złapał ostrość wzroku, okazało się, że znów stoją przed akademikami, Edek po raz kolejny znajduje w sobie siły, podnosi się z upadku, gestem czułym, lecz stanowczym oddał podtrzymujące go ramię. Paweł rozglądnął się. Zostali sami. Zaoferował zatem druhowi w występku, żeby się przekimał u niego w pokoju, na weekend miewał go tylko dla siebie.

Gdy już zbajerowali portiera, który chciał się dać zbajerować, też miał kiedyś dwadzieścia lat i umiał się bawić, udali się na odpowiednie piętro. Kiedy rozstąpiły się przed nimi drzwi windy, okazało się, że na korytarzu trwa konkurencyjna impreza; po prawdzie po cichu na to liczyli. Edek zaczął pić niczym wielbłąd alkoholik z syndromem Korsakowa, który od miesiąca nie miał w ustach kropli alkoholu. Padł i heroicznym wysiłkiem podźwignął się po raz kolejny, kiedy już świtało. Do spania kładli się spać wycieńczeni, ale ukontentowani.

Gdy już leżeli na pryczach symetrycznie umieszczonych pod przeciwległymi ścianami – pokój to była dwójka, arystokracja wśród akademickiej zabudowy – Paweł postanowił jeszcze, zwyczajowo przed snem, pomęczyć pawiana. Wymknął się po cichu do wspólnej łazienki, w skarpetkach, bo rozbieranie po bibce było dobre dla przedszkolaków, a ponieważ w czasie libacji ktoś uszkodził w niej zamek, wślizgnął się pod prysznic i zasunął ceratową zasłonę; jakkolwiek by było swoje lata już miał i nauczył się machać kilofem z niejakim umiarem. Kiedy zbliżał się już do końca, drzwi toalety uchyliły się z rumorem i wtoczył się przez nie Edek. Nie sam. Jak się rychło okazało, właśnie bombił Czarną Elkę – była jeszcze Elka Biała, jasnowłosa, ale też piękna i podglądana – jak on pijaną w trzy dupy, ale do tej pory niedostępną nawet w tym pożądanym stanie, obiekt westchnień całego pionu grzesznomysł-

nych mieszkańców Domu Studenckiego „Opania”.

Najwidoczniej nie zauważyli Pawła, zakrytego i wciśniętego w kąt plastikowej niecki; a może widzieć nie chcieli. Elka zaparła się o ścianę, a Edek po raz kolejny tego wieczoru przeżywał chwilę triumfu i uniesienia. Pawłowi zaschło w gardle, podkurczył palce stóp i powolutku, powoluteńku, zabrał się do przerwanego dzieła. Przez szparę w zasłonie, tłumiąc coraz szybszy oddech – jeden z trzech przyspieszających właśnie w łazience – patrzył. Doszli w tym samym momencie, on i Edek, co do Elki nie umiał tego stwierdzić z całą pewnością. Jedno stęknienie zgłuszyło drugie, bliźniacze.

Do pokoju wytoczyli się w pewnym odstępie czasu, niczym się nie zdradzając, czy wiedzą o sobie nawzajem, a Edek już spał, kiedy Paweł kładł się na łóżko i tracił świadomość, zanim jeszcze poddane tyranii grawitacji ciało legło na materacu.

Przebudził ich nieznaczny ból skroni, który wszakże rychło minął, gdy Edek sięgnął do wymiętoszonej, zapoconej koszuli, której nie ściągał od dwudziestu czterech godzin, i z kieszeni na piersi wyłowił kieliszek do wódki i ćwiartkę ogórka, choć żaden z nich nie pamiętał, żeby poprzedniego dnia serwowano zielone. Ogórek był może nieco przywiędły, ale kieliszek cały. To nie mógł być przypadek. Edek zaproponował, żeby rzucić w diabły śniadanie i na okoliczność tego, że właśnie wykopał z kondomówki ocaloną z wczorajszej pożogi dychę, zaprosił na przedpołudniowego browara. Poszli, zaczęli gadać. Porozumienie dusz zostało nawiązane i przypieczętowane.

Podczas późniejszych spotkań Edek mówił dużo, ale o sobie mało. W bliżej niesprecyzowanych okolicznościach wydalili go z łódzkiej filmówki, i o tym opowiadał nad wyraz chętnie, mnożąc i wyolbrzymiając powody skreślenia z listy

studentów, ale resztę jego życiorysu skrywała elektryzująca mgiełka tajemnicy. Skąd miał pieniądze na nocne szaleństwa, kto krył jego wybryki, co robił na co dzień, do kogo dzwonił, kiedy kończyła się wódzia? W plotkach za jego plecami pojawiały się informacje o ojcu ministrze, powiązaniach z ruską mafią, amerykańskim dziennikarzu w trakcie wschodnioeuropejskiego gonzo-reportażu. Edek nie potwierdzał ani nie zaprzeczał; przygoda z kinematografią tłumaczyła przynajmniej, skąd w nim ta mołojcka fantazja i wyobrażenia wizualna. Jakkolwiek by było, na studiach – opowiadał Edek podczas kolejnej domówki, otoczony przez wianuszek studentek pierwszego roku, nieznających jeszcze życia, ale mających silne postanowienie, żeby je w końcu poznać – zgłębił tajniki zawodu, liźnął nieco technikaliów, spotkał właściwych ludzi i nauczył się, jak pewnie i z niejakim rozeznanie poruszać się w gęszczu światowej kinematografii. (Jeśli główny bohater – tłumaczył z obciętą plastikową butelką pełną wijących się dżinów marihuany, klęcząc nad wiadrzem wypełnionym wodą – natłukł wrogów, przespał się z blondynką i zgarnął kupę kasy, to jest to film amerykański; jeśli napisał list do domu i rzucił się z granatem pod czołg kierowany przez wrogów, to jest to film radziecki; jeśli wrogowie sprali bohatera, ale odniósł on nad nimi zwycięstwo moralne, to widzieliśmy film polski; jeżeli zaś bohater nabił przeciwników, ale na koniec popełnił samobójstwo ze swoją kobietą, na tle pięknego pejzażu chmur, to był to owoc kinematografii chińskiej; a jeżeli wrogów pohańbiła cycata uczennica w króciutkiej spódniczce, męcząc się przy tym tak, że aż koszulka przyłgnęła jej do lolitkowatego ciała, jest to arcydzieło japońskie; proste, prawdaż). Paweł wiedział, że trafił w końcu pod właściwy adres.

Kiedy zdradził Edkowi, jakie ma plany – z duszą na ra-

mieniu i korkociągiem w garści – kompan nie powiedział nic, zniknął na dobę, a kiedy pojawił się znów, rzekł, że to myśl genialna, i przetrwał sprawę. Do roboty wzięli się profesjonalnie.

Akademickie doświadczenie nie poszło na marne. Rozpoznanie terenu zaczęli od zamierzchłej przeszłości. Paweł się nieco zdumiał, ale o nic nie pytał. „Ludzie”, usłyszał, „podglądają moczenie ogóra, odkąd przestali żreć trawę. Wystarczy jedynie, że skorzystamy z mądrości pokoleń. Kumulacja wiedzy to coś, co odróżnia nas od małpy”. Zaczęli zatem tę wiedzę gromadzić.

Na necie, w albumach, w monografiach w czytelni, w której nie widziano ich wcześniej nigdy, oglądali namiętnie paleolityczne Wenus, tłuste, bezgłowe, po długim wpatrywaniu się wzbudzające niezdrową fascynację, erekcja, jaka potem się pojawiała, była potężna i bolesna, utrzymywała się przez kilkanaście godzin. Badali greckie malarstwo czerwonofigurowe, sceny hetero, homo i bi, jasne figury na ciemnym tle oddające się pederastii. Freski z Pompejów; egipskie sceny erotyczne z Papyrusu Turyńskiego, seks z królowymi w otoczeniu lotosów i małp; płaskorzeźby z ariańskich królestw, niekończące się sceny gimnastyki z sanskryckiej *Kamasutry*. Przeanalizowali peruwiańską ceramikę Mochica, przedstawiającą postacie figlujących zmarłych, malowane na drewnie japońskie obrazy shunga: zaróżowione oblicza samurajów, zazwyczaj tak surowe, i wszechobecne kimona, rozchylające się w strategicznych miejscach na obnażonych, ostrych jak katany genitaliach. Potem prześledzili wybuch pornografii w nowożytnej Europie, od renesansowych szkiców ciał splecionych w miłosnych zapasach, przez libertyńskie ryciny oświeceniowej Francji, hardkorowe ilustracje do *Justyny de Sade’a*, po wikto-

riańskie seksualne podziemie, pierwsze dagerotypy i fotografie, na których już pojawiały się dystyngowane członki i miłość analna. Komiksowe „biblie z Tijuany”. Amerykańskie magazyny z pin-upkami, podnoszącymi spódniczki przed obiektami w trakcie wojennej hekatombi.

Długa była lekcja porno współczesnego, ale nie musieli się spieszyć, wokół trwała sesja, do której Paweł już nie podszedł, mógł wreszcie rzucić studia i podążyć za swoją gwiazdą, i nie było nikogo, kto by ich rozpraszał. Filmy z lat 70., produkcje kinowe do wspólnego oglądania w przestrzeni miejskiej; lata 80., włochata prząsność i eksplozja tytułów na VHS; ostatnia dekada XX wieku, z technologicznym odchyleniem, piersi pompowane silikonem i mechaniczne monster-fallusy; aż po renesans *indie* w nowym tysiącleciu, czas sieci i amatorów, znów autentycznych, wyprzedzających w tym produkcje profesjonalne.

Edek czasem testował nowo zdobytą wiedzę na studentkach potrzebujących pocieszenia w oczekiwaniu na jesienne egzaminy poprawkowe, ale Paweł stracił nimi nawet to szczątkowe zainteresowanie. Oddał się bez reszty pracy naukowej. Zwłaszcza że w końcu nastąpił moment trudniejszy, kolejny krąg wtajemniczenia z ognia i ptasich wnętrzności, w który musieli wkroczyć, jeśli chcieli posunąć się naprzód. Przegląd rodzimych porno produkcji. Zakupili kratę piwska, narobili kanapek, zwarli poślady i odpalili kompa.

Szybko przelecieli przez klasyki: *Zaporożca w tunelu*, *Uwięzionych w Ikarusie*, *Dildo z Pewexu* czy *Szaleństwa Anki Nimfomanki*; szybko i, o dziwo, bezboleśnie, nawet oglądając *Seksualne wędrówki Andrzeja z Biernatowic*. Siermiężno-swojska stylistyka prędko przestała irytować, rozsmakowali się w wypatrywaniu niuansów i smaczków, które już wkrótce

nie pozwalały im pomylić tych filmów z owocami żadnej innej światowej kinematografii. Nabrali ochoty na jeszcze.

W długim, wyczerpującym maratonie przerobili *Człowieka o żelaznej lasce*, *Chłopców z łona Broni*, *W pustyni i w paszczy*, *Anal z Zielonego Wzgórza* i *Kurewkę Śnieżkę*. Edek pociągał małe łyki piwa z puszki, mrużył powieki i sumiennie notował; Paweł zniknął co jakiś czas w łazience, zamykał oczy i płukał gąbkę. Pracowało im się ciężko, ale satysfakcjonująco. Potem były *Prezerwatywy 4*, *Robin Wzwód*, *Pan sam lodzik*, w którym urzekła ich brawurowa gra aktorska, śmiały koncept i nasycenie emocjami, superprodukcje *Nigdy w rzycie* i *Tylko mnie popchaj*, alternatywny *Tomcio i jego paluch*, wreszcie *M jak Masturbacja*, wprawiający w niejake zdumienie nawet Pawła, czy absolutnie miażdżące *Jądro w ciemności*, które otworzyło im oczy na prawdę. Po wszystkim byli bardzo zadowoleni. Otrzymali więcej, niż się spodziewali.

Edek, jak w malignie, zniknął na kilka dni, a kiedy pojawił się znów, obok kolejnej zgrzewki piwa taszczył zrywkę z Biedronki z wypalonymi płytami. Wyglądał, jakby doznał oświecenia, jakby już wiedział; ale nic nie tłumaczył, niewiele mówił, wcisnął tylko Pawłowi w rękę puszkę piwa i włożył pierwszą płytę do odtwarzacza. Na ekranie pojawiły się *Pulp Friction*, *Robocock*, *Natural Born Fuckers*, *Full Latex Jacket*, *Men in Back*, *Saturday Night Beaver* i *Breast Side Story*, z rzeczywiście dopracowaną ścieżką dźwiękową, *Missionary position: impossible*, *In Diana Jones*, *Filth Element*, *Doctor Do Me a Little* oraz niszowy *Dirty, Hairy*. Paweł, owszem, oglądał je z zainteresowaniem, ale rozumiał niewiele.

Kiedy wyszli z cugu, usłyszał pytanie, czy w tym, co zobaczyli, dostrzega jakieś punkty wspólne, motywy, które się obsesyjnie powtarzają. Po prawdzie dostrzegał ich kilka, ale

roztropnie milczał. To Edek wyjaśnił. Otóż prawie wszystkie z tych obrazów, klarował sucho, oszczędnie, uciekając od ozdobników, by uzyskać precyzję myśli niezbędną w tak podniosłej chwili, za oknami przemijało lato ich młodości, a w małym pokoju w akademiku, opustoszałym na czas kanikuły, zbliżali się do kulminacji, a więc wszystkie najważniejsze z tych filmów to ekranizacje. To nie może być przypadek. Tylko że, ciągnął Edek, jakby prowadził spokojny wykład, choć przecież wyjawiał najgłębsze tajemnice swej duszy, po co kręcić to, co już było, powtarzać się znów, raz za razem? Ukąszenie ambicją, szeptał, rozpoznany w sobie gen wielkości, to rzecz straszna i piękna. A Paweł słuchał i przytakiwał.

Wtedy po raz kolejny objawił się geniusz współnika, antyczna lekcja, ostatnie tygodnie przed ekranem komputera nie poszły na marne. Edek wiedział już, jak nadadzą swoim działaniom szerszy wymiar. Uświadomił sobie, że ich misją jest poszerzanie świadomości narodowej poprzez kręcenie porno historycznego.

Będą tworzyć filmy polskie, zawyrokował, ale naprawdę „polskie”. Ich własne, rodzime, swojskie, przypisane do ducha i ziemi. Paweł słuchał w ogniu zrozumienia i olśnienia, to była jedyna logiczna forma edukacji na nowe ciężkie czasy. Zwłaszcza że Edek nie poprzestawał na samym mówieniu. Pierwszą gwiazdę, dokończył, już przecież mają. Kiedy Paweł doszedł do siebie, przystąpili do kompletowania reszty ekipy.

Edek – od tej pory Ed Sarmacki, występujący tylko pod tym pseudonimem – podzwonił, wyjechał na parę dni, spotkał się z odpowiednimi ludźmi. Techniczni w ich ekipie pojawili się pierwsi, ludzie od kamer i oświetlenia, same równe chłopa, skrzyknięte wśród studentów szkoły filmowej, którym powinęła się noga. Potem doszła do nich emerytowana sceno-

grafka, lubiąca zaglądnąć do butelki, ale kto nie lubi?, wprowadzająca do zespołu siłę spokoju i moc doświadczenia. Na bazę operacyjną wybrano starą, pustą halę po wielkiej hurtowni, która w swoich kamiennych snach nigdy nie mogła marzyć, że kiedyś da schronienie tak pięknym pannom i jurnym junakom. Kiedy już w niej ogarnęli – pieniądze na ekipę niepijących budowlańców też się cudem znalazły – wymalowali wnętrza i podciągnęli solidną kanalizację, przeszli do castingów. Choć mniej kosztowny, ten etap pracy okazał się jeszcze bardziej wymagający. Ale w końcu, metodą prób i błędów, często zostając po godzinach i poświęcając się zadaniu bez reszty, wybrali odpowiednią grupę. Studio RP Productions się ukonstytuowało.

Już wkrótce przed kamerami pojawili się Samuel „Tuberculosis” Radziwiłł–Potocki, ryżawy Baruch Benedict, będący z nimi od samego początku, Lew Bogusz Mickiewiczus, który wcześniej robił w imporcie na wschodzie, znaczy się w papierosach, Mściwój „Mścichuj” Wielki Chrobry, Jan Wieniawa zwany „Batorówką”, a to nie dla długości, jeno krzywizny i ostrości swego ostrza, czy Onufry Longinus, na którego wołano „Profesorek”. Ed bardzo dbał, żeby każdy z aktorów przybrał pseudonim wpisujący się w profil studia. Wtedy to swojego prawdziwego imienia, jak w indiańskich baśniach, mitologicznych inicjacjach, dorobił się też Paweł.

– Słuchaj – rzekł mu Ed – jak to brzmi: „W roli głównej wystąpił Paweł Łazarczuk”? Powiem ci jak, tylko się nie obraż: jak gównu, no sorry, ale właśnie tak. Musimy to zmienić. Łazarczuk–Sraczuk. Ale Lazarus, bracie... Lazarus...

– Lazarus–Ikarus – odpowiedział przytomnie Paweł.

– Otóż to, Pavo. Otóż to.

Do mołojców dołączyły aktorki: Rycheza „Pieróg” Wa-

lewska, Marysieńka Jagiellon, Salomea Plater, piękna jako ten sen złoty, posępna Judyta Rokita, pszenicznowłosa i pulchna Kinga Lubczyk, Oleńka Wierzba-Płacząca, której nie strasznie było stawać naprzeciw przeważających sił wroga, pachnąca maliną Marianna Dusiołek czy Tania Tania.

Wkrótce każdy z Rodziny, jak szybko zaczęli się nazywać, czuł się w studiu jak w domu. Pobudowali na zapleczu garderoby i ścianki działowe; Ed zadbał o odpowiedni narodowy wystrój wewnątrz; w pomieszczeniu socjalnym zawsze czekała na aktorów woda mineralna, drożdżówki z serem i płyn do płukania ust. Ed zachęcał do korzystania z siłowni i po ojcowsku, po przyjacielsku, tłumaczył, jak rujnujące bywają używki stosowane na planie. Pilnował sumiennie, by wszyscy mieli aktualne szkolenia BHP. W zimie pomieszczenia dogrzewały przytulne, bardzo wydajne farelki miejscowego producenta. Latem jeździli nad okoliczne stawy, gdzie – już po sesji – mogli się pluskać i opalać do woli. Zwłaszcza że w branżowym światku szybko stali się znani.

Pan Wkładeusz – Jazda na Litwie, ich pierwsze dziecko, okazał się sukcesem, który przerósł najśmielsze oczekiwania. Budżet mieli solidny, ale mimo wszystko skromny; aktorzy wspięli się na wyżyny sztuki, ale wciąż dopiero zdobywali doświadczenie; scenografka zrobiła, co mogła, dała z siebie wszystko, zagrała nawet w jednej scenie z długim, cętkowanym i krętym, ale czy to mogło wystarczyć, by zdobyć uznanie i sławę? Ed załatwił ogólnopolską dystrybucję, jednak kanały reklamy pozostawały mocno ograniczone. Konkurencja patrzyła na nich podejrzliwie, choć wciąż nie jak na zagrożenie, a raczej na dziwactwo. O sukcesie przesądziło zainteresowanie odbiorców i oddolna akcja błyskawicznie powiększającego się grona fanów. Okazało się, że trafili w niszę i że wcale nie jest

ona tak skromna, jak podejrzewano.

Wieść o nowym trendzie obiegła środowisko w kilka gwałtownych dni. Edek nakupił szampana i chipsów, pobalowali całą noc, przećwiczyli to i owo, a w ciągu następnych dni wzięli się ostro do pracy.

Trud pisania scenariuszy wziął na siebie Ed i całkowicie poświęcił się temu zadaniu, na czas pracy obkładał się tekstami źródłowymi i monografiami, przekąszał tylko dania z epoki, prażone orzechy w miodzie i bób z soczewicą, zaczytywał się w pamiętnikach. W dialogach pojawiały się nawiązania do literackiej klasyki, zawołowane cytaty z listów prywatnych wieszczów, trzynastych ksiąg narodowych epopei, erotyków Potockiego, Kochowskiego i Kochanowskiego. I tak już wkrótce światło dzienne ujrzały: *Bolesław XXXrobry – Raut w Kijowie*, *Sobieski III – Sucz wiedeńska*, skandalizujące, odważne *Na Szweda – Dildem i mieczem* czy *Bunt Chmielnickiego – Tylko w czerń*. Pojawiły się nagrody na festiwalach, wyjazdy zagraniczne, wywiady i występy gościnne, *cocktail party* z największymi nazwiskami branży. Ed doskonale odnalazł się w świecie fleszy i blichtru. Co kilka tygodni zmieniał imidż, zamawiał ciuchy od znanych projektantów, nigdy nie żałował pieniędzy na męską biżuterię i dodatki do marynarki. To podgalał wysoko czerep i zapuszczał gęstego, sumiastego wąsa, to golił łeb na łyso, za ucho nawijał nabrokatowany oseledec i wpinał w nie kolczyk z kryształkiem Swarovskiego.

Zapoczątkowany przez nich trend szybko znalazł naśladowców, jedyną formę hołdu, jaki zawistnicy składają oryginałom; epigonizm to także forma kulturowego uznania. W filmach konkurencji pojawiły się rosyjskie warkocze, szybko rozdzielane kolorowe krajki, drewniane chaty, banie i różgi. Ekran monitorów podbijali Wielcy Mogołowie, Indianie, sro-

dzy wikingowie o skandynawskim podejściu do pruderii obyczajowej i kultu ciała, wreszcie Hunowie, prawdziwy hard z końmi i krępowaniem. Krótkotrwałą popularnością cieszyły się takie filmy, jak *Iwan groźny w gębie*, *Cesarz Sam Hui – Zakazane Miasto* czy *Poświęcenie dziewic – Aztecki anal*. Ale w awangardzie wciąż kroczyło RP Productions, były kolejne nagrody, filmy, festiwale.

Razem z sukcesem, oczywiście, pojawiły się też problemy. Zazdrość konkurencji to siła potężna i straszna. Działalnością studia szybko zainteresowali się dziennikarze, najpierw na szczeblu lokalnym. Sprawę rozdmuchano, pojawiła się darmowa reklama, na której tak im zależało, wkrótce temat RP Productions znalazł się w ramówce najważniejszych serwisów informacyjnych kraju. Jedni wychwalali wolnomyślicielstwo i postironiczne wzięcie nawiasu w nawias, inni bili na alarm, zastanawiając się, jakie są przyczyny i jakie będą długotrwałe skutki podobnej degeneracji znaczeń. Pojawiły się oskarżenia o obrazę uczuć narodowych, komercyjne wykorzystanie symboli państwowych i zły wpływ na i tak już zerodowane pojęcie patriotyzmu. Dla widzów w całym kraju Ed Sarmacki stał się ikoną: bohaterstwa z jednej, a bezmiaru demoralizacji z drugiej strony.

Zapraszany do kolejnego studia telewizyjnego, pod ostrzałem pytań, odpowiadał wtedy, że to tylko kolejny sposób na odzyskanie historii dla popkultury, wzbudzenie nią zainteresowania wśród młodzieży, wszyscy przecież wiedzą, jak trudno o przyciągnięcie ich uwagi. Odwołują się do tradycji i na tym zarabiają, to prawda, przyznawał, ale czy czegoś podobnego nie robią także politycy? Różnica między nimi polega tylko na tym, że politycy jedynie pierdolą, a oni muszą się napracować naprawdę. Nazwę studia rozwijał do „Ruda Pyta

Production” – może to i nieeleganckie, wyjaśniał, ale trudno o inne miano, jak się ma w swoich szeregach Barucha Benedicta (widownia biła brawo); akronimy to broń groźna, ale obojętna. Indagowany o hymn, cytował go na baczność, wszystkie sześć zwrotek z oryginału Wybickiego. Jako ciekawostkę dodawał do nich kilka wersów dopisanych onegdaj po zmudzeniu. Jak tu zresztą nie czuć dumy, pytał wreszcie retorycznie, gdy przechodzono już do samych filmów, widząc Niemca z Wehrmachtu ujeżdżanego przez partyzanta i partyzantkę w skórzanych uprzężach albo Wielkorusa zdominowanego przez zahukaną XIX-wieczną pasteczkę w cyklu BDSM? Nagonka przycichła, dopiero kiedy poszła plotka, że jeden z ich filmów, *Ribbentrop-Mołotow – Pakt na dwa baty*, znaleziono na dyskach twardych komputerów w prezydenckiej kancelarii.

Już wkrótce RP Productions można było pogardzać, ale nie dało się ich lekceważyć. Sukces stał się nie tylko faktem komercyjnym, ale i kulturowym, określił sposób myślenia elit państwowych na długie lata. Paweł czasem zaszywał się w swojej garderobie i nie umiając ani nazwać, ani ogarnąć tego, co go przepełniało, cicho i pokrzepiająco szlochał, próbując znaleźć ujście dla obecnych w nim emocji. Czuł, że im się udało. Płakał i nie wiedział, że płacze.

* * *

Drzwi: biała powierzchnia odmalowana farbą olejną, prawie bez zacieków, złota gwiazdka przyklejona na wysokości wzroku, kupiona w Carrefourze na stoisku z dziecięcymi wycinankami, i cisza za tymi drzwiami.

Paweł stał bez ruchu, trzymał dłoń na klamce i nasłuchiwał. Nie mógł się przemóc. Za drzwiami jedynie Isis Love,

która odświeżała się po całym dniu pracy, ale on czuł się tak, jakby stał w progu wejścia prowadzącego do alternatywnych światów, otchłani wiodącej pod czarne nieba kosmosów poza pojmowaniem; jakby ciało czuło coś, czego nie wiedział rozum, instynktownie go ostrzegało. Nie słyszał nawet szumu wody z segmentu łazienkowego, specjalnie zamontowanego w garderobie dla gwiazdy. Zastanawiał się, czego się tak boi: idol idolem, legenda legendą, ale przecież właśnie razem zagrali. Sprawdził jeszcze raz, czy działa długopis, który wraz z magazynem z pierwszą sesją zdjęciową Love zabrał ze swojej przebieralni, i zapukał, bardzo cicho i nieśmiało.

Długo trwało, zanim drzwi się uchyliły. Za plecami chłopaki otwierały właśnie puszkę z piwem, ale syk uwalnianego gazu już cichł, gubił się, oddalał. Paweł popchnął delikatnie pobieloną powierzchnię, wszedł, zamknął za sobą drzwi i przystanął zaraz za nimi.

Była tam, oczywiście, w ręczniku zawiniętym wysoko na piersiach, w bawełnianym turbanie wokół mokrych włosów. Nic nadzwyczajnego, przed chwilą musiała wyjść spod prysznicą, ale nie mógł się otrząsnąć. Chciał jej tylko powiedzieć o swoim uwielbieniu, o tym, że jest jej wielkim fanem, pogratulować profesjonalizmu, podziękować za karierę i zdradzić, ile dla niego znaczył dzisiejszy dzień, marzył o tym od lat, a tylko stał i się gapił, jak przy plastikowym stoliku, już bez makijażu, siedzi i sączy kawę. Długopis i lakierowana okładka w dłoni zrobiły się nieprzyjemnie wilgotne i śliskie, jakby były tu nie na miejscu. Przynajmniej wiedział, że musi wyglądać jak skończony głupek. To przeważało; wziął się w garść, przełamał.

– Isis...

Rozglądnął się po pomieszczeniu. Niewielkie, ale schludne, nieco większe niż ich przebieralnie, specjalnie przy-

gotowane dla gwiazd, po tym jak już stali się sławni. Na plastikowym rozkładanym krzeselku wisiał zapomniany stanik, przed lustrem, jak na filmach, rozłożono wcale nie tak okazałą kosmetyczkę, pełną lakierów, pędzelków, wacików, buteleczek. Pod gipsową ścianką pomalowaną w tęczowe, hipisowskie wzory łożko polowe, po drugiej stronie materiałowa szafa z Ikei, składana i bardzo pojemna. Z elektrycznego czajnika i zza drzwi segmentu z prysznicem parowała woda. Isis milczała i kontemplowała kawę. Odległa, niedostępna, piękna.

– Wiesz... nie wiem, czy nie przeszkadzam... no, to takie dziwne, że my razem... no przecież ja od dawna jestem twoim wielkim fanem, i w ogóle...

Jąkając się, dukając kretyńsko brzmiące słowa, próbując przerwać ciszę, Paweł zdał sobie nagle sprawę, że czuje wstyd, lęk, nieśmiałość, jakby rozbierał się po raz pierwszy; że czuje to wszystko, czego, jak mu się wydawało, nie będzie musiał czuć już nigdy, przecież się oduczył, uodpornił. Stał tam w pozie niepewności, nagi, choć odziany, znów bezbronny. Zacerwienił się, poczuł, jak gorąco wykwita na twarzy, uderza do głowy. Ale brnął dalej:

– No, wiesz, i widziałem chyba wszystkie twoje filmy, *Nocne szaleństwo*, *Uciechy na plaży*, to było super, naprawdę, *Pusty, samotny dom*... Nawet amatorską *Rozpustę rytualną* widziałem – zaśmiał się nerwowo. – Nie wiem w ogóle, czy to jeszcze pamiętasz.

Zacinał się, powtarzał, a przecież chciał jej tylko powiedzieć, że to dzięki niej odnalazł sens życia, utwierdził się w przekonaniu, co chce robić naprawdę, że to ona, już na studiach, zaważyła na podjęciu tej decyzji; ale pierwszy raz to kłamstwo, które wymyślił sobie jeszcze na początku kariery, wydało mu się tak sztuczne i kiczowate, jakim było, oklepane i

pretensjonalne.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z niestosowności ich stroju, absurdalności sytuacji: on w szlafroku, ona pod kusym ręcznikiem, wciąż jeszcze mokra, okadzona parą z kawy, teraz wreszcie wyglądająca na swoje lata, dojrzała, poznaczona rozstępami i zmarszczkami. I, co wydawało się w tym najdziwniejsze, wciąż wyglądająca najpiękniej, boleśnie kobieca, dopiero teraz prawdziwie potężna i doskonała. To nie to nawet, że Paweł czuł się przy niej jak chłopiec: ale był tym chłopcem, mimo lat na karku i karbów na pycie, zdał sobie sprawę jasno i wyraźnie, że nie mógł z nią porozmawiać, bo o czym – on i ona, zwłaszcza ona – mogliby ze sobą rozmawiać? Drugim zdziwieniem było uświadomienie sobie, że Isis najwidoczniej o tym wszystkim wie, jest świadoma, jak wyglądają, on – i ona, z tymi kroplami wody przetaczającymi się na skórze. I że musiała chcieć, żeby wszedł, chciała go wpuścić, inaczej mogłoby sterceć przed tymi drzwiami choćby pół dnia i nie zainteresowałaby się nim nawet fiut z kulawą nogą.

– No, to wiesz, miło było cię poznać... – zaczął się zbierać do wyjścia, w absurdalnym geście położył czasopismo i długopis na plastikowym blacie, jakby to był prezent, pradawna ofiara. – To ja już pójdę może... Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś będziemy mieli możliwość, no wiesz, że razem... – Zatrzymał się w pół kroku. – Bo ja cię, Isis, no wiesz, po prostu naprawdę...

– Ciii... – odezwała się wreszcie znad kubka.

Nie podnosiła wzroku, wpatrywała się w okładkę ze swoją podobizną. Paweł zachłysnął się, wydawało mu się, że źle usłyszał. Coś się stało z powietrzem, elektryczność jakby podnosiła włoski na karku.

Wstała, z włosów zsunął się przemoczony, ciężki ręcz-

nik. Paweł chciał przyjąć to po męsku, na luzie, z niejakim lekceważeniem, wszak nie należał do świeżaków i jak to mówią, z niejednego już talerza pieroga jadł, ale zabrakło mu tchu. Stał i się gapił.

Kobieta też mu się przyglądała. Jakby coś oceniała. (Te wielkie oczy, ogromne i czarne). Wreszcie najwidoczniej podjęła decyzję. Podeszła, myślał, że serce wybuchnie pomiędzy płucami, przysunęła się, pomiędzy nimi tylko cienka granica materiału, bez niego ciało przy ciele, uniosła się nieco na palcach, ale zupełnie nie jak na filmach, Paweł miał erekcję, tak silną i bolesną, jakby na powrót przeniósł się w nastoletnie ciało.

Coś się działo z powietrzem, z przestrzenią, jakby patrzył przez kryształ albo bardzo grube szkło, albo po długim czasie, zielono-czarnych wiekach, został wydobyty spod wody, zmiażdżony ciśnieniem wzrok powoli odzyskiwał ostrość, na powrót uczył się rozpoznawać kształty.

Zbliżyła swoje wargi do jego ust i tak zamarła, oddech, słony i ciepły, huk w uszach, i krew wściekle pompowana, zamknięte oczy, wreszcie, i jakby coś pękło mu w głowie, cicho i bezboleśnie, błogie pyknięcie, światła i feeria barw, i nagle ostra jak uderzenie świadomość największej intymności, jaka może pojawić się między dwoma istotami – ta chwila, kiedy pierwszy raz dotykałeś jej szesnastoletniej duszy i ciała – moment, kiedy wreszcie, po raz pierwszy, zanika już wstyd, ale jeszcze nie nieśmiałość – jak zareaguje – jak zareagujesz? – na pierwszy dotyk dłoni na dłoni, dłoni na ramieniu, warg na szyi, warg na wargach, dłoni na karku, palców we włosach, palców pod koszulką, dłoni na białej bawełnie bielizny, wilgotnej i ciepłej między udami? Po raz pierwszy, nie do wytrzymania: dotyk młodego ciała, tak samo jak twoje przestraszonego i

niecierpliwego; pocałunek u schyłku nocy, tuż nad ranem, a potem szaleńczy bieg pomiędzy bramami, pod przejaśniającym się niebem; pot, piasek i krople wody na skórze, na plaży, w zimnym wietrze, po pozorowanej walce między wydmami; gardłowy, tłumiony śmiech pod kołdrą, a później milczenie i przyspieszone westchnięcia w parnej ciemności, komunია oddechów, cicho, ciszej, pierwszy raz po tym, jak urodziło się wam dziecko, jakbyście pierwszy raz robili to naprawdę; dojrzały dotyk pomarszczonej skóry, którą znasz od tyłu lat, tuż po przebudzeniu, jeszcze w przedświcie, w łóżku, w którym umrzecie razem.

A potem...

głośny korowód ludzi i zwierząt, dudniące miedziane kotły obciążnięte skórą i dysharmoniczne podwójne flety o piskliwym dźwięku, obrazy w głowie i pod powiekami. Mężczyźni o zwierzęcych nogach, maski, wymalowane twarze. Kobiety rzucające się w ekstazie, ciężki zapach palonych ziół i smród wysmarowanego krwią ofiarną ciała. Cierpkie, młode wino, pite bez opamiętania, wylewające się ustami i nosem, ciekące po brodzie i kroczu. Wielki posąg spiżowego byka, czarnego, o ślepych oczach, górujący na postumencie nad kopulującymi parami ciemna jaskinia, niski strop najeżony wilgotnymi stalagmitami, w wilgoci poblask ognia płonącego w zagłębieniu ziemi, w płomieniach kości zwierząt i małąp, wykonane ochrą malunki bogów na ścianach. Wielka, kamienna macierz. Pod nią brzemienna kobieta w muszelkach i warkoczykach, o umalowanej białą gliną twarzy. Mężczyźni, już nadszy, podchodzą i spółkują z nią z nieprzeniknionymi minami, szum ognia i odległe pohukiwania barwne, utrzymane w pastelowych kolorach freski na ścianach. Wybuchy śmiechu, cynowe patery walające się pod malunkami, fałszywe dźwięki

cytry, wzbudzające dalsze fale śmiechu. Na marmurowym stole w drewnianych misach figi i orzeszki pinii, gliniane amfory pełne słodkiego wina, drogie, szklane puchary. Na leżankach ciała, nagie, spółkujące, tłuste i szczupłe, z ufryzowanymi włosami, wymieniające uwagi, wymieniające się partnerami zgrzyt zamykanej stalowej bramy, odcinającej ostre światło i okrzyki tłumu ponad areną. Zapach ścierwa ludzkiego i zwierzęcego. Krew na jego ciele, smak rdzy i soli, kiedy ściągnie puklerz. Na glinianym podeście idole o zwierzęcych łbach, oliwne lampki z kopczącymi knotami. Oni na ziemi, też jak zwierzęta, ból i rozkosz, spełniona ofiara, kiedy starzy bogowie umierają zniszczone miasta, zawalone dachy świątyń, przekrzywione wieże ze śladami ognia, imponujące ruiny gmachów publicznych, rozpadające się pomiędzy drzewami. Oczy zwierząt w czaszkach ludzkich, chwile strachu i szybkich spełnień w jamach pomiędzy tymi ruinami święte gaje, ognie odbijające się w czarnym nurcie rzeki w czas równonocy, niekończące się gonitwy w ciemnościach, zapach ziemi, mięty i koniczyny, słona woń rozgrzanego biegiem ciała obleżone miasta, trędowaci umierający za ich murami, białe niebo i jasne kości na bezkresnym piasku, wozy tanich kurew ciągnące się za chrzęszczącymi stałą golemami nogi rozkładane na barikadach, frygijskie czapki, długie, brudne bagnety na karabinach opartych o ściany domów z wybitymi szybami. Monety wciśnięte w garść, ale nie monety są ważne. Byleby tylko przetrwać ciasne gorsety, wymyślne uprząże, drewniane atrapy fallusów na skórzanych paskach. Palarnie cygar, nawoskowane wąsy i fryzury z przedziałkiem, afrykańskie posągi starców o poskręcanych kończynach, pomarszczone, straszne twarze. Upudrowaną, chorobliwie chuda Madame, arystokratyczny spleen i żądza pod tą pozorną obojętnością, wiktoriańskie bu-

kakke namioty kantyn, obrzeża miast, ocalałe kabarety. Nalane od alkoholu twarze, czerwone i niewyraźne. Pieniądze i brak pieniędzy, rytuał i ofiara. Byleby tylko przetrwać. Korowód kształtów i gestów, masek i twarzy, pandemonium dźwięków i świateł, chrapliwych zaśpiewów i wotywnych lampek... wreszcie go pocałowała.

– Nikt nie widział ich wszystkich – wyszeptała.

Szarpnął się, zachwiał. Jakby dostał prądem. Zatoczył się do drzwi, przerażony, coś niedobrego działo się z jego oczami.

Wytoczył się, ktoś do niego mówił, ale nie wiedział kto i nie usłyszał słów, tylko dźwięki, na planie kończyli właśnie ostatnią dokrętkę, czuł, że musi wyjść, odetchnąć czystym powietrzem, wyzwolić się spod presji kamieni i sklepień, na planie klęczała jedna z dziewczyn z bezświadomym uśmiechem przylepionym do błyszczących, wysmarowanych nasieniem ust, krzywiąc się w grymasie rozkoszy, do której w końcu i siebie przekonała.

Rozglądnął się i zobaczył podobne twarze. Coś niedobrego działo się z jego oczami. Wreszcie znalazł drogę do wyjścia, strząsnął czyjąś rękę, szarpnął metalowe wrota, uciekł pod nagie niebo.

Płakał i nie wiedział, że płacze.

* * *

– I... akcja!

Na planie kończono kręcić rozpoczęty przed południem film. Na łóżku wiła się jakaś para. Mężczyzna cierpliwie sapał, kobieta była wyraźnie poirytowana. Paweł wiedział, że została u matki czteroletnią córkę, do studia jechała półtorej godziny pociągiem podmiejskim, którym będzie musiała też

wrócić, a robiło się coraz później. Ale półtora tysiąca piechotą nie chodzi, więc gimnastykowała się, wiła i wzdychała. Stał obok w dresie, pod poszarzałą ścianą, która wyglądała, jakby nigdy nie była biała, i patrzył.

Przez ostatnie lata trochę przytył, mimo ćwiczeń, do których podchodził jednak bez wcześniejszego entuzjazmu, a zakola, jak prawdziwe starorzecza, rozlały się na czaszkę dyskretnymi łukami; nie było to nic, co by go dyskwalifikowało, ale nie oszukiwał się, że nie dostrzega tej zmiany. Przestał się oszukiwać. Czekał na swoją kolej, ale nie myślał o tym, tylko zastanawiał się, czy i dziś ktoś się pojawi w drzwiach wejściowych do sali.

Poza okiem kamery snuło się bez entuzjazmu kilka osób. Paweł pomyślał, jak by to było wypływać teraz w puste morze, chłód wody na ciele, odbijająca ostre słońce tafla po horyzont, oczy pełne blasku i soli, a on płynie mocnymi pociągnięciami ramion, robi się coraz zimniej, ale jeszcze tego nie czuje, za nim pozostaje zanikający powoli brzeg, a on płynie, przed siebie, coraz dalej.

Do dziś nie rozumiał, co stało się tamtego wieczoru na planie *Mieszka*, ale nie chciał wiedzieć. RP Productions wkrótce podupadło i czasem nie miał pewności, czy to sława przeminęła tak szybko, czy też nigdy jej nie było i to wszystko tylko mu się wydawało. Nigdy też więcej nie spotkał Isis, która wkrótce najwidoczniej zmieniła pseudonim i stracił ją z oczu, przestał śledzić jej losy. Ale nie żałował, nie szukał kontaktu. Dużo myślał o tym, co się stało, trochę pracował, przychodził na plan i przyglądał się ludziom, chciał przestać, ale nie mógł, teraz już nie, więc przychodził dalej. Umiał już tylko patrzeć.

I widział, przed kamerą, na planie, z każdą twarzą, z każdym obnażonym ciałem: szare życiorysy, smutne obrazy,

dusze jak opróżnione butelki z grubego szkła, oglądane na wskroś, na przestrzał. Przygarbionych mężczyzn wracających do pustych domów, gdy już zejść z planu, ożywających tylko w towarzystwie, ale też na krótko, lodówki świecące zimnym światłem, w których jedzenie pleśnieje tygodniami. Kobiety-żony, kobiety-matki, zostawiające dzieci pod opieką obcych osób albo wiecznie niezadowolonych babć, które wiedzą, czym się zajmują córki, kiedy wychodzą, ale przecież ich nie zostawia, przecież to także matki. Piękne ciała, wyjąłowione sny, niechciane ciąży, niemowlęta powycinane z łona wraz z częścią duszy, która nie odrasta. Były striptizerki, pracownice supermarketów, studentki, tanie prostytutki, żony, które w czasie wolnym od zdjęć robią zakupy w osiedlowych spożywcach, męczą się w urzędach, chciałyby być kochane, rozmawiają z sąsiadkami. Córki nieobecnych ojców, którym spuszczone się na twarze. Nastolatki po ekonomikach, absolwentki uniwersytetów, dojrzałe kobiety, które chciały spróbować czegoś więcej. Rozciągane ze śmiechem odbyty przed kolejnymi scenami, niebieskie tabletki popijane jak witaminy, mózgi wyjezdzone przez narkotyki, niewidzące szare oczy, sprzed których nie da się wymazać raz zobaczonych obrazów. Czarna msza okrucieństwa, spektakl radosnego upokorzenia i nieświadomionej dominacji.

Podrdzewiałe drzwi wejściowe uchyliły się ze słyszalnym zgrzytnięciem, w ich świetle mignął i zaraz zgasł refleks nieba. Paweł odetchnął. To znów nie była ona, nie była nawet do niej podobna, ale coś je łączyło. Może to, jak trzymały torebkę w zaciśniętych piąstkach, może to, jak stały. Nie szkodzi. Była daleko, ale widział ją wyraźnie, jak je wszystkie. Odepchnął się od ściany.

Zauważyła go, dopiero kiedy stanął tuż obok. Wzdrygnę-

ła się, przestraszyła, ale zaraz na pokrytą makijażem twarz przywołała wyzywający uśmiech. Przecież przyszła tu w poszukiwaniu pracy. Przez chwilę patrzył. A potem...

– Cięcie! No dobra, koniec. Paweł, Paweł, kurwa? Gdzie on się znowu podziewa?! Teraz kurwa twoja kolej, dawaj człowieku, dalej, nie będziemy się tu pierdolić do rana.

...bez słowa, bardzo delikatnie i szybko ją pocałował, ledwo wyczuwalnie musnął jej usta wargami.

Odwrócił się i w milczeniu skierował na plan. To na takie dziewczyny czekał. Grał w filmach, tylko tu mógł być z nimi wszystkimi, czuwał, żył. Czekał. Nie płakał, ale wiedział, że płacze. Kiedy spojrzął za siebie, stając w światłach na planie, przy drzwiach już nikogo nie było.

Kochał je wszystkie. Nie mógł przestać patrzeć.

Jakub Małecki
DZIŚ MAM NA IMIĘ AGATA

Dziś mam na imię Agata i jestem intruzem.

Jak zwykle, staram się uśmiechać.

Pośrodku niewielkiej sypialni, w dwuosobowym łóżku z pochyłym wezgłowiem w kwiaty, na materacu przeciwodleżynowym, w zielono-białej pościeli z satyny leży, mrugając oczami, nieruchomy środek ciężkości, wokół którego od trzech lat krąży cały świat.

Powtarza, żebym wyszła. Chce się zobaczyć z tą, która była tu wczoraj.

Z ręcznikiem przewieszonym przez ramię i olejkami do masażu pod pachą siadam na brzegu łóżka, wciągam nogi do góry i wygodnie się moszczę. Wyginając się kocio, z tylnej kieszeni krótkich džinsowych spodni wyjmuję miniaturowego pilota i prztyk – jednym ruchem palca sprawiam, że z rogu sypialni wypływa głos Anity Barker. Zamykam oczy. Przez chwilę pozwalam sobie na fanaberię: wyobrażam sobie, że jest inaczej, że Tamto Gorące Popołudnie nie miało miejsca, a ja i Irek zaraz zaczniemy przerzucać się pomysłami, co robić w rozpoczynający się właśnie weekend. Myślę o wycieczce rowerowej i w tej samej chwili marzenie wygasa.

Wyuczonym, rutynowym ruchem chwytam jego lewą stopę, a moje palce same wyruszają w taniec po miękkiej piętce, mocno ugniatając drzemiące pod skórą mięśnie podszwowe. Przesuwam wzrokiem po wypukłych żyłach, pnących się ku kostce i ginących w jej okolicach, po gładkiej, jasnej i zupełnie bezwłosej skórze, po zgrabnych palcach i starannie obciętych paznokciach.

Pamiętam.

Pamięta.

Po raz pierwszy widziała te stopy w niedzielny wieczór pod koniec upalnego maja dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, kiedy z głową śpiącej siostry na ramieniu, zanurzona w lekturze *Ustroju państwowego Polski współczesnej* Komarnickiego, kołysała się z boku na bok w pociągu osobowym wijącym się powoli torami z Chrzanowa do Krakowa. Wysoki i głośny Irek, uginając się pod ciężarem plecaka niemal większego od siebie, dosiadł się z kolegą w Woli Filipowskiej. Usadowili się naprzeciwko sióstr i nie tracąc czasu, zabrali się do bebeszenia bagaży, z których wyczarowywali kiełbasy, czekolady i ciepłe jeszcze, owinięte w papier kotlety schabowe. Wgryzając się w poniedziałkowe, wtorkowe i środowe zapasy, a w stronę czwartkowych i piątkowych rzucając zaciekawione spojrzenia, raczyli współpasażerów głośną dyskusją na tematy sportowo-polityczno-rozrywkowe. Zapach wędrował wzdłuż wagonu bez przedziałów, głośni dyskutanci próbowali nawet częstować siedzące naprzeciw dziewczyny, ale te – jedna z nosem w książce, druga zaspana i sprzężona z walkmanem – grzecznie odmówiły.

Ustrój państwowy wierzgał wte i wewte, głowa siostry wgniatała się w ramię, a ogrzewanie postanowiło dorzucić swoje pięć groszy do panującego upału. Siedziała tak, z rezygnacją wpatrując się w nagie stopy Irka zamknięte w skórzanym uścisku sandałów, i biła się z myślami, aż w końcu, odepchnąwszy delikatnie siostrę, oznajmiła, że jak mają z kolegą zamiar odgrzać tu sobie jeszcze wiadro grochówki, to proszę bardzo, nie będzie miała nic przeciwko, ale byłoby naprawdę miło, gdyby tę wymianę genialnych myśli i spostrzeżeń prowadzili nieco ciszej.

Poskutkowało, ale rozkojarzona, uczyć się już nie mogła, patrzyła tylko na te zadbane, kształtne stopy, których właściciel przechodził najwyraźniej do wielkiego finału kulinarnej podróźnej masakry – wprawnymi ruchami zagiętego palca wygrzebywał z pękatego słoika miękkie pulpety, oblepione kawałkami warzyw.

Kiedy wydostała się z rozgrzanego cielska pociągu, zatrzymał ją i zaprosił na kawę.

Tak było.

Obracam go na brzuch, a dziewięćdziesięciokilogramowe ciało przelewa mi się przez ręce – raz, dwa, udaje się za trzecim razem – oczy otwarte, ale wzrok nieobecny, głowa na bok, ręce wzdłuż ciała. Milczy.

Wracam na drugi koniec łóżka. Chwilę później wędruję już dłońmi po jego lewej nodze. Krótkie włosy przyklejają się do naoliwionej skóry na łydce – im wyżej, tym zarost jest rzadszy, gęstnieje dopiero pod kolanem. Rozgniatam kciukami mięsień, z miesiąca na miesiąc coraz hojniej otoczony tłuszczem.

Przesuwam palcem po jego ciele i bez zastanowienia wbijam nagle paznokiec, mocno, głęboko.

Irek nieruchomym wzrokiem wpatruje się w ścianę.

A ja pamiętam.

Pamięta: patrzyła, jak jego łydki na przemian pęcznieją i rozluźniają się, kiedy lawirując pomiędzy przechodniami, przedzierali się rowerami przez nasłonecznione Podgórze. Byli parą od niecałych dwóch lat, on wyrwał się już z sideł szkolnictwa wyższego, ją od podobnej wolności dzieliły jeszcze całe cztery semestry. Opadli na wiklinowe krzesła w ogródku jednej z kawiarni rozsianych po okolicy i wystawiając twarze ku słońcu, wdychali aromat przyniesionego przed chwilą cappuc-

cino. Od kilku miesięcy wypijali dziennie od pięciu do dziesięciu kaw na głowę i tyle samo herbat, zwiedzając po kolei krakowskie kawiarnie i puby w ramach postanowienia, by zaliczyć je wszystkie. Nacieszywszy się słońcem, odstawili opróżnione filiżanki i nie spiesząc się, odeszli od stolika w stronę rowerów. Kiedy kelnerka wyłoniła się z wnętrza lokalu, byli już poza zasięgiem jej wzroku.

Tak było.

A dziś mam na imię Magda i jestem jego siostrą, której nigdy nie miał.

Z rękoma śliskimi od olejku opieram się łokciami o materac i robaczym ruchem ześlizguję się z łóżka, przeklinając w myślach tego, komu się zachciało dzwonić do mnie w tej chwili – klask, klask, klask, uderzają nagie stopy o brązową terakotę w przedpokoju, kiedy pół idę, pół biegnę, gorączkowo wycierając prawą dłoń w lewe przedramię.

Spoglądam na wyświetlacz i natychmiast odrzucam nadchodzące połączenie, zostawiając na ekranie smartfona tłustą plamę po wskazującym palcu. Tłumię w sobie uczucie – czego? – to nawet nie złość, ale i nie rezygnacja, nie wiem, coś w sobie tłumię. Miał nie dzwonić, miał przecież nigdy do mnie o tej porze nie dzwonić.

– Kto to? – dobiega z sypialni.

Czy ja zaczynam nienawidzić tego władczego, surowego głosu? Siadam z powrotem na łóżku, wracając do przerwane go masażu.

– Kto to? – powtarza.

– Nikt, znowu od operatora sieci. Można się wściec.

– Zadzwoń do nich później i powiedz, że mają ci już nie zawracać głowy. Jak nie, to ja się tam do nich wybiorę. Nie pozwolę, żeby cię nękali.

– Zadzwońię.

Uciskając dwugłowy mięsień uda, rozcieram olejek wzdłuż seledynowych żył wybijających spod mlecznobiałej skóry i zastanawiam się, kiedy wyczuję pod palcami pierwsze wżerające się w jego ciało odleżyny.

– Zadzwońię – powtarzam.

I wspominam.

Wspomina.

Leżała na wersalce, opierając stopy o jego opalone uda. Szkło kieliszka przyjemnie chłodziło skórę pomiędzy piersiami.

– Myślałem nawet o tym, że moglibyśmy się pobrać – stwierdził w zamyśleniu Irek, stukając palcem w kolano. – Tylko że to takie typowe. No i bez sensu.

– Jakbyś miał nie robić tego, co jest bez sensu, to musiałbyś nic nie robić.

– No dobra, ale są rzeczy bardziej i mniej bez sensu. Ja to bym wziął ślub, gdyby nie było na to takiego ciśnienia. A potem jeszcze koniecznie dziecko. Wszyscy się będą pytać, bo już po ślubie, to przecież trzeba się rozmnożyć. Sprowadzanie bezbronnego człowieka na taki świat; ludzie sobie tego gratulują. Chore.

– A ty nie chcesz?

– Czego?

– Dziecka. Ja wcale nie jestem taka pewna, czy kiedyś mi się nie zachce.

– Gdybym wiedział, że mu się tutaj spodoba i że będzie w miarę szczęśliwe, to czemu nie. Ale przecież najprawdopodobniej będzie odwrotnie. A wtedy co? Co, jeśli zdecydowalibyśmy się na dziecko i ono by wyrosło na takiego bezmózga, który wstaje rano, idzie do pracy, wraca, je obiadokolację, sia-

da przed telewizorem, a potem idzie spać, w weekendy jeździ na jakieś urodziny, chrzciny albo coś w tym rodzaju, bo wypada, w niedzielę w najlepszym razie wychodzi na spacer albo do kina, no bo co tu robić, a raz w roku smaży się przez dwa tygodnie w Tunezji? To już lepiej tego dziecka tu nie sprowadzać. Niech sobie spokojnie nie jest.

– I tak, i nie. Trochę przesadzasz. Co, według ciebie wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi?

– Bywamy szczęśliwi, ale tylko przez chwilę. Na przykład po pierwszej randce, po kupnie nowego samochodu, na początku urlopu, przed mistrzostwami w piłkę nożną, których nie możemy się już doczekać, i tak dalej.

– Nieprawda. Taki chłop z Bieszczad, który bez żadnej refleksji spędza życie wokół domu, nie wiedząc, co to jest szczyt G8 czy karta graficzna, on jest szczęśliwy przez cały czas. Spokojnie, powoli szczęśliwy.

– Jasne, im jesteś mądrzejsza, tym masz większą świadomość bezsensu życia, a co za tym idzie – tym bardziej jesteś zgorzkniała. Najsmutniejsi są wszelkiego rodzaju naukowcy, geniusze, ludzie o wysokim IQ. Ale to niczego nie zmienia...

– To najlepiej wykasuj sobie mózg – przerwała, dolewając sobie wina. – Musisz żyć w takich warunkach, w jakich się znalazłeś, i tyle.

– Ale mogę próbować jak najczęściej się o prawdziwe szczęście ocierać.

– A przed chwilą twierdziłeś, że wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi.

– Ale mówiłem też o tych rzadkich chwilach prawdziwej radości. U mnie to jest zawsze związane z adrenaliną, z czymś skrajnie nietypowym. Ale bardziej od skoków na bungee czy rajdów po pustyni – choć to na pewno w jakimś stopniu też –

fascynuje mnie, żeby na przykład wyjść teraz, tak jak jestem, zupełnie nago na ulicę i zrobić zakupy w Biedronce. Dać się złapać policji. Spędzić noc na dołku. Przegadać ją z bezdomnym. Rozumiesz?

Teraz już nawet nie wie, czy go wtedy rozumiała.

Nie wiem.

Siadam mu na nogach i wypuszczam z butelki kilka kropel olejku, który wsiąka pomiędzy fałdy na jego bladym brzuchu. Rozcieram tłustą maź w dłoniach i masuję porośnięte ciemnymi włosami wspomnienie po gładkim, sprężystym ciele.

W pępku zawsze zbierały mu się farfoły, które wygrzebywałam stamtąd i podstawiałam mu pod nos, mówiąc:

– A co, jakbyś ty mi musiał takie rzeczy z ciała wyjmować? Podobałoby ci się?

Teraz pępek ginie pod miękką powłoką czegoś, co kiedyś było Irkiem.

Zamykam oczy.

Bo przecież pamiętam ten pępek.

Dobrze go pamięta.

Leżała z głową na jego piersi, sunąc mu palcem po brzuchu; czarne włosy unosiły się przed pomalowanym na bordowo paznokciem.

– Mogłabym z pamięci narysować każdy pojedynczy włos, który tutaj masz.

– Włosom z pewnością jest bardzo miło.

– Ten, ten i ten, tu obok pieprzyk, naprawdę, mogłabym. Znam je wszystkie. Zamykam oczy i widzę.

– No ale to właśnie dowód na to, że mam rację. Nie rozumiesz? Dla ciebie tym właśnie różnię się od innych mężczyzn. I odwrotnie jest tak samo: dla mnie zawsze będziesz

kimś więcej niż inne. To my się tak naprawdę liczymy. Wszyscy inni to tylko przygoda. Z iloma facetami, oprócz mnie, spałaś, no powiedzmy, w ciągu ostatnich sześciu miesięcy? Piotrek, Marcin i Bartek... tak? Z trzema?

– Z czterema. Jeszcze Michał, ten znad morza.

– No dobrze, z czterema. A ilu z nich potrafiłabyś tak narysować jak mnie? Każdą bliznę, każdy włosik i pieprzyk?

– Ale co z tego? Ciebie przecież na początku też w ogóle nie znałam i nie potrafiłam narysować. Byłeś obcym terenem, tak jak teraz inni.

– Nie, przecież chodzi o to, co jest teraz! Sytuacją wyjściową jest terażniejszość. Gdyby nas podobne wątpliwości dręczyły wtedy, na początku, to zgoda: należałoby się obawiać, że coś się rozsypie. Ale teraz jesteśmy już przecież dla siebie czymś więcej niż tylko kawałkiem mięsa, ciała.

– Wtedy sobie wystarczaliśmy.

– Tak. Ale co na to poradzisz, że człowiek chce coraz więcej?

– To po prostu takie beznadziejne. Ja bym chciała, żebyś ty mi wystarczał.

– Gdyby tak było, to świat byłby piękny. Wyobraź to sobie: zakochujesz się i do końca życia kochasz coraz silniej. Czyli nie ma zdrad, rozwodów, tych wszystkich małżeństw przesiąkniętych nienawiścią. Rozumiesz? Nikt by się za nikim nie oglądał na ulicy. Po pracy ludzie pędziliby do domu jak na skrzydłach, zakochani bez pamięci w swoich żonach i mężach. A jest odwrotnie. Człowiek się drugiemu człowiekowi podoba coraz mniej, choćby nie wiem jak był piękny. Dla mnie to dowód, że Bóg nie istnieje.

– A ty sobie tego nie wyrzucasz? Bo ja czasem, jak się obudzę w nocy, to męczą mnie wyrzuty sumienia, że pieprzę

innych facetów. A jednocześnie nadal mam wielką, nieodpartą ochotę ich pieprzyć.

– Nie, ja się z tym czuję doskonale. Przecież jesteśmy ze sobą szczerzy, nie oszukujemy się. Spełniamy swoje fantazje i wzajemnie się na to zgadzamy. To co tu sobie wyrzucać?

– Niby tak. Ale ja się cały czas jednak trochę boję. No wiesz, że prędzej czy później któreś z nas się zakocha.

Tak, tak było.

A dziś mam na imię Justyna i jestem sympatyczną panią ze szpitala.

Wykrawam z doby kawałeczek dla siebie: drobnymi łykami popijam espresso, wyciągając się w fotelu w towarzystwie pilota i „Przekroju” z zeszłego tygodnia. Mam na sobie nową bieliznę, sukienkę z głębokim dekoltem i duże kolczyki; na oparciu krzesła wisi jeszcze jaskrawoczerwona marynarka. Za dwie godziny – w powszechnym rozumieniu słowa „zdrada” – będę zdradzać. Dopijam kawę i obchodzę wszystkie pomieszczenia, upewniając się, że okna są zamknięte.

– Po co pani za każdym razem zamyka wszystkie okna? Boi się pani, że mnie ktoś ukradnie?

– Przeciągi się robią. Mógłbyś się przeziębić.

Bo przecież nie powiem, ani na głos – na głos nie ma sensu już niczego mówić – ani sama do siebie, nie powiem, że za każdym razem, kiedy wychodzę z domu i przekręcam klucz w zamku, mam ochotę już nigdy tutaj nie wrócić, nie powiem, jak mogłabym powiedzieć?, że pali mnie pragnienie odejścia od Irka, to już przecież nie jest Irek, i co, że mnie paliło już wcześniej, przed Tamtym Gorącym Popołudniem, i tak każdy pomyśli, że oziębła suka, że jak tylko pojawił się kłopot, to uciekła, dla innych będę zła, będę gnidą, więc nie powiem.

I nie powiem ani na głos, ani sama do siebie, że z przy-

zwyczajenia zawsze obracam klucz tylko raz, jakbym sama siebie chciała przekonać, że wychodzę tylko na chwilę, że wrócić, że go nie zostawiam, nie powiem, bo to by było straszne tak powiedzieć, już sama myśl jest straszna, a ja boję się, boję się, że kiedyś obrócę klucz nie raz, lecz dwa razy.

Ale o tym, że przed wyjściem z domu zamykam wszystkie okna, to już nie ja myślę, to samo mi się myśli, bo ja przecież sama nie pomyślałabym w ten sposób, nie wyobrażałabym sobie jego samego w domu, jak krzyczy, przy zamkniętych oknach, i nikt go nie słyszy.

Kiedy uciskam mu kark, aż mruczy.

– Czuję takie prawie swędzenie. Proszę nie przestawać.

Wbijam kciuki głęboko w mięśnie, rozcieram ciało w dłoniach, masuję w górę i w dół, w górę i w dół.

A to mi przypomina...

Tak, przypomina sobie. Tamto Gorące Popołudnie.

Zaciskając dłonie na rozgrzanej kierownicy pięcioletniego volkswagena passata, spoglądała na Irka, który odwrócony twarzą do szyby, patrzył tępo na migające za oknem domki jednorodzinne, każdy jak z klocków lego. Najbardziej opalony miał kark; skóra schodziła z niego płatami.

– Powiedz, że to nieprawda – poprosiła. – Powiedz, że to jakiś idiotyczny żart.

W ciszy minęli mieniący się słońcem kościół, ciąg ogródków działkowych i przysadzisty, kolorowy supermarket. Pięć kilometrów dalej zjechała na pobocze, chrzęszcząc oponami po zwirowej nawierzchni.

– Co? Będiesz tak milczeć?

– A co mam ci powiedzieć? Chcę z nią być. Wydaje mi się, że... że to jest to.

– Że to jest to?! A to, co było między nami, to niby, kur-

wa, co było?

– Nie wiem, nie wściekaj się, myślisz, że tego chciałem? Myślisz, że to sobie zaplanowałem?

– Zakochałeś się w niej. Ty się naprawdę, żalosny gnoju, zakochałeś.

– Równie dobrze to mogłaś być ty. Wiedzieliśmy, na co się piszemy.

– Chyba żartujesz. Nie no, ty chyba żartujesz...

– Nie żartuję.

– I co teraz zamierzasz? No dalej, proszę! Powiedz!

– Jeszcze nie wiem. Na razie się wyprowadzę. Potrzebuję trochę czasu, żeby się nad tym wszystkim zastanowić.

– Od razu wprowadzisz się do niej, nie udawaj.

– Nie, na razie chyba jeszcze...

– Nie udawaj!

Wzruszył ramionami i z powrotem wbił wzrok za okno. Daleko na polu stały sarny.

– Zostawiasz mnie. Po tych wszystkich latach, po tych zapewnieniach, że jesteśmy dla siebie wyjątkowi, zostawiasz mnie dla jakiejś... dla jakiegoś kawałka mięsa, ciała?

– Nie rozumiesz...

– Wytłumacz mi!

– Możemy już jechać? Mam naprawdę okropnego kaca.

I nagle ta wielka, przelewająca się przez nią fala wściekłości – czuła, że mogłaby wtedy bić go, tak naprawdę, pięściami po tej znudzonej twarzy, tłuc z całej siły, tak, tak, i tłukłaby, gdyby wierzyła, że to coś zmieni.

– Możemy już jechać? – powtórzył Irek.

Z tego, co działo się później, pamięta jedynie urywki.

Wściekłość przemieniająca się w smutek.

Zaciśnięte zęby.

Byle tylko nie płakać.

Ciężarówka.

Zmiana pasa.

Jego krzyk.

Przekleństwa.

Pisk opon.

Uderzenie.

Szpital.

Tamtego Gorącego Popołudnia jego kręgosłup pękł jak suchy patyk. Paraliż od szyi w dół, poważny wstrząs mózgu, proszę przygotować się na to, że na początku mąż może pani nie rozpoznawać.

Wtedy, w samochodzie, modliła się o to, by jej nie zostawiał.

Irek przez całe życie był zdania, że Bóg nie istnieje, ona w to wierzyła, wierzyła nie w Boga, lecz w Irka, i teraz jej wiara jest niczym łańcuch, więc wszystkie te myśli, klucz obracany w zamku tylko raz, te zamknięte okna, o których strach myśleć, nie, teraz nie wiedziała już nic, może nawet Bóg istnieje, może to wszystko jest nie tak, jak jej się zawsze wydawało – może Bóg istnieje, ale jest szydercą?

Spoglądam w lustro. Agata? Magda? Nie, dla niego mam dzisiaj na imię Justyna i jestem sympatyczną panią ze szpitala. Chwilę zastanawiam się, kim będę jutro i czy to znowu on będzie o tym decydował.

Próbuję nie myśleć o niczym, ale w głowie lęgną się straszne słowa, przechodzę więc raz jeszcze przez mieszkanie – tu coś niby przestawię, tam sprawdzę, ale nie, siebie nie oszukam – te ukradkowe spojrzenia na okna, wszystko jest dobrze, okna są zamknięte.

Jeśli zaraz nie wyjdę, zwariuję. Ciało, które kiedyś było

Irkiem, leży w sypialni i nie wypluwa z siebie władczy głos, ale ja i tak czuję, że ono tam jest, w pościeli z satyny rozrasta się, białe i miękkie, to już dawno nie jest Irek, to sama złość oblepiona mięsem i tłuszczem, powleczone skórą.

Zwariuję.

Dziś mam na imię Justyna i jestem sympatyczną panią ze szpitala. Mam na imię Agata. Mam na imię Magda. Jak mam na imię? Zabieram telefon i marynarkę, okna zamknięte, ciało śpi, a ja będę zdradzać. Czuję ulgę. Czuję, jakbym przez całe życie miała na imię Irek.

Wychodzę. Wychodzę. Byle nie zwariować.

Przecież ja w środku też krzyczę. Mnie też nikt nie słyszy.

Przekręcam klucz w zamku.

Raz...

Bernadeta Prandzioch
WYWIAD

Skrećam, autostrada. Wskazówka przy czerwonej kresce, a ja powoli się uspokajam. Ale wciąż nie wierzę w to, co się właśnie dzieje. W lusterku wstecznym radiowóz, zwalniam. Ostatnie, czego mi trzeba, to kontrola. Tym bardziej że wczorajsza impreza z okazji trzydziestki Majki może i wywietrzała mi z głowy, ale jej wspomnienie mogłoby rozbłysnąć na alko-macie.

Spodziewałam się leniwej, skacowanej niedzieli, a nie tego, że naczelny zadzwoni z rana i oświadczy, że Michałowski po raz pierwszy odpowiedział na urodzinowe życzenia. I zgodził się udzielić wywiadu. Postawił tylko jeden warunek – to ja go przeprowadzę, dziś w południe.

Wywiad z Michałowskim! I to ja, ja mam go zrobić. Dlaczego ja? Po lekturze których moich tekstów uznał, że się do tego nadaję?

Ale praca to jedno, a możliwość spotkania z nim to drugie. Dwanaście lat temu przypadkiem natrafiłam na jedną z jego książek i potem przeczytałam wielokrotnie wszystko, co napisał. Nie ma w Polsce lepszego pisarza. Zawsze chciałam go poznać. I cała ta legenda wokół niego. Plotki. Domysły. Spekulacje. Pisarz, który nigdy nie udzielił wywiadu. A debiutował dwadzieścia siedem lat temu.

O co zapytać kogoś, kto milczy od zawsze? Marzenie każdego dziennikarza. W wyobraźni przeprowadzałam tę rozmowę setki razy. Zawsze, gdy udało mi się wymyślić jakieś błyskotliwe pytanie, dopisywałam je do listy w notesie. A teraz to się dzieje naprawdę.

Ale skoro Michałowski po tylu latach zdecydował się porozmawiać z dziennikarzem, to prawdopodobnie ma w tym jakiś głębszy zamysł. Nigdy nawet nie odebrał żadnej nagrody, nigdy nie zgodził się na rozmowę z mediami. Na wszystko miał tylko jedną odpowiedź: moje książki mówią wszystko, co chcę światu powiedzieć. Dlaczego więc teraz zmienił zdanie?

Z zamyślenia wyrывa mnie subaru, które zostawiłam w tyle na lewym pasie. Zwolnij, Weronika, zwolnij. Noga z gazu. Lubię poczucie kontroli, które mam, prowadząc samochód. Wskazówka prędkościomierza przechyla się w prawo. Jesteś młoda. Piękna. Inteligentna. Poradzisz sobie. Jesteś bystra. Zabawna. Michałowski będzie oczarowany. Każdy jest oczarowany. Zastanawiam się, czy droga okaże się dość długa, bym uwierzyła w to, co sobie powtarzam.

Po kilkunastu kilometrach zjeżdżam z autostrady i wąskimi, prowincjonalnymi drogami docieram na miejsce. Jedenaście czterdzieści dziewięć. Idealnie. Okulary na siedzenie, wyciszona komórka do torebki. Przeglądając się w lusterku wstecznym, przeciągam po ustach błyszczkiem. Trochę perfum. Trzy głębokie wdechy i wysiadam. Sprawdzam sukienkę, czy nie pogniotła się za bardzo podczas jazdy.

I jeszcze prezent. Naczelný zadzwonił, kiedy wychodziłam już z domu, sugerując, żebym kupiła Michałowskiemu jakieś wino. Oczywiście sama powinnam na to wpaść. Mam tylko nadzieję, że pinot noir z Dobrego Wina spełni jego wymagania. Sprzedawca zapewniał, że jest doskonały, ale w końcu za to mu płacą.

Dom jest parterowy, niewielki, otoczony dużym pięknym ogrodem. Mało w nim kwiatów, za to trawa i krzewy są tak intensywnie zielone, że aż nierzeczywiste. Jak wczesną wiosną na południu Włoch albo w maju na beskidzkich szla-

kach. Za domem widać ażurową altanę i zastanawiam się, czy Michałowski właśnie tam pisze swoje książki. Miejsce wydaje się idealne: ocienione i ciche.

Przy drzwiach nie ma dzwonka, pukam. Cisza. Czekam chwilę i próbuję jeszcze raz, bardziej stanowczo.

– Otwarte! – dochodzi mnie zniekształcony głos z wnętrza.

Biorę głęboki wdech, jakbym przekraczała próg płonącego domu, i wchodzę. Jasny przedpokój, niewiele sprzętów. W garderobie wiszą smutno płaszcze, zapomniane o tej porze roku, pod nimi buty w równym rzędzie. Na okrągłym stoliku porzucone klucze i kilka listów. Więcej nieotwartej korespondencji wypełnia kosz pod stolikiem.

Michałowski. Widziałam kilka jego zdjęć, a i tak jestem zaskoczona. Jest postawny, z lekką nadwagą, która zdradza tryb życia i słabość do dobrej kuchni, ale nie odbiera mu uroku.

Stoi przede mną – opalony, siwiejący, trochę zarośnięty. Piękny. Promieniste zmarszczki wokół oczu jak wspomnienia startych już uśmiechów.

Z pewnym zadowoleniem dostrzegam, że lustruje mnie tak, jak zwykle robią to mężczyźni. Przyłapany, zaraz spuszcza wzrok, zawstydzony. Jest w tym jednak jakaś wewnętrzna sprzeczność, zachęta do podjęcia gry, którą właśnie rozpoczął. Uśmiecham się, chociaż może nie powinnam.

– Witam – ma niski, matowy głos. – Jakub Michałowski. Jest mi niezwykle miło.

– Dzień dobry – odpowiadam. – Weronika Milc. To mnie jest miło, że zechciał pan się zgodzić na wywiad. Korzystając z okazji, chciałabym złożyć panu najlepsze życzenia urodzinowe... – Już wstydzę się banału. Podaję mu butelkę wina i od ra-

zu widzę: źle. Cóż, nie trafiłam. Może przynajmniej tego nie skomentuje.

– Jakub. Wystarczy Jakub.

– Weronika. – Podajemy sobie dłonie. Ten uścisk jest jak pieczęć pod umową, choć nie wiem jeszcze, do czego zostałam właśnie zobowiązana.

Wskazuje mi drogę, przepuszcza w drzwiach. Wchodzimy do gabinetu.

Na środku stoi ogromne biurko. Piękny i stary mebel. Gładzę ciepłą powierzchnię blatu. Wdycham ledwie wyczuwalny aromat tytoniu i kawy. Na biurku laptop i lampka, pod nią kubek z bukietem ostro zatemperowanych ołówków, obok plik pustych kartek. Na pierwszej odbity półksiężycem ślad kubka.

Zapomniana półka wisi na ścianie z prawej strony. Na niej, niczym ołowiane żołnierzyki, wszystkie literackie nagrody, jakie dostał. Pokryte grubą warstwą kurzu wyglądają, jakby zżerała je pleśń. Myślę o mieszkaniach innych pisarzy i o ołtarzykach towarzyszących jednej samotnej statuetce. O nadwrażliwej społeczności artystów, w której każdy zabiłby za tę kolekcję.

Michałowski otwiera drzwi do ogrodu i idziemy do altany. Chyba rzeczywiście tutaj pracuje, meble są solidne i wygodne, nie jak zwykłe ogrodowe sprzęty. Na stoliku otwarta butelka wina i dwa kieliszki.

– Nowozelandzki riesling. Mam nadzieję, że mi nie odmówisz. Pasuje do tego popołudnia.

Zgadzam się, chociaż przyjechałam samochodem. Najwyżej wezmę taksówkę. Siadamy, Michałowski nalewa wino, a ja zastanawiam się, do czego zmierza. Wszystko to dziwne jak na kogoś, kto nie toleruje dziennikarzy, wywiadów i uwagi,

jaką mu się poświęca. A nie mam w sobie tyle pychy, by sądzić, że to z mojego powodu. Chyba nie mam.

Spodziewałam się spotkać introwertyka, wychodzącego ze swojej skorupy jedynie podczas pisania. Albo odpychającego, nadętego bufona upajającego się sukcesem bardziej niż najlepszym Veuve Clicquot, aroganta i kabotyna. Piszącego w jawnej sprzeczności z samym sobą. Bo wymyślony przeze mnie artysta przemawiający ustami swoich bohaterów był niezwykle interesujący, inteligentny i błyskotliwy, lecz wydawało mi się niemożliwe, żeby ktoś taki uparcie stronił od świata i ludzi.

Michałowski przygląda mi się, obracając w palcach korek do wina.

– Zawsze tak uparcie milczysz podczas wywiadów?

– Przecież nie oczekujesz moich pytań.

– Wiesz, cieszę się, że jesteś właśnie taka. Tak sobie ciebie wyobrażałem, czytając twoje teksty. – Patrzy mi w oczy z wyzwaniem. A może to ja chcę je dostrzec? – Masz rację – ciągnie – to nie będzie zwykły wywiad ze zblazowanym panem literatem. Nadal uważam, że pisarz wszystko, co ma do powiedzenia, powinien przelewać na papier i tylko tak, przez książki, opowiadać światu siebie. Historii, z której powodu tutaj jesteś, nigdy nie spisałem i już tego nie zrobię. Dlatego postanowiłem opowiedzieć ją komuś, kto patrzy na świat z podobną wrażliwością. Mam nadzieję, że się nie pomyliłem. A ty zrobisz z tą historią, co zechcesz. Zgoda?

Kiwam głową, bez słowa. Co mogłabym powiedzieć?

– Ile masz lat? – pyta mnie niespodziewanie.

– Trzydzieści jeden – odpowiadam, po chwili wahania.

– Zatem w czasach, o których ci opowiem, byłaś zapewne niezwykle rezolutną dwulatką. Ja miałem dwadzieścia czte-

ry lata i powoli zbliżałem się do końca studiów. A studiowałem filozofię. Nie z rozmysłu, raczej nie wiedziałem, co chcę ze swoim życiem zrobić. Byłem niedojrzałym, a jednocześnie przemądrzałym smarkaczem, filozofia wydawała mi się idealnym wyborem. Zresztą – po co ja ci to mówię? Poznałaś pewnie wielu takich irytujących gnojzków na studiach, ten typ jest wieczny. A potem: imprezy, rozmowy do świtu, książki, i jakoś powoli dojrzewałem. Ale wciąż nie wiedziałem: co dalej?

Odpowiedź, jak to zwykle bywa, przyszła nieoczekiwanie i w sposób, na który nie byłem przygotowany. Na jednej z wielu spontanicznych imprez przyjaciel podzielił się z nami zamiarami na mały antykwariat na obrzeżach miasta, dość dobrze zaopatrzony. Był osiemdziesiąty drugi, o książki było niezwykle trudno, jeśli komuś udało się coś sensownego kupić, to potem książka długie miesiące krążyła między znajomymi. W końcu wybrałem się tam z ciekawości... – milknie.

A ja przyglądam mu się, zdziwiona, bo na razie nie bardzo rozumiem, do czego zmierza. Nie spodziewałam się, że będzie mi opowiadać o swoich studiach. Ale niech mówi.

O czymkolwiek. Niech mówi.

– Właścicielem był siwy starzec, który kochał książki równie mocno, jak nienawidził ludzi. Domyślasz się już pewnie, że nie o to chodzi. Ale niechęć właściciela potęgowała jeszcze bardziej ciepło, jakie roztaczała wokół siebie pracująca tam kobieta. Była starsza ode mnie o dziewięć lat. Zakochałem się z miejsca, w chwili, w której zobaczyłem ją po raz pierwszy. Wiesz, co potrafi zrobić taki gówniarz zafascynowany kobietą? – Michałowski uśmiecha się, tylko prawym kącikiem ust, jakby w drugim ciążyły mu wspomnienia.

– Wyobrażam sobie, choć nigdy nie byłam gówniarzem.

– Jest zdolny do wszystkiego. – Przechyliła głowę i patrzy

na mnie z przekornym błyskiem w oku. – Ale Marcie mogłem zaimponować jedynie intelektem. To największe wyzwanie.

Zacząłem bywać w antykwariacie regularnie. Czasem coś kupowałem, częściej wpadałem tylko się rozejrzeć, a kiedy brakowało mi pieniędzy, wynajdywałem jakąś książkę, o której wiedziałem, że jest nie do kupienia, i właśnie o nią pytałem. Marta zawsze wtedy była rozczarowana, że nie może mi pomóc, a dla mnie liczyło się tylko tych parę minut rozmowy z nią. Zawsze o książkach. Marta tak starannie broniła swojej prywatności, że po czterech miesiącach wciąż nie wiedziałem nic o jej życiu. Za to mógłbym, wyrwany ze snu w środku nocy, recytować jej ulubione wiersze.

Pewnego dnia, w środku maja, przyjechałem do księgarni i jej nie zastałem. Na moje pytanie właściciel rzucił krótkie: „Już tu nie pracuje”. Byłem zdruzgotany. Ale i zdesperowany. Wiedziałem, że wyciągnięcie od niego jakichkolwiek informacji graniczyć będzie z cudem. Wyjąłem więc na chybił trafił jakąś książkę z plecaka i zacząłem tłumaczyć, że pożyczyłem ją od Marty, bo była nie do zdobycia, a teraz muszę koniecznie oddać. Nie wiem, czy byłem tak przekonujący, czy pod zastygłą skorupą niechęci księgarz skrywał jednak jakieś ludzkie uczucia, ale ostatecznie wybiegłem z księgarni z nagryzmołonym na karteczce adresem. Niewiele myśląc, pojechałem prosto tam.

Michałowski przerywa, by dolać sobie wina. Akurat teraz?! Zerka też na mój kieliszek, ale niewiele wypita, może jeszcze uda mi się wrócić autem. Odstawia butelkę w ocienioną część stołu i wraca do przerwanej opowieści:

– Wielokrotnie potem zastanawiałem się, dlaczego nie przyszło mi do głowy, że taka wizyta może być krępująca. W końcu kim dla niej byłem? Klientem? Zauroczonym szczeni-

kiem? Znajomym? Dopiero gdy stanąłem pod drzwiami i naciśnąłem dzwonek, dopiero wtedy w jednej chwili wyobraziłem sobie różne scenariusze tego, co się zaraz wydarzy, i żaden mi się nie spodobał. Jednak, wbrew moim obawom, drzwi nie otworzył mąż, przed którym musiałbym odegrać jakąś komedię, ani kilkuletnia córeczka, którą zdążyłem sobie wymyślić. Otworzyła mi Marta. Nie mógł to być nikt inny, bo – jak się później dowiedziałem – mieszkała sama. Kiedy mnie dzisiaj zobaczyłaś po raz pierwszy, miałaś dokładnie taki sam wyraz zdumienia na twarzy. Dlatego na chwilę odebrało mi mowę.

Wtedy też stałem tam bez słowa, zwykle taki wygadany, nawet gdy nie miałem nic szczególnego do powiedzenia. W końcu Marta – nadal nic nie mówiąc – wpuściła mnie do środka. Stałem niepewny, choć tyle razy w wyobraźni, czy raczej w marzeniach, przekraczałem próg tego nieznanego mieszkania. Wiedziałem, że to ja powinienem zacząć, więc w końcu się odezwałem. Wyjaśniłem, że nie zastałem jej w księgarni i dowiedziałem się od właściciela, że dłużej nie będzie tam pracować, dlatego wybłagałem u niego jej adres.

I zaraz zrozumiałem, jaki jestem żałosny i śmieszny. A ona, ona, która stoi i patrzy na mnie tak spokojnie, wie już teraz na pewno to, czego dotychczas mogła się domyślać. Stałem przed nią jak przyłapanie na oszustwie dziecko, które zrozumiało właśnie, że wszystko przepadło, i próbuje powstrzymać się od płaczu, zanim wymierzą mu karę, bo chce zachować przed dorosłymi twarz.

A ona zapytała po prostu, czy napiję się herbaty i nie czekając na moją odpowiedź – bo przecież śmieszniejszym jeszcze okazałbym się, gdybym odmówił – poszła do kuchni. Wydawało mi się wtedy, że balansuje na granicy zabawy i okrucieństwa, nie odpowiadając na moje tłumaczenia, zosta-

wiając mnie samego w przedpokoju. Czułem, jakbym zdawał egzamin, jak gdyby od tego, jak postąpię, zależała jej przychylność.

Nie poszedłem za nią, wybrałem bezpieczniejszy, jak mi się wydawało, wariant oczekiwania w salonie. Rozglądałem się po pokoju, zapamiętując wszystkie szczegóły, jak człowiek udający się w podróż życia, na którą odkładał pieniądze latami i wie, że więcej już w te miejsca nie zdoła powrócić. Ja też nie wiedziałem, czy kiedyś znajdę się tutaj ponownie.

Nad komodą, na wprost sofy wisiała *Wieża Babel* Bruegla. Na drugiej ścianie oprawiony w ramkę niepozorny prostokąt pełen jasnych barw. Wydawał się wyblakły. Ale odcienie pasowały do wnętrza pokoju. Pomyślałem nawet, że dlatego tutaj wisi. Szybko jednak porzuciłem tę myśl. Marcie musiało przecież chodzić o coś więcej niż barwy. Podeszedłem, żeby mu się przyjrzeć. „Schiele Egon 07” w prawym górnym rogu stanowiło konkretną wskazówkę. Nie wiedziałem wtedy, kim jest Schiele. Teraz zawsze, kiedy jestem w Wiedniu, idę do Leopold Museum, mimo że tego pejzażu tam nie ma.

Tak zastała mnie Marta. Stałem z nosem przy obrazie. „Piękny kontrast, prawda? Bruegel – mistrz metafory i Schiele – wielki demaskator”, powiedziała, stawiając tacę z herbatą na stole. Nic nie odpowiedziałem, pokiwałem tylko głową, nie miałem przecież najmniejszego pojęcia o malarstwie. Myślę, że wiedziała.

Dopiero kiedy usiadłem na sofie, dotarło do mnie, że w salonie nie ma żadnej biblioteczki. Zapytałem o to. Marta w odpowiedzi zaprowadziła mnie do sąsiedniego pokoju.

Była to sypialnia, niezwykła sypialnia. Ogromne łóżko z piękną drewnianą ramą. Na nocnym stoliku prosta lampka z białym abażurem, pusty kieliszek i niewielki stosik książek,

okulary. Całą pozostałą przestrzeń zajmowały książki. Regały wznosiły się na każdej ścianie, aż po sufit, istny mur z książek, zakłócony jedynie łóżkiem, oknem i drzwiami. Byłem zachwycony.

Michałowski milknie. Patrzy na pnący się po altanie bluszcz, dotyka ciemnozielonych liści. Mam wrażenie, jakby twarz mu młodziła, jakby znów miał w oczach niepewność dwudziestolatka, niepewność, spod której przebija młodzieńcza odwaga kogoś, kto ma przed sobą całe życie. Obraca w palcach kieliszek bezmyślnym, kompulsywnym ruchem.

– Stałem pośrodku tego pokoju, w którym było kilka tysięcy książek, odczytywałem nazwiska autorów. Pomyślałem, że bardzo chciałbym się z nią kochać, kochać właśnie tu, w tej dziwnej świątyni, którą sobie stworzyła. W towarzystwie Dostojewskiego, Manna, Szekspira i innych. A ona stała, oparta o szeroki parapet, na którym – o czym wspomniała chwilę później – siadała z książką, i przyglądała mi się z rozbawieniem. Poczułem wtedy, jakbym miał najwyżej szesnaście lat i pierwszy raz widział z bliska kobietę. – Jakub znowu milknie.

Doskonale wie, co chce mi opowiedzieć, ułożył sobie tę historię już dawno, ale chyba nie spodziewał się, że wyrzucenie jej z siebie przyjdzie mu z takim trudem. Że pozostało w nim więcej z tamtego chłopca, niż byłby skłonny przyznać.

Dzwonek telefonu wyrywa nas ze świata opowieści... Michałowski wstaje z ociąganiem, przeprosza i idzie odebrać.

Już wiem, że z tego wywiadu nic nie będzie. Pytania, które tak długo skrzętnie zapisywałam, do niczego mi się nie przydadzą. Ale to zupełnie nieistotne, przecież sprawił mi właśnie najpiękniejszy prezent. Dokądkolwiek zmierza ta historia – będzie bezcenna. To ja mogę liczyć na wywiady, kiedy już ją opublikuję.

I gdy podnoszę kieliszek do ust, widząc już przed oczami przyszły sukces, i gdy za ten sukces wznoszę toast, nagle z domu dochodzi mnie głuchy odgłos upadku. Kieliszek wyślizguje mi się z ręki i roztrzaskuje o kamienne płytki, wino opryskuje buty i krawędź sukienki. Patrzę na kropelki, które błyszczą w słońcu, zanim wsiąkną w ciemny materiał, i na okruchy szkła pod stolikiem, rozsypane tajemniczo niczym wróżba, której nie potrafię odczytać. Wreszcie przytomnieję, zrywam się i biegnę w stronę gabinetu. Michałowski leży nieprzytomny obok biurka. Przypadam do niego, potrząsam, klepię po policzku. Ocknij się, zaklinam go w myślach, rozglądając się za telefonem, przez który rozmawiał. Muszę zadzwonić na pogotowie.

– Ocknij się! – krzyczę rozpaczliwie przez zaciśnięte zęby i to, o dziwo, działa.

Otwiera oczy, wzrok ma błędny.

– Jakub, słyszysz mnie?

Odpowiada skinieniem.

– Mam zadzwonić po pogotowie?

Zaprzecza ruchem głowy. Przymyka oczy i cicho chrypi:

– Lekarstwa... W sypialni. – Zrywam się z podłogi, zrzućcam niewygodne szpilki i boszo szukam sypialni. W końcu jest. Otwieram drzwi i zatrzymuję się, zaskoczona. Sypialnia jest wypełniona książkami, dokładnie tak jak ta, którą przed chwilą opisywał mi Jakub. Ale teraz nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Dopadam nocnego stolika i w szufladzie szukam leków. Są! Tramal, ketonal, amizepin. Zabieram wszystkie i wracam do Michałowskiego. Siadam przy nim, kładę sobie na kolanach jego głowę. Pokazuje słabymi gestami, co mu podać. Dwie tabletki tramalu, po jednej amizepinu i ketonalu. Przeraża mnie jego bladość i błędny wzrok.

– Zadzwońię po pogotowie – mówię, żeby powiedzieć cokolwiek. Żeby nie pozwolić panice zalęgnąć się w gardle i uwięzić głos. – Albo po kogokolwiek. Po kogo chcesz.

Chciałabym, żeby powiedział, że wszystko jest w porządku, chociaż widzę przecież, że nie jest.

– Nie trzeba. – Bardziej domyślam się z ruchu warg, niż naprawdę słyszę. – Nie ma po kogo. – Przymyka oczy, jakby szukał resztek siły i dodaje – tylko zostać.

Jakbym się gdzieś wybierała! Wpatruję się w białą ścianę i próbuję się zmusić do myślenia.

– Jakub... zaprowadzę cię do sypialni, dobrze?

Nie odpowiada, ale usiłuje się podnieść z podłogi. Pomagam mu, jak mogę, kosztuje mnie to sporo wysiłku. Wreszcie podpierając się ścian, jakoś przemierzamy dzielące nas od sypialni kilka metrów i Jakub opada bezwładnie na łóżko.

Stoję przed nim i nie wiem, co zrobić, co powiedzieć. Na szczęście zaczyna coś mówić, ale tak cicho, że nic nie rozumiem, siadam więc na brzegu ogromnego łóżka i pochylam się nad nim.

– To minie, niedługo – mówi. Oddech. Przerwa. – Zaczekasz?

Słaby i niemal nieprzytomny, ma w oczach taką siłę, że nie potrafiłabym mu się sprzeciwić, nawet gdybym chciała. Ale nie chcę.

– Zaczekam. Na pewno do nikogo nie dzwonić? Coś ci jeszcze przynieść? Powiedz – plotę nerwowo.

– Nie. Czuj się jak u siebie. – Dotyka mojego nadgarstka.

Siedzę nieruchomo, wpatrzona w jego dłoń i dopiero po dłuższej chwili orientuję się, że jego oddech się wyrównał. Zasnął.

Wychodzę cicho z sypialni, boso. Co teraz? Stoję nie-

pewnie w holu, drzwi wyjściowe mnie hipnotyzują, przyzywają, by wybiec, odpalić samochód i uciec stąd, udawać, że to wszystko się nie wydarzyło.

Co za bzdura! Jakby się tak dało. Muszę się czymś zająć.

Wychodzę do ogrodu, na płytkach w altanie mienią się w słońcu kawałki szkła. Zaczynam je powoli zbierać, ale nie dość ostrożnie i po chwili z mojej dłoni spływa cieniutka smużka krwi, choć nie czuję zupełnie bólu. Wynoszę odłamki do kuchni i wracam po torebkę i butelkę wina. Teraz zimna woda. Potężny strumień zmywa jasnoróżową nitkę, krew przestaje płynąć. Przyciskam papierowy ręcznik. Rzut oka na lodówkę sprawia, że mój żołądek przypomina dotkliwie o niezjedzonym śniadaniu. Czuj się jak u siebie? Zaglądam do środka. Truskawki!

Wyjmuję miseczkę i od razu sięgam po owoc. Przydałaby się jeszcze kawa. Jest ekspres, jest kawa i po chwili ciemny napar spływa do białej porcelanowej filiżanki.

Siadam przy stole, wyjmuję telefon. Osiem nieodebranych połączeń, wszystkie od Marka. Naczelny jak zwykle niecierpliwy. Chwilę się waham, czy oddzwonić. Ale co mam mu teraz powiedzieć? Sprawdzam jeszcze pocztę i pozostawiając telefon wyciszony, wrzucam go z powrotem do torby. Nie zabrałam ze sobą laptopa, a mogłabym popracować. Nie, nie mogłabym. No to przynajmniej bezmyślnie poprzeglądać internet. Cokolwiek. Przecież nie wiem, ile Jakub będzie spał. A obiecałam się stąd nie ruszyć. Świetnie, po prostu świetnie. Może przynajmniej książka?

Zaglądam do salonu w poszukiwaniu jakiejś porzuconej powieści, skoro na żadną nie natknęłam się w kuchni, ale tutaj też nic. Może to jednak ze mną coś jest nie tak? Może inni nie czytają, gdzie popadnie, w dodatku po kilka książek naraz. Ja-

kub widocznie nie. Gabinet?

Za drzwiami, na komodzie, której wcześniej nie dostrzegłam, piętrzą się stosy grubych tomów, ale to tylko jakieś albumy, przykryte wycinkami z gazet i archiwalnymi numerami dzienników, obok rozrzucone pojedyncze kartki papieru wypełnione ostrym, kanciastym pismem i kilka fotografii. Niczym mapa przyszłej książki. Ale żadnej powieści. Zerkam na laptop, nie mam jednak odwagi skorzystać. Nie wyobrażam sobie bardziej osobistej rzeczy pisarza niż jego komputer. Ostatecznie decyduję się wrócić bezszelestnie do sypialni i zabrać jakąś książkę stamtąd.

Jakub śpi spokojnie, koszula przykleiła się do spoconego torsu. Otwieram okno. Skoro ciche trzaski go nie obudziły, zostają jeszcze chwilę. Sypialnia naprawdę wygląda jak ta, którą mi opisał. Lecz to z pewnością nie to samo miejsce, w końcu Jakub mówił o mieszkaniu. A książki? Podpatrzył pomysł, czy to te same tomy, które należały do Marty?

Przypatruję mu się, teraz zupełnie bezkarnie. Mimo lat, czy raczej mimo dzielącej nas różnicy wieku, jest niezwykle atrakcyjny. Intrygujący. Bez sensu, nie przyszedł go uwieść! Zresztą – to chyba nie jest mężczyzna, którego jakakolwiek kobieta mogłaby uwieść. To raczej on uwodzi. Całe jego życie to uwodzenie: czytelników, krytyków i zapewne kobiet również.

Na nocnym stoliku książka. *Wieża strażnicza*. Nie znam, więc zabieram ją do kuchni. Rozsiadam się wygodnie przy stole i zjadając od czasu do czasu truskawkę, pochłaniam kolejne strony.

– Cieszę się, że wzięłaś sobie moje słowa do serca. – Podskakuję, gdy w kuchni rozlega się ochryply głos Jakuba. Nie słyszałam, kiedy wszedł, chyba naprawdę się zaczytałam.

Spojrzenie na zegarek: czternasta dwadzieścia. Jednak się zaczytałam. Uśmiecham się niepewnie, on jednak zachowuje się, jakby nic się nie stało. Sięga do ekspresu, wyrzuca zużytą kawę, robi nową. Obserwuję jego ruchy, są na powrót sprężyste, jakby nic się nie stało.

– Ta jest ostatnia – rzuca, ubijając mleko do kawy.

Nie bardzo rozumiem.

– Ostatnia?

– Ta książka jest ostatnia. Z dwóch tysięcy czterystu osiemdziesięciu siedmiu, jakie mam w swojej sypialni. Ostatnia, która została mi do przeczytania. Jak się zapewne domyślasz, wszystkie należały do Marty. – Michałowski stawia przed nami filiżanki z mocno pachnącą kawą.

– Jak znalazły się u ciebie?

– Marta powiedziała, że będę mógł ją odwiedzać, kiedy zechcę, miała tylko jeden warunek. Oczywiście zgodziłem się bez wahania, tak jak ty na ten wywiad. Układ był prosty: czas między odwiedzinami wyznaczała książka. Za każdym razem, gdy byłem u Marty, wybierała mi jedną książkę. Wracalem, gdy przeczytałem. Tylko wtedy mogłem wracać. I rozmawialiśmy o książce, ale nie tylko o niej. Często aż do świtu. Marta niechętnie mówiła o rzeczach, które zwykle uznajemy za osobiste. Uważała, że lepiej można poznać człowieka, gdy pozwoli mu się mówić o literaturze, o tym, co go porusza w książce. Czytając, pozbywamy się bowiem masek. Godziłem się na to. Nie rozmawialiśmy o codzienności. Tylko wino, papierosy i książki. Marta była jak niekończące się wakacje. Nawet pachniała jakoś egzotycznie.

Michałowski milknie, a ja wpatruję się w niego z napięciem. Wciąż nie wiem, po co tak naprawdę mi to opowiada. Ale zaczynam przeczuwać, że nie spodoba mi się kierunek, w ja-

kim zmierza ta historia.

– Chcesz mi powiedzieć, że właśnie przyniosłeś do domu ostatnią książkę i tym samym przenieśliś jej bibliotekę do siebie? – wypowiadam te słowa, wiedząc już, że się mylę.

– Chciałbym, żeby tak było, Weroniko. Bardzo bym chciał. Ale wracałem do niej tylko trzydzieści osiem razy. Trzydzieści osiem razy w ciągu niecałych czterech miesięcy. W tamtym czasie nie robiłem niemalże nic innego: czytałem i wracałem do niej. Czasem sam nie wiedziałem, co bardziej uzależniało. Bo książki, które dla mnie wybierała, były cudowne. Wstawałem wcześniej, czytałem przy śniadaniu, w drodze na uczelnię, na wykładach, popołudniowa praca ciągnęła mi się niemiłosiernie, wracałem do domu i znów czytałem. Albo szedłem do niej. W domu wszyscy się złościли, że w niczym nie pomagam, że nie da się ze mną normalnie porozmawiać. Ani trochę mnie to nie obchodziło. Miałem wtedy swój świat, który dzieliłem tylko z Martą. Jeśli można określić czas narodzin pisarza, dla mnie były to właśnie tamte chwile. Chociaż wtedy jeszcze tego nawet nie przeczuwałem. Uznałbym to za szaleństwo, gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że zostanę pisarzem. Ale tak przecież się stało. To Marta tego dokonała. Dlatego to właśnie ona powinna odbierać każdą moją nagrodę, i dlatego nigdy nikt ich nie odbierał. Marta była cieniem w każdej mojej książce. W każdej. Każdą napisałem z myślą o niej. Ze strachem, czy by jej się spodobała, czy byłaby dostatecznie dobra, by ją zadowolić.

– Co się stało? – Nie potrafię zadać tego pytania inaczej. A czuję, że Jakub, nieprzyparty do muru, jeszcze długo będzie kluczył.

– Przy trzydziestej dziewiątej wizycie zamiast Marty czekał na mnie list. Miałem już wówczas klucze do jej miesz-

kania, dała mi je po dwóch miesiącach, bo zdarzało mi się wpadać bez zapowiedzi i o różnych porach. Aczkolwiek zawsze zastawałem ją w domu. Ale tak mi to wytłumaczyła, dając klucze. Potem zrozumiałem, że potrzebowała pretekstu, żebym je miał. Na taki właśnie wypadek. Więcej jej nie widziałem. Nie pożegnałem się. Został mi tylko list.

– Co w nim było?

– Przepraszała. Za grę, w którą mnie uwikłała. Za ukrywanie prawdy. Za wszystko, w zasadzie. Była chora, wiedziała, że zostało jej kilka miesięcy życia. Ale nie chciała litości, współczucia, nawet zwykłej troski. Nie chciała tracić czasu na codzienne sprawy. Pisała, że dzięki literaturze mogła przeżyć ze mną życia, które nie były nam dane w rzeczywistości. I że teraz, kiedy jej nie ma, ja czytając pozostałe książki, nadal będę je przeżywał. Nasze życia. Podarowała mi wszystkie te książki. Prosiła, żebym jej nie szukał, że wyjechała do rodziców pożegnać się z nimi, bo to już naprawdę ostatnie dni. Że mnie kocha. – Michałowskiemu łamie się głos i nerwowo zrywa się, odkładając pustą filiżankę do zlewu.

Milczę, wstrząśnięta tym, co usłyszałam. I naraz rozumiem, wszystko. I chociaż zupełnie nie powinnam tego robić, wstaję, podchodzę do niego i dotykam dłonią jego pleców. Koszulę ma jeszcze mokrą od potu. Nie mówię nic, bo i co mogłabym teraz powiedzieć, żeby nie zabrzmiało pusto, śmiesznie albo fałszywie? A on nie strąca mojej dłoni, ale też w żaden sposób nie reaguje.

– Rozumiesz, prawda? – pyta po dłuższej chwili, wciąż na mnie nie patrzy, oparty o kuchenny blat.

– Wydaje mi się, że rozumiem.

– Tylko tak mogłem sprawić, by żyła dalej. Tylko w książkach mogłem stworzyć te rzeczywistości, które nigdy się

nie wydarzyły. Ocalić ją przed zapomnieniem. Być z nią. I przez te wszystkie lata ciągle mi towarzyszyła. Tymi książkami uczyła mnie, jak być pisarzem. Nie przeczytała ich wszystkich – nie zdążyła. Ja zrobiłem to za nią i za siebie. Ta, którą przyniosłaś z sypialni, jest ostatnia. Ja zdążyłem. Nie zdążyłem jedynie o tym napisać, dlatego ci to opowiadam. Ale to też rozumiesz, prawda? Po tym, co widziałaś. To kwestia dni, może tygodni. – Dopiero teraz odwraca głowę i spogląda mi w oczy.

To nie może być prawda. Przecież on w ogóle nie wygląda na chorego. I co ja mam z tym zrobić? Dlaczego ja? Po co mi to powiedział? Czego oczekuje?

– Jakub, co ja mam...

– Cokolwiek – ucina. – Możesz nawet o tym zapomnieć. Wtedy będzie to oznaczało, że się pomyliłem co do ciebie – brzmi ostro, niemal gniewnie.

Czuję, jak kręci mi się w głowie, oczy zaczynają piec. Nie mogę się przy nim rozpłakać.

– Muszę do łazienki... – mówię i wychodzę.

W łazience odkręcam wodę i próbuję się uspokoić. Nie płakać. Wymyślić, co dalej. I nie chodzi mi już o wywiad, o naczelnego, o to, że w najbliższym numerze znów ukaże się standardowy artykuł poświęcony Michałowskiemu, bo już wiem, że żadnego tekstu nie opublikuję. To nieważne. Chodzi tylko o Jakuba i o to, co mi powiedział. O wszystko. Że niedługo umrze. I że opowiedział to mnie. Dlaczego mnie, Jakub? Dlaczego właśnie mnie? Łzy ciekną mi po policzkach, opieram czoło o chłodną taflę lustra i oddycham głęboko. Dość.

Ostrożnie ścieram czarne smużki tuszu. Dłonie mam lodowate. Płuczę usta i zwilżam spierzchnięte wargi. Jeszcze chwilę patrzę na własną bladą twarz odbijającą się w lustrze, zanim decyduję się wyjść.

Zaskoczona, przystaję w progu kuchni. W ciągu paru minut mojej nieobecności Jakub zaczął coś gotować. Wyczuwa moją obecność. Odwraca się i z uśmiechem mówi:

– W domu raczej nie czeka na ciebie nikt z obiadem, prawda?

– Skąd wiesz? – próbuję się słabo droczyć.

– Taki zawód, że się wie. Zjesz ze mną obiad?

– Jasne.

W kuchni radzi sobie bardzo sprawnie, nie sądzę, by oczekiwał mojej pomocy, więc siadam przy stole i obserwuję jego krzątanie. Ale nagle porzuca wszystko, jakby coś sobie przypomniał i wychodzi. Po chwili staje przede mną, kładąc na blacie mój notatnik. Ten, który zgubiłam kilka dni temu.

Skąd...?

– Znalazłem go w kawiarni. Pod stolikiem. – Odpowiada na pytanie, które nie padło. – Jest podpisany, więc zabrałem go do domu, żeby odesłać na adres redakcji. Naprawdę czytałem większość twoich artykułów. Ale to dziennikiem mnie przekonałaś. Pewnie nie powinienem go czytać, nie mam jednak zamiaru przeproszać, bo nie żałuję. Twoja wrażliwość, twój sposób patrzenia na świat... Jesteś do niej niezwykle podobna.

Nie patrzy na mnie. Bezwiednie gładzi opuszkami palców czarną okładkę. Mam wrażenie, jakby to mnie dotykał. Delikatnie, z wyczuciem.

Otrząsa się z zamyślenia i bez słowa wraca do porzuconych garnków. Nie mam pojęcia, jak się zachować. Ani co powiedzieć. Wciąż czuję na skórze jego pieściznę. Zastanawiam się, czy jest świadomy tego, co we mnie wywołuje. Wstaję i sięgam po butelkę wina, które przywiozłam, powoli, uważnie wkręcam korkociąg, usiłując się uspokoić. Ale przerywam, nie wyciągnąwszy jeszcze korka.

Pożądanie

Już wiem.

– Jakub...

– Tak? – Odwraca się i patrzy na mnie wyczekująco.

– Chciałabym pożyczyć od ciebie jakąś książkę. Wybierzesz coś dla mnie?

Uśmiecha się.

Wie już, że się nie pomylił.

Piotr Rogoża
PLAYGIRL

Playgirl, why are you sleeping in tomorrow world?
Hey, playgirl
Playgirl, why are you dancing when you could be alone?
Ladytron, Playgirl

Halucynacje – ta przypadłość również zdarza się kotom. Dość często idzie w parze z depresją spowodowaną nudą (...). Prawdopodobnie jest to reakcja kociego mózgu na nudę.
http://kocia_stronka.republika.pl

Kiedyś potrafiłem opowiadać historie innym.

Niestety minęło trochę zbyt wiele czasu spędzonego na rozmowach z samym sobą i teraz mój umysł działa jak wyszukiwarka Google: gdy o coś zapytam, wypływa milion skojarzeń, po czym zostawia mnie samego, bezradnego wśród rozrzuconych puzzli. Spróbuję jeszcze raz, być może ostatni, nawlec paciorki na nitkę, ułożyć *storyline* z mniej i bardziej wyraźnych obrazków. Choćby po to, żeby się przekonać, czy to jeszcze w ogóle możliwe – opowiem historię Playgirl, dziewczyny o świecących oczach.

Zastanawiam się, od czego zacząć, którego z wątków się uczepić, która z nici przeprowadzi przez labirynt.

Mógłbym zacząć tak:

– Najpierw uderza mentol – Playgirl odparła po chwili namysłu, gdy kiedyś zapytałem, co czuje, gdy rozpoczyna swój

rytuał. Mówiła dalej – powietrze staje się lżejsze, a światła ostrzejsze. I wtedy już wiadomo, że można wszystko. Ale najpierw zawsze czuć mentol.

Uśmiechnęła się, widząc, że nic nie rozumiem. Nie wyjaśniła bliżej, a ja nie dopytywałem.

Kiedy indziej – to chyba też byłoby dobre rozpoczęcie – siedziałem na kanapie w pokoju, oglądałem jakiś serial i piłem piwo, chyba już trzecie albo nawet czwarte, na przywitanie weekendu. Weszła, usiadła obok, jak zawsze z pewnym dystansem. Chyba dopiero co się obudziła – często spała w dzień. Spojrzała na puste puszki, stojące na podłodze.

– Wiesz, co jest najgorsze? – zapytała, jakby wracając do jakiejś zaczętej wcześniej rozmowy. Podniosłem na nią wzrok, ciężki już od piwa, i chciałem powiedzieć coś mądrego, ale nie zdążyłem. Odpowiedziała sobie sama – nie to, że siedzimy tu w tej pieprzonej norze, za którą frajersko przepłacamy. Nawet nie to, jak bardzo jesteśmy dla siebie obcy. Najgorsze jest to, że w ogóle nie czuję, ani jednym pieprzonym atomem, żeby kiedykolwiek coś, cokolwiek miało się zmienić na lepsze.

Nie pamiętam, jakim konkretnie banałem ją wtedy zbyłem; chciałem dalej oglądać serial.

Chyba się poddaję. Naprawdę, nikt nie słuchał mnie od zbyt dawna. Nie wiem, co jest istotne; trochę się już pogubiłem. Nie wiem, czy to ważne, że Playgirl czasem mi się śni. Wiem na pewno, że trochę za nią tęsknię.

I że nigdy jej nie kochałem.

* * *

Jak każda z moich historii, ta również zaczyna się od wielkiej porażki. Tak już mam, że niszczę wszystko, czegokol-

wiek dotknę, nieważne, czy chodzi o rower, konsolę do gier czy związek z kobietą życia. Daj mi cokolwiek, choćby na chwilę, choćby tylko potrzymać, a dostaniesz zepsute, złamane, rozbite. Taki się urodziłem i chyba nic na to nie poradzę. Może jest jakaś metoda, aby spożytkować tę destruktywną energię, przemienić ją w coś pożytecznego – nie wiem, jeszcze nie udało mi się jej znaleźć.

Nie bardzo też wiem, do czego porównać moją sytuację.

Może tak: teraz jest jak w dowcipie, w którym jeden koleś pyta, kiedy będzie lepiej, na co drugi dopytuje, z jakiej perspektywy. Tamten mówi, że no przecież z perspektywy dnia dzisiejszego, a puenta jest taka, że jak z perspektywy dnia dzisiejszego, to lepiej już było. Jestem słaby również w opowiadaniu dowcipów, nieważne. Strasznie kręcę, to niestety dlatego, że nie ma mnie kto przywołać do porządku, gdy brnę w dygresje.

Bo chodzi tylko o to, że mój raj dawno utraciłem.

Najlepsi kumple się pożenili, płodzili potomstwo, co szczęśliwszym udało się wyżebrać kredyt na mieszkanie, a ja zaliczałem właśnie kolejny życiowy restart w nowym mieście. Gdy wynosiłem torby z taksówki, zrozumiałem, że chyba nigdzie odwieczny cykl zniszczenia i odbudowy nie realizuje się tak konsekwentnie, jak w moim życiorysie. Taka karma, i pozostaje nadzieja, że nie rozciągnie się to na przyszłe wcielenia.

Okreźną drogą zmierzam do tego, że to właśnie tu ją poznałem. W wynajętym mieszkaniu, w którym siedzę do teraz. Wtedy nie było mnie stać nawet na kawalerkę, więc wprowadziłem się do pokoju w mieszkaniu z ogłoszenia, dosłownie pierwszym z brzegu, którego właściciel odebrał telefon. Zupełnie jakbym znowu zaczynał studia. Prawdę mówiąc, było mi zupełnie obojętne, z kim miałbym mieszkać, a od współlo-

katora oczekiwałem jedynie, żeby nie palił, bo mam chore oskrzela. Trafiło na nią. Na Playgirl, choć wtedy tak jeszcze o niej nie myślałem. Koleżanka właśnie się od niej niespodziewanie wyprowadziła, została na lodzie i jej również było wszystko jedno.

Zanim się spotkaliśmy, rozmawialiśmy kilka razy przez telefon, głównie o tym, jakie meble będą potrzebne do mojego pokoju. Miała przyjemny głos. Widziałem ją tylko na zdjęciach z facebooka, czarno-białych i mocno wystylizowanych. W realnym świecie okazała się chudą laską o świecących oczach. Nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Wydała się mocno pretensjonalna – ale to świadczy tylko o tym, jak nietrafnie oceniam ludzi.

Mieszkaliśmy ze sobą dziewięć miesięcy; bez wysiłku przywołałbym przykłady małżeństw, które trwały krócej. Jak się okazuje, w ogóle jej nie poznałem. To niesamowite, jak obcy może być człowiek mieszkający w sąsiednim pokoju. Nawet gdy skupiam się z całych sił, nie potrafię przypomnieć sobie żadnego z jej zapachów, nie pamiętam też, żebyśmy kiedykolwiek intencjonalnie się dotknęli – nie w kuchni, podając sobie talerz do wytarcia czy przekazując klucze do skrzynki pocztowej, tylko tak po prostu. Nawet witaliśmy się i żegnaliśmy na dystans, nawet gdy byliśmy pijani, jakby przestrzegając jakiejś niepisanej umowy.

Dwa bezcielesne duchy. Ciekawe, czy myśli w ten sposób o mnie.

Mimo wszystko – trochę za nią tęsknię.

Choć nigdy jej nie kochałem.

* * *

Dość szybko okazało się, jak liberalnie Playgirl podchodzi do tematu kontaktów z mężczyznami. Bez skrępowania opowiadała, z kim się akurat spotyka, a ładunek emocjonalny jej opowieści był taki, jakby dotyczył cen warzyw w sklepie na osiedlu.

Nie chwaliła się, nie próbowała wzbudzić mojej zazdrości – po prostu opowiadała między jednym a drugim łykiem kawy, z kim spędziła ostatnią noc. Najpierw myślałem, że to jakiś rodzaj prowokacji, że bada mnie, sprawdza, jak zareaguję – ale tak naprawdę wcale jej to nie interesowało. Czasem dziwiła się, jak to możliwe, że będąc młodym singlem w wielkim mieście, spędzam wieczory na popijanych piwem rozmowach przez Skype z tymi kilkoma przyjaciółmi, których zostawiłem kilkaset kilometrów za sobą, a jeśli oni akurat mieli lepsze zajęcia, to gram na komputerze, zamiast podrywać przypadkowe laski i ściągać je na noc w nadziei, że zostaną w moim życiu na dłużej. Dziwiła się, że nie potrafię – ale nigdy złośliwie czy kpiąco, raczej całkiem szczerze. Co, prawdę mówiąc, przygnębiało tym bardziej.

Pochodziliśmy z całkiem różnych planet. Nigdy nie zrozumiałaby, że patrząc w lustro, widziałem człowieka boleśnie świadomego własnej niezdolności do budowania związków. Od wczesnej młodości wszelkie wzorce dotyczące tworzenia relacji emocjonalnych czerpałem przecieź z filmów, seriali i internetowego porno; oczywiście, że czuję się oszukany, ale mam wystarczająco rozumu, żeby nie narzekać – niby do kogo miałbym iść z reklamacją? Byłem pewien, że nie zrozumiałaby, bo przecieź sama dawała sobie z tą ułomnością radę.

Wszyscy jakoś dają sobie radę.

– Nie sądzisz, że coś w ten sposób tracisz? – zapytałem ją kiedyś.

Podniosła spojrzenie świecących oczu, zastanowiła się.

– Nie.

– A czego właściwie szukasz w łózkach tych wszystkich koleśi?

Uśmiechnęła się.

– Jestem poławiaczką pereł... Szukam tego, co każdy. Miłości.

Nie powiedziałem wtedy chyba nic więcej.

* * *

Po raz drugi poznałem ją przez całkowity przypadek. Już jako Playgirl.

Po którejś kolejnej rozmowie o sensie istnienia, gdy mniej lub bardziej pijany starałem się toczyć z nią wyrównany dialog i ilustrować smętne wywody przykładami z własnego życia, doszedłem do wniosku, że no cóż, może jednak ma trochę racji.

– Małż może czekać całe swoje marne życie na pieprzonym dniu, aż trafi mu się to jedno ziarenko, z którego powstanie perła. Ale bardziej prawdopodobne, że po prostu w końcu zdechnie samotnie.

Tak to mniej więcej ujęła.

Założyłem więc konto na portalu randkowym. Kosztowało mnie to około kwadransa i kilkanaście złotych wydanych za pośrednictwem SMS-a. Pozostawałem mocno sceptyczny wobec portali randkowych – jak się okazało, całkiem słusznie; szybko mnie ta zabawa znudziła. Każdy ma kilku znajomych, którzy poznali swoją drugą połówkę przez internet – widocznie mieli znacznie więcej szczęścia, znacznie mniej rozumu albo po prostu bardziej im zależało. Nieważne.

Przeglądając kolejne profile singielek z okolicy, natrafiłem na użytkowniczkę Playgirl. Rozpoznałem jej zdjęcie – jedną z tych wystylizowanych fotek, które wrzucała na facebooka. Wyglądała znacznie korzystniej niż w rzeczywistości; na miejscu osoby, która umówiła się z nią na randkę, w pierwszej chwili byłbym chyba mocno rozczarowany.

– Nie trzeba być ładnym – zdradziła kiedyś. – Wystarczy zachowywać się tak, jakby się było. Gdy się przekonująco udaje, każdy się nabiera.

Drażniła mnie ta jej pewność siebie. Zresztą złudna – bo przecież mnie nie podobała się wcale. Musiała zdawać sobie z tego sprawę, i chyba to drażniło mnie jeszcze bardziej – że mój brak zainteresowania zupełnie jej nie obchodził.

Postanowiłem zażartować. A może tak naprawdę chciałem dać jej nauczkę, złośliwie podsunąć poławiaczce małża z kolcem zamiast perły. Podmieniłem więc zdjęcie profilowe na fotografię przypadkowego australijskiego aktora, do tego grającego tylko w rodzimych serialach, zmieniłem nazwę użytkownika – i napisałem do niej wiadomość.

Odpisała. Zaczęliśmy korespondować.

Sprawiło mi dziwną przyjemność pisanie do niej i słuchanie uderzania w klawiaturę laptopa dobiegającego z pokoju obok. Zacząłem żyć dwoma żywotami naraz – własnym, rozgrywanym w przestrzeni nudnego biura i pokoju pełnego pustych puszek, oraz tym nowym, wymyślonym specjalnie dla niej. W pewnym momencie musiałem zacząć się pilnować, żeby w naszych codziennych współlokatorskich rozmowach nie zdradzić się z wiedzą, jaką mieć mogło tylko moje sekretne alter ego. Bardzo szybko doszedłem do wniosku, że stworzony przeze mnie Janusz, właściciel małej agencji reklamowej na obrzeżach miasta, wie o Playgirl sporo więcej, niż wiem o niej

ja sam.

To ona zaczęła sugerować spotkanie na żywo. Miałem wrażenie, że jest mocno zaskoczona takim obrotem sprawy i przez chwilę podejrzewałem nawet, że może się zniechęcić moim brakiem entuzjazmu. Nieraz korciło mnie, żeby pomoralizować, ale bałem się, że przeczyta w wiadomości od Janusza coś, co wcześniej mogła usłyszeć w rozmowie ze mną i skojarzy fakty. Brnąłem coraz dalej.

Byłem w tym całkiem niezły. Nie połapała się. Nie sądzę, żeby choć podejrzewała.

Częścią opowiadania historii jest tworzenie ludzi. Jak już wspominałem, były czasy, gdy radziłem sobie z tym świetnie.

* * *

Po tym jak zignorowałem kilka jej sugestii randki, nieco zmieniła styl wypowiedzi, stała się bardziej lapidarna i być może rozważała już zakończenie znajomości. Zaproponowałem więc spotkanie – wydaje mi się, że w ostatniej chwili. Niewątpliwie fascynował ją rozmówca, który zmienił zasady gry, wcale nie dążąc do seksu – ale chyba też narastało w niej zwątpienie. To wszystko mogło się zakończyć całkiem inaczej, niż chciałem.

Zaproponowałem spotkanie tylko po to, żeby potem napisać jej pożegnalną wiadomość, w której Janusz powie wprost, co o tym wszystkim myśli.

Tylko po to, żeby widzieć ją, gdy wróci rozczarowana i upokorzona. By wyobrazić ją sobie taką, i choć przez chwilę cieszyć się zwycięstwem.

* * *

Przyszedł piątek, pojechaliśmy wieczorem do klubu w centrum. Wcale nie miałem na to wielkiej ochoty, ale w alternatywie mogłem co najwyżej osuszyć kolejne browary, szukając sobie zajęcia w domu. Nikt normalny nie siedział o tej porze przy Skypie, trwała zimowa przerwa w rozgrywkach ligowych, przeszedłem też wszystkie kupione ostatnio gry. To ona zaproponowała, żebyśmy wyszli razem.

Później miała się spotkać z – jak to określiła – być może najciekawszym facetem od dawna. W ostatniej wiadomości uprzedzała Janusza, że może wziąć ze sobą współlokatora, który jednak na pewno nie będzie chciał zostać długo.

Siedzieliśmy na wysokich stołkach przy barze. Nikt nie pił piwa, więc zamówiłem whisky z colą, ona sączyła drinka przez słomkę. Modny klub dla pięknych ludzi – czułem się tu jak ktoś wklejony przez przypadek w niewłaściwy plik. Wydawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie z rozbawieniem. Podniosłem wzrok na lustro za barem – rzeczywiście mogło to wyglądać śmiesznie: niepewny siebie koleś, sam ze szklanką whisky w piątkowy wieczór.

Żeby osadzić jakoś ten obrazek na osi czasu: to tego wieczoru powiedziała, że najpierw zawsze uderza mentol. Zanim powietrze stanie się lżejsze, a światła ostrzejsze. Rozmawialiśmy bowiem o tym, jak zaczynają się jej relacje z facetami.

– Facetów dzielę na dwie grupy – wyznała. – Od tego trzeba zacząć. Są psy i są koty. Psów jest zdecydowanie więcej. To ekstrawertycy niepotrafiący maskować emocji, tak naprawdę wystarczy się nie bać, żeby natychmiast się podporządkowali. Reagują na komendy. Czują też potrzebę udowodnienia na każdym kroku, że są warci zainteresowania.

Upiła łyk drinka, kolorowego jak Marsz Równości.

– Koty z kolei – kontynuowała – to introwertycy, którzy widzą to, co chcą zobaczyć. Albo sami zwrócą na ciebie uwagę, albo pozostaniesz dla nich powietrzem. Rzadko przywiązują się na poważnie i nie da rady wziąć ich na smycz. Mają te swoje ścieżki... – zawahała się. – Oczywiście zawsze wybieram psy.

Smak whisky w szklance nie tłumaczył, czemu zapłaciłem za nią tak cholernie dużo. Drażniło mnie to.

– A ja? Pies czy kot?

– Kot. Wykastrowany.

Roześmiałem się. Nie miała intencji mnie urazić.

– Udomowienie psa to w gruncie rzeczy bardzo prosta sprawa – podjęła wątek. – Dla mnie to coś w rodzaju rytuału, mszy świętej... Uwielbiam to uczucie, gdy rytuał się zaczyna.

– A jakie to uczucie?

Opowiedziała; niewiele zrozumiałem. Posiedziałem jeszcze trochę i na kwadrans przed jej umówionym spotkaniem wróciłem do mieszkania spędzić samotnie resztę wieczoru. Zastanawiałem się, jak zareaguje, gdy tym razem piesek nie wyjdzie jej naprzeciw.

* * *

Nie wróciła na noc. Gdy zobaczyłem ją rano, pochyloną nad kawą, była wymięta i poszarzała.

– Jak było? – zapytałem ostrożnie.

Uśmiechnęła się.

– Wspaniale. Robi świetne wrażenie. Oczywiście to głupota mówić takie rzeczy, ale wiesz... wydaje mi się, że to może być właśnie on.

– Janusz?

Byłem pewien, że ze mnie żartuje. Albo że z jakiegoś

powodu nie chce się przyznać do klęski; chyba że wyszła z pierwszym lepszym kolesiem, który zagadał do niej, gdy Janusz nie zjawiał się i nie odbierał telefonu – bo przecież jego numer nie istniał.

– Janusz. Nie wiem, co z tego wyjdzie, ale to na pewno wyjątkowy facet. Świetne poczucie humoru... Słucha tej samej muzyki, co ja. A do tego wygląda nawet lepiej niż na zdjęciach.

Uznałem, że musi udawać. Albo że to jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

– Był taki, jaki wydawał się przez internet?

– Właśnie! Wiesz, gdy z kimś tylko piszesz, a nie znasz go osobiście, zaczynasz sobie wyobrażać wiele rzeczy. Barwę głosu, mimikę, gesty. To, w jaki sposób ktoś łączy słowa w zdania, buduje jego obraz. I uwierz albo nie, ale tym razem sprawdził się w stu procentach.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

– A jednak, mówię ci – roześmiała się.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Przyjąłem, że jednak przejrzała moją intrygę i zechciała się odegrać.

Postanowiłem być czujny.

* * *

Pierwsze, co zrobiłem, to skasowałem konto na portalu randkowym. Wyczyściłem historię przeglądarki, a po chwili wahania dla pewności przeinstalowałem cały system operacyjny.

Playgirl nie przestała jednak pisać z Januszem.

Co jakiś czas z jej pokoju dobiegał serdeczny śmiech; czasem wołała mnie, żeby zacytować co zabawniejsze fragmenty. Raz zajrzałem jej przez ramię na ekran komputera, gdy

ze słuchawkami na uszach rozmawiała przez Skype.

Po drugiej stronie siedział ktoś o twarzy aktora z australijskich seriali; mimo niskiej rozdzielczości obrazu dostrzegłem w jego oczach psie oddanie.

Raz podałem jej telefon, gdy zostawiła go w kuchni. Dzwonił Janusz. Pod imieniem wyświetlał się jego nieistniejący numer telefonu – zapamiętałem go, bo był kombinacją moich poprzednich u różnych operatorów.

Coraz częściej też się z nim spotykała. Nigdy wcześniej nie wyobrażałem sobie, że może być tak radosna i roześmiana.

Nigdy wcześniej nie wyobrażałem jej sobie zakochanej.

* * *

Jeszcze raz udało mi się dotrzeć do momentu, w którym kończy się historia Playgirl. Mam nadzieję, że tym razem nie poplątałem zbyt wiele. Lubię zmyślać i ciągle to robię, ale nigdy po to, żeby oszukać – chyba, że sam siebie.

Nie byłem bardzo zdziwiony, gdy pewnego dnia powiedziała, że wyprowadza się do Janusza. Postąpiła wobec mnie bardzo fair, oznajmiła wyprowadzkę z dużym wyprzedzeniem, tak, żebym miał czas na ewentualne znalezienie współlokatora. Zarabiałem coraz lepiej i samodzielny wynajem dwupokojowego mieszkania nie stanowił już większego problemu, ale doceniłem sam gest.

Piłem chyba trochę więcej niż wcześniej. Nie uważam, żebym miał z tym problem, to nie tak – po prostu zauważyłem, że coraz częściej muszę wynosić worki pełne pustych puszek. Nie miałem nic ciekawszego do roboty wieczorami, tyle.

Gdy czekała na Janusza, żeby przyjechał zabrać ją z resztą rzeczy, wyszedłem na długi spacer. Nie chciałem go zoba-

czyć. Pożyczyłem jej wszystkiego najlepszego, pożegnaliśmy się, nie dotykając się, i zamknąłem za sobą drzwi. Klucze obiecała przekazać właścicielowi.

Wróciłem do już pustego mieszkania, w którym siedzę również teraz. Opowiedziałem tu sobie historię Playgirl tyle razy, że oto opowiedzenie jej innym sprawia mi dziś duży kłopot.

Nie mam pojęcia, czy to zrozumiałe. Nie wiem, czy ważne.

Wiem, że trochę za nią tęsknię.

I że nigdy jej nie kochałem.

Łukasz Orbitowski
SKÓRY

1.

Milknę.

Korzenie sosny rozczapierzają się nad samą wodą, a między nimi, w ciemności łypią na mnie oczy jakiegoś przestraszonego stworzenia. Brzeg wzbija się aż pod ciemniejące niebo, drzewa pochylają się nad nurtem, podobnie jak ociemniała latarnia po drugiej stronie, nad wyłamaną barierką. Woda wlewa się do samochodu. Oczy Elektrody obracają się ku mnie i gasną, jej bark przebiła naga kość. Rzeka pędzi po kamieniach. Odpinam pas i czekam, aż moje ciało wróci do normy. Samochód leży na dachu i nie mogę otworzyć drzwi. Wysoki mężczyzna zsuwa się ze skarpy po naszych śladach. Wykruszam resztki szkła i wychodzę przez okno, woda jest płytka, a jednak zalewa mi twarz. Usiłuję przypomnieć sobie, jak wyglądam. Siadam. Poszukuję własnego odbicia. Mam krótką brodę i medalik na włochatej piersi. Rzeka zbiega się przede mną ku dwóm łysiejącym drzewom.

Nasz samochód to teraz bryła zmiętoszonej stali. Wysoki mężczyzna traci równowagę i musi oprzeć się o wrak, żeby nie upaść. Próbuje wpełznąć do środka, szarpie Elektrode i niezdarnie odskakuje. Ma koszulę w drobną kratę i niebieskie spodnie. Siedzę w wodzie po pas, jest mi zimno i czuję głód. Wysoki wybiera numer na komórce, spostrzega mnie i telefon uderza w wodę. Podnosi go, wpycha do kieszeni i już jest przy mnie. Przygląda się i próżno poszukuje jakiegokolwiek rany. Wstaję, i tak sobie trwamy. Wysoki próbuje włączyć telefon,

wraca do samochodu, a ja czekam spokojnie, aż zrozumie, że dla Elektrody już nic nie można zrobić. Zastanawiam się, jak z nim będzie. Wysoki pomaga mi wspiąć się na skarpe i ma mocny uścisk. Dopiero z drogi widzę, że nad wrakiem wiruje splątany sznur dymu, las gęstnieje, daleko, nad czarnymi koronami jaśniej lona miasta.

Wysoki wskazuje mi tylne siedzenie. Jego auto jest mniejsze niż to Elektrody. Jedziemy bardzo powoli, owady tańczą w świetle reflektorów. Wysoki zadaje mnóstwo pytań, kim jestem, jak mam na imię, co się stało, czy piliśmy, kim była tamta kobieta i jeszcze nie wie, że będzie musiał nauczyć się żyć z moim milczeniem. Cisza jest piękna, zimno i głód wprost przeciwnie. Stukam w deskę rozdzielczą i Wysoki podkręca temperaturę. Przestaje pytać. Patrzy na drogę. Przez głowę biegnie mu siwy wianek, uszy sterczą. Las się kończy. Mijamy parterowe domy, krzyż przydrożny, rzeka oddala się i powraca, tym razem z drugiej strony. Spokojny nurt. Wysoki odzywa się, że zaraz dojedziemy do Rykusmyku. To dobra wiadomość. Otwiera się plac z przystankiem autobusowym i rzędami poskładanych stołów, w budkach handlowych zalega ciemność. Szara, podświetlona baszta wyrasta ponad dachy kamienic. Skracamy pod piaskowym zamkiem o ścianach pokrytych liszajem, popisanych sprejem, ludzie siedzą na murkach i układają na parapetach swoje głowy pozbawione znaczenia. Wysoki spogląda przed siebie. Znika mi broda i wąsy, puchną piersi i kości policzkowe, dłonie stają się drobne, a paznokcie czerwienieją. Mam skórę Elektrody. Wpadamy w krętą uliczkę. Kobieta pcha wózek z dzieckiem. Mężczyzna pcha wózek ze złomem. Wysoki zatrzymuje samochód na szpitalnym parkingu, obraca ku mnie głowę i traci oddech.

Słyszę, że w szpitalu się mną zaopiekują. Jeszcze raz

wskazuję na swoje ciało. Nic mi nie jest. Czuję tylko głód i senność. Ubranie zrobiło się za duże. Wysoki nie odrywa ode mnie wzroku. Drapie się po głowie, skubie szczecinę na brodzie, szarpie kieszeń na piersi i powtarza, że nie mamy innego wyjścia. Pyta, czego chcę. Otwiera drzwi z mojej strony i próbuje mnie wyciągnąć. Zaciska rękę na moim przedramieniu, szarpie mocno. Zbiegają się ludzie, pytają, czy wszystko w porządku, co zmusza Wysokiego do puszczenia mojej ręki. Wraca do auta. Jedziemy, ale niedaleko. Wysoki zatrzymuje się za miastem, gasi światła i znów patrzy przed siebie. Nad polami szybuje ogromny księżyc. Miotają się nietoperze. Wkładam palec do ust. Składam skroń na desce rozdzielczej. Wysoki idzie przed siebie i kopie wysoką trawę. Pozwalam mu się wykrzyczeć. Czekam, aż znów zapali silnik.

2.

Wysoki ma dwa małe pokoje. Okno wychodzi na osiedle z placem zabaw, sklepem spożywczym i budką fryzjera. Wysoki nastawia wodę w rondelku i zawisa nad kuchenką. Widzę go przez otwarte drzwi. Kieliszki stoją w rzędach za szkłem meblościanki. Matka Boska w wąskich ramach otwiera swoje brązowe serce, a ludzie tańczą w telewizorze. Zapamiętuję ich twarze i powłoki. Odkładają się we mnie. Nigdy nie zniszczą i nigdy nie umrą. Jestem ich wiecznością i tonę w brązowym fotelu. W szparze pod oparciem zalegają śmieci. Wysoki otwiera lodówkę, zdiera folię z parówek. Podbiegam, wydaję mu je z rąk, zjadam natychmiast i już nie czuję głodu.

Prócz Wysokiego w pokoju są dwie inne osoby: śliska kobieta i mężczyzna o sparaliżowanej połowie twarzy.

kownik jest najstarszy i ma błyszczącą klamrę przy pasku. Bez przerwy wychodzi na balkon, żeby zapalić. Łapie końcówkę filtra zdrowym kawałkiem warg, pospiesznie zaciąga się dymem, ciska niedopałek i drałuje do kuchni, żeby pouczyć Wysokiego. Pułkownik nie jest mi życzliwy, Śliska też nie. Usadowiła się na sofie. Ma krótkie włosy, okulary w drucianych oprawkach, nefrytowy wisiołek i delikatny wąsik. Jest szczupła. Powtarza pytania Wysokiego. Chce wiedzieć, kim jestem i czego potrzebuję. Uśmiecham się, głaszczę brzuch. Przykładam dłoń do skroni i zamykam oczy.

Śliska na próżno przeszukuje moje kieszenie, mówi, że powinni zadzwonić po policję. Pułkownik się z nią zgadza, dodaje, że należy zgłosić wypadek. Potrząsam głową i obracam mokre oczy ku Wysokiemu. Unoszę kciuk. Moje palce biegną po oparciu fotela. Znów unoszę kciuk, palce biegną ponownie. Wskazuję za okno. Wysoki mówi, że jeśli zadzwonimy po policję, to na pewno zrobi się z tego problem, a ona chce zostać tylko na jedną noc. „Jutro jej nie będzie”, słyszę. Wzrok Pułkownika prześlizguje się po mojej koszuli i oplata szyję. Śliska mówi, że po jej trupie, krzyczy, że jej się nie podobam i że nie należało zatrzymywać się na drodze. Wysoki obejmuje ją w biodrach, Śliska odwraca głowę, więc jego pocałunek ląduje na policzku. „Co miałem zrobić”, mówi, „myślałem, że ktoś potrzebuje pomocy”. Kuca przede mną, mówi, że odda mi łóżko, ale tylko na jedną noc. Jutro rano każe mi się wynieść. Pyta, czy rozumiem. Odpowiadam gwałtownym skinieniem głowy. Dostaję koc. Kładą mnie na wersalce, w drugim pokoju, pod ścianą pełną szarych książek, za którą trwa sprzeczka. Śliska wychodzi, trzaskając drzwiami, jej kroki dudnią na klatce schodowej. Pułkownik pociesza Wysokiego. Kładę się na bok i udaję, że śpię. Wiem, że zaraz do mnie zajrzą, i tak właśnie się

dzieje. Powietrze jest ciepłe i suche.

3.

Telewizor chodzi bez dźwięku, przez szparę nad progiem przewala się elektryczny śnieg. Uchylam drzwi. Przytulam policzek do framugi. Z tej perspektywy widzę tył głowy Wysokiego i rękę pracującą miarowo pod kołdrą. Telewizor wyświetla film pornograficzny. Dziewczyna ma biust jak dwa głązy powleczone naciągniętą skórą, jej oczy są oślepiająco białe za sprawą soczewek kontaktowych. Nabija się na muskularny członek i walczy o oddech. Mężczyzna pod nią pręży tatusze. Przyglądam się temu, zerkając na Wysokiego, który nagle wyciąga dłoń spod kołdry, i to grubo przed finałem. Dobywa z siebie westchnienie pełne żalu, a telewizor gasi tak gwałtownie, jakby chciał go strącić. Siada na brzegu łóżka i tak trwa. Członek przypomina przemoczony sztandar. Wysoki wyjmuje płytę z odtwarzacza, obraca ją w dłoniach, wzdycha raz jeszcze i chowa za książkami. Zaraz się wycofam. Wysoki kładzie się pod moim spojrzeniem, naciąga kołdrę pod mokre oczy i chyba szarpie się za brzuch. Wracam na wersalkę. Wysoki mówi do siebie słowa, których nie rozumiem. Zamykam oczy. Chcę obudzić się za godzinę, i tak właśnie będzie. Śni mi się namiot na stepie i niekończący się ciąg twarzy wojowników w świetle ognia.

Po godzinie sen się kończy, Wysoki leży na wznak i chrapie. Nawlekam na siebie skórę Śliskiej. Rozbieram się do naga. Nogi są krępe, lecz proste, plecy kościste, piersi małe, a brzuch pofałdowany. Obchodzę łóżko, wślizguję się pod pościel i zamykam wargi na miękkim członku. Ospale rośnie w

moich ustach, Wysoki zaczyna mrużyć, nagle budzi się i unosi kołdrę. Nie odrywam od niego spojrzenia. Koniuszką języka przejeżdżam od jąder po naprężony szczyt, pluję sobie na rękę i zaczynam masować. Wpełzam na Wysokiego, podsuwam mu piersi do całowania, skubię jego wargi. Wypowiada imię Śliskiej, pyta, co się stało. W odpowiedzi wprowadzam go do siebie i zaczynam się kołysać. Najpierw pochylam się nad nim. Nasze ciała ocierają się. Wysoki próbuje schwytać moje sutki. Biorę go za nadgarstki, przyciskam ręce do bioder, odchylam się do tyłu i robię krótkie przysiady w ten sposób, że stykamy się tylko w jednym miejscu. Rozchyłam usta. Czuję chłód i lekkie mrowienie między łopatkami. Oczy Wysokiego płoną. Jęczy, a ja zostaję w ciszy. Wysoki zaczyna trzepotać się we mnie. Rozpoznaję moment, zsuwam się z łóżka i nastawiam twarz.

Wychodzę z łazienki i wtulam się w niego. Wysoki jeszcze nie odzyskał oddechu. Mówi, że mnie nie poznaje i nawet się nie spodziewał, pyta, co się stało i czemu nie mogliśmy tak wcześniej, całuję go mocno, mrużę, zamykam oczy i nieruchomieję. Czekam, aż Wysoki zapadnie w sen. Wracam do drugiego pokoju, gdzie wkładam skórę Elektrody i wpełzam pod koc. Zasypiam natychmiast. Gwiazdy pochylają się nad ogniem. Wojownik o twarzy postarzonej tylko przez blizny podsuwa mi miskę z parującym jedzeniem, w którym natychmiast zanurzam ręce.

4.

Wysoki wita mnie słowami, że zaraz muszę się wynieść. Odpowiadam skinięciem głowy, pokazuję na usta, ale jedzenie

już czeka. Roluje cienkie plastry wędliny, popycham chlebem w gardło, zalewam herbatą. Stół błyskawicznie pustoszeje i Wysoki przynosi dokładkę. Ta również znika. Słyszę, że już naprawdę muszę iść. Podrywam się z fotela, przesyłam uśmiech. Wysoki chce wiedzieć, czemu nic nie mówię. Przy drzwiach gmera w kieszeni i próbuje wcisnąć mi banknot. Zostawiam go na progu ze stuzłotówką w wyciągniętej dłoni i zbiegam po schodach.

Osiedle to kanciasta pętla czteropiętrowych bloków. Niektóre pozostały szare, ale ten, w którym mieszka Wysoki, pomalowano na czerwono, żółto i pomarańczowo. Siadam na ławce między placem zabaw a pawilonem handlowym. Ojciec usadza chłopczyka na huśtawce. Skręca łańcuchy. Puszcza. Dziecko obraca się wokół własnej osi i cieszy się z tego. Ludzie spacerują z psami i palą. Ich swetry pachną tytoniem. Słońce jeszcze nie weszło dość wysoko. Chowam dłonie do rękawów koszuli, żeby je ogrzać, a zza warzywniaka wyłania się Śliska w białym sweterku o okrągłych guzikach przypominających perły. Rozpoznaje mnie. Przyspiesza kroku i znika w klatce schodowej, gdzie mieszka Wysoki.

Czuję pragnienie. Rozglądam się za kranem albo studnią, znajduję tylko Pułkownika unoszącego dwie puszkę piwa, bułkę i jedzenie dla kotów w przezroczystej siatce. Robię mu miejsce. Siada obok. Pyta, jak się czuję i czy mam dokąd pójść. Daję do zrozumienia, że wszystko jest dobrze, ale, zaledwie przez moment, rozważam także jego osobę. Ma twarde dłonie, płytki oddech i dziury w zębach. Jednak nie. Zaczyna opowiadać, że Wysoki to wyjątkowy człowiek i kto inny pogoniłby mnie na kopach z domu, a nawet z całego Rykusmyku. Ludzie są surowi, bo nastały ciężkie czasy. Tak uważa. Otwiera sobie piwo. Sięgam po drugie, na co przyzwala porozumiewawczym

mrugnięciem. Podsuwa mi telefon komórkowy z czymś, co wygląda na ekran, po którym można pisać. Telefon leży w mojej dłoni i w końcu z niej się wysuwa. Pułkownik zaczyna krzyczeć. Piwo gasi pragnienie. Zostawiam trochę na potem. Pułkownik mówi, że jeszcze się doigram, i odchodzi.

Ledwo zniknął, a już Śliska wypada od Wysokiego. Łzy ciekną po poczerwieniałej twarzy. Palce nie radzą sobie z zapinaniem swetra. Z upuszczonej torebki wypadają szminka, portfel, futerał na okulary, takie rzeczy. Śliska zbiera to wszystko i przyciska do piersi. Po chwili już jej nie ma – przepada między blokami, jak papierowa płachta unoszona przez wiatr. Wstaję. Wyrzucam puszkę do śmietnika. Zawsze trafiam do śmietnika. Śliska zapomniała szminki, którą podnoszę z chodnika. Obracam w dłoni. Szminka podąża za puszką. Idę w stronę klatki schodowej.

5.

Naciągam skórę Śliskiej. Mieszkanie jest otwarte, Wysoki wypada do przedpokoju. Po prostu klękam przed nim, rozpinam spodnie i napełniam sobie usta. Wolną dłonią rozpinam koszulę. Unoszę wzrok, tak, żeby nasze spojrzenia się spotkały. Naciągam skórę dziewczyny z filmu pornograficznego: oczy mi jaśnieją, ogromny biust ciąży ku podłodze, u dołu pleców wykwita mi tatuaż, a Wysoki z wrzaskiem rzuca się w głąb mieszkania. Upada. Pełźnie. Staję nad nim, głaszczę własne podbrzusze i szarpie się za sutki. To nie pomaga. Naciągam skórę Elektrody, którą zna, i przykładam dłoń do jego warg. Uśmiecham się. Wysoki odpowiada skinieniem głowy. Pochyliłam się i sprawiam, że moje piersi pęcznieją mu w ustach.

6.

Siedzę na podłodze w piwnicznym korytarzu. Jem ziemniaki ze śmietaną i skwarkami prosto z opalonego garnka. Moje palce są tłuste, panuje ciemność. W prostokącie światła, rzucanym przez okienko na górze, obserwuję, jak Wysoki przygotowuje dla mnie posiłek. Powietrze jest suche i zakurzone. Wysoki wnosi fotel bujany, worki z ubraniami i srebrny ponton skrzepowany taśmą klejącą. Odstawia pod schody, ociera czoło i pyta, czy czegoś nie potrzebuję. Biorę ziemniak. Wysoki znika, by zaraz wrócić z odkurzaczem. Hałas jest męczący, przykładam dłoń do uszu, tupię stopą, ale Wysoki zdaje się tego nie dostrzegać, rozkłada ramiona i odkurza dalej. Chwyta za ścierkę i jakiś płyn. Wykrawa kawałek tektury, zakleja okno, światło latarki musi nam wystarczyć. Gdzieś, w piwnicznym labiryncie, koty grasują ze szczurami.

Smak ust Wysokiego kojarzy się z czerstwym chlebem. Mówi, że musi mnie zamknąć na dwie lub trzy godziny, gdyż nie wyrobi się wcześniej z tym wszystkim. Zaraz potem rozkłada to pytanie na gesty. Wchodzę do piwnicy. Znajduję miejsce przy grubej rurze ciepłowniczej i podkurczam nogi pod brodę. Wysoki przekręca klucz w zamku po drugiej stronie. Słyszę, jak męczy się z przedmiotami, które wyniósł. Fotel bujany szoruje po stopniach. Wyciągam rękę przed siebie. Nie widzę własnych palców i znika czas.

Wysoki i Pułkownik rozmawiają przed drzwiami do piwnicy. Pułkownik chce wiedzieć, po co Wysokiemu wersalka z Ikei, i słyszy, że stare łóżko przyniosło tylko ból w okolicy karku. Pułkownik naciska. Czemu w takim razie do piwnicy

taszczy tę nową wersalkę, a nie starą? Wysoki podnosi głos i mówi, że nie ma czasu na skręcanie i ledwo zdążył kupić. „Nie ma problemu, stary”, raduje się Pułkownik, „mam luz, wniesiemy, wyniesiemy, ja ci poskręcám, a ty zajmiesz się swoimi sprawami, jakiegokolwiek by były”.

Wysoki dziękuje pięknie, ale innym razem. Podchodzę do zasłoniętego okna i uchylám róg kartonu. Pułkownik staje przed blokiem. Patrzy. Papieros kołysze mu się w wargach.

Zmontowana wersalka zajmuje prawie całe pomieszczenie piwniczne. Prócz niej, Wysoki kupił przedłużacz. Wbija gwoździe i zawiesza lampki. Przynosi wodę, czekoladę, ręcznik, ubrania. Trzęsącymi się dłońmi sięga do plecaka. Podaje mi plik kolorowych gazet ze zdjęciami kobiet.

Mam młodą skórę aktorki Probosz. Wysoki naciska moje ciało, jakby sam próbował mnie uformować. Po wszystkim próbuje mnie objąć. Ogrzewam go własnym oddechem i słyszę, że chciałby wiedzieć, jak wyglądam naprawdę. Głaszczę mnie po twarzy. Nie rozumiem, dlaczego tego potrzebuje, skoro jestem dla niego wszystkim. Odsuwa się. Naprawdę chce zobaczyć. Jak wyglądam naprawdę? Nie pamiętam.

7.

Obserwuję świat przez rąbek piwnicznego okienka. Widzę, jak Wysoki odpala samochód i odjeżdża w szarówce świtu. Piłka bębni o ścianę. Dzieci zbierają klapsy i upomnienia, młodzi siadają na ławce i chowają piwo między nogami, psy ryją ziemię, martwy ptak spada z dachu i rozwiera dzióbek pod moim obojętnym spojrzeniem. Wszechobecny Pułkownik przecina osiedle we wszystkich możliwych kierunkach. Śliska

zmieniła kolor włosów i czasem odwiedza Wysokiego. Czekam spokojnie, bo prędzej czy później Śliska pójdzie do siebie, Wysoki zleci zaś na parter, trzęsąc się tak, że kluczem nie trafi do zamka.

Przychodzi przynajmniej trzy razy dziennie: o świcie, po południu i nocą. Czasem przysypia i już nie zadaje tylu pytań. W zamian opowiada o sobie i o tym, jakie życie zrobiło się ciężkie, a jednak odmawia sobie prawa do narzekania, gdyż inni mają gorzej. Wspomina czasy, gdy Rykusmyku żyło spokojnie z Zakładów Kuziennicznych, a ludzie byli życzliwi dla siebie. Teraz każdy się uśmiecha i chowa nóż za plecami – tak on twierdzi i odchyła głowę, na znak, że potrzebuje pocieszenia. Zawsze je dostanie. Czekam spokojnie, czekanie jest wszystkim. Mam całą przeszłość i przyszłość świata. Jestem każdym człowiekiem.

A jednak, Wysoki pragnie wiedzieć, czego mi potrzeba. Proponuje radio albo mały telewizor, zastanawia się nad komputerem, organizuje książki, które podczas kolejnej wizyty zostaje nietknięte. Wspomina coś o małych zwierzętach. Po prostu siedzę na łóżku. Ożywiają mnie dopiero przysmaki. Dostaję lody z bitą śmietaną i ciasto truskawkowe, pochłaniam żelki, ptasie mleczko, wielką paczkę chipsów i sos w przezroczystym pudełku. Przygląda się, jak jem i pyta, co smakuje mi najbardziej.

Wysoki przynosi pizzę i butelkę ginu z tonikiem. Pije dużo, ja wprost przeciwnie – trącam drinka ustami Salmy Hayek, pieścę go i słucham. Mówi, że męczy go ta sytuacja i musimy coś z tym zrobić, nie zrezygnuje ze mnie za nic w świecie, ale Rykusmyku to małe miasto i ludzie zaczną gadać. Śliska już na pewno. Kiedyś między nimi płonęły dzikie ognie, teraz pozostał cień wspomnienia, Wysoki próbuje zrozumieć, dlaczego

do tego doszło, obwinia siebie i upływ lat. Nie wie, co można z tym jeszcze zrobić. „Zawsze mamy to, co zrobiliśmy w przeszłości”, mówi. „A jednak, zmarnowałem jej ostatnie lata, kiedy była piękna”. Opieram stopy na jego ramionach. Tym razem trwa to dłużej. Włochaty tors robi się czerwony i mokry. Po wszystkim Wysoki gasi pragnienie resztką ginu, wpełza pod koc i zaczyna chrapać. Zabieram mu klucze z kieszeni. Otwieram drzwi. W zamku montuję zgnieciony papierek. Klucze odkładam tam, gdzie były.

8.

Samochód Wysokiego opuszcza osiedle. Czekam, aż słońce wejdzie na odpowiednią wysokość, otwieram drzwi i w skórze Śliskiej maszeruję przez osiedle. Pozdrawiam uniesioną dłonią wszystkich, którzy mnie pozdrawiają. Tak przecinam skrzyżowanie z nieczynnym budynkiem kina po prawej i zagłębiam się w krętą, brukowaną ulicę. Do wystaw sklepowych przyklejono żółte reklamy loterii. Z plakatu na słupie spogląda na mnie mężczyzna uszczęśliwiony pożyczką. Dziewczyna o biało-czarnych włosach zamiata podłogę w zakładzie fryzjerskim. Jest jeszcze lombard i kłódka na czarnym sklepie z dopalaczami.

Kobieta w ciucholandzie podchodzi do mnie i pyta, co słyszeć. Obok w pudłach z ubraniami buszują dwie inne i starszuszki w szarym garniturze. Wybieram sukienkę, bluzkę i błyszczącą kurteczkę z materiału imitującego skórę. Cztery pary oczu obracają się ku mnie, gdy rozbieram się do naga. Kopniakiem odsyłam stary łach w kąt. Zakładam nowe ubrania. Bluzkę zapinam na dwa guziki. Wychodzę bez płacenia.

Nikt nie próbuje mnie zatrzymać.

Przemierzam rynek tanecznym krokiem. Łapię w usta krople deszczu, który nie istnieje. Młodzi zgromadzeni pod arkadkami mierzą we mnie z telefonów komórkowych. Ulica, w którą wchodzę, łagodnie opada aż do rzeki. Po lewej natrafiam na bar U Dyzia, gdzie siedzą mężczyźni. Jest ich dużo. Wszyscy patrzą na mnie. Wybieram tego, który wydaje się najmniej chętny. Ma bluzę polarową nałożoną na gołe, włochate ciało. Siadam przy nim. Ocieram stopą o wnętrze jego uda. Mężczyzna zduszonym głosem pyta, czy mam ochotę na drinka. W odpowiedzi zabieram mu frytkę z talerza. Zrozumiał. Maszeruje do baru i składa zamówienie.

Zjedzone. Zarzucam mu ręce na szyję, delikatnie szarpie zębami ucho. Inni podsuwają mi papierosy, dym jest jak powietrze, alkohol mnie nie zmienia; to ja jestem wiecznym przeobrażeniem. Tańczę na stole, kieckę zadzieram, a zgromadzeni wokoło mężczyźni klaszczą. Mają czerwone twarze i błyszczące oczy. Zachęcają do skoku, czemu przygląda się niespokojny barman. Łąduję w ramionach mężczyzny w bluzie polarowej. Koledzy zachęcają go do czynu, zachęcam i ja – wkładam dłoń pod swoją bluzkę, potem masuję mu krocze. Całujemy się do krwi. Znów otaczają mnie srebrne twarze telefonów komórkowych. Barman idzie w naszym kierunku. Oczyszczam brązowy stół. Brzęczy szkło. Kładę się na blat, twarzą zwróconą do sufitu, zadzieram sukienkę na pępek, chwytam gorącą głowę mężczyzny w bluzie polarowej i przyciągam ją sobie do krocza. Mężczyzna leci z nóg i mlaszcze, barman krzyczy: „Dostyc tego”, lecz jego głos niknie w radosnej wrzawie. Barman ściąga mnie ze stołu. Mężczyzna w bluzie polarowej wygląda, jakby ktoś sprzątnął mu sprzed nosa ciepłą zupę.

W parku zakładam skórę człowieka, który zmarł dawno

temu. Nikt mnie nie rozpozna. Wracam do piwnicy, lecz wieść jest szybsza ode mnie – mijam zaferowaną Śliską, jak pędzi do centrum Rykusmyku odprowadzana przez kpiące spojrzenia. Matki zabierają dzieci do domów. Śliska utraciła swoją siłę. Wchodzę do piwnicy. Wyjmuję papierek z zamka. Nie mogę zamknąć drzwi na klucz, bo nie mam przecież klucza. To już nie jest ważne. Ważne jest tylko to, co jest. Zakładam skórę Elektrody i natychmiast zapadam w sen. Śni mi się, że mam delikatne szaty, pierścienie i koronę; z wysokości pałacowego okna spoglądam na czarnoskórych niewolników przeciągających głazy po piasku.

9.

Wysoki domyśla się prawdy, ale nic nie mówi – odkąd zniknęła Śliska, przychodzi częściej i zostaje na całe noce, tak jak teraz. Koc jest za krótki dla dwóch, tak jak i dla dwojga, Wysoki wierci się i mamrocze przez sen. Wciska mnie w ścianę. Nie mam jak podkurczyć nóg. Jest chłodno. Budzę Wysokiego, spychając go z łóżka. Siadam i otulam się kocem. Wysoki pyta, dlaczego mu to robię, czy nie jest dość dobry, i zostawia mnie w spokoju.

Innej nocy widzę promyk światła błędzący po piwnicy. Pomarańczowa plamka ślizga się po kocu. Przemieszczam się ku ścianie tak, aby niczego nie poruszyć, zastygam pod samym oknem. Światło wpada dzięki temu, że karton w oknie jest zagięty. Ktokolwiek tam zerka, nie może jednocześnie świecić i patrzeć. Niemniej, próbuje. Promień niknie. Brzmią kroki. Przemieszczam się pod drzwi i zastygam dokładnie w chwili, gdy światło wpada przez dziurkę od klucza. Trochę to trwa.

Przydałby się sen. Ciekawski człowiek traci cierpliwość, odchodzi. Jego tożsamość nie jest zaskoczeniem. Pułkownik zastygą pośrodku osiedla w swojej ulubionej pozie, z papierosem w wargach. Latarka sterczy mu z kieszeni.

Wreszcie Wysoki zakłada mi bluzę z kapturem i prowadzi do swojego mieszkania. W drzwiach ma trzy nowe zamki. W oknach zamontował kraty, zawiesił ciężkie żaluzje. Kuchnia i pokój dzienny zostały takie, jakie były, jeśli nie liczyć lodówki pod sam sufit i znajomego regału, przestawionego w miejsce, gdzie kiedyś wisiała Matka Boska. Wysoki nakłada kopiasty talerz pierogów. Zjadam trzy i popijam sokiem. Prowadzi mnie teraz do drugiego pokoju. Samotne łóżko stoi na grubym dywanie. Ściany i sufit obłożone są pudełkami po jajkach. Wysoki wyjaśnia, że to tłumi dźwięk. Całuje mnie w rękę. Siada i pokazuje mi zdjęcie kobiety.

10.

Jestem Laną Del Rey, o długich włosach i wargach tak rozdętych, że mogłyby należeć do trupa, Wysoki bierze mnie od tyłu i chłoscze zad. Potem obłapia mnie, jakby osuwał się w przepaść, wchodzę na niego i chwytam ostatnią kropelkę w usta. „Szkoda, że nie śpiewasz”, żali się. Jest zlany potem. Na szyję i czoło wyszły mu czerwone plamy.

Jestem Lisą Ann, gwiazdą porno o masywnych nogach, ogromnych piersiach, muskularnych ramionach i plecach pływakki, Wysoki niknie pode mną jak pod lawiną, porywam go, obracam nim, aż runie z łóżka i popełźnie pod okno, gdzie go wycisnę. Wysoki chce być wyżymany. Między moimi cyckami jego członek wydaje się mały jak palec.

Jestem Kasią Głośnopęk z telewizji. Idę ku niemu na czworakach. Wysoki stoi w lekkim rozkroku i domaga się przeprosin. Odgarniam czarne włosy za uszy, przybieram przeprasający wyraz twarzy. Ssę palucha u prawej stopy. Jadę językiem ku górze. Gdy trącam zębami wrażliwe miejsce nad wędzidełkiem, Wysoki wydaje z siebie wysoki świst. Masuję go splecionymi dłońmi. Czubek, wystający spomiędzy moich palców, przypomina nowo narodzone szczenię. Wysoki twardnieje. Cały czas patrzę mu w oczy. Chwyta mnie za skronie i dociska ku sobie tak, że uderzam wargą we włochate podbrzusze. Robi to coraz mocniej i szybciej. Pamiętam, żeby unosić wzrok, a moje gardło nie ma końca.

Jestem Danutką, miłością z młodości. Długo się całujemy. Wysoki rozpina mi stanik, a jego twarz rozjaśnia uśmiech, jakby ktoś powiedział mu coś miłego. Długo pieści moją łechtaczkę. Zanurza dwa palce w środku. Milczę, lecz wyginam ciało na znak, że sprawia mi to przyjemność, choć czuję tylko mrowienie, które przejdzie później w łagodny ból podrażnionej skóry. Moje ciało wydziela wilgoć. Kładę się na plecach. Wysoki wchodzi we mnie i zaczyna się poruszać. Rwie się do pocałunków. Właściwie rozpoznaję moment, zaciskam wargi i zaczynam się trząść dokładnie w chwili, gdy Wysoki osiąga orgazm. Jest oszołomiony. Teraz zwala się obok, głaszcze moją twarz, mówi: „To zawsze byłaś ty”.

Jestem Sharon Stone i Demi Moore, jestem Madonną, Britney i Shakirą, jestem Danutą Lato i Magdą Masny, mam sztuczne piersi Jenny Jameson i wielkie plamy tatuaży Angeliny Valentine. Jestem Marilyn Monroe, Audrey Hepburn i Marleną Dietrich. Jestem osiemnastoma różnymi dziewczynami ze szkół w Rykusmyku. Jestem festiwalem młodych matek. Jestem krainą tysiąca piersi. Jestem źródłem, które się nie męczy

ani nie wysycha. Jestem Ewą Sonnet, Kathleen Turner i Agnieszką Włodarczak, Alicją Chlebadą i Geeną Davies, Kylie Minogue i Sarą Louise Young, jestem aktorkami i gwiazdami porno, ludźmi z telewizji, ze zdjęć i z gazet, których kopy piętrzą się w rogu pokoju. Jestem katalogiem niespełnionych miłości, przyjaciółkami i nieprzyjaciółkami, tym co blisko i co daleko. Jestem i będę zawsze wami wszystkimi, a wy zawsze będziecie moją pustką.

11.

Samochód kurzy się pod blokiem. Wysoki wychodzi tylko po jedzenie. Gotuje kurczaka i ziemniaki w dwóch wielkich garach, długo, długo jemy wspólnie, a jego spojrzenie zjeżdża bezwładnie niczym zwierzę, któremu nagle zabrakło sił. Śpi często, ale krótko, zwijając się na moim łóżku, na swoim łóżku, pod kaloryferem, zupełnie nieruchomy.

Nauczył się ciszy, chyba że wypije parę puszek, co nie zdarza się często. Prosi, krzyczy i błaga, aż się zmęczy. Wówczas siada pod ścianą, wbija we mnie kamienny wzrok i mówi, że bardzo nie chciałby zostać sam i że jestem dla niego tajemnicą. Zadaje pytania, na które nie mogę odpowiedzieć. Ile mam lat? Jak naprawdę wyglądam? Po co to robię? Pociąga nosem i chowa twarz w dłoniach. „Dlaczego ja”, mamrocze, „jest tylu różnych facetów. Nigdy nie przypuszczałem, że spotka mnie coś podobnego, bo skąd miałem wiedzieć, że takie rzeczy się dzieją. Wcześniej w moim życiu nie działało się nic dziwnego. Myślałem, że stąd wyjadę, ale nie wyjechałem. Kiedyś chciałem mieć dzieci. A ty chcesz? Czy ty możesz mieć dzieci? Kto cię zrodził? Czy Bóg? Jesteś aniołem, a może...?”. Mnie palce i

rusza w moją stronę. Poddaję się jego woli.

Raz znika na dłużej. Gdy wraca, z nadgarstka zwisa mu siatka, pod pachą taszczy ogromne pudło. Trzęsą mu się ręce. Mówi, że ma dla mnie wspaniałą niespodziankę, ale muszę poczekać. Paczka wraz z siatką ląduje na szafie, Wysoki kręci się po mieszkaniu, zastyga z czołem przyciśniętym do szyby, gryzie wargi i zaciska pięści. Pod ścianą piętrzą się kartony po jeźdzeniu i obsypane pieczętkami koperty, których Wysoki nie otwiera.

Gdy ktoś przychodzi, chowam się za zamkniętymi drzwiami i patrzę przez dziurkę od klucza. Pizzę przywozi chłopak w kasku i odblaskowej koszulce. Rzuca chciwe spojrzenie w głąb mieszkania. Dostawcą chińszczyzny jest podstarzała kulka zarośnięta po oczy, których nie śmie unieść. Pułkownik nigdy niczego nie przyniósł i musi stać na progu jak inni. Rozmawiają, Pułkownik macha rękoma i wykrzywia zdrowy ogryzek twarzy. Próbuje wejść do środka. Wysoki jest silniejszy.

12.

Wysoki informuje, że nastąpiła niedziela. Długo bierze prysznic. Z łazienki wychodzi ogolony, roztacza mdłą woń perfum. Włosy mu lśnią. Przed lustrem przykłada do torsu kolejne koszule, wreszcie wybiera właściwą. Wiąże krawat i siada w wypastowanych butach w fotelu. Długo przegląda gazety. Włącza telewizor i przeskakuje między kanałami, pilot leci w kąt. Muszę przyjść. Wysoki rozbiera mnie do naga i zaczyna kształtować mój nos. Wydaje komendy: mniejszy, większy, zadarty, prosty, piegowaty. Przy ustach pomaga sobie rękami,

powiększa mi oczy, rozjaśnia czoło, łagodzi linie podbródka. Poddaję się jego woli.

Odchudza moje kości, powleka je mięśniami i odrobiną tłuszczu, zamyka opiętą skórą. Piersi wybrzuszają się jak góry młodej Ziemi, posłuszne jego słowom. Wysoki sam dobiera rozmiar sutków, dociska brzuch i każe się obrócić. Zaczyna się długa zabawa z pośladkami, za to z nogami idzie już szybko. Wybrzuszona łydka opada ku cienkiej kostce. Stopa jest mała. Wysoki domaga się gładkiej skóry. Pragnie długich paznokci. Cofa się, kiwa głową, zdejmuje pudło z szafy. To czerwona sukienka. W worku są buty.

Zapinam sukienkę. Wysoki prosi o korektę pleców i brzucha, życzy sobie, żeby biust wylewał się z dekoltu. Sam zakłada mi buty na wysokim obcasie, oplata szyję złotem i prowadzi do lustra w łazience. Poprawiam trochę skórę, żeby w ogóle móc iść. Wysoki pyta, jak się sobie podobam, rozumie swój błąd, trzepie zawstydzoną głową. Moje usta są tak wielkie, że nie mam jak się uśmiechnąć.

Wyruszamy na spacer przez Rykusmyku. Wszyscy na osiedlu odwracają głowy, baby wychodzą przed sklep warzywny, spożywczak i fryzjera, wataha brzdąców rusza w po-goń za nami, ścigana przez matki i ojców. Ojcowie biegną szybciej i trochę za daleko. Wysoki obejmuje mnie w pasie. Skubię go w ucho i tak wychodzimy na ulicę prowadzącą do centrum. Samochody zwalniają, brzmia klaksony, rowerzysta wpada w żywopłot, pijaczyna obok podrywa głowę i zaczyna rechotać, że cyrk przyjechał.

Rynek zalewa słońce, mężczyźni podrywają się z ławek i od stolików kawiarnianych. Kobiety natychmiast przywołują ich do porządku. Ktoś woła coś o nowej kurwie w mieście, brzmia gwizdy i nawoływania, Wysoki wypina pierś i wy-

szczerza się w uśmiechu. Staruszki mamroczą przekleństwa: wstyd, taki wstyd, biedne nasze Rykusmyku. Przed wejściem do Ratuszowej długo się całujemy. Wysoki pcha drzwi, wprowadza mnie w chłód kawiarni.

Idziemy między stolikami z jasnego drewna. Milkną rozmowy. Wysoki ciska na blat grubego portfela, zamawia kieliszek koniaku, wino, makaron dla siebie i dwie pizze dla mnie. Brew kelnerki drży, jakby ją ktoś raził prądem. W naszą stronę strzelają ukradkowe spojrzenia. Moja ręka błądzi po karku i piersi Wysokiego. Ktoś woła, że to nie burdel. Dostajemy jedzenie. Roluję trójkątny kawałek ciasta i wpycham w nabrzmiałe usta, skóra na wydatnych policzkach jest twarda jak stal.

Do Ratuszowej wchodzi Pułkownik. Siada dwa stoliki dalej i zamawia butelkę wódki. Pije, nie odrywając od nas wzroku. Jego twarz jest maską. Wysoki je powoli, rozwalony na krześle, z nogą na nodze i ręką na moich barkach. Uśmiecha się i cmoka. Co chwilę zagląda ktoś nowy, tylko po to, żeby natychmiast się wycofać. Pułkownik tkwi nieruchomo i mruży oczy.

Kelnerka zabiera talerze i pyta, trochę słabym głosem, czy czegoś jeszcze potrzebujemy. „Bo są też inni klienci i rozumiemy, pan rozumie, w gruncie rzeczy ten stół mieliśmy zarezerwowany”. Wysoki odpowiada, że wolnych stolików jest od groma, zamawia kolejny koniak oraz dużo ciasta z galaretką, tymczasem w Ratuszowej materializuje się rozjuszona Śliska i cwałuje prosto na nas. Okłada Wysokiego po głowie i obala na podłogę. Mężczyźni wstają. Tylko Pułkownik tkwi, jak tkwił, mocząc wargi w wódce. Śliska zwraca się ku mnie, podnosi i oto stoimy naprzeciw siebie. Szarpie mi włosy, bije po twarzy i brzuchu, miota wyzwiska. Przy każdym ciosie czuję

niewyraźne ciepło, słowa padają zbyt prędko i trudno mi je zrozumieć. W końcu Śliska opluwa mój policzek, a potem Wysokiego, gramolącego się z ziemi. Pyta wszystkich, czy są zadowoleni, i zatrzaskuje za sobą drzwi. Wysoki siada, wyciera ubranie w miejscu, gdzie został opluty. Zamawia całą butelkę koniaku, macha pieniędzmi. Kelnerka przynosi koniak razem z ciastem. Jem natychmiast, do ostatniego okruszka. Z mojego policzka niczym ospała, śnieżna łza odrywa się kropla śliny i spada na czerwoną sukienkę.

13.

Pijany Wysoki ciągnie mnie przez ciemne Rykusmyku. W zakratowanym okienku sklepu nocnego prosi o whisky dla siebie i szampan dla jego królowny. Dociska mi kark, tak, aby kobieta za szybą mogła się przyjrzeć. Waha się, lecz w końcu podaje butelki. Wysoki ciągnie mnie pod basztę piastowską, która przez moment wydaje mi się znajoma. Taka albo podobna. Przypominam sobie kręte schody i widok z samej góry na jezioro. To tylko mgnienie, przegnane wystrzałem korka. Szampan zalewa brodę Wysokiego. „Za nas, moja cudowna niespodzianko!”, woła Wysoki. Teraz ja piję. Słyszę, ile wspólnie możemy osiągnąć. Trzęsę się z zimna, Wysoki pociąga whisky, otula mnie marynarką i mówi, że wszystkim aż w pięty poszło. „Tutaj nienawidzą piękna”, powiada, „skręciliby nam karki, gdyby tylko mogli. Ale my się nie damy, bo jesteśmy razem. Wiem, że mnie słyszysz. Razem to wielka sprawa”. Wstaje, unosi dłonie na wysokość piersi, gwałtownie opuszcza, i tak w kółko. Powtarza: „Razem, razem”, przypada mi do nóg, gładzi policzkiem o udo, szepcze, że mnie kocha i potrzebuje mo-

jej miłości.

Wysoki upada na progu własnego domu, wyciąga rękę, czekam, aż wstanie o własnych siłach. Idzie oparty o ściany przedpokoju, jakby chciał je od siebie odepchnąć. Na klatce schodowej gaśnie światło, Wysoki siada na moim łóżku, zdejmuję buty, ściąga spodnie do kostek i wali się na wznak. Pogania mnie, mówi, że muszę się bardziej postarać. Nie czuję złości ani zmęczenia. Ruszam głową. Wysoki wolno pęcznieje mi w ustach. Chwali mnie i mówi, że pora, aby usiąść. Wprowadzam go w siebie, zaczynam się kołysać, Wysoki jęczy z rozkoszy, życzy sobie piosenkarki Edyty i strzela z palców. Zmieniam skórę, pochylam się nad nim, chłozczę pierśmi jego twarz. Wysoki sięga po butelkę i strzela palcami. Mam skórę pani Szastok z telewizji. Odginam się do tyłu, żeby pieścił mnie na dole, co lubi, a co jest niepotrzebne. Wolna dłoń Wysokiego robi się mokra, odgłos jest ledwo słyszalny. Mnie to nie przeszkadza, zmieniam skóry tak płynnie, jak unoszę się i opadam. Mam ręce splecione nad głową, Wysoki żebrze, żeby nie przedstawiać, że jest mu trudno, bo wypił, ale jeśli się uda, jeśli dojdzie, stanie się coś, czego nie zapomni i wtedy zrobi dla mnie wszystko. Zaciskam się od środka, wyczuwam tężenie, Wysoki wiję się, drży i bieli mój brzuch. Przyciąga mnie do siebie, nasze spojrzenia spotykają się i unoszą jednocześnie w stronę źródła szmeru, ku drzwiom pokoju i zdumionej twarzy Pułkownika.

14.

Pułkownik i Wysoki rozmawiają za zamkniętymi drzwiami. Leżę pod kocem, nasłuchuję, ale dociera do mnie

tylko nerwowy szmer. Szarpia się. Jeden wychodzi na korytarz, trzaskając drzwiami, drugi leci za nim i ściąga z powrotem do mieszkania. To nie jest ważne. Śni mi się miasto trawione ogniem i wrzeszczące pochodnie o długich ogonach, sfruwające z dachów w pełzający żar. Leżę, owiewa mnie łuna. Mężczyzna w zielonym mundurze bardzo się spieszy. Krótki trzepot. Mężczyzna zapina spodnie i człapie poza krąg światła. Jego miejsce zajmują następni – nieskończony ciąg podobnych sobie ludzi o lśniących oczach i dłoniach poplamionych krwią.

Pułkownik budzi mnie i zaczyna się rozbierać. Chudy brzuch znaczy blizna i strumień siwych włosów spadający aż do krocza. Pyta, czy mogę być wszystkim, czego zapragnie. Potwierdzam skinieniem głowy. Za ścianą brzmią kroki Wysokiego. Pułkownik wypowiada imiona, których nie rozumiem. Powtarza. Nic z tego. Przerzuca gazety, nerwowo klika w telefon komórkowy i podsuwa mi ekran z wyświetlonym zdjęciem. Moja skóra przybiera żółty odcień, oczy robią się skośne, a Pułkownik dobywa z siebie głośne westchnienie. Pomagam mu trochę. Obsypuje mnie pocałunkami i już pcha w poprzek łóżka. Próbuje jak najgłębiej, ale ja nie mam w sobie żadnych granic. W drzwiach, na moment, pojawia się głowa Wysokiego. Pułkownik gwałtownie czerwienieje, jego ruchy stają się coraz szybsze. Klęczy na łóżku, wpija mi palce w pośladki i sprawia wrażenie, jakby chciał, wraz ze mną, unieść się w powietrze. Wysoki zaciska mu krawat na szyi, Pułkownik wybałusza oczy i próbuje go jakoś dosięgnąć, a gdy to zawodzi, wyciąga ku mnie bezradną dłoń.

Ciało Pułkownika leży za łóżkiem, owinięte w koc, więc jest mi zimno, czego Wysoki nie dostrzega i tylko miota się po mieszkaniu. Zapełnia dwie torby i plecak. Wyrzuca książki z półek, przetrząsa i chowa banknoty po kieszeniach. Z szuflady komody wyjmuję plik dokumentów, właściwym sercem Matki Boskiej jest szara koperta ukryta za ramą. Wysoki stawia torby w przedpokoju, ociera czoło, pociąga z butelki. Zalewa się łzami nad trupem, przeprasza go i mówi, że nie mógł inaczej. „Po coś tak drażył, stary przyjacielu”. Potrzęsa mną, krzyczy: „Co żeś zrobiła najlepszego? Co teraz z nami będzie?”. Kwili mi w ramionach. Po prostu stoję. Wszędzie leżą ubrania. Pościel jest zmięta, a łóżko przekrzywiło się.

Wysoki chwytą ciało za nogi i prosi o pomoc. Mówi, że potrzeba dwojga, aby je znieść. Podnoszę sweter i otulam się nim. Siadam przy kaloryferze. Dowiaduję się, że to zawsze tak jest. Baba narozrabia, a potem mężczyzna musi sprzątać. Wysoki bierze klucze od piwnicy, radzi sobie sam. Głowa Pułkownika wydaje głuchy odgłos, podskakując po stopniach. Chwilę ich nie ma. Wysoki wraca i mówi, że wszystko przetrzymamy, ale muszę być przy nim, powinniśmy wspierać się w trudnych chwilach. Grozi palcem: „Jeśli sądzisz, że przez ciebie wyląduję w pudle, to grubo się mylisz. Powiem, kim jesteś! Powiem, kto mnie zmusił!”. Klękam przed nim, majstruję przy pasku. Odpycha mnie. Natychmiast zaczyna przepraszać.

Pędzimy do samochodu. Osiedle jest ciche i ciemne, ale Wysoki strzela oczyma na boki, usiłując wypatrzeć coś, czego się boi, a co nie istnieje. Kładzie mnie na tylnym siedzeniu, przykrywa kocem. Zostawia kosz z jedzeniem. Przeklina, że silnik pracuje zbyt głośno. Rzuca smętne spojrzenie w stronę własnego, zakratowanego okna. Sprawdza, czy wszystko zabrał. Zamiast centrum, wybiera przeciwny kierunek i wyjeżdża.

dżamy z Rykusmyku.

16.

Poranek spędzamy w lesie. Wysoki, oparty na przednim siedzeniu, zapadł w głęboki sen. Opróżniam koszyk, wysuwam się z samochodu i zaczynam zataczać koła, strącając rosę z liści. Zanurzam dłonie w strumieniu. Na końcówkach palców wyrastają rybie łby. Stapiam się z kłosami traw i chowam głowę w pniu drzewa, dwa ptaki skrzeczą mi na plecach i oto moja mowa na tamten dzień. Przysiadam we wrzosach i próbuję coś sobie przypomnieć. Wszystkie lasy są podobne w znajomy sposób. Sen jest krótki, czyste niebo wisi jakby bliżej. Przepływam przez skóry niedźwiedzia, tura i orła, z wysokości w jawę ściąga mnie dopiero wołanie Wysokiego.

Zatrzymujemy się w innym mieście. Kamienice są wysokie, a drogi poniszczone, ludzie niosą torby przerzucone na plecy i przekładają białe kubki z ręki do ręki. Na wyraźne życzenie Wysokiego zakładam skórę Pułkownika. Przebieram się na tylnym siedzeniu. On patrzy na wszystko, tylko nie na mnie. Zostaję w jakimś barze. Podają hamburgera i frytki, Wysoki mówi, że zaraz wróci i nie wolno mi odejść. Mężczyźni piją herbatę i piwo w małych butelkach, jedzą fasolkę. Telewizor wyświetla wyścigi samochodowe. Barman jest niski, a moje frytki grubo pokrojone. Przez ulicę widzę Wysokiego, jak wychodzi z banku i upycha pieniądze w saszetce na szyi. Rozgląda się na prawo i lewo. Siada naprzeciw mnie. Pije kawę i pyta, czy zostanę z nim do samego końca. Odpowiadam skinieniem głowy. Chce wiedzieć, czy przed nim byli inni, jemu podobni, i otrzymuje potwierdzenie. „Co z nimi się stało?”, py-

ta po chwili milczenia. Przełamuję ostatnią frytkę i natychmiast zjadam.

Jedziemy na zachód. Drogi są tu szersze. Mijają nas szybkie samochody o opływowych kształtach. Krajobraz staje się monotony, jakby nikt nie mieszkał za wysokimi ekranami. Zatrzymujemy się tylko na stacjach benzynowych. Wtedy dostaję hot doga. Wieczorne słońce składa swój policzek na asfalt. Wysoki milczy. Przełyka kawowe cukierki. Skręcamy i nim zapadanie ciemność, wjeżdżamy do miasteczka pełnego aptek i sklepów z alkoholem. Wysoki martwi się, że nie zna niemieckiego, a przecież musimy znaleźć motel i wynegocjować cenę. Mówi to w próżnię, jakby chciał się utwierdzić w tym, że nic nie może. Znam niemiecki, bo znam wszystkie języki, w jakich mówią ludzie.

Na pokój składa się łóżko, telewizor podwieszony pod sufitem i dwie butelki wody niegazowanej. Okno wychodzi na parking. Nim Wysoki wyjdzie spod prysznic, opróżniam lodówkę z orzeszków ziemnych i batonów. Zastaje mnie podczas wylizywania papierka i wrzeszczy, że nie wiem, ile to kosztuje, i mam sobie uświadomić, kto tak naprawdę od kogo zależy. „Trawę byś, kurwo, żarła, gdyby nie ja”, drze się, „beze mnie Turek by cię kupił i tyle z tego, wiesz, jacy są mężczyźni? Gówno wiesz. Co się tak gapisz? Spuść durny łeb i pomyśl, od kogo zależysz”. Od tyłu bierze mnie w skórze Natalie Portman, przed końcem chwyta mój kark i z całej siły dociska mi twarz do poduszki. Zapada w płytki sen, budzi się i bierze mnie ponownie. Tak kilka razy przez całą noc.

Dni mijają w drodze. Majstruję przy pokrętłach tak długo, aż Wysoki pojmie, o co mi chodzi, i sprawi, że w samochodzie zrobi się naprawdę ciepło. Mamrocze przekleństwa i ściąga koszulę przez głowę, nie zwalniając jazdy. Mówi, że ogrzewanie kosztuje i trzeba o tym myśleć, chyba że zmienię się w Kulczyka. Podobne słowa wypowiada za każdym razem, gdy walę w szybę na widok restauracji samoobsługowej. Nie lubię głodu, bo odbiera spokój.

Jedziemy przez pola pełne owiec odgradzonych od jezdni pokrzywionym płotem. Okna domów są bardzo duże i nie mają zasłon. Mogę zobaczyć ogień w kominku, obrazy stłoczone na ścianach, flakony z barwionego szkła, masywne stoły i ludzi usadowionych na sofach, jak garbią się nad małymi ekranami. Ulice robią się coraz szersze. Wysoki załatwia pokój nad piwiarnią. Przynosi mi parujące mięso. Wylizuję kości, a on wyjmuje pieniądze z saszetki, liczy, rozkłada na kupki, które mu się nie podobają, bo liczy ponownie i robi więcej kupek. Znika na dole. Trochę go nie ma. Wraca z dwoma butelkami i talerzem naleśników, mówi, że nie wolno wnosić jedzenia do pokoju, ale dla niego zrobili wyjątek. Dostaje moją wdzięczność – jestem na górze, a on mnie podrzuca, jakby usiłował strącić i w pewnej chwili naprawdę to robi. Mówi, że zawsze zazdrościł kolegom, którzy mieli wiele kobiet, i że bardzo chciałby, żeby stanęli wszyscy tutaj w pokoju hotelowym. „Mógłbym zbudować dom w głuszy”, odzywa się, leżąc na plecach. Unoszę mu głowę i wlewam piwo do gardła, a on dalej swoje. „Potrafiłbym, naprawdę, kiedyś byłem naprawdę niezły. Co ty na to? Nocą siadalibyśmy sobie na zewnątrz i nigdzie nie byłoby żadnego światła, żadnych domów, rozumiesz?”.

Okna hotelu wychodzą na długie mosty przerzucone nad przepaściami z morderczą zielenią na dnie, dalej bieleją szczy-

ty gór. Wysoki ma podkrążone oczy i wypija szklanekę wody, żeby uspokoić dłonie. Siedzi zobojętniały. Wystarczają mu pieśczoły. „Ludzie zawsze chcą za duży”, mówi, „taki mój tato cały się dla mnie poświęcił, a potem chciał, żeby m poświęcał się dalej, nikt nie wie dla kogo, bo nie mam dzieci, chodziło tylko o poświęcenie. Żeby pracować jak najwięcej. Żeby jak najwięcej mieć z tego poświęcenia. Co złego jest w spokojnym życiu? Ojciec nie miał pojęcia, co to spokojne życie. Nie dało mu się nawet tego opowiedzieć”. Nalewa sobie, prosi: „Bądź dla mnie dobra”, jestem, a gdy przestaję, temat schodzi na Śliską. „Klasyczny przykład, na początku ogień, a potem jakby zapomniała, po co Bóg kobietę stworzył, pewno dlatego, że nie paliło mi się do małżeństwa. Po co komu małżeństwo. Ja jestem wolnym człowiekiem, my jesteśmy wolni! Dopiero teraz to zrozumiałem. A ona sama jest sobie winna. Ona, wiesz, chciałyby mieć takiego twardego chłopca, który wie, co powiedzieć, ma swoje zdanie, i w ogóle jest królem świata, a następnie, uważasz, najbardziej na świecie chciałyby takiego chłopca owinąć wokół palca i jeszcze nim wywijać. Jest w tym sprzeczność, no nie?”, zawiesza wzrok na gwiazdach, widocznych przez otwarte okno. „Ona jest taka biedna, taka biedna”.

Opowiada mi o przyjaciołach, którzy umarli albo się porozjeżdżali, słyszę, że pracę w Zakładach Kuzienniczych czekał przedwczesny pogrzeb i właściwie to dobrze, że stało się to, co się stało. Nigdy nie jeździł tak daleko, poza jedną wycieczką do Tunezji i rajdów do Niemiec w czasach, kiedy wszyscy to robili. Gdy był młody, boksował, i to dobrze, bo mięśnie zostały mu do dzisiaj. Pokazuje drobny biceps. Lubił grać w karty. Zawsze zazdrościł tym, którzy duży i barwnie opowiadali w kawiarniach, choć później okazywali się palantami. Przypominał sobie, jak było pięknie w Legnicy podczas letnich festynów. Pa-

mięta pochody pierwszomajowe i sądzi, że ludzie wówczas żyli bliżej siebie. Gdy był mały, robił papierowe statki, wrzucał do wanny napełnionej wodą i podpalał. Matka myślała, że kurzy Sporty, i sprąła go zdrowo. Jego półślepy ojciec chrzestny zrobił dziecko przed siedemdziesiątką. Wysoki wybucha płaczem i chce wiedzieć, jak to wszystko jest możliwe. Nie odpowiadam, bo nie wiem. Śni mi się konna armia grzęznąca w śniegu i ludzie żywcem paleni w wielkich piecach, wąskie ulice miasteczek wspinające się na wzgórze, śmierdzące gnojem i ich mieszkańcy odziani na czarno, śni mi się skrzypienie lin na statkach kursujących w niewiadome, domy wyrastające wokół mojej obojętnej głowy, śnią mi się rany na plecach, woń prochu i świst gilotyny. Mężczyźni w pałacu na wodzie jedzą groszek z mojego brzucha. Mężczyźni, którym drżą dłonie, im zawsze drżą, po tym poznajemy, kim są naprawdę.

18.

Woda wygląda jak roztopiony szmaragd, daleko mknie motorówka, przy brzegu kołyszą się maszty, a Wysoki wyklóca się o coś z właścicielem hoteliku. Wysuwa ręce przed siebie, jakby chciał nim potrząsnąć. Tamten wychodzi z siebie i wrzeszczy po włosku, że do ceny zawsze doliczają koszt obsługi, czego Wysoki nie rozumie, a ja tak. Właściciel hoteliku jest gotowy zadzwonić po policję, Wysoki poddaje się, wyjmuje pieniądze i awantura zaczyna się na nowo, gdyż tamten z jakichś przyczyn nie chce ich przyjąć. Mówi, że to niedobre pieniądze i potrzebuje innych, wydaje się, że Wysoki zaraz go uderzy. Zamiast tego wpycha mu banknoty w kieszeń na piersi i odchodzi. Właściciel hoteliku nie próbuje go zatrzymać. Na

stacji benzynowej dają pizzę. Podczas tankowania Wysoki z niepokojem patrzy na licznik.

Kręte schody wiodą do małego pokoiku. Z dołu odprowadza nas spojrzenie kobiety o brązowej cerze i krótkich przedramionach wystających z obszernych rękawów. W pokoju mieszczą się tylko łóżko i wąska szafa. Nie możemy nawet stanąć naprzeciw siebie. Wysoki oddaje mi swój posiłek, jak zwykle zadowolając się butelką. Pije, nie przelewając do szklanki. Picie nie sprawia mu przyjemności. Wymierza we mnie palec i mówi, że nie zamierza się poddać. Wspomina Śliską. Pamiętał jeszcze jej męża, mąż umarł i tak to się zaczęło, dwoje samotnych ludzi mieszkających w sąsiednich blokach. Śliska piekła ciasta i robiła wino owocowe. Umiała słuchać i bardzo długo nie zdradzała się z tym, czego potrzebuje. „Powinniśmy razem zamieszkać”, opowiada Wysoki, „ale ja zawsze mieszkałem sam. Poza tym mam dwa małe pokoje. Ona trzy. Ale u niej żył, rozumiesz, ten mąż jej. Żył, chociaż umarł”.

Z okna mam dobry widok na miasteczko. Dachy są spadziste i czerwone. Środkiem ulicy idzie kot, a samochód zwalnia, żeby go nie przejechać. Śmigają skutery. Sklepy wysuwają języki z owocami. Wysoki wchodzi po kolei do każdego i spędza tam chwilę. Garbi się. Zaraz może upaść. Nie upada – ciągnie samego siebie w stronę portu i znika. Środkiem ulicy idzie kobieta z gromadką dzieci, nie robiąc sobie nic z trąbiących samochodów.

Wysoki obwieszcza, że znalazł pracę, co ma oznaczać koniec naszych kłopotów. Ja nie mam kłopotów, bo grzeję się w słońcu. Znika na całe dni, ale już nie zamyka mnie na klucz. Gospodyni zagląda do mnie i pyta, czy czegoś nie potrzebuję. Pokazuję na usta, gospodyni prowadzi mnie na dół, sadza na tarasie i przynosi parującą miskę makaronu. Przygląda się, jak

jem. Chce wiedzieć, w jaki sposób znaleźliśmy się tutaj i przed czym uciekamy. Nie rozpoznaje mojej skóry. Trapi ją, dlaczego tak piękna dziewczyna włóczy się za wariatem na granicy śmierci. Kręcę głową na znak, że moim zdaniem jest zupełnie inaczej. Odtąd zaczyna mnie karmić i już nie zadaje pytań. Włącza mi telewizję, puszcza piosenki ze starego magnetofonu. Gdy zasypiam, przykrywa mnie prześcieradłem.

Wysoki wraca coraz później i narzeka, że wykonuje pracę przynajmniej za dziesięciu chłopów. Włosi, jak każdy durny, leniwy naród, wymagają zbyt wiele od innych. Gospodyni twierdzi, że prawda jest inna, Wysoki pracuje do piątej, siada na plaży z butelką wina i nie potrafi wrócić do domu bez zahaczenia o wszystkie knajpki w okolicy. Ludzie go nie lubią, bo robi zdjęcia co ładniejszym dziewczynom. Pijak to utrapienie, słyszę, ale to nie prawda, tylko naturalna kolej rzeczy. Gospodyni chce wiedzieć, dlaczego „mój przyjaciel” kupuje gazety, których nie może przeczytać. Gdy wraca, jest dla niego bardzo miła. Wysoki prowadzi mnie na górę, tam wciągam skórę kobiety z telefonu komórkowego i długo, długo zabiegam o to, żeby jego szary członek poderwał się do lotu. Czasem Wysoki uznaje, że nie warto próbować, kładzie się na wznak i prosi o sen.

19.

Uliczka, którą widzę z okna, jest wąska. Ludzie krzyczą do siebie z okien. Wysoki wylatuje przez gwałtownie otwarte drzwi kawiarenki. Ciężko uderza o bruk. Mężczyzna w białej koszuli podnosi go za ubranie, dociska do ściany i okłada po gębie, pozwala mu upaść i kopie po brzuchu. Pojawiają się in-

ni. Robią to samo. Wysoki bezskutecznie osłania twarz i kroczę. Skaczą Wysokiemu po gardle. Kobieta o znajomej skórze na próżno szarpie się z nimi i prosi, żeby przestali. Mężczyzna w białej koszuli roztrzaskuje telefon komórkowy Wysokiego i odsuwa się o krok. Jego koledzy także się odsuwają, a Wysoki spluwa krwią i pełźnie w stronę naszego domu. W oknach i bramach pojawiają się zaciekawione głowy. Nikt mu nie pomaga.

Wysoki odzyskuje pion dopiero przy drzwiach. Mówi, że zabije ich wszystkich. Tak robi, tylko musi poczekać na odpowiedni moment. Będą martwi, powtarza i obmywa twarz w łazience. Zmienia zakrwawioną koszulę na czystą. Błyskawicznie pakuje nasze rzeczy, ciągnie mnie na dół, ale nie chcę się ruszyć. Tu dobrze, bo ciepło i dostaję makarony. Wysoki zwała mnie z łóżka i ciągnie po schodach, tak jak wcześniej Pułkownika. Pułkownik jednak nie wierzył. W korytarzu pojawia się gospodyni z wielką drewnianą łyżką w zbiegających dłoniach. Krzyczy na Wysokiego, żeby mnie puścił, zna takich jak on i doskonale wie, jak sobie z nim poradzić. Jedno spojrzenie Wysokiego posyła ją w głąb mieszkania. Przestaję stawiać opór. To tylko kolejne miejsce i kolejny człowiek. Zamrażną w moich snach. Ląduję razem z tobołami na tylnym siedzeniu, Wysoki dodaje gazu, rozjeżdża kota i wywraca śmietnik, bierzemy ostry zakręt, obok otwiera się przepaść, podskakuję, w lusterku widzę swoją skórę, skórę Elektrody.

20.

Na pełnym gazie mijamy stację benzynową i wpadamy w las. Światła reflektorów przecinają długie pasma mgły, samo-

chód milknie po krótkim charknięciu i zaczynamy się toczyć. Wysoki szarpie kluczyk, bije pięściami w deskę rozdzielczą, przeklina moją żarłoczność i własną głupotę, a auto sunie coraz szybciej w dół. Wysoki skręca między drzewa, jeszcze chwilę skaczemy po koleinach, trącamy czarny pień i światła gasną. Wysoki kilkakrotnie obchodzi samochód, kopie w opony i drzwi, wali po dachu. Mam ochotę zrobić coś, żeby przestał. Obejmuję go. Próbuje się wyrwać, w końcu ulega. Noc jest cicha i ciepła, a gwiazdy bardzo głębokie. Gwiazdy są zawsze takie same.

Świta. W samochodzie jest zimno. Wysoki przepakowuje torby, jedną zabiera ze sobą, drugą zostawia. Wlokę się za nim przez mokrą trawę. Zbieram jagody, ale to za mało. Docieramy do drogi, którą jechaliśmy, i długo maszerujemy poboczem. Kilkakrotnie mijają nas samochody, Wysoki unosi kciuk, ale nikt się nie zatrzymuje. Gdy słońce jest już wysoko, otwiera się przed nami dolina z widokiem na niewielkie miasteczko i samotne domki, wspinające się na kark wzgórza. Wysoki prowadzi mnie w zarośla i każe czekać. Przez krzaki widzę, jak skrada się do najbliższego domu, obchodzi go i zerka przez okna. Wybija łokciem szybę. Chwilę go nie ma. Powraca z wypchanym plecakiem, którego nie miał wcześniej, i prowadzi skuterek. Bardzo się spieszy. Dociera do mnie, jest blady i mokry. Siada na trawie i dyszy, że musimy natychmiast odjeżdżać.

Podróż skuterkiem trwa długo i jest bardzo męcząca. Obejmuję Wysokiego, wiatr chłoscze mi twarz, nie wiem co zrobić z nogami i muszę uważać, żeby nie spaść. Szarpnię Wysokim, skubię go w gardło i kłuję pod boki, ale jest nieubłagany. Wreszcie skręca i się zatrzymujemy. Odstawia skuter, jakby nie zamierzał już po niego wracać. To miasteczko jest inne od wcześniejszych, pełne długich ceglanych budynków o

czerwonych drzwiach i malutkich oknach. Na ścianach jest mnóstwo napisów w różnych kolorach. Dalej białą się bloki. Wysoki wyjmuje z plecaka zamszowe zawiniątko i znika za oszklonymi drzwiami lombardu. Chluszcze na ladę złotym drobiazgiem i zaczyna żywiołową rozmowę z potężnym mężczyzną o czarnych włosach opadających na mokry kark. W uszach mężczyzny lśnią brylanty. Odwracam głowę. Po drugiej stronie ulicy stoi grupa wydekoltowanych kobiet w krótkich spódniczkach i butach na obcasie. Pałą papierosy i cały czas grzebią w niewielkich torebkach. Wiem, kim są.

Z czarnego samochodu wysiada szczupły mężczyzna w białej marynarce i zamszowych butach. Złota głowa tygrysa zwisa mu z szyi na grubym łańcuchu. Włosy ma białe jak śnieg i spięte w kucyk. Kobiety nieruchomieją na jego widok, jedna – pulchna blondynka z sercem wytatuowanym na piersi – zaczyna coś gorączkowo tłumaczyć, ale Biały wali ją pięścią w brzuch, poprawia kolaniem i wrzeszczy, że to już nie ma prawa się powtórzyć. Dostrzega moje zainteresowanie. „Co się tak gapisz”, drze się po włosku, „chcesz oberwać”? Opuszcza pięść i odjeżdża w czarnym samochodzie. Koleżanki pobitej podnoszą ją i uspokajają. Wysoki opuszcza lombard, opiera głowę o mur i obserwuje dziewczyny spod poczerwiałych powiek.

21.

Wysoki pcha wózek przez supermarket, ja biegam między półkami i przynoszę rzeczy, na które mam ochotę – czerwone mięso, sery, makarony, puszki fasoli, ogromnie dużo puszek, a tuńczyka jeszcze więcej, kiście winogron, batoniki i ciastka. Wszystko przywalam kartonami pizzy, tak że Wysoki

ma problem ze skręcaniem. Przy kasie płaci gotówką, chwyta resztę w pośpiechu. Pcha wózek na parking, tam wyładowuje siatki i dzwoni po taksówkę.

Do mieszkania wchodzi się przez balkon. Mamy pokój z aneksem kuchennym i sypialnią. Rolety są szczelnie zasłonięte, tak że znika różnica między nocą a dniem. Wysoki wkłada pizzę do piekarnika, zapełnia lodówkę, konserwy upycha w szafkach nad zlewem, sprawdza godzinę i prosi mnie o skórę Jesse Jane. Pomaga mi założyć półprzezroczystą koszulę do kolan i buty jak u tamtych dziewczyn. Całujemy się. Pieści moje piersi, ale jest miękkie. Odkleja się gwałtownie, dokładnie w chwili, gdy ktoś puka do drzwi. Wchodzi mężczyzna w dżinsowej koszuli. Jego brązowa twarz jaśnieje na mój widok. Wysoki zamyka za sobą drzwi. Wiem, że będzie siedział na dole i pił wino z kartonu. Zawsze tak robi. Dżinsowy rozpiną spodnie i pyta, jak się nazywam. „Nie jesteś najbardziej gadatliwą cycatą na świecie, co?“, mówi. Chce zobaczyć mnie na klęczkach.

Wieczorem zakładam skórę Moniki Bellucci. Wysoki bierze mnie ospale i powoli, kaszle, poci się i ma dreszcze, wreszcie opada z sił i mówi, że co się odwlecze, to nie uciecze. Biorę ser i chcę wrócić do łóżka, na co Wysoki nie chce się zgodzić. „Zjemy jak ludzie“, słyszę. Nastawia wodę na makaron. Po chwili siedzimy naprzeciw siebie przy stole. Palą się świece. Wysoki z trudem bierze małe kęsy, za to z winem idzie mu doskonale. Osuszył jedną butelkę i bierze się do następnej. Mój kieliszek wciąż jest pełny. „Ludzie przechodzą nie przez takie rzeczy. Odłożymy trochę pieniędzy i nie będziemy musieli pracować. Wszystko ci wynagrodzę. Będzie trzeba wykupić rzeczy z lombardu. Wykupić je i oddać. A potem pojedziemy dalej. Rozumiesz mnie? Mówię, że nigdy nie będziesz musiała się bać“.

22.

Wysoki bije mnie w twarz i próbuje obalić na ziemię. Ani myślę się bronić, jego uderzenia nie boją, spowszedniał mi nawet jego smród. „Gdzie są pieniądze”, wrzeszczy i bije znowu, „masz brać pieniądze, kurwo jedna. Ile razy mam ci to powtarzać! A on wziął, wydupczył cię i poszedł jak gdyby nigdy nic. Co ja, Caritas jestem?”. Wskazał na lodówkę. „A to twoim zdaniem jest za darmo? Nie widzisz, że mam pełne ręce roboty?”. Milczę. Rozpinam mu rozporek, przed czym się broni, ale krótko. Siada ze spodniami spuszczoneymi do kostek, mruży oczy i pije wino z kartonu. Masuję dłońmi, wkładam jądra do ust, szoruję językiem i zaciskam wargi tak mocno, jak potrafię, nie robiąc mu krzywdy. Na próżno. To tylko miękki kawałek mięsa, dotykający mojego podniebienia. Podwajam wysiłki. Nigdzie mi się nie spieszy. Przed sobą mam całą wieczność, czego nie można powiedzieć o Wysokim, który wpija dłonie w oparcie krzesła, napręża mięśnie i wzdycha, jakby przeklinał sam siebie. Pomaga mi wstać. Patrzy w oczy aktorki Bellucci i pyta, czy mogę zmienić się w Śliską. Spełniam jego życzenie, wpełzam na jego biedę i zaczynam się kołysać. Wysoki głaszczę mnie po twarzy i zaczyna szlochać.

23.

Oceany schną, a pustynie napełniają się wodą, miasta wzrastają z lasów i obracają się w proch, dziecko zmienia się w starca, starzec zmienia się w proch, mężczyźni przychodzą i

odchodzą, przekraczając wytarty próg naszych drzwi. Są różni. Robotnicy i profesorowie, uczniowie i nauczyciele, zaobrazkowani i wolni, wysocy i niscy – dla mnie są jednym. Nie mają żadnego znaczenia, bo trwam. Wysoki siedzi pod blokiem na ławce i trzyma karton między nogami. Potem wraca i głaszcze mnie po karku.

W moich snach powracają rzeczy minione: wieża budowana do nieba i okręty o trójkątnych dziobach, chłostane przez fale. Wysoki nigdy nie śpi. Po prostu leży na plecach i mówi do siebie, potem gwałtownie wstaje i zaczyna krążyć po pokoju. Bije się po brzuchu. Mamrocze słowa, których nie rozumiem. Unosi rolety i spogląda na uśpione miasto. Pomarańczowe światła kładą się na ścianach, ptak przechadza się po parapecie, ktoś za ścianą ogląda telewizję. „Kim jesteś”, pyta Wysoki, „czy ty masz pojęcie, co robisz z ludźmi?”.

Mężczyzna zjawia się wczesnym popołudniem. Jest żyłasty i nosi skórzaną kurtkę. Wchodzi i natychmiast zaczyna się rozglądać, jego wzrok ślizga się po Wysokim i wpada do sypialni. Wszystko przebiega tak jak zwykle. Wysoki bierze pieniądze i wychodzi z mieszkania. Mężczyzna przerzuca mnie przez stół, pali papierosa i strzepuje popiół na moje plecy. Kończy, zrzuca mnie na podłogę i bije w twarz. Wycofuję się w róg mieszkania i chowam twarz w dłoniach. Mężczyzna ma buty z ostrym czubem i żelazną klamrę na pasku. Mówi po włosku, że wszystkie kobiety należą do jego szefa i nie mogę, tak po prostu, robić tego, co robię. Inaczej zabije nas oboje. Zastanawiam się, co zrobić z tą informacją, a do mieszkania wpada Wysoki i rzuca się na żyłastego mężczyznę. Żyłasty jest zaskoczony. Nie potrafi się osłonić i pada. Wysoki kopie go w głowę. Żyłasty na kolanach próbuje dotrzeć do wyjścia. Wysoki chwyta go za kurtkę, ciągnie, szarpie klamkę i uderza Żyła-

stego drzwiami. Świeci słońce. Ptaki uwiły gniazda w koronie drzewa. Z balkonu naprzeciwko zwisa czerwony ręcznik. Żyłasty spada ze schodów. Słyszę, jak kaszle i przeklina. Jego krucha sylwetka, ogołocoła z wszelkiej siły, wpada między zaparkowane samochody. Wysoki zamyka drzwi i mówi, że musimy natychmiast uciekać.

24.

Siedzę pod ścianą w skórze Jesse Jane i jem fasolę z puszki. Wysoki miota się po mieszkaniu. Pakuje ubrania do torby, opróżnia lodówkę, wyjmuje pieniądze spod telewizora, przelicza, chowa do kieszeni i trwożnie zerka przez okno. Zakłada buty. I kurtkę. Torbę ma przerzuconą przez ramię. Wyciąga rękę w moim kierunku i natychmiast ją cofa. Patrzy na mnie. Zrzuca torbę na ziemię. Za torbą lecą banknoty. Wysoki pije z butelki. Siada w fotelu. Mówi, że tak właśnie to powinno się skończyć. Mówi.

„Gdybyś chociaż była zła, ale nie jesteś. Gdybyś chociaż była czymkolwiek. Gdybyś mówiła. Gdybyś miała imię. Gdybyś powiedziała, choć raz, czego chcesz. Gdyby cokolwiek cię obchodziło. Gdyby, gdyby. Wtedy nie poszedłbym na marne, wtedy moja... Boże drogi. Mogę tak gadać i co z tego? Gdybyś miała jedno ciało. Jakiegokolwiek ciało. To co? To nie bylibyśmy tutaj? Kocham coś, co nie istnieje. Kocham coś, czego nie ma i czego nie umiem nazwać. Cieszę się, że tu siedzę. Cieszę się, że tu siedzę. Nie chcę już wiedzieć, kim jesteś. Nie chcę nic wiedzieć. Nie chcę wiedzieć, jak wyglądasz naprawdę. Ty też tego nie wiesz. Nie jestem mądrym człowiekiem, ale wiem, że do ludzi wraca to, co zrobili. Teraz do mnie wraca to, co zrobiłem.

Do ciebie nigdy nic nie wróci i to jest niesprawiedliwe. Chciałbym cię zabić, ale nie potrafię. Nikt nie potrafi. To jest niesprawiedliwe”.

Do mieszkania wchodzi Biały w towarzystwie trzech innych mężczyzn. Wysoki wstaje, łączy nogi i zapina guzik pod szyją. Towarzysze Białego mają błyszczące buty i bluzy z kapturem. Z szyi Białego zwisa tygrys. Biały wyjmuje pistolet i mierzy w moim kierunku. Unoszę wolno dłoń i wprawiam swoje ciało w drżenie. Wysoki dyszy. Wysoki splota Białemu w twarz, wystrzał podrywa ptaki z gniazda, na piersi Wysokiego rośnie czerwona plama. Dotyka jej koniuszkiem palca. Pada na kolana, a potem na wznak. Biały ma błękitny tatuaż na karku i złoty zegarek. Oko tygrysa zaciemnia plama krwi.

Odkładam puszkę z fasolą. Na czworakach zbliżam się do Wysokiego, który gorączkowo łapie powietrze i coś próbuje powiedzieć. Wydaje się stygnąć. Towarzysz Białego ma zerwaną sznurówkę w lewym bucie. Drugiemu kieszeń wypycha paczka papierosów. Na korytarzu leży czarny worek na śmieci. Pochylam się nad Wysokim.

Nakładam jego skórę. Mam ostry nos, tygodniowy zarost, zakola, włosy opadają mi na kark. Dłonie robią się mocne. Wyrastają pieprzyki. Jeden z towarzyszy Białego zwała się z hukiem na ziemię. Biały podpira ścianę i wyciąga telefon komórkowy. Telefon komórkowy jest czymś, co widuję bardzo często. Oddech Wysokiego robi się płytki. Chwyta mnie za nadgarstek. Czuję, jak spowalnia mu serce. Spogląda w swoją własną twarz. Jego pierś jest czerwona. Mówię:

– Kocham cię.

Pisałem w podróży, jesienią 2012 roku

Szczepan Twardoch

FADE TO: BLACK

Długo czekałem, aż do mnie wyjdzie. Krzesła na tarasie zimne i wilgotne. Lato się kończy.

– Posiedzieć z tobą? – zapytała bardzo cicho.

– Nie.

Stała tak, przez chwilę, niepewna, nieomalże owdowiała, smutna i piękna, owinięta szarym kocem o wzorach grubych jak warkocze.

– Kochany, ja... – zaczęła, ale przerwała zaraz.

Wzruszyłem ramionami. Nagle odkrywam jej zapomniane piękno, kiedy tak stoi dramatycznie na wpół oświetlona.

– Przynieść ci jeszcze wino? – pyta.

– Przynieś.

Zabiera pustą butelkę, przynosi nową. Słyszę z kuchni, że odlała trochę dla siebie, ale nie przyniosła swojego kieliszka, pewnie został na blacie. Latają nad nim muszki owocowe, zaraz któraś się utopi szczęśliwie pijana, trzeba będzie wyciągać albo ją wypić.

– Chcesz być sam, tak?

Nie odpowiadam.

– Ale ja jestem dla ciebie. Wiesz o tym.

Gówno prawda, pomyślałem. Nikogo nie ma dla mnie. Nikogo, ciebie też nie.

Nalałem wina. Ania ciągle stała obok.

– Idź sobie – powiedziałem. Okrutnie. Nie patrzyłem na nią, patrzyłem przed siebie w pustą ciemność.

Przełknęła okrucieństwo, nie miała wyjścia. Poszła, cicho poszła. Nalałem wina. Nie pachniało. Jakbym nosa do kie-

liszka nie wetknął – nie pachniało. A powinno. Rozpłakałem się po cichu.

– Ciągnie lepiej niż Mariola – powiedział parę godzin temu taksówkarz. Nagle usłyszałem jego głos – dwa koma trzy litra, ciągnie lepiej niż Mariola.

Wsiedliśmy do tej strichachty, zielonej z białym dachem, nigdy nie umiałem się oprzeć starym mercom, zagadnąłem młodego złotówę o to, czy sam go odrestaurował i jak oldtime-rem się jeździ na taryfie, zagadnąłem, jakby nic innego mnie nie obchodziło, tylko ten merc na taryfie, a on rozgadał się na dobre o tym i o innych samochodach. Szpera, sto sześćdziesiąt koni. Rocznik 76. Panie! Ciągnie lepiej niż Mariola.

Wracaliśmy od lekarza. Czarne plamy na trzepoczących jak żagle wielkich kliszach, żadnych nadziei, żadnych wątpliwości. Nic. Ania milczała całą drogę. Ja byłem pobudzony. Zapytałem złotówę o samochód, zaśmiałem się na tę Mariolę. Ania go nie słyszała. Przez sekundę myślałem, czy mu nie powiedzieć. Nie powiedziałem.

Do lekarza też taksówką, bo przed wyjściem wypiliśmy oboje po dużej wódce, a potem jeszcze po jednej, jakoś nie dało się inaczej. W milczeniu wypiliśmy. Nerwy. Wtedy jeszcze: nerwy. Dzieci u teściów, zabawki obumarłe na podłogach, martwe oczy misiów i lalek wpatrzone w sufity, ściany i podłogi. Poćwiartowane ludziki z klocków lego, głowy osobno, nogi osobno. Nie było komu posprzątać.

Kiedy wyszliśmy z gabinetu, Ania drżała, ja byłem spokojny, ciągle na lekkim rauszu. Zdziwiony trochę. Na postój taksówek niedaleko, szedłem w milczeniu. Ania zadzwoniła do swojej mamy, pewnie zapytać, czy dzieci mogą u nich zostać. Nie słucham, co mówią. Oni i tak pewnie nie pytali o nic, bo zrozumieli, jak mogliby nie zrozumieć. O moich rodzicach nie

myślałem wtedy. Nie mogłem. Myślę teraz. Nie powiem im, nic im nie powiem. A ojciec się może wcale nie dowie, przecież matka do niego nie zadzwoni, nawet w takiej sytuacji nie zadzwoni. A ja nie wiem, czy zadzwonię.

Kończę drugą butelkę, wstaję, chwiejny trochę, trochę pijany i całkiem trzeźwy. Patrzę w noc i niczego w niej nie widzę.

– Kurwa mać, ja pierdolę – powtarzam cicho ulubioną modlitwę, klątwę na cały świat, która od lat towarzyszy moim porankom. Lecz dziś nie pomaga, dziś pomoc nie może, bo nie ma już poranków ani wieczorów, zostały tylko tygodnie, od dziś jestem martwy, a w martwych nienawiść do świata umiera.

Nigdy nie dawała mi siły, ale dawała gruby, miękki pancerz, zbroję z gliny.

Teraz nie potrzebuję ani siły, ani pancerza. Nie potrzebuję niczego.

Wracam do domu. Na stoliku komputer, więcej go nie otworzę. Nieotwierany, puchnie od e-maili, powoli jak narzmiewający wrzód, niech puchnie, niech puchnie, aż eksploduje, wbiją się odłamki aluminiowej obudowy w ściany. Powódź e-maili zgniata rodzący się między klawiaturą a ekranem scenariusz. Film. *Maga*. W filmie scena na plaży, moja ulubiona. Siedzą sobie z aparatem, czarną, dwuobiektywową mamią, zdjęcia piasku i wody, i horyzontu na kliszy sześć na sześć. Jest jesień. Chociaż reżyser mogłaby być innego zdania. Nieważne. Moja ulubiona scena.

SCENA 18

PLENER. PLAŻA. WIECZÓR.

MAGA i JANEK siedzą na piasku.

MAGA: (patrzy w horyzont, nie na Janka) Jak ty potrafisz tak żyć? Jesteś tam z nią, opiekujesz się nią, ale teraz jesteś jednak ze mną. To z kim w zasadzie jesteś?

JANEK: (cicho) Z tobą. Chyba.

MAGA: Nie kłam, łajdaku, przynajmniej nie kłam.

Nie ma już tego filmu. Nie tylko nie będzie, ale nie ma. Ania siedzi przy kuchennym blacie, przed pustym kieliszkiem.

– Nie pij – bełkoczę trzeźwo. – To bez sensu.

Patrzy na mnie obłądnie. Wiem, co chciałaby powiedzieć, chciałaby powiedzieć to, co zwykle mówią kobiety, ten potok innych lekarzy, drugich opinii, konsyliów, klinik, bioenergoterapeutów, alternatywnych terapii, mis tybetańskich i akupresur. Ale ona wie, to samo co ja wie. Więc zamiast tego wszystkiego pyta:

– Czy ty jeszcze wierzysz w Boga?

– Nie – odpowiadam od razu, bez zastanowienia.

Zaciska szczęki. Patrzy na mnie, jakby liczyła, że sam ucieknę, wycofam się, powiem coś, co załata tę dziurę. Przynajmniej w obliczu tego czarnego krzyżyka, który wisi na ścianie i na który ona patrzy teraz. A ja milczę. A ona nie.

– Ale może mógłbyś spróbować?

– Nie mógłbym.

To nieprawda, mógłbym. Mógłbym bardzo łatwo. Ale nie chcę. Teraz po prostu nie chcę, teraz duma mi nie pozwala. Na to już za późno.

Odwracam się, idę do sypialni, rozbieram się powoli. Ania idzie za mną, kładzie się i już leżymy każde na swojej połowie łóżka, czarno, ciemno, bo rolety opuszczone, tylko oczy świecą w tej ciemności, kiedy patrzymy w ciszę. Nie dotykamy się.

– Nie umiem cię pocieszać – mówię. – Nie chcę cię pocieszać. To bez sensu.

I milczymy dalej.

Wyciszona komórka na stoliku nocnym zaczyna buczeć. Nie odbieram, buczy dalej, stolik jak pudło rezonansowe. Sięgam po nią nagle, nie patrzę i ciskam aparatem w ciemność. Trafiłem w beton ściany, pryska szkło.

Ania obok zachłystuje się oddechem i leży przerażona, jak zawsze, kiedy mój gniew nagle się materializował, jakby bała się, że ją uderzę, chociaż przecież wiedziała, że nie mógłbym, ale bała się moich wybuchów od zawsze. Może i w końcu kiedyś bym ją uderzył. Ale nie uderzę.

– Co teraz będzie...?

– Nic. Zostaniesz sama. To znaczy z dziećmi. Zdarza się.

Jej oddech przyspiesza, wzbiera, słyszę, jak powoli wzbiera w niej szloch.

– Nie płacz, to bez sensu.

– Wiem – szepcze już przez łzy.

– Wszystko zrobię tak, jakby był. Pójdę do spowiedzi nawet i w ogóle. Wszystko uporządkuję, wszystkie sprawy. Załatwię kasę, zabezpieczę. Z ubezpieczenia będzie. Napiszę listy do dzieci. Takie, że będą czytać potem. Scenariusz skończę jeszcze.

– A potem?

– No proszę cię... – odpieram zgryźliwie.

– Nikodem... – płacze Ania. – Nikodem, ale o tym nie myśl, Nikodem...

– O czym? – pytam, chociaż przecież wiem, co ma na myśli. Ale chcę, żeby to powiedziała. Ale ona nie powie.

– Wiesz przecież... – płacze. – Nie możesz niczego przyspieszyć. Obiecuj mi, Nikodem. Przrzeknij.

– Tego nie można obiecać, Ania – szepczę. – Przecież wiesz. Nie można. To znaczy można, obiecać można wszystko w ogóle, ale to i tak unieważnia takie obietnice.

Płacze, płacze i szuka mojej dłoni. Nie znajduje dłoni, więc cała pełźnie do mnie powoli, po prześcieradle, przywiera do mnie, ustami szuka ust, pocałunek po pocałunku kroczą jej usta po mojej skórze. Płacze, cały czas płacze. Jej piersi dotykają mojego brzucha, matowa skóra, oddech i szepty, i jej usta, i dłonie: Nikodem, Nikodem, kocham cię, kocham, Nikodem. I szloch, bardzo cichy: Nikodem, Nikodem, nie możesz odejść. Tak płacze.

Odpycham ją nagle, nie wiem dlaczego, nie wiem po co, przecież mógłbym. Ania płacze bardzo głośno, wstaję, nie ubieram się, wychodzę z sypialni, szepcząc jakieś próżne usprawiedliwienia, jakieś marne: „Nie, nie mogę, przepraszam”.

Ale przecież zrozumie, Ania zrozumie. Zresztą, cóż może zrobić innego, niż zrozumieć? Może nie zrozumieć. Na to samo wyjdzie.

Nagi, pijany, wychodzę na ogród, zataczam się. Noc jest zimna, bo już wrzesień, ale zimno mi nie przeszkadza, bo nic już mi nie przeszkadza. Nikt mnie tu nie zobaczy. Trawa jest mokra, stopy też mam mokre. Kładę się w tej mokrej trawie, biała plama ciała pod białą plamą księżyca. Marznę, wychładzam się, ale to dobrze.

– Nikodem! – woła w ciemność Ania, ja ją widzę, ona mnie nie widzi.

Wstaję, bo zaraz zaczęłaby mnie szukać. Głupio tak leżeć. Wracam do domu, mijam ją bez słowa, kładę się na kanapie, twarzą do oparcia, owijam się burym kocem.

– Nik?

Nie odpowiadam, odchodzi wreszcie, więc odwracam się na plecy, nade mną szara, złamana księżycem ciemność, wyżej sufit, a jeszcze wyżej? Nie wiem. Nie zasnę dzisiaj.

Byłem rano u mamy. Przed lekarzem. Mama sama. Sama mama, sama, w małym i wysokim jak studnia mieszkaniu w kamienicy, przycupnięta przy podłodze, na stołeczku przy stoliczku, maleńka, dziwne małe jej życie, nie puste, ale dziwne. Żadnych mężczyzn po tacie, przynajmniej żadnych, o jakich bym wiedział, żadnych kłopotów, żadnych trosk, tylko uczelnia, koleżanki i podróże. Wycieczki tygodniowe albo dłuższe, nigdy stacjonarne, zawsze zwiedzanie, jak najwięcej zwiedzania, Włochy, Wielka Brytania, w pośpiechu, zobaczyć jak najwięcej, Szwecja, Tajlandia, w autobusach i samolotach z przypadkowymi towarzyszami tych podróży, zobaczyć jak najwięcej, jakby chciała najeść się świata, póki świat istnieje, i prawie żadnych zdjęć, po kilka z każdej podróży, bez mamy na tych zdjęciach, żadnych krajobrazów, tylko jakieś rzeczy: klamka, kosz na śmieci, śpiący kot, winobluszcz na starej kamienicy, skrzynka na listy „Poste Italiane”. Zdjęcia wywołane, starannie opracowane w duże *passé-partout*, równym szeregiem na białej ścianie. Mama zawsze spokojna, nigdy żadnej skargi, uśmiechnięta, elegancka, niebiedna – i sama.

I nigdy ani słowa o tacie. Na każde moje pytanie: taty już nie ma. Ani słowa więcej. Ani złego, ani dobrego, nic, żadnego pytania, co u niego. Zresztą: nie wiedziałbym. Co mnie obchodzi on, tak daleko.

Dowiedziałem się potem wszystkiego, od innych, od babci, od cioci, od kuzynki, wszyscy mówili, tylko nie mama. Taty już nie ma. Nie ma tak bardzo, jakby nie było nigdy.

Siedzieliśmy przy wysokim kuchennym blacie, na wysokich stołkach. Mama zrobiła kawę, ale nie piliśmy. Suchymi

palcami dotykała moich dłoni. Pytała, co z dziećmi. Czy się zająć. U rodziców Ani. Dobrze. A potem milczeliśmy. Zjesz coś? Pójdę już.

Przy drzwiach, wiązałem buty.

Synku...

Wyszedłem. Tylko mnie ma i mnie nie ma, i nic nie ma.

A dokładnie miesiąc temu siedziałem u niej tak samo. Z radia trąbiła rocznica powstania w Warszawie, więc wyłączyłem radio, bo Warszawa daleko. Więc siedziałem, mama paplała coś o fiordach i wyprawie statkiem wycieczkowym, ja prawie nie słuchałem, bo myślałem o różnych kobietach, między nimi o Ani, mojej żonie, a potem straciłem przytomność i spałem z krzesła.

Potem było dużo kobiecego troskliwego jazgotania, lekarz, szpital, badania, tomografia, za dużo takiego i owego wi-na, papierosów za dużo i stresu, idź, musisz pójść, bo dzieci, bo życie, odpowiedzialność, nie poszedłem. To moje życie, nie mojej żony, nie moich dzieci, nikogo, tylko moje, moje, nigdzie nie pójdę, bo moje, moje.

Za dużo pracy, co rano kawiarnia, wielkie słuchawki na uszy i na przykład Hercules and Love Affair, pulsowanie i dziesięć godzin, których nie byłem godzin, tak jak nie byłem godzin całego mojego życia, głupi łajdak, któremu wszystko się udaje, do czasu jednak, do czasu! No i nie ma. Pisałem Magę, scenariusz skierowany już do produkcji, a ja ciągle pisałem i nie mogłem skończyć, pisałem o kobietach, mężczyznach, miłości i śmierci, i ciągle źle.

SCENA 9

WNĘTRZE. MIESZKANIE MAGI I JANKA. DZIEŃ.

MAGA i JANEK siedzą naprzeciwko siebie na białych krze-

ślach, dłonie na blacie białego stolika.

MAGA: (prawie bezgłośnie) Co?

JANEK: Ona ma raka.

MAGA: Rozwiodłeś się z nią! To już nie jest twoja żona!

JANEK: (bardzo cicho) Ale dzieci... Ona umrze, Maga, rozumiesz?

Źle. Zaznacz, usuń. Usunąłem. Widziałem ich przy tym stole, ale nie słyszałem słów. A one paść muszą. Ale inaczej. Miałem je innymi wymyślić.

A jeszcze wcześniej siedziałem z prawdziwą Magą z ciała, z mięsa i wszystkiego, w tej samej kawiarni, w której potem piszę Magę z Magą z papieru, Magę ze światła i marzeń ludzi w kinowych salach, trochę nieswojo siedziałem, kiedy Maga z ciała trochę nerwowo piła kawę i mówiła o nich, o Janku, o Piotrze, o różnych mężczyznach mówiła do mnie, mężczyzny, bo przecież nie do mnie kogoś innego, nie do mnie autora scenariusza. Dziwnie brzmiały te słowa między nami, jakby nie było płci i jednocześnie jakby były właśnie najbardziej. Podoobała mi się i nie podoobała mi się, obca w swojej otwartości i bliska, bałem się jej i nie bałem. Słuchając, myślałem: jak ona na mnie patrzy?

Ale to nieważne. Głowa pełna ludzi, twarzy i słów.

A potem wpadłem na ulicy na kobietę, która dawno temu wzięła sobie chłopca do łóżka, ten chłopiec miał kilkanaście lat, był rok młodszy niż ona, ale młodszy o pół życia, miał długie włosy i pychę kryjącą się w szarym oceanie kompleksów, z których leczyły go jej długie palce, jej usta i jej małe piersi, długie złotobrzazowe nogi i szerokie biodra i nagle w kilka tygodni od pierwszego w życiu pocałunku przebył drogę z dzieciństwa do świata, z którego nie ma, niestety, powrotu.

Siedliśmy przy stoliku, znowu w tej samej kawiarni, okrągłe stoliki jak czakramy, a my dokoła jak głupcy. Była w ciąży, drugie dziecko, rozmawialiśmy – o dzieciach, domach, ale przecież nic mnie nie obchodziły dzieci i domy, myślałem nie o niej i nie o jej ciele sprzed lat i nie o jej ciele dziś, ciężarnym, myślałem tylko o tym chłopcu, którego wzięła sobie do łóżka dawno temu, a który potem zaginął w ciemnościach. Uśmiechałem się, zapytałem, czy czasem o tym myśli, głupio zapytałem, przecież ona w ciąży, więc głupio, ale może nie zapytałem wcale, może nie musiałem pytać, już nie pamiętam, ona się uśmiechnęła i nie odpowiedziała, a ja zemdlałem po raz drugi, kiedy otwarłem oczy, pochylała się nade mną, i odzyskałem przytomność bardzo szybko, jakbym tylko na sekundę zanurzył się pod wodę, wpadłem pod stół okrągły jak czakram i pochylała się nade mną, i jej niebieskie oczy, i włosy jak białe złoto, proste i suche, i barista się pochylał i pytał o pogotowie. Nic mi nie jest, krzychałem, przepraszam, zerwałem się i uciekłem, uciekłem zawstydzony, nie wróciłem tam już nigdy, bo pytaliby mnie o to, patrzyliby na mnie z troską, a ja za tę troskę musiałbym im napluć w gęby.

Nie zasnę dzisiaj. Otworzyłbym komputer, ale nie otworzę, nie chcę już otwierać komputera.

Wstaję, owijam się kocem jak togą, idę do sypialni. Ania nie śpi.

– Wszystko będzie jak trzeba – mówię.

– Jak trzeba...? – pyta się nie mnie i płacze, nie przestała wcale płakać.

– Będę czekał na ciebie. Po drugiej stronie – kłamię.

Ania płacze, płacze słowami:

– Och, zamknij się, idioto, zamknij się...

– Pójdę do dzieci – odpowiadam.

Ania zanosi się płaczem, twarz schowana za kratą palców.

Idę.

Gdzie jest ich pokój? Co jest...? Wracam.

– Ania, ja... ja nie umiem znaleźć pokoju dzieci...

Ania płacze. Płacze.

– Ania, proszę cię.

– Wredny idioto, dlaczego...? Dlaczego? Jak możesz...?

Nie rozumiem jej, więc wychodzę. Kładę się na kanapie.
Gdzie jest pokój dzieci?

Zadzwonię do ojca. Znajdę jego numer w komórce, zadzwonię, daleko, do Niemiec, przecież odbierze, trudno, wiem, która godzina, tato, ja...

Szukam komórki, długo, przypominam sobie: przecież rozbiłem. Szukam numeru w notesie. Jest. Dzwonię z domowego.

– Tato?

Milczy, długo milczy.

– Jesteś pijany, Nikodem?

Jezu, jak ja dobrze znam ten głos, ten głos jak żelazne hufce, głos jak stal w ogniu hartowana, głos jak napalm.

– Nie. Trochę. Czemu pytasz?

– Bo dzwonisz.

Teraz ja milczę. On milczy krócej.

– Ostatni raz rozmawialiśmy pięć lat, trzy miesiące i dwanaście dni temu. A teraz dzwonisz. O trzeciej w nocy.

Mówi bardzo powoli, słowa jak krople z niedokręconego kranu.

– Dlaczego od nas odszedłeś? – pytam.

– Nikodem, nie bądź dzieckiem – odpowiada spokojnie.

– Jestem dzieckiem.

Byłem dzieckiem. Jestem dzieckiem. Dwadzieścia lat temu. Stałem w korytarzu. Mama siedziała w kuchni, a ja stałem w korytarzu, miałem w ręce czerwoną kredkę, oderwałem się od rysunku, kiedy usłyszałem to, co powiedział do mamy. Rysowałem smoka, najbardziej lubiłem starannie rysować łuk każdej łuski i zgrubiałe stawy jaszczurczych łap, i ostre pazury, i chińskie oczy. Ale oderwałem się i stałem w korytarzu, z czerwoną kredką w dłoni. Tata stał teraz przy drzwiach w beżowej wiatrówce, z małą walizką. Nikt nie płakał, wszyscy umierali troszeczkę. Można umrzeć troszeczkę, można umrzeć zupełnie. Gdzie idziesz, zapytałem wtedy. Muszę już iść, odpowiedział wtedy. I poszedł.

– Obudziłem cię? – pytam teraz.

– Co się stało, Nikodem?

– Nic.

– Nikodem, to dobrze, że...

Odkładam słuchawkę. Po chwili wyciągam jeszcze kabel z gniazdka.

Jednak otwieram komputer. Maile kasuję bez czytania, zatroskani przyjaciele do kosza. Scenariusz. *Maga*.

SCENA 26

WNĘTRZE. MIESZKANIE PIOTRA. NOC.

PIOTR: (beznamiętnie) Wynoś się.

MAGA: Co?

PIOTR: Słyszałaś.

MAGA: Ty mnie wyrzucasz...?

PIOTR: Tak.

MAGA: Tak po prostu...?

PIOTR: Tak po prostu. Nie mogę ci ufać.

MAGA: Ty mi nie możesz ufać, chuju?

Rzuca się na PIOTRA z pięściami. PIOTR chwyta jej przedramiona, delikatnie, ale stanowczo.

MAGA: (krzyczy, płacząc, szarpiąc się) Ja cię nie zdradzałam! Nie pisałam na portalach z dupami! Siedemnaście lat, kurwa, chcesz dupczyć siedemnastki?

PIOTR puszcza ją, odpycha od siebie.

PIOTR: (spokojnie, zimno) Wynoś się, po prostu się spakuj i wypierdalaj, dobra?

MAGA: (wrzeszczy) Myślisz, że co, one ci lepiej obciągną? Lepiej niż ja? Że będziesz je w dupę pierdolił?

Za mocno, czy za mocno? Nie wiem. Może za mocno. Może fałszywie. Ale to już bez znaczenia. Ale właśnie nie, to właśnie ma znaczenie. Muszę skończyć ten scenariusz, poprawić, więc kasuję, muszę napisać scenę na nowo, muszę skończyć, podpisać, wydrukować, zszyć ładnie i wysłać Marcie, niech to swoją szajbą ogarnie, wybebeszy, ktoś inny już to poprawi, przerobi, dialogi i tak nie zostaną, a ona obsadzi w tym jakąś swoją kochankę i zrobi mroczne zdjęcia, i rzecz pójdzie do kin, witaj świecie. I będzie w kinach moja Maga, mój Piotr, mój Janek, i Ania z Magą z ciała pójdą to obejrzeć, razem, na premierze, będą siedzieć w smutnych rzędach, Ania, Maga, mama, Marta, Maga pewnie powie tym swoim wszystkim byłym, powie im o wszystkim, ale oni na premierę nie przyjdą. I ja też nie przyjdę.

A dzieci, co z dziećmi, z kim dzieci zostaną? Scenariusz nieważny, one ważne, a cóż to dla nich za dokument, jakie to dla nich pożegnanie?

Biegnę do sypialni. Gdzie są dzieci?

– Ania, gdzie są dzieci? – krzyczę prawie.

Patrzy na mnie długo. Bardzo długo. Jakby przykleiła się

do mnie tym spojrzeniem.

– Jakie dzieci, Nikodem? Jakie, kurwa, dzieci? – pyta bardzo cicho, bardzo spokojnym, drżącym głosem.

Wściekam się, że pozwala sobie na takie żarty, w takiej sytuacji. Otwieram usta, żeby wrzasnąć, walnąć pięścią w szafkę, już zaciskam tę pięść. I chcę wrzeszczeć, wrzeszczeć ich imiona.

Ale nie umiem sobie przypomnieć ich imion, nie umiem sobie przypomnieć ich twarzy, płci, nawet tego, ile ich jest. Było. Są. Jest. Ale były.

I stoję z otwartymi ustami.

– Jakie dzieci, Nikodem? O co ci chodzi? – pyta Ania.

Nie ma. Były, nie umarły, ale nie ma, były i nie ma.

Usta mam rybie, otwieram i zamykam. I biegnę: biegnę przez dom, otwieram kolejne drzwi i nie znajduję tego, co szukam, biegnę na ogród, a w ogrodzie nie ma piaskownicy. W ogrodzie nie ma trawy. Niczego nie ma.

Ania znajduje mnie klęczącego.

– Nik, to stres, kochany. Spokojnie. Chodź.

Wracamy do domu. Nie wracamy, jesteście w domu.

– Chodźmy na ogród – proszę. Chcę powietrza i gwiazd. Trochę.

– Nik, jesteście u nas w domu. Nie możemy wyjść na ogród. Nie ma ogrodu.

Siadam przy stoliku, kładę komputer na kolanach, otwieram. Taki nawyk. Ania siada obok mnie. Patrzy, martwi się.

– Rozmawiałem z ojcem – mówię.

Ania martwi się jeszcze bardziej.

– Nik, ty jesteś bardzo pijany.

– Zadzwonię do mamy – mówię, gapiąc się w ekran

komputera.

Na ekranie scena nr 32.

– Pamiętasz numer? Bo rozwaliłem komórkę.

Ania milczy. Zamykam komputer. Ani nie ma. Rozglądam się.

– Ania? Ania! No gdzie poszłaś?

Wstaję, zaglądam do kuchni.

Chcę zawołać ją po imieniu, nie ma imienia.

Chcę wrócić do pokoju, nie ma pokoju.

Otwieram usta, mówię i słowa są bezgłośnie. Nie padają. Pusto w pustce. Wyszedłbym na ogród, ale nie ma drzwi prowadzących na ogród. Otwieram komputer, nie ma komputera.

SCENA 32

WNĘTRZE. STARE MIESZKANIE MAGI. NOC.

MAGA śpi. Budzi ją wibrująca na stoliku nocnym komórka.

JANEK (V.O.): (przez telefon) Jadzia nie żyje.

MAGA: (zaspana) Co?

JANEK (V.O.): Jadzia umarła. Dzisiaj.

Nie ma mnie. Nie ma. Niemnie. Nie ma.

SCENA 35

WNĘTRZE. MIESZKANIE JANKA. NOC.

MAGA dzwoni do drzwi. JANEK otwiera, zaskoczony.

MAGA: (pijana, rozmazany tusz pod oczami) Weź mnie. Proszę cię, weź mnie do siebie.

JANEK: Boże, nie na klatce. Wejdz.

Wchodzą do mieszkania.

MAGA: Jej już nie ma. Ona nie żyje. Umarła!

JANEK: Jesteś pijana.

MAGA: Jestem twoja.

JANEK przytula MAGĘ. Objęci, milczą przez chwilę.

JANEK: (pieszczotliwie) Wiesz, Rybo, w innej sytuacji...

MAGA: Nie ma innej sytuacji.

Janek przytula ją jeszcze mocniej.

JANEK: (szepcze MADZE do ucha) Zadzwoń ci po taksówkę.

MAGA: (płacze) Nie chcę taksówki. Chcę ciebie!

JANEK odpycha ją delikatnie, wybiera numer w komórce.

JANEK: (do telefonu) Dobry wieczór. Kordeckiego czterdzieści osiem. Tak. Dobrze. Może być za pięć minut.

MAGA stoi bezsilna, słaba, złamana.

JANEK: (wygrzebując banknot z portfela) Stowę mam. Oddasz mi potem.

MAGA nagle otwiera drzwi wyjściowe i rzuca się ze schodów. Spada kilkanaście stopni, rozbita głowa, krew z nosa i uszu, spódnica podwija się, obnażając nagie krocze i nogę w widoczny sposób złamaną w udzie.

JANEK zbiega za nią.

Nie ja. Nie. Nie. Nie.

SCENA 37

WNĘTRZE. SALA W PRYWATNYM SZPITALU. DZIEŃ.

Na łóżku w gipsach i kroplówkach leży MAGA. Obok zafierowany, nieobecny JANEK.

JANEK: Także, no, wszystko masz zapłacone, i spoko, to jest po prostu z mojego Medcovera, także, no...

MAGA: Zostań ze mną, proszę cię, zostań. Potrzebuję cię.

JANEK: Proszę cię, daj spokój. Nie ciągnijmy tego. Muszę lecieć.

JANEK wychodzi.

FADE TO: BLACK.

(...) Ten, kto powiedział Nie – nie żałuje. Gdyby zapytali go, czy chce odwołać je, nie odwoła. Ale właśnie to Nie – to słuszne Nie – na całe życie go grzebie.

Marcin Przybyłek

MAŁA MAY

W sercu każdego mężczyzny jest sekretne miejsce zachowane z czasów dzieciństwa. U niektórych jest ono widoczne gołym okiem: wydaje się, że jakieś światło prześwieca przez żebra i mostek. W twarzach ich zaś widać... brak, zwany czasem smutkiem. Bywa, że są wychudzeni, bladzi lub odwrotnie: otyli, pryszczaci, tak czy owak, w szczególny sposób niezdrowi. U wielu jednak miejsce to jest skrzętniej ukryte, więc nic nie świeci, nie promieniuje, a twarze wyglądają względnie normalnie. Nie znaczy to bynajmniej, że ono nie istnieje, bo być mężczyzną, znaczy między innymi... tęsknić.

Miejsce to jest przeznaczone dla Małej May. Oczywiście różni mężczyźni różnie ją nazywają, większość w ogóle nie nadaje jej imienia, na potrzeby jednak tej opowieści uznajmy, że osoba ta tak się właśnie nazywa.

May przychodzi w czasie poobiedniej sjęsty, nudnych posiedzeń, wieczornego odpoczynku czy w ogóle wtedy, kiedy mężczyzna jest sam – fizycznie lub duchowo.

Żeby lepiej zrozumieć naturę tajemniczej przyjaciółki, przyjrzyjmy się życiu Mardoka Alcara, pracownika umysłowego Ultramar Ltd., żyjącego na Ziemi, jakieś trzydzieści lat temu. Dlaczego tak dawno i na Ziemi? Żeby uniemożliwić podejrzenie, że ten, całkiem nieźle udokumentowany życiorys, należy do kogoś ze współczesnych. W ten sposób unikniemy problemów prawnych, a i ciekawie będzie się zanurzyć w tak odległy czas. Dzięki lokacji zaś opowieść o Mardoku zyska wymiar niejako mityczny.

Spójrzmy na jego gabinet. Wnętrze prezentuje raczej

przeciętny standard końca XXII wieku: inteligentna kanapa, na której właśnie odpoczywa, moduł medialny piętrzący się pośrodku pomieszczenia, kilkanaście hologramów wiszących w powietrzu, eteryczne zasłony, kolorystyka popołudniowa, utrzymana w barwach sepii i oranżu. Słyszą miękkie basy spokojnej muzyki, której drgnienia Mardok odczuwa zapewne w klatce piersiowej i w brzuchu.

Teraz zajrzyjmy w jego oczy, czy może raczej w jedno z nich. Widzimy, że w rogówce odbija się przeciwległa ściana, ta za modułem medialnym i dwoma hologramami, z których jeden przedstawia żółte opadające płatki irysów na tle błękitnego nieba, drugi zaś mknące w dół perliste strumienie wodospadu. W ścianie pojawia się świetlista pionowa szczelina, która się poszerza i widzimy ogród, oraz nagie kobiece biodro. Za nim wysuwa się smukła ręka, połowa twarzy, pierś. Ubrana w czerwone bikini (w żółte kwiaty) dziewczyna o kształtach, które powodują, że dusza mężczyzny łka, uśmiecha się, błyska różem kwiatu wpiętego we włosy i zbliża się do Mardoka. Jest jego najlepszą przyjaciółką, powierniczką i lekarką, a na wszystkie dolegliwości ma jedno, jedyne lekarstwo.

Seks.

Tak, mężczyźni marzą o seksie, gdy są sami. A im bardziej ich ciała i psychiki są umęczone oddaleniem od kobiety i brakiem dotyku, tym intensywniej szukają pocieszenia w snach na jawie. I nie jest to eskapizm. To próba realizacji ideału: sprzęgu czułości, piękna i intymności.

Postać Małej May nie jest jednorodna, a jej pochodzenie jawi się wielowątkowo. Historia zaczyna się od pierwszego zainteresowania płcią przeciwną. Cofnijmy się w czasie. Poznacie Mardoka? Tak, to ten chłopiec o jasnej rozczochranej czuprynie. Znajduje się w mieszkaniu rodziców, dwadzieścia

lat wcześniej. Siódma dekada XXII wieku. Mieszkanie dorosłego Mardoka wyglądało archaicznie, lecz to, co widzimy teraz, to prawdziwa prehistoria, nieprawdaż? Kto dziś używa takich mediatronów czy hosensów? Kto widział biofotele w tym kształcie? Zostawmy jednak te dywagacje, bo nie o meblach jest niniejsza rozprawa. Mama i tata właśnie zasiedli przed holobrazem, by obejrzeć mecz w *sphere-ball*. Drużyny jeszcze nie wpłynęły do kuli, jest czas reklam i popisów cheerleaderek. Ach, te syreny o twardych podbrzuszach, połyskujących mięśniach lędźwiowych i taliach cudownie wąskich, kojarzących się z doskonałym muzycznym akordem, kto ich nie wielbi? Ich figi mienia się animacjami, piersi chcą wyskoczyć z wąskich breasterów. Mardok słyszy słowa ojca:

– Mają ładne mięśnie brzuszne. Lubię, gdy kobieta ma umięśniony brzuch.

Chłopiec przenosi wzrok na tancerki i po raz pierwszy w życiu wie, na co patrzeć. Na brzuchy, oczywiście! Zauważa, jak się prężą, jak delikatnie odkształcają się pępki, jak napinają się i rozluźniają mięśnie proste i skośne. Dostrzega bruzdę biegnącą od mostka do pępka, a także te boczne. Jedno ojcowskie zdanie spowodowało, że otworzył się przed nim wielki świat anatomii brzucha – najbardziej tajemniczej krainy erotycznego krajobrazu. Od tej pory Mardok będzie rysował w handboku dziesiątki talii, pępków i fig. Będzie kolekcjonował hotki, robił rankingi, tonął w fascynacji. Jego gusty będą się zmieniać: od brzuchów mocnych i umięśnionych do bardziej gładkich i smukłych, by w końcu zwrócić się ku stadiom pośrednim. Ale pierwsza miłość, której bodźcem była rzucona od niechcenia uwaga ojca, pozostanie niezmienną.

Wkrótce, będąc wciąż w niewinnym i cudownym wieku chłopięcym, Mardok po raz pierwszy wchodzi na bezpłatne

erotyczne strony sieciowe i godzinami chłonie widoki symetrycznych piersi i półkolistych pośladków, które – zdawałoby się – chcą eksplodować, takie są pełne i sprężyste. Wtedy właśnie po raz pierwszy wlewa w net skrzętnie zbierane kieszonkowe i staje się pełnoprawnym użytkownikiem ero-spotu, dzięki czemu co tydzień będzie mógł oglądać nowy striptiz wykonywany przez perfekcyjnie zbudowane enpecki.

Popatrzmy: Mardok sam w domu. Klęczy nad holobookiem i ogląda trójwymiarowe wcielenia piękna. To czas, gdy zawiązuje się jego przyjaźń z Małą May, a ma ona wiele wcieleń i twarzy. Blondynka, rudowłosa, brunetka, wszystkie piękne, a każda na inny sposób: jedna widziana od przodu, kładzie palce na podbrzuszu, druga z boku, prezentuje czarodziejski kąt napiętych ud i pochylonego tułowia, trzecia ukazana od przodu, kuca, podczas którego to ruchu okrągłej biodra i zapada się talia.

Mężczyźni rzadko się do tego przyznają, lecz niemal każdy pamięta swoje pierwsze fascynacje kobiecym pięknem. Gdybyście ich zapytali, najpierw pewnie by się wzbraniłi (nieco zażenowani), ale jeśli ich nacisnąć, ze szczegółami opiszą pozy i kształty swoich wybranek, jeszcze niedotykanymi, jeszcze nieprawdziwymi, ale już kochanymi. Bo choć brzmi to górnolotnie, mężczyźni kochają kobiece kształty. Jakże mogłoby być inaczej, skoro pożądanie bierze się z wieku niewinności?

W przypadku Mardoka właśnie tak było. Linie ud, pośladków, brzuchów i biustów wypalały piętna w jego umyśle, w piersiach rosła słodka góra westchnień, a w okolicach podbrzusza nabrzmiewało niespełnienie.

Wcześniej czy później dochodzi do inicjacji w tę tajemną wiedzę. Kolega, często starszy, a czasami po prostu lepiej poin-

formowany, dzieli się sekretem, jak zastąpić aksamitne wnętrza podziwianych piękności własną ręką. Spójrzmy na tę scenę: Mardok troszkę podrósł, prawda? Dzieci w tym wieku szybko się zmieniają. Stoi w parku, pod rozłożystą topolą, nad którą właśnie przelatuje aurokar. Jego kumpel, Huberto, pokazuje, jak to robić (przedtem dyskretnie się rozejrzał). Bardzo sugestywny ruch, nieprawdaż? Ktoś by powiedział: obsceniczny. Ale czy może być cokolwiek obscenicznego w erotycznych poszukiwaniach?

Teraz obejrzymy scenę dość mocną, więc osoby o nastawieniu nazbyt purytańskim niech od razu ją ominą. Widzicie go? Jest w swoim pokoju. Rodzice wyszli na przyjęcie. Skrzętnie zamknął za nimi drzwi. Klęczy i ogląda striptiz wykonywany przez najpiękniejszą z pięknych, czarnowłosą enpeckę o biodrach okrągłych i talii tak wąskiej, że mężczyzna patrzący na nią ma rozkoszne wrażenie duszenia się. Mardok trzyma w ręce swoje przyrodzenie i udaje, że dłoń jest tym, czym prawdziwe kobiety uraczą go dopiero za ładnych kilka lat. Jeśli zapytać mężczyznę, czy pamięta „ten pierwszy raz”, najpewniej zrazu odpowie, że nie. Ale gdy zapytać go ponownie, zwłaszcza przy jakimś trunku, przypomni sobie, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Uczucie to jest bowiem najpierwsze i gdy to się dzieje, każdą jego cząstkę człowiek chłonie z szeroko otwartymi oczami. Wydaje się, że go swędzi, łaskocze, każdy kolejny ruch powoduje nową falę doznań. Gdy dociera na płaskowyż spełnienia, odczucia stają się ostre, napięte aż do ostateczności i chłopiec naprawdę nie wie, co za chwilę będzie, jak to się zakończy, bo nigdy jeszcze zakończenia nie widział i nie czuł. Co prawda doświadczeni koledzy opisywali, co go czeka, ale były to tylko słowa, nie zaś przeżycie, przeżycie tu i teraz, gdy spotykasz ostateczność. Kiedy

wreszcie nadchodzi spełnienie, nie można uwierzyć oczom, nie można uwierzyć odczuciom, jakby prąd przechodził wzdłuż tego, co dostarczyło rozkosz. Mardok patrzy na kobietę, która była świadkiem i partnerką dzieła, potem na jego owoc... i wie, że jak dotąd to najważniejsze doświadczenie jego życia.

W tamtych czasach to, co zrobił, przez niektórych zatrutych ideami samoumartwiania nazywane było grzechem. Nie rozumieli, że przeżycie to zmienia życie mężczyzny. Że to inicjacja w rozkosz. W tajemnicę płci. Na szczęście dziś tak myślących ludzi już nie ma.

Przyjrzyjcie się teraz Mardokowi. Podnosi folię, którą przedtem zapobiegliwie rozłożył, zwija ją, wynosi do łazienki, usuwa. Zerka na chronometr. Bierze notepad, zmienia stronę, usuwa ścieżkę poprzednich wejść, żeby tata czy mama nie dowiedzieli się, gdzie zaglądał. Kładzie go na biurku, tam gdzie zawsze. Słyszycie dzwonek przy drzwiach? Ding dong! Nasz mały szpieg pozacierał ślady. Jeszcze zerka na podłogę, zagląda do toalety i dopiero upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, otwiera drzwi.

– Już jesteśmy, kochanie! – mówi mama, odziana w futro, pachnąca zimnym powietrzem i perfumami.

Przytula go. Być może zauważyła lekkie wypieki na twarzy, ale czyż dziecięca ekscytacja nie ma dziesiątek powodów?

Na początku koleżanki Mardoka w żadnym stopniu nie przypominały tych z pism. Wystające kolana, marmurkowe zziębnięte udka na lekcjach wychowania fizycznego, śmieszne wystające żeberka, chude rączyny. On i jego koledzy oczywiście nie wyglądali lepiej: rozczochrani, spoceni, wrzaskliwi, nieopierzeni. Jednak z czasem towarzyszek zabaw i nauki stały się bardziej ponętne. Nikt nie śledził tych zmian na bieżąco, po

prostu nagle spodnie zaczęły się wypełniać okrągłymi pupami, bluzeczki kusząco zaokrągliły się z przodu, nogi zyskały hipnotyzującą linię, a że w szkołach, tak jak w naszych czasach, panowała pełna swoboda ubioru, mógł nasz bohater podziwiać te cuda podczas przerw, spacerów do szkoły i powrotów... i po raz pierwszy zaczęło mu na ich widok zasychać w ustach, po raz pierwszy stwierdził, że nie wie, co powiedzieć w ich obecności, a każde wydrukane słowo wydawało mu się drewniane, głupie i nieodpowiednie.

Ach, cóż tam szkoła. Gdy zaczęły się wakacje, zobaczył je w całej krasie. A wy, panowie? Pamiętacie siebie w jego wieku? Te pobyty na plażach, basenach grawitacyjnych i zwykłych, kulistych i wklęsłych? Okazało się, że nasze koleżanki mają nie tylko ładne nogi i ręce (bo na ręce, my, mężczyźni, także zwracamy uwagę: lubimy zgrabne przedramiona i kształtne ramiona, zwłaszcza miejsce zejścia się mięśnia naramiennego z tricepsem i bicipsem, tak, tak), ale cudne lędźwie (zejście prostowników grzbietu w okolice pupy), giętkie plecy i – najważniejsze – brzuchy umięśnione, wyrzeźbione, prężące się podczas gry w siatkówkę plażową czy antygravitacyjny volleyball. Spójrzmy na naszego bohatera. Widzicie, jaki zajęty? Elbook przyniesiony dla niepoznaki leży obok leżaka anty-g, a on z zapartym tchem spogląda na rówieśniczki biegające za piłką, patrzy zwłaszcza na dziewczynę w czarnym bikini, animowanym w granatowe gwiazdy, zerka też na tę w pomarańczowym, po którym pełgają płomienie. Czasami odwraca wzrok, ale tylko po to, by popatrzeć na trzy dziewczoje grające w hokarty. W dali szumi morze, złocą się dżetboardy, błyskają balony, ministerowce, śmigają aquala. Lecz jego interesują wyłącznie błyski dziewczęcej skóry tudzież refleksy na kostiumach. W tym wieku jedyną bezpieczną pozycją dla mło-

dzieńca jest leżenie na brzuchu. Całe szczęście, że materace anty-g w tych czasach miały już opcję nieprzezierności.

Idolki z sieci są więc zastępowane koleżankami ze szkoły. Kumpelki są realne, prawie że osiągalne. Rozładowując w tym wieku nasze seksualne napięcie (na przykład w łazience), myślimy właśnie o nich i ich obrazy przywołujemy w pamięci. Gdybyśmy teraz zajrzeli do głowy Mardoka (nie przyglądajcie się dokładnie, co robi, widzieliście to już), zobaczylibyśmy cudną boginkę w czarnym bikini. Tę z plaży. O, tak. W tym okresie Mardok potrafi skończyć całą czynność na jednym wdechu.

Czas mija i daje o sobie znać. Na twarzy młodzieńca pojawia się pierwszy zarost, chłopak zaczyna się golić. Widzicie, jak podejrzliwie patrzy na holoclean? To było naprawdę dobre urządzenie. Do dzisiaj niektórzy z niego korzystają. No dalej, Mardok, zeskanuj twarz i pozwól działać sztucznej inteligencji. Ciesz się z rosnącej brody, bo to wiadomy znak, że wchodzisz w okres przejścia od fazy marzeń do czynów.

Z początku niewinnych. Bo co grzesznego w tym, że młodzież spotyka się w parku? Widzicie tę platformę spacerową? Właśnie nią Mardok często wracał ze szkoły (średniej) wraz z grupą przyjaciół. Owe powroty wkrótce stały się coraz dłuższe. Bo, powiedzmy szczerze, czy pamiętacie chwile słodsze od tych, gdy w grupie rówieśników przesiadywaliśmy na ławkach pod bukami, kasztanami, jaworami czy dębami i popisywaliśmy się przed dziewczętami, śmialiśmy się, opowiadaliśmy dowcipy? Przecież to był czas, gdy zamiast krwi prąd krążył nam w tętnicach, gdy iskrzył znaczeniem każdy szczegół otoczenia, każdy gest, każde słowo. Tak, byliśmy głupi, ale w tym szaleństwie był kod natury, bo oto wkraczaliśmy w sezon tańca godowego, stroszyliśmy jeszcze nie do końca wyro-

śnięte pióra, przeżyliśmy jeszcze nie do końca rozwinięte muskuły, brylowaliśmy jeszcze nie do końca sprawną błyskotliwością. I chłonęliśmy spojrzenia naszych oblubienic, zgadywaliśmy, czy patrzą na nas z zainteresowaniem, czy przelotnie, a potem, w domu, analizowaliśmy sto razy ten sam gest, często oszukując się i mając.

Czasem, widząc sukces kolegi, próbowaliśmy na chybił trafił własnych sił, podskórnie rozumiejąc, że tylko skoki na głęboką wodę pokażą granice nowego uniwersum. Tu widzimy, jak podczas rutynowego spotkania pod kasztanem Mardok klepie koleżankę w zgrabny pośladek. Juliette. Po raz pierwszy. Chłopiec nie wie, co go czeka. Dziewczyna odwraca się i patrzy nieprzyjaźnie. Pudło, Mardok. Uznała cię za chama. Prawda jest taka, że gdyby jej pupy dotknął Chris, ciepło by się do niego uśmiechnęła, gdybyś zaś nie był tak ślepy, dostrzegłbyś, że Agness wcale nie spoglądała na ciebie surowo. Tak to jest – młodzi ludzie są ogłuszeni, zanurzeni w hałasie własnych domniemań i wyobrażeń. Dlatego często mijają osoby przychylnie. Agness tak ładnie spogląda, w tych błękitnych oczach jest taka tęsknota i oczekiwanie. Ile dałby czterdziestolatek za to spojrzenie, prawda? Tymczasem nasz bohater, zupełnie niebaczny na jej wzrok, cały w środku drży. Jego układ nerwowy powtarza wciąż i wciąż doznania dotyku zakazanego obszaru kobiecego ciała. Przeżywa niezwykłą sprężystość pośladka, to napięcie, od którego w piersi budzi się melodia radosna i dziwna. O, tak. Pamiętamy te wrażenia. Te wyspy pup dotykane niby przypadkiem grzbietem dłoni, biodrem.

Mamy w pamięci to, jak odciskały się niewidocznymi kółkami na naszych ciałach.

W tym okresie młodzi chłopcy proponują dziewczynom bycie razem. W różnych epokach różnie to nazywano: „cho-

dzenie”, „bycie czyimś chickiem”, „fancying”. Nasza młodzież mówi „dubling”. W czasach Mardoka modny był termin „pairing”.

Minęły trzy dni od feralnego klepnięcia. Towarzystwo pod kasztanem powoli się rozchodzi. Już późno. Mardokowi serce bije coraz bardziej. Szczęście mu sprzyja, bo Juliette umówiła się w tym miejscu z kuzynką. Dlatego wciąż stoi przy ławce. Gdy w końcu zostają sami, z jego drżących ust pada propozycja:

– Co byś powiedziała na pairing?

Ona zdaje się nie słyszeć. Macha ręką do zbliżającej się krewnej.

– Pomyślimy – rzuca na odchodnym, ale w jej tonie nie ma nadziei.

O tak, wiele koszy zalicza ród męski.

Gdy Mardok zapyta Juliette za kilka dni, czy się namyśliła, usłyszy, że „tak” i że „nie”. Gdyby zapytał Agness, otrzymałby inną odpowiedź. Sęk w tym, że w jego świecie ktoś taki jak Agness nie istnieje. My widzimy ją jasno, wyraźnie. Jednak jego rzeczywistość to czerń i Juliette. Juliette i czerń. Być może za wiele lat usłyszy od Agness, co do niego czuła, albo dostrzeże w jej spojrzeniu tajemnicę. Słodką i smutną, bo ona także dostała kosza.

Nie będziemy się męczyć, patrząc, jak Mardok słyszy kolejne odmowy, jak błądzi się, gwiżdżąc pod oknami ukochanych, jak raz po raz błądzi i nie widzi. To zbyt przygnębiające, czyż nie? Może nie przygnębiające, tylko... normalne. Już Platon pisał, że zakochany człowiek robi najdziwniejsze rzeczy i wszystko powinno mu się wybaczać. Przebaczymy więc Mardokowi jego dziwactwa i wybaczymy je też sobie.

Swoją drogą, śmieszne w tym okresie jest kontrolowanie

każdego ruchu: młodzieńcy na nowo uczą się siadać, wstawać, myśla o tym, jak wyglądają, wchodząc po schodach, patrząc, przekrzywiając głowę. Tak bardzo chcą ładnie wyglądać. Być może z dziewczynami jest podobnie, nie jestem pewien.

Pewnego dnia młodzieńcy ze zdziwieniem dowiadują się od odważniejszych, bardziej „światowych” kolegów, że oni już wiedzą, „jak to jest”. Kumple Mardoka, Huberto i Martin, byli kilka dni temu w środkowej warstwie miasta, całkiem niedaleko i poznali zakazany owoc z koleżankami kuzynki jednego z nich. Mardok podejrzewa, że wybranki nie były zbyt atrakcyjne, ale sam fakt, iż koledzy już wiedzą, a on nie, buduje w jego duszy wielką przepaść, którą przekroczyć można tylko w jeden sposób. A to daleka droga, to nie jego *modus operandi*, nie na jego wrażliwość spotkanie z przypadkową dziewczyną pośród kurzu zapomnianej estakady.

Ścina zatem Mardok swój zarost, dzień w dzień używa czeszących mikrodroidów, dba o ubiór, nawet ćwiczy regularnie i raz za razem otrzymuje od dziewcząt odmowy. Aż zdarza się taki ciąg fortunnych okoliczności, że udaje mu się błysnąć dowcipem, zostaje dostrzeżony, jest obserwowany, widzi to (nie tak jak zwykle), atakuje i... zostaje przyjęty!

Podoba Wam się dziewczyna Mardoka? Ma na imię Eve. Bardzo zgrabna blondyneczka, nie sądzicie? Wyjątkowo wąska talia (pięćdziesiąt osiem centymetrów), okrągła pupa, ponętne piersi, myślące spojrzenie. Zwróćcie uwagę: żadnej poziomej kreski na szyi. One są przekazywane genetycznie, wiecie? U niej ich nie ma. Bardzo kształtne ramiona i przedramiona. Co tu mówić – trafił mu się ideał. Nie wyznał jej tego, ale widział ją w bikini. Kilka razy na plaży, a jego uwagę zwrócił oczywiście piękny brzuch. Takich brzuchów nie ma wiele na świecie: nie tylko fenomenalnie zaznaczone mięśnie proste, ale także

subtelnie podkreślone dolne granice mięśni skośnych, tuż nad kośćmi biodrowymi. Mardok był zachwycony.

Szybko odkryli aurokar, który po siedmiu przystankach od znajomej platformy spacerowej zatrzymywał się na rzadko używanym południowym tarasie jednej z wież najdalej w tym kierunku wysuniętych. To tam zaczęli siadywać, patrząc na dżunglę rozpościerającą się za linowcami, rozmawiać, przytulać się i całować. Tak, całować. Ale okazało się, że to nie jest taka łatwa sztuka, jak wydawało się na początku! Dotyk warg nie musi być przyjemny sam z siebie. Tego też trzeba się nauczyć, a oni, jak widzicie, są bardzo cierpliwymi uczniami i nauczycielami jednocześnie.

Wkrótce Mardok poznał, tym razem z pełnym przyzwoleniem i, pozwolę sobie dodać, zaangażowaniem, dotyk jej piersi, pośladków i tak upragnionego brzucha. Każdy mężczyzna ma jakąś ulubioną część ciała i jestem pewien, że dobrze pamięta, gdy pierwszy raz mógł jej dotknąć, pocałować. Eve dopuściła do tego, by biozłącza jej spodni rozsunęły się na wysokości rozporka dwa miesiące po tym, jak rozpoczął się ich pairing. Widok opalonego podbrzusza i białych fig odebrał mu dech. Skóra lśniła w świetle zachodzącego słońca, gładka, pachnąca i jego ręce na niej. A potem usta. Na początku zdziwił się, bo brzuch był twardy, napięty, jak, wybaczenie porównanie, szyja konia. Zrozumiał, że ten brzuch to największy skarb: umięśniony, nieskazitelnie piękny – chciałoby się powiedzieć, choć to lekko niedorzeczne – niezniszczalny.

Za jakiś czas, co raczej nieuniknione, doszło do pierwszego zbliżenia. Eve użyła dwa tygodnie wcześniej deflatora „Shakeit”, więc nie musiała się obawiać bólu związanego z immisją. Sprytna dziewczyna, prawda? Mardok zgrabnie zaaranżował spotkanie, upewniwszy się, że rodziców nie będzie

kilka godzin w apartamencie. Widzicie ich? On, znowu z zaschniętą śliną w ustach, ona rozbiera się. I wreszcie naga, idealna, gładka, sprężysta, tak samo ciekawa jak on, opiera się o brzeg sofy. Ale on jest zbyt zdenerwowany, a ona zbyt niecierpliwa. Pomaga mu ręką nieco zbyt energicznie... i kończy się wszystko na jej brzuchu. Zdziwione miny. To nic. Są młodzi i poprawią ten pierwszy raz. O, tak, poprawią go.

To samo pomieszczenie, te same holobrazy na ścianach, ale uważny obserwator dostrzeże, że światło jest inne, inna pora dnia. Mardok wielokrotnie spotykał się z Eve zarówno w swoim mieszkaniu w Wieży Pумы na terenie Centralnej Woli, jak również u niej, we Wschodnim Mokotou, w bardziej luksusowej Strike Tower. I doprawdy, wielokrotnie wydawało im się, że dotykają nieba. Bo czyż nie niebem jest brzuch na brzuchu, ręka na piersi, palce przesuwające się między łopatkami, pocałunki na szyi, gdy świat jest taki młody, a rozkosz ma smak świeżych jabłek i pomarańczy? Czy stan ten nie powinien trwać wieki?

Być może, ale w większości przypadków tak nie było i młodzi ludzie pobierali się. Zwyczaj ten był bardzo popularny pod koniec XXII wieku. Śluby okresowe w tych czasach jeszcze nie istniały. Teoretycznie wiązano się do końca życia (choć sieciowa nieśmiertelność była wtedy już osiągalna). Decyzja taka z dzisiejszego punktu widzenia jest bardzo kontrowersyjna, nieprawdaż? Wtedy ludziom się wydawało, że nie mają wyboru. Takie były normy społeczne.

Poznajecie młodą parę? Tak, to Eve i Mardok, kilka lat starsi. Ich związek nie był nieskazitelny. Kilka razy się rozstawali, wracali do siebie, aż wreszcie, jakiś czas po ukończeniu wyższej uczelni, zdecydowali się na bycie razem w sposób instytucjonalizowany.

Spójrzcie na noc poślubną. On nagi, z animowaną muszką na szyi. Ona w białych pończochach, mocno opalona. I te sztucznie generowane „ślady” po wyciętych figach i skromnym topie. Czyż nie pyszne? Dzisiaj mamy holograficzne tatuaże, wtedy malowano ciała jasnymi imitacjami „nieopalonych miejsc”. Oboje wyglądają pięknie, choć byli tej nocy zmęczeni (po przyjęciu) i wiele innych zbliżeń zapisało się bardziej ognistymi śladami w ich pamięciach. Ale noc poślubna jest jedna i może dlatego dobrze się ją pamięta.

Niby w partnerstwie nie ma niczego złego, ale fakt, że ludzie w tamtych czasach wiązali swoje losy przeważnie w tym samym czasie, w którym wkraczali w życie dorosłe, miał doniosłe znaczenie. W obecnej dobie zdarza się ślub stulatków wyglądających, jakby mieli lat dwadzieścia, ślub w dodatku trzeci czy czwarty w ich karierach, a że są w trakcie międzyżycia, nie martwią się pracą i podobnymi utrapieniami. Wtedy tak nie było.

Czy rozumiecie, z czym się wtedy wiązał początek dorosłego życia? Praca nie była tak łatwo dostępna, jak teraz. Z jej szukaniem wiązały się stres i niepokoje, na przykład zastanawiano się: czy dostanę właśnie to zajęcie, na którym mi zależy, i jeszcze częściej: na jakim zajęciu mi zależy?! Młodzi ludzie bez odpowiednich testów psychotronicznych są jak wędrowcy przed ciemną ścianą lasu: nie wiedzą, który kierunek wybrać, bo wszystkie wyglądają podobnie. Wykonują więc pierwszy krok, drugi i trzeci, po omacku, często błędząc, żałując, rozpatrując, co by było, gdyby zrobili inaczej. Niestety, popełniano wtedy dużo poważnych błędów. Nie to, co dziś. My nie umiemy już sobie wyobrazić, jak można żyć „na ślepo”. Wtedy sądzono, że nie ma innej możliwości. I teraz wyobraźcie sobie: czas pomyłek nakładał się na okres zawiązywania więzi mał-

żeńskej. Niezbyt dobry splot wydarzeń, prawda?

Patrzcie, jego ręce wpinają krawat do biozłączy kołnierzyka. Spójrzcie na jej szminkę zmieniającą odcień od jasnego błękitu do ciemnego różu. Widzicie, jak trzęsą mu się palce, gdy wkłada do torby notepad? Jak jej usta drżą, gdy wydaje drzwiom apartamentu dyspozycję zamknięcia się? Idą na rozmowy kwalifikacyjne. Gdyby urodzili się w XX wieku, rozmawialiby z człowiekiem i mogliby kłamać jak z nut. Gdyby urodzili się w naszym świecie, otrzymaliby zajęcie zgodne z zainteresowaniami i uzdolnieniami. Ale w ich czasach nie było ani tak, ani tak. Często szukali pracy nieodpowiadającej ich zainteresowaniom, bo po prostu chcieli zarabiać, ale pytania stawiała maszyna, która doskonale wykrywała kłamstwa, widoczne zarówno w mimice, jak i tonie głosu, że o zapachu nie wspomnę. Wszyscy kłamali bardziej lub mniej, w tych czy innych obszarach. Ostatecznie przyjmowano kandydatów, którzy uzyskiwali wynik minimalnego kłamstwa połączony z wysoką zgodnością zdolności i wiedzy związanej z przyszłą pracą. Dopiero później pracodawcy zrozumieli, że najważniejsze nie są uzdolnienia, lecz osobowość i że to firma powinna nagiąć się do pracowników, a nie odwrotnie. Ale te czasy dla Mardoka i Eve były wciąż przyszłością.

Po kilku tygodniach otrzymali odpowiedzi od przyszłych pracodawców. Popatrzcie, jak się cieszą. Młodzi. Zdolni. Piękni. Myślicie, że pójdą do restauracji, by uczcić sukces? Nie. To ludzie nowej ery (jak na tamte czasy): odpowiedzialni, przytomni, zdający sobie sprawę, że pozyskanie pracy to dopiero początek. Trzeba się wyspać. Trzeba być jutro w dobrej formie.

Eve pracuje w Elektrobanku, Mardok w Medtronics. Wracają do domu po dziewięciu godzinach, jeżeli nic nie „wy-

padnie”, a w kwestii organizacji konsorcja nie zmieniły się od wieków: przemoc, mobbing, wykorzystywanie, zwłaszcza młodych pracowników. Nie to, co dzisiaj.

Praca ma swoje plusy. Jednym z najpoważniejszych są pieniądze. Kobiety kupują nowe kiecki, buty, ozdoby, kosmetyki, mężczyźni zaopatrują się w nowsze walktele czy moduły rozrywkowe, to są przyjemności. Ale oprócz apanaży, praca oferowała coś zgoła innego. Coś, co doprowadzało do rozpadu niejedno małżeństwo. Widzicie Eve? Siedzi przy biurku, kopiuje dane z terminala. Teraz spójrzcie na chronometr. Późno, prawda? Za oknem noc. To są, proszę Was, nadgodziny. Te worki pod oczami i puste spojrzenie są wynikiem bardzo trywialnej rzeczy – przemęczenia. A przemęczenie jest najlepszym przyjacielem oziębłości, która jest bliską znajomą nieczułości, a ta stoi o krok od zjawiska zwanego izolacją.

Małżeńska sypialnia. Pośrodku wisi niedawno kupiony zestaw antygravitacyjny Easysex, umożliwiający zbliżenie leniwe, podczas którego zupełnie nie musisz się wysilać, nawet ruchy wykona za ciebie maszyna: miękka, cierpliwa, inteligentna, możesz się kochać we wszystkich możliwych pozycjach, lewitując w pomieszczeniu, a nawet śpiąc. Mardok proponuje Eve małe *tête-à-tête*, a ta... odmawia. Jest zmęczona. To naturalne. Mężczyzna patrzy na nią ze smutkiem, ale i z troską. Rozumie.

Jak długo będzie rozumieć? Jak długo będzie tylko zatroskany? Kiedy poczuje zawód, ból, a w końcu złość? Może nazwiecie mnie męskim szowinistą, ale zaryzykuję stwierdzenie, że wcześniej czy później wścieknie się każdy. Właśnie w tak banalny sposób rozpoczyna się proces re-kreacji i wzmacniania wizerunku Małej May. Być może kobiety mają swojego Big Boba, nie znam ich punktu widzenia, więc opowiem tylko o

mężczyźnie.

Z początku May pojawia się rzadko. W końcu żona pamięta jeszcze młodsze czasy. Kobiety pamięć mają dobrą i emocjonalną, tak więc, zwłaszcza w weekendy, w Eve odżywiają wigor i libido. Widzimy ich podczas radosnego uniesienia, wcale pysznego. Spójrzcie, tak właśnie działa Easysex: ona leży wygodnie na poduchach, tak, by on widział jak najwięcej jej ciała, Mardok zaś nie musi się podpierać na rękach, bo podtrzymują go antygravitacyjne miękkie łapy. Myślicie, że to on się porusza? Ależ nie. Robi to za niego automat. Dzięki temu zbliżenie jest długie i medytacyjne. Nie macie jednak wrażenia, że z ich twarzy zniknęło rozluźnienie, jakie towarzyszyło im w młodszych czasach? Czy w kącikach oczu nie czają się cienie związane ze stresem w pracy, z czekającymi na nich obowiązkami?

Z czasem dochodzi do coraz częstszych... hm... nieporozumień. Mardok myśli, że do czegoś dojdzie, czy może raczej chce, by tak było. Jego żona zbliża się do łóżka w figach i krótkiej bluzeczce. Widok szczupłego podbrzusza i okrągłych bioder działa na niego wciąż odurzająco. Ona jednak marzy tylko o tym, by się położyć i zasnąć. On tym razem nie jest dżentelmenem (kto z nas nieustannie jest?) i nie potrafi powstrzymać wyrazu zawodu na twarzy. Ona to widzi, bo kobiety doskonale rozszyfrowują napięcie na męskim obliczu, takie mają geny, i także nie potrafi przejść nad tym do porządku dziennego, więc od słowa do słowa dochodzi do kłótni. Fatalne, prawda? Im więcej takich zdarzeń, tym mocniej wytwarza się negatywne warunkowanie wokół seksu, a to jeszcze skuteczniej schładza tę sferę. Widzicie oczami wyobraźni spiralę? Ja tak.

Dochodzi do tego, że partnerka Mardoka zaczyna wieść nerwowy tryb życia, bo nie tylko on cierpi, o nie. Eve ma po-

czucie winy, podejrzewa, że mąż się gniewa... Spójrzcie. On jest w salonie, przegląda elbooka, pije kawę. Ona stoi w kuchni. Widzicie, jak na niego patrzy? Jest spięta. Zastanawia się, czy znowu ją o to poprosi. Może już jest poirytowany myślą, że do niczego nie dojdzie? Obiektywna prawda jest taka, że akurat teraz jest spokojny. Ale ona o tym nie wie. Cisza już tyle razy oznaczała nadchodzącą burzę, że życie w ich domu zaczyna przypominać przebywanie na polu minowym.

Dochodzi wreszcie do fatalnego zdarzenia: Eve pierwszy raz w życiu kocha się z Mardokiem nie dla siebie, ale dla niego. Seks staje się wymianą: ja dam ci ciało, ty daj mi poczucie bezpieczeństwa, chcę, by było jak dawniej, zdaje się mówić twarz kobiety, która owszem, czerpie ze zbliżenia pewną przyjemność, ale bardziej dlatego, że cieszy się z niego Mardok, a nie dlatego, że sprawia jej tę rozkosz, co kiedyś.

Niestety, do tej pory zdarza się, że kobieta kocha się ze swoim mężczyzną zupełnie bez przyjemności. Wtedy do tego, że seks kojarzy się z napięciem i kłótniami, dodaje nową kategorię: uległość – dla tak zwanego świętego spokoju. Czy naszej bohaterce zdarzyło się coś podobnego? Nie wiem. I, powiem szczerze, wolę nie wiedzieć.

Przepraszam was, kochani, że ton opowieści staje się coraz bardziej mroczny, ale cóż robić? Przerwać i powiedzieć: „I żyli długo i szczęśliwie”?

Po przekroczeniu pewnego progu młodzieńcze ślady namiętności się zacierają. Rozpoczyna się etap lodowego łoża. Ona śpi (szczęśliwa, że nie doszło do scysji), on patrzy tęsknie na jej wciąż ponętne ciało. To właśnie wtedy z oceanu rozpaczy zaczyna wyłaniać się coraz klarowniejszy obraz. Wizerunek Małej May. Spójrzcie w oczy Mardoka. Widzicie, jak odbija się od nich sypialnia? Teraz ta świetlista szczelina. Wychodzi z

niej oblubienica wyobraźni, opalona, w czerwonym bikini w żółte kwiaty, z chabrem we włosach. Ona nigdy nie jest zmęczona i zawsze ma czas, by nas wysłuchać. Widzicie jej twarz? Jest podobna do jednej z cheerleaderek, i tej, z którą Mardok miał swój „pierwszy raz”, przypomina też Juliette, i oczywiście Eve. To zlepek wrażeń i wyobrażeń dzieciństwa, młodości i wczesnej dorosłości. Gdy ułożymy przed sobą tamte cztery twarze: tancerki, striptizerki, koleżanki z klasy i obecnej żony, a potem złożymy je razem... widzicie, jak ich rysy się stapiają i układają w jedną, spójną twarz?

Och, May, och, May.

Gdy Eve śpi snem twardym i zawziętym, niestrudzona i nieskończenie wyrozumiała kochanka ściąga z Mardoka kołdrę, ujmuje jego naprężony do granic możliwości członek i wprowadza w swoje czułe wnętrze, a potem kocha się z nim wolno i namiętnie. Remedium na samotność. Wyobrażony przyjaciel. Jakże odmienny od tego, kim się stała dotychczasowa partnerka. Oaza, tajemnica, bezpieczna przystań. Taka jest May. Która kobieta może się z nią równać?

Jej nadejście zwiastuje również to, że obraz żony coraz bardziej się oddala od ideału i wkrótce staje się synonimem erotycznego rozczarowania.

Tak się zaczyna kolejny rozdział podróży zwanej partnerstwem.

Widzicie Mardoka? Jest w firmie, na swoim stanowisku, wpięty w sieć, w połowie na tym świecie, w połowie w wirtualiach, typowy obraz pracownika biurowego końca XXII wieku. Wrażliwość zmysłowa zredukowana do 50%, chłopak ledwo zauważa, kto obok niego przechodzi, słabo słyszy, zmysł powonienia ma praktycznie unieczynniony. Śmieszny fotel, prawda? Coś na kształt tego urządzenia do seksu. W stanie

półwirtualnym człowiek myśli szybciej, łatwiej kojarzy, lepiej zapamiętuje, same korzyści. No i nie włączy się po biurze. Dlatego na stosunkowo niewielkiej sali znajduje się jeszcze stu podobnych do Mardoka pracowników. Mimo że sprawia to nieco upiorne wrażenie, nasz bohater nie jest niewolnikiem, o nie, jego myśl jest wolna jak ptak. Wejdźmy w program, który obsługuje. Popatrzcie. Jest tapeta. W czasach poprzedzających te, które śledzimy, tapety wklejane były na dwuwymiarowych, płaskich monitorach. Mardok widzi jednak nie tylko obraz plaży, palm i szumiącego oceanu, ale znajduje się na prawdziwej plaży, nad oceanem, wśród palm. Aż się chce pracować, czyż nie?

Oto na piasku pojawia się May. Sami powiedzcie, czy tak wygląda symbol fizjologicznych napięć seksualnych? Przecież to wrodzona łagodność, gładkość, delikatność. Bikini w kwiaty. Na widok May dusza mężczyzny łka z tęsknoty. Prawdziwy mężczyzna umie płakać. Dla nas, facetów z duszą, seks to nie fizjologia. To przygoda, wyprawa w nieznaną, to czułość, bliskość, tętniąca w uszach świeżość odkryć.

O! Zdarza się właśnie coś, co wtedy było normą, dla nas jest codziennością, ale jeszcze kilkadziesiąt lat temu byłoby niezrozumiałe. Mardok wszedł w zasoby centrum statystycznego i widzi tam cyfrową sygnaturę Eve! Obok niego pojawia się jej postać. Jest półprzezroczysta, tak jak on, ale półwir pozwala na zredukowane kontakty fizyczne między żywymi uczestnikami sieci. Mardok chce jej powiedzieć, jak tęskni za jej dotykiem, czułością, otwiera usta, wyciąga rękę, ale ona już go nie słyszy, zniknęła po wyrzuceniu z siebie kilku zdawkowych zdań. Była zestresowana. Nieobecna. Nie zdążył nawet jej dotknąć.

Całą tę sceną widziała May. Empatia wcielona. Czuje to,

co czuje Mardok. Dlatego nie mogąc znieść jego smutku, wciąga go w swój świat. Teraz nasz bohater kocha się z nią na plaży, przypominając sobie erotykę z czasów, gdy rzeczywistość była mniej skomplikowana.

Przypomnijcie sobie codzienne loty z małżonką, do pracy, na zakupy, z pracy, gdziekolwiek. Kojarzycie ten nieustanny słowotok? Zdaje się bezduszny, bezlitosny, prawda? Nie pozwala się skupić, w dodatku w każdym słowie słychać napięcie. Oczywiście ma ono swoje źródło – to stres związany z codziennym życiem, ale kto powiedział, że mężczyzna jest koszem na emocje kobiety?! Ile razy zastanawialiśmy się, jak wyglądałyby te podróże, gdyby zamiast naszej połowy, na fotelu pasażera siedziała... Mała May? Ona rozumie, że mężczyzna potrzebuje ciszy. Milczałaby, ciesząc się wspólną chwilą. Nie wpadałaby w panikę, że milczymy, nie starałaby się zappełnić domniemanej próżni niepotrzebnymi słowami. Nie marnowałyby czasu na zbędne słowa zakłócające interesujące holowizyjne wiadomości. Zawsze musisz je ściszać, prawda? Żonie nie wypada powiedzieć, by zamilkła. Mała May dzielnie kradłaby każdą chwilę, by obdarzyć cię dotykiem, którego potrzebujesz, tak jak wszyscy mężczyźni. Brakuje go, prawda? Na policzku, na udzie, na ręce, nawet... tam. Bo jeśli nie dotyk dwojga ludzi, to co ma nadać sens istnieniu?

Mardok wraca z wyjazdu służbowego, po kilkudniowej nieobecności. Widzicie, jaki jest wymięty? Włączył w pneumobilu autopilota, rozpiął górne guziki w koszuli, obok, na siedzeniu pasażera wala się notepad, jakieś gadzety, których nie chciało mu się ułożyć w teczce. Niestety, nie było wtedy inteligentnych urządzeń z pamięcią kształtu ani z pamięcią pobytu. Wszystko trzeba było przekładać samodzielnie. Dlatego w domach i pojazdach często panował bałagan, coś, czego dzisiaj

nie znamy. Mardok jest zmęczony i wyposzczony. W dodatku przeprogramowywane są szlaki powietrzne w Warsaw City i jego kanał jest zatkany. Leje deszcz, pojazd kołysze się, a on już nie wie, jak się ułożyć w poduchach fotela. Marzy o anty-grawitacyjnym tuszu, ciepłym przyjęciu, czułości, na jaką z pewnością zasłużył.

Już jest przed drzwiami apartamentu, otwiera je i rzeczywistość jak zwykle go zaskakuje. Partnerka w wyciągniętym swetrze i poplamionych spodniach (wtedy materiały trawiące brud były jeszcze stosunkowo drogie) zasypuje go relacją z nieważnych, hałaśliwych, drażniących drobnych wydarzeń. Widzicie, jaką Mardok ma minę? Jeszcze nie zdążył się rozebrać. Nie zdążył pozbierać myśli. Rozpakować się. Patrzy w bok. Zaciska usta. Siada w końcu, zrezygnowany, na fotelu i spogląda w sufit. Wtedy pada zdesperowane pytanie żony:

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

Tymczasem mężczyzna rozpaczliwie szuka oparcia. A że jest stosunkowo młody, nie znajduje go w sobie. Gdyby była tam Mała May, wiedziałyby, że nie jest w stanie teraz słuchać. Musi odtajać. May zaparzyłaby herbatę, postawiła na stole, oczywiście byłaby ładnie i seksownie ubrana, ale to jest kobieta idealna, zawsze ma na to czas. Wiedziałyby, że po kilku minutach, zgodnie z falami rytmu drogi, który wciąż w nim gra, w końcu Mardok by z nią porozmawiał. Oczywiście najchętniej pod prysznicem.

Oto ich typowy poranek. Przed Mardokiem paruje kawa, kusi smaczne pieczywo. Obok talerza (wtedy jeszcze dość często używano zastawy wielorazowego użytku) jarzy się notepad z najnowszymi wiadomościami, ale nasz bohater stara się na niego nie patrzeć. Jest lekko przygarbiony z napięcia. Dobrze wie, jaka kara go spotka za zerknięcie choćby na nagłó-

wek. Siedzi jak na szpilkach, ale dobrze się nauczył odgrywać swoją rolę. Rozmawia z nią, nawet żywo gestykułuje, prosi, uśmiechnął się! Dobrze wie, że Eve właśnie tego oczekuje. Teraz spójrzmy na nią: wyprostowana, atrakcyjna, pełna życia, na twarzy błogość i bezpieczeństwo. Tak właśnie pojmuje bycie razem. Nie wie, że by dostosować się do jej norm, mężczyzna rezygnuje ze swojego komfortu. Przy jej promiennym uśmiechu grymas Mardoka wygląda, jakby ktoś zgniótł watę, prawda? Przy Małej May Mardok czytałaby prasę, ona dałaby się poklepać po pupie, a nawet pogłodzić po piersiach i do głowy nie przyszłyby jej feministyczne stwierdzenia o przedmiotowym traktowaniu. Bo rozumiałyby, że mężczyzna jest wtedy szczęśliwy, gdy bez poczucia winy może poczytać w obecności kobiety.

Inna sytuacja. Mardok przysiada na brzegu blatu, w kuchni. Ma zmartwienie. Nie chce się zwierzać Eve, zerka na nią, gdy ta programuje duster. Nie powie jej o swoich kłopotach, bo boi się jej reakcji. Tego gestu rąk przy twarzy, tych szeroko otwartych oczu, tego: „O mój boże!” (wtedy dość popularny wykrzyknik), pytań: „Jak to?”, „Kiedy się o tym dowiedziałeś?”, „Dlaczego nic nie mówiłeś?”, „Nie rozumiem!”. Najpierw musiałyby na nie cierpliwie odpowiadać (a nie ma na to siły), w końcu Eve przytuliłaby się do niego, przestraszona, a on musiałyby pocieszyć ją i siebie, co zmęczyłoby go tym bardziej. Co według Mardoka zrobiłaby Mała May? Och, kobiety są wyczułone na wyraz twarzy mężczyzny, May także dostrzegłaby, że coś jest nie tak. Ale ona zamiast zadawać męczące pytania, powiedziałałaby tylko:

– Jestem przy tobie.

Bo wiedziałyby, że gdy Mardok uzna, że chce jej się zwierzyć, po prostu to robi. Zamiast pytań, które utrzymują

fizyczną odległość, mogłaby się przytulić, ogrzać go, powiedzieć, że w niego wierzy i po prostu z nim być, bez prób wydobycia informacji. Mała May wie, że choć mężczyźni starają się być silni, odpowiedzialni i twardzi, są w istocie delikatniejsi i słabsi od kobiet. A nie zwierzają się, bo myślą, że kobiety są takie same.

Jeszcze inna scena. Mardok nie ma zmartwienia, jest po prostu zmęczony i niezbyt dobrze się czuje. Na jego obliczu maluje się ledwo widoczne znużenie. Jednak dla kobiety ten wyraz twarzy aż krzyczy. Dlaczego kobiety tak dobrze widzą i słyszą napięcie w naszym głosie? Winna jest ewolucja. Przetwały te samice, które umiały dobrze ocenić materiał genetyczny samca i jego zaangażowanie w wychowanie potomka, a to mogły wyczytać nie po tym, co samiec świadomie komunikował i deklarował, ale po tym, jak pachniał, jak wyglądał, jak się poruszał. Dlatego dzisiaj mamy z nimi kłopot. Eve widzi w twarzy Mardoka, że coś jest nie tak. Jej reakcją nie jest jednak współczucie czy chęć pomocy. Nauczona wielokrotnymi kłótniami i spięciami, sądzi, że to ona jest winna. Dlatego zamiast się do niego przytulić i go wesprzeć, pyta:

– Czy jesteś na mnie obrażony?

Takie zdanie robi okropne rzeczy w jego duszy. Po pierwsze, mimo że nie był na nią zły, zaczyna być, dlatego że Eve widzi w nim człowieka obrażonego. Jej nastawienie, jej widzenie jego stanu ducha działa jak samospełniająca się przepowiednia. Mardok zaczyna być zły, i to właśnie na nią. Także dlatego że, w jego mniemaniu, Eve zamiast pomyśleć o nim, myśli o sobie: czy jesteś na mnie obrażony? Jest zły, bo jeszcze przed chwilą po prostu źle się czuł, a teraz na dodatek musi się tłumaczyć, że nie jest na nią zły. A raczej nie był zły, ale teraz już jest, będzie jednak starał się trzymać stanu sprzed

jej pytania, co zresztą mu się nie uda, bo kobieta odczyta bez trudu jego samopoczucie. Pytanie znajdzie potwierdzenie. Mardok rozkłada ręce:

– Nie, po prostu jestem zmęczony.

Jednak lęk Eve jest zbyt silny, by w to uwierzyć:

– Przecież widzę, że coś jest nie tak.

– Wszystko jest w porządku, daj mi spokój.

Mardok popełnił błąd. „Daj mi spokój” w wydaniu męskim oznacza dosłownie: daj mi spokój. Czyli pozwól mi pomyśleć, chcę mieć chwilę ciszy. Niestety, Eve nie jest mężczyzną i zdanie to odczytuje zupełnie inaczej: nie chcę się z tobą dzielić swoim życiem, zawiodłem się na tobie, nie mam do ciebie zaufania, jestem na ciebie wściekły. Eve boi się, że jeśli nie wyczyści atmosfery od razu, w duszy Mardoka powstanie zwinieły kłębek negatywnych emocji, które za jakiś czas wypłyną. Chce więc do niego dotrzeć. On tymczasem potrzebuje albo przytulenia, albo – w ostateczności – pozostawienia go samego sobie, żeby mógł, jak ranny kot, poukładać w sobie wszystko na nowo. Jednak nie uda mu się, bo słyszy:

– Zawsze tak jest! Najpierw milczysz obrażony, nic mi nie mówisz, a po kilku dniach dowiaduję się, że to moja wina!

Eve umacnia tym Mardoka w przekonaniu, że jego zły stan jest spowodowany jej zachowaniem. I on sam zaczyna w to wierzyć, bo taka już jest ludzka psychika, że szuka racjonalnych przyczyn takiego czy innego samopoczucia. Szuka przyczyn za wszelką cenę i w końcu, przy takiej pomocy, znajduje: winna jest Eve. W głowie mężczyzny pojawia się chaos, ponawia więc prośbę o ciszę, ale że jest zły, nie potrafi już tego ładnie powiedzieć:

– Odczep się!

– Jak zwykle! Tylko tyle masz mi do powiedzenia!

Eve boi się. Najbardziej na świecie kobiety boją się skrytości mężczyzn. Dlaczego? Bo w niej mogą się czać bomby złego humoru, poczucia krzywdy, dawnych urazów.

Cofnijmy tę scenę, dobrze? Wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby zamiast Eve, na fotelu siedziała Mała May (zdaje sobie sprawę, że jeśli jesteś kobietą, nie lubisz tej rozebranej zdziiry, a mnie masz za szowinistyczną męską świnię, wytrzymaj jednak jeszcze trochę).

Przede wszystkim Mała May nie zaczęłaby pytać o przyczynę. Mężczyźni nie lubią pytania „dlaczego?”. Brzmi ono w ich uszach agresywnie i często według ich oceny pozbawione jest sensu. Mała May rozumiałaby, że myśli mężczyzn nie nadbudowują się na przyczynach, lecz na rozwiązaniach. Nie na tym, co było, ale na tym, co będzie. Gdy May widzi smutną twarz, przede wszystkim dotyka mężczyznę. Przytula się. Bo wie, że najważniejsza jest nie przyczyna, ale lekarstwo. I nie ma żadnej kłótni ani pytań. Według mężczyzn nie warto gadać, gdy słowa i tak nie oddadzą stanu duszy. Jedynym środkiem przekazu jest dla nich dotyk. Wtedy przyczyny i skutki mieszają się w cudownym koktajlu ukojenia.

Tacy już jesteśmy.

Sypialnia. Tym razem ma do czegoś dojść. To małżeństwo nie rozpada się, jest raczej... typowe. Mardok, już w łóżku, obserwuje żonę, która zaraz do niego dołączy. Ileż to razy wyobrażał sobie, jak jego partnerka rozbiera się przed nim, rozpuszcza włosy, ma na stopach szpilki, nogi zdobią pończochy, tańczy na rurze (której w ich sypialni nigdy nie było), wprawia ciało w erotyczny tan. Pragnąłby, żeby była świadoma swojego seksapilu, wyuzdana i odważna. Tak chciałoby wielu mężczyzn. Tymczasem Eve wskakuje do pościeli jeszcze w koszulce, pospiesznie gasi światło, a gdy Mardok próbuje z niej ścią-

gnąć okrycie, ona przytrzymuje krawędź kołdry, owszem, chociaż, ale naprawdę wstydzi się nagości. W końcu nakłania go do miłości w ciemności. Dlaczego? Bo dla kobiet w erotyce najważniejsza jest intymność i dotyk. Lecz dla mężczyzn istotne jest przede wszystkim to, co widzą. Mała May nie wstydzi się cielesności i zmysłowości. Jest jak dzikuska z prastarych plemion. Wie, że ciało to dusza. Jest świadoma, że kochankowie, mimo bliskości, są oddaleni i obcy. Bliskość i obcość rodzi napięcie, zwane przez filozofów egzystencjalnym. Jedyne sposoby, by je przekroczyć, to dziecięce zaufanie.

* * *

Mardok coraz częściej zastanawia się, gdzie są te wszystkie nimfomanki liżące okrągłe lizaki, kobiety o nieposkromionym temperamentem krzeszące iskry podczas tańca flamenco, kocice skradające się po blatach w barach go-go. Znamy je dobrze z holowizji, ebooków, światów sensorycznych, bo na pewno nie z życia codziennego. Eve stała się ekspertką w znajdowaniu dziesiątek wymówek tłumaczących niedyspozycję. Ból głowy, zmęczenie, stres, brak czasu, okres... a nie, Eve, podobnie jak większość kobiet w tamtym czasie, zrezygnowała z tego dziwaczego przywileju, więc to odpada. Mardok wiele lat czekał, rozumiał, to jest, starał się zrozumieć i współczuć. Unikał jej spojrzeń, żeby nie wzbudzać poczucia winy. Gdy wtedy przychodziła do niego Mała May, jego serce łkało i skamlało. Tak bowiem rzeczywistość różni się od dziecięcych marzeń.

Zwróćmy uwagę, że wciąż nie zdecydowali się na dziecko. Jak bowiem wyglądałoby życie we trójkę? Być może Eve zdecydowałaby się na exuter, chociaż w tamtych czasach była

to droga usługa. Wtedy odpadłby problem ciąży i porodu. Ale potem? Nianiobot? Naluszki, gravózek, to wszystko kosztuje, a najlepszy droid nie zastąpi matki. Niewątpliwie wychowanie progenitury zajmuje czas i energię. Co stałoby się z ich związkiem, z ich relacjami seksualnymi, gdyby pojawiło się między nimi dziecko? Nie ma co do tego raczej wątpliwości, prawda? Zostałyby zamrożone na ładne dwa-trzy lata.

Czy po wszystkim, co do tej pory zobaczyliśmy, zdziwimy się na wieść, że Mardok zaczął poważnie rozpatrywać zakup łoża i hełmu? Co dziesiąty mieszkaniec Warsaw City (nie licząc dzieci) był posiadaczem zestawu do wchodzenia w światy sensoryczne. Nasz bohater doskonale wiedział, jakie przyjemności mogą czekać w niektórych grach. W *Rajskiej plaży* mógł znaleźć partnerkę w kilka minut. Byłaby to co prawda enpecka, ale z pewnością bardzo namiętna, niemal czyste wcielenie Małej May. A co czekałoby na niego w słynnej *Twisted & Perverted*? Uuu, wolał sobie nawet nie wyobrażać. Gier dla samotnych serc (i ciał) były dziesiątki: *Senses Explosion*, *Secret Dreams*, *Crazy Little Thing*, *Fantasies*, *Pink Zone* i wiele, wiele innych. Widział jednak dwa problemy. Po pierwsze: czas. Mardok naprawdę dużo pracował, w domu przebywał niewiele, najczęściej zmęczony: miał akurat parę chwil, by zamienić kilka zdań z żoną, przyjrzeć się pracy dustersa, czasami coś zjeść, z rzadka wyjść z Eve na spacer, a potem udać się na spoczynek. I znowu do pracy. Kiedy grać? Wiedział, że hełm i łożo, dosyć drogie zabawki, to nie wszystko. Żeby wejść w światy, trzeba zakupić kombinezon przeciwdziałający odleżynom i wychłodzeniu, zestawy odżywcze, no i wszczepić sobie w przedramię nanowtyczkę, żeby organizm miał którądy pobierać jedzenie. Mała May w sieci obwarowana więc była sporymi przeszkodami. Drugi problem stanowiła oczywiście Eve.

Jak miałyby jej wytłumaczyć obecność katafalku w apartamencie? „Kupiłem go w celach poznawczych”? „Dostałem firmowe zlecenie, by zbadać rynkowy potencjał światów sensorycznych”? Eve doskonale wiedziała, czym zajmuje się Mardok. Zorientowałyby się zatem, że kupił zestaw dla rozrywki. A skoro tak, znaczyłoby to, że ona już mu nie wystarcza. Żeby zakamuflować prawdziwy powód nabytku, musiałby kupić łożo dwuosobowe, a wiedział, że Eve nie gustuje w grach i raczej się nie skusi. Byłyby to w jej oczach zmarnowane pieniądze. Jeszcze tłumaczyć się z tej nanowtyczki. „Stałeś się cyborgiem?”, „Jesteś pewien, że to aseptyczne?”, „A jak mnie czymś zarazisz?”. Pytaniom nie byłoby końca. Mardok szybko zrozumiał, że to luksus nie dla niego. Może gdyby łożo nabyło jakieś znajome małżeństwo... Na nieszczęście jednak krąg przyjaciół naszych bohaterów składał się z ludzi mocno stąpających po ziemi. Nie było wśród nich out-rangerów, graczy czy – broń boże – gamedeców. Zwyczajni obywatele. Wszyscy mieli komputery, to tak oczywiste, jak posiadanie głowy, ale łożo – o, to inna sprawa. W naszych czasach łoża odeszły w zapomnienie, i gdyby Mardok żył obecnie, mógłby wchodzić w sieć, leżąc we własnym łóżku, nawet jadąc do pracy. Ale, na swoje nieszczęście, żył, kiedy żył.

Dlatego jedyne, co mu pozostawało, to standardowa sieć, najczęściej pod obecność żony, bo w pracy – co raczej oczywiste – nie mógł się dostać tam, gdzie chciał. Miał jednak coś, czego nikt nie potrafił go pozbawić: marzenia, wolną myśl i pamięć.

Jednak ta ostatnia nie służyła niczemu dobremu, bo znany jest w psychologii fenomen zgodności nastroju i wspomnień: gdy jesteśmy weseli, pamiętamy rzeczy miłe, gdy smutni – wręcz przeciwnie.

Mardok wspominał wiele nieprzyjemnych sytuacji, na przykład wycieczkę kataplanową, którą odbyli kilka miesięcy wcześniej. Wiecie, że na katapanie niemal każda kobieta wygląda atrakcyjnie: to wygięcie pleców, rozstawione nogi obejmujące siodełko... Leciała przed nim i była bardzo ładnie ubrana. Chłonał ten widok całym sobą i, nie ukrywajmy, był bardzo podniecony. Kto by nie był? Sama zaproponowała wycieczkę, zadbała o wynajęcie pojazdów, znalazła miły kompleks wypoczynkowy na zachód od zewnętrznego pierścienia linowców Warsaw City, wyznaczyła trasę i poleciała. To musiało coś oznaczać. Gdy przyziemili i opłacili osłonięty przed oczami ciekawskich boks z widokiem na dżunglę, był już pewien, jaki jest cel ekspedycji. Wjechał droid, postawił na stoliku napoje i owoce.

Potem był szum lasu, śpiew ptaków, krzyk papug i mała... i ona zdejmująca bluzeczkę. Eve ciągle szalenie podobała się Mardokowi. Jakież było jego rozczarowanie, gdy dowiedział się, że zaciągnęła go w to miejsce, by pokazać, jak jest pięknie i porozmawiać! Wcale nie „po to”! „Czuję, że w naszym związku dzieje się coś niedobrego, porozmawiajmy”. Gdybyż wiedziała, że dla niego najpiękniejszym widokiem jest ona, nie dżungla, jeden dotyk zaś zastąpi tysiąc słów.

Och, Mardok. Nie rozumiesz duszy kobiety. Eve właśnie po to zabrała cię w takie miejsce, zaaranżowała tę sytuację, żeby się wyzwolić z poczucia winy. Chciała się bezpiecznie czuć przy tobie półnaga, bez myśli o tym, czy chcesz znowu to robić. Chciała być z tobą, a nie – z tobą to robić. I oczywiście się nie udało, a ty zrozumiałeś to nieporozumienie dopiero wiele lat później.

Tymczasem widzimy wciąż młodego Mardoka, który pamięta tylko ten zawód i gulę, która urosła mu w gardle, gdy

zrozumiał swoją pomyłkę. I złość.

Nasz bohater wspomina dziesiątki sytuacji, gdy leżał na łóżku, rozluźniony, niejako gotowy, marzący o erotycznej przygodzie (bo gdy mężczyzna chwilę odpocznie i się zrelaksuje, niejako automatycznie zaczyna myśleć, wiadomo o czym). Często właśnie wtedy do sypialni wchodziła Eve. Jednak, ku jego rozczarowaniu, nie zaczynała go pieścić, czy całować, lecz rozpoczynała... rozmowę. O, bogowie! Rozumiecie, rozmowę! A o czym? Oczywiście o problemach! Co za fascynujący temat! Że w pracy kłopoty, bo jakaś zołza wrzuciła jej taki okropny pakiet do zreferowania, a inny kretyn nic nie rozumie, że boli ją coś w boku (ale medmatowi nie da się dotknąć), że pokłóciła się z Luizą, że w pracy nie wytrzyma, a że produkty żywnościowe z Safefoods są podejrzane i że w ogóle to ona już nie daje rady, i tak poza tym, to co ma robić. Ona? Ona co ma robić? A co ma robić Mardok?

Rzecz jasna nasz bohater nie miał pojęcia, że kobiety rozmawiając o problemach, zbliżają się do ludzi, w tym do swoich mężów. Dla niego rozmowa o problemach była policzkiem zadany intymnemu życiu. Dlatego wspominał te chwile z rozgoryczeniem. A rozgoryczenie domaga się lekarstwa. Alkohol jest jednym z nich od początku istnienia naszego gatunku. W tamtych czasach jeszcze nie znano brainfixów, wódka w sieci kosztowała tyle samo, co w realium, dlatego Mardok zaczął popijać. Realnie. Głównie wieczorami, gdy siedział przed ekranem 3D i bezmyślnie przepędzał przedsenny czas, by zamienić go na czas bezsenny. Oczywiście Eve czuła, widziała, że coś się z nim dzieje, ale nie umiała mu pomóc. Tak jak on nie umiał pomóc jej.

Gdy mężczyzna jest w tym stanie, wystarczy już naprawdę niewiele, żeby przelać czarę goryczy.

Oto jesteśmy w małżeńskiej sypialni. Mardok pochyla się nad Eve. Tak, mają się kochać. Mężczyzna jest uśmiechnięty, ale widać w nim także napięcie. Mała May pomogłaby mu pieśczołą i czułością. Eve jednak, jak czujne zwierzę, które wyczuje stres, szybko stara się znaleźć jego przyczynę (znowu) i pyta:

– Coś ty taki spięty?

Gdy kobieta wypowiada to zakłęcie, działa ono ze straszliwą siłą i napinamy się jeszcze bardziej, a gdzie indziej – wręcz przeciwnie. Takich rzeczy nie mówi się mężczyźnie, prawda, Mardok? Oczywiście scena nie skończyła się tak, jak miała się skończyć. Lecz nie patrzmy na nich skłóconych, pokrzywdzonych, bo to zbyt przykry widok.

A pamiętasz, Mardok, jak wróciliście ostatnio z przyjęcia, zupełnie realnego, od Hopkinsów? Eve wyglądała zjawiskowo. Nie mogłeś od niej oczu oderwać. W domu powiedziałeś:

– Wyglądałaś dzisiaj cudnie.

– No coś ty?

– Młódziej i piękniej od innych.

Taka była prawda. Przy okazji są to słowa, których kobiety bardzo potrzebują. Eve uśmiechnęła się zalotnie i podziękowała. Przebrała się, umyła i poszła spać. Nie, nie chodzi o to, że do niczego nie doszło, bo do tego się przyzwyczaiłeś. Chodzi o to, że wydawało ci się, że też nieźle wyglądałeś. Mężczyzna, żeby mógł wykazywać inicjatywę w „tych sprawach”, musi czuć się atrakcyjny, a jest nim wtedy, gdy znajduje tego potwierdzenie. Oczywiście w słowach kobiety. Gdy zaś przez lata słów tych nie słyszy, zaczyna się garbić, tyć, przestaje o siebie dbać. Po co? Dla kogo? I tak kobiety, karmione naszymi komplementami, kwitną, a my usychamy, bo brak nam pokarmu – słów: „Jesteś piękny”.

Co czujesz, Mardok, gdy Eve pieści waszego sztucznego kota? Głaszcze go tysięczny raz, mruczy do niego, a ciebie nie dotknęła od tygodni? Jak się czujesz, gdy drżysz, chcąc usiąść do swojego ulubionego hobby... (A tak, nie powiedziałem o tym wcześniej. Każdy mężczyzna wcześniej czy później skłania się ku hobby, zwłaszcza gdy przestaje nim być kobieta. Mardok uwielbia projektować i konstruować figurki do gier stołowych. Nie wirtualne animacje, ale prawdziwe, reistyczne postacie wojowników: ruchome, z niezłą sztuczną inteligencją, strzelające fluorescencyjnym żelem. Naprawdę interesująca zabawa. Złożenie i ostateczne wyważenie jednej figurki to kilka godzin pracy. Eve nigdy tego nie mogła zrozumieć). Więc, jak się czujesz, Mardok, gdy siadasz do swoich figurek i drżysz, bo wiesz, że zaraz usłyszysz: „A ty znowu się zajmujesz tymi bzdurami?”.

Tęsknota powoduje, że zaczynamy widzieć Małą May wszędzie. O, proszę. Mardok leci w delegację swoim pneumobilem. Zbacza z trasy, ląduje na opuszczonej polanie, w lesie. Wchodzi między drzewa, żeby się wysikać (tak, to wciąż był popularny sposób oddawania moczu: na łonie przyrody, wiecie, atawizm). Widzi oczami wyobraźni, jak May, oczywiście w bikini, wyłania się zza pni sosen. Niczym nimfa leśna. A potem następuje chaotyczny zbiór obrazów przedstawiających ich rozmowę i to, co mogłoby się wydarzyć potem. Nie chodzi tu tylko o seks, lecz o tajemnicę, intymność, niecodzienną, pachnącą igliwem przygodę. Teraz widzimy, jak podczas tego samego lotu mija grawitacyjny fast food przy szlaku podróży. Obsługujący droid ma także twarz Małej May. Tak jak kobieta prowadząca pojazd wypakowany czwórką wrzeszczących dzieci, którą Mardok zobaczył przelotnie, gdy wlatywał w główny kanał powietrzny.

Mężczyzna dochodzi wreszcie do jednego słusznego wniosku: Mała May nie ma wad. Jest ikoną seksu, czułości, miłości, wyrozumiałości, delikatności, empatii, boginią w kwiatkach, woniach i blaskach. Wszystkie wady skupiły się w jego żonie. To diablica, idiotka, gruboskórna, głucha, wściekła, zacięta, niczego nierozumiejąca, ograniczająca jego wolność, podcinająca skrzydła hetera, Ksantypa, babsko obrzydliwe. May jest twoim zbawieniem: dla niej jesteś przystojny, męski, wspaniale pachniesz, masz ponętny tyłek i tę boską zmarszczkę na szyi. Żona jest skoncentrowana wyłącznie na sobie: swoich dolegliwościach, obawach i cellulicie (choć nie jestem pewien, czy w opisywanych czasach jeszcze istniał ten problem). Jednym słowem jest nieczułą egoistką.

Kiedyś Mardok zastanawiał się, co to za mężczyźni przeziadają w milkbarach albo na tarasach widokowych, często w grupkach, piją tanie trunki, są zaniedbani i zarośnięci. Kim są te typy? Teraz wie. Oni również zaprzyjaźnili się z ich własnymi Małymi May. Wystarczy otworzyć oko duszy, by zobaczyć, jak przytulają się do nich śliczne dziewczyny w plażowych strojach. Rozmawiają z nimi, szepczą do ucha miłe słowa, przynoszą kolejne piwo. Czasami jeden czy drugi zerknie na zegarek i jego twarz ściągnie grymas niepokoju. Oni także boją się wracać do domów.

Ponieważ Mardok odrzucił możliwość korzystania z łoża i hełmu, zaczął rozważać inne opcje. Okazję podsunęła mu firma. Zwyczaj imprez integracyjnych, choć pod inną nazwą, przetrwał do dziś. Tak jak kiedyś ludzie spotykają się w realium, nie w arealu, osobiście, nie perbotowo, bo taki jest dobry obyczaj, tradycja.

Widzimy go w egzotycznej scenerii: platforma widokowa zawieszona wysoko, gdzieś nad Kubą, dookoła latają balo-

ny, ktoś uprawia birding, śmigają powietrzni surferzy, majestatycznie płyną aquale. On w rozpiętej koszuli, popijający piwo z wielkiego kufla, uśmiecha się. Jest rozluźniony. Rozgląda się i zatrzymuje wzrok na grupie atrakcyjnych koleżanek z zaprzyjaźnionego działu. Tak, tak, zaczyna myśleć o zdradzie. W końcu Eve sobie na nią zasłużyła. Rozebrać wzrokiem znajomą z pracy nie jest trudno w takiej sytuacji. Każda jest podobna do Małej May. Gdy już znajdziesz jakiś obiekt, migają przed oczami sceny erotycznego zbliżenia, zaczynasz obmyślać, co dość zaskakujące, sprawy techniczne, bardzo konkretne, na przykład zauważasz, że jeśli miałbyś się z kimś związać, kochanka powinna blisko mieszkać, najlepiej w Warsaw City, żeby po powrocie z wyjazdu nie było kłopotów logistycznych, żeby nie trzeba było szukać pretekstu, by wyjść, żeby żona nie zauważyła, że dłużej siedzisz w pracy... O tym właśnie myśli Mardok: mógłbym się spotykać z nią w środy. Wtedy jest spotkanie rady i miałbym pretekst. Dzwoniłbym do starej, że „jak zwykle się przedłużyło”. Ta dziewczyna, jak ona ma na imię? Katie. Z pewnością nie stroni od francuskiej... Mógłbym z nią robić wszystko. Jestem przekonany. To kobieta wyzwolona, bezpruderyjna, pozbawiona kompleksów. Trzeba tylko się zebrać na odwagę i zaproponować szalony, wyuzdany, wyzwolony seks! Widzicie go? Patrzy na Katie, patrzy bardzo długo. Wyobraża sobie, że kocha się z nią tu, na imprezie, pośród innych ludzi. Taki jest wolny... w wyobraźni. Zrobił dwa kroki... Ale oczywiście nie wystarcza mu śmiałości. To nie podrywacz, nie ma ani doświadczenia, ani wystarczającej energii. Zawraca, jakby nic się nie stało, tylko ta jego mina złamana, rozczarowana, rozbita. Katie nigdy się nie dowie, a on spróbuje zapomnieć.

Skoro na romans brakuje odwagi i przekonania, pojawiają się myśli o rozwodzie. Widzicie go? Stoi na tarasie apar-

tamentu. To bardzo ładne miejsce. Wieża jest jedną z wyższych w dzielnicy, rozpościera się z niej widok na duży obszar wysokiej części Warsaw City. Trzyma szklaneczkę whisky (ostatnio się z nią nie rozstaje) i marzy. Wzleciał w niebo śmig orbitalny. Mardok odprowadza go wzrokiem, aż pojazd znika za wysokimi chmurami. Ach, jakie piękne byłoby życie kawalera bez tej cholery na karku. Siedziałby w tym śmigie, pędził w górnych warstwach atmosfery, a w fotelu pilota tkwiłaby oczywiście jego umiłowana Mała May. Oddałby sterowanie pojazdu autopilotowi, a oni wyskoczyliby z niego i lecieli tak strasznie długo ku Ziemi i nie rozłożyli gliderów aż do pułapu pięciuset metrów. Co to by było za szaleństwo...

Mardok rozmarzył się. Odwraca wzrok ku wejściu do apartamentu. Tam Eve programuje duster, żeby było czysto. Bo czystość jest ważniejsza od spontaniczności, od erotyki, od przygody. Gdzie są kobiety, które mają odwrotną hierarchię potrzeb?!

Jakby było wspaniale, gdyby nie ten wrzód, gdyby nie ten pałący wyprysk, gdyby nie ten przeklęty podpis na akcie małżeństwa... gdyby nie wspólny apartament, wspólne konto i tyle przedmiotów, które razem kupili: sprzęt holo, meble, pneumobil... Po rozstaniu nie mógłby ich zatrzymać, no bo jak? Nie wypada. Poza tym, gdzie się podzieje? Nie mają drugiego mieszkania. Stanie się bezdomny! Zaczynać wszystko od nowa? O, nie!

Dlatego wkrótce w głowie Mardoka pojawiają się innego rodzaju sny na jawie. Wyobraża sobie pokój kąpielowy. Eve zanurzyła się w wannie, takiej zwykłej, wodnej. Myje włosy. Także wodą, niektórzy nadal to lubią. Żona Mardoka nigdy nie suszyła włosów, siedząc w Ha dwa O, bo to niebezpieczne. Nawet dzisiaj urządzenia do suszenia skóry i fryzury mogą

(nie muszą) korzystać z energii elektrycznej, a ona w połączeniu z tą cieczą daje nieprzyjemne rezultaty. Nasz bohater wyobraża sobie, jak Eve popełnia błąd, upuszcza suszarkę w pianę, jej ciało wypręża się, drży, wreszcie nieruchomieje i tonie. Porażenie elektryczne. Wypadek. Nieszczęśliwy. Jakież cudowne zrządzenie losu. Wszystkie kłopoty załatwione jednym, małym, nieco drastycznym zdarzeniem. Mardok widzi oczami duszy pogrzeb i to, jak jest pocieszany przez rodzinę. Taki biedny, nieszczęśliwy. Potem, po powrocie do domu i zdjęciu czarnego garnituru mężczyzna musi się pocieszyć. Najlepiej płatną odmianą Małej May! Och, prostytutki odwiedzałyby go codziennie! Przez miesiąc! Przychodziłyby w strojach policjanek, Arabek, księżniczek, tancerek, kowbojek, w futrach i koronkach! Wydałby na nie całą pensję i nie byłoby żadnej wściekłej baby, która darłaby się, że trwoni pieniądze! Ma w dupie rozsądek! W końcu Eve jest ubezpieczona!

Jednak wypadki, choć chodzą po ludziach, złego nie ruszają. Trąbią w holowizji o napadach, kraksach, tragediach. Eve mogliby zastrzelić bandyci, mógłby ją zmiążdżyć aurokar, mogłaby wreszcie przewrócić się na swój ulubiony świecznik, który z uporem maniaka stawia pod drzwiami balkonowymi, ale nic takiego się nie dzieje. Wciąż oddycha. Mardok wymyśla więc nowy sposób...

Morderstwo. Koniecznie na tle seksualnym! Czyż nie wspaniale byłoby przywiązać ją do łóżka, a potem przebić kilkoma błyszczącymi klingami i patrzeć, jak pościel nasiąka krwią, a w jej oczach gaśnie życie? Być może na karminowych ustach pojawiłoby się słowo „przepraszam”? Jest jednak szkopuł: jak zatrzeć ślady? Wejdźmy na chwilę w głowę Mardoka. Wkracza do sypialni. Eve, jak zwykle w figach i krótkiej koszulce, zagłębia się w elbook. Mardok, zrezygnowany, podcho-

dzi do swojej połowy łóżka i wysuwa szufladę szafki nocnej. Leży tam ramka bookowa. Oczami wyobraźni nasz bohater widzi plasmaguna. Widzicie, jak rozjaśniła mu się twarz? Przeciętny człowiek w tamtych czasach nie posiadał jednak broni, w każdym razie nie w Wolnej Europie. Poza tym, myśli Mardok, plasmaguny robią dużo hałasu, no i powodują spore zniszczenia. Jeden strzał wyorałby w piersi Ewy wielką dziurę, przebił się do sąsiedniego pomieszczenia, może nawet do sąsiadów lub do środka wieży. Zbiegliby się ciekawscy i problem gotowy. Niewątpliwie najprzyjemniejszy, bo taki bezpośredni, byłby nóż. Mardok mógłby się zbliżyć na czworakach do niczego niepodejrzewającej żony – niby żeby ją pocałować – i znienacka wbić jej ostrze w brzuch albo serce, albo szyję. Ale nóż pozostawia za dużo śladów. Nie wiadomo, gdzie żelastwo wyrzucić, krew się leje litrami. Jak to potem wytłumaczyć mundurowym? Wdarli się złodzieje, zabili żonę i ukradli... co? Przelewy są monitorowane, czas wartościowych papierów już dawno minął, większość tego, co jest cenne, stało się wirtualne. Oczywiście złodzieje czasami zmuszają ofiary do przelewów, ale na jakie konto w takim razie Mardok musiałby wlać pieniądze? Policja śledziłaby jego ruchy finansowe, taka była rutyna. Nie znał się na tym.

Pozostaje duszenie. Nie będzie śladów krwi, ciało mógłby wyrzucić za ABB. To też przyjemne. Zaciskasz palce na szyi, ofiara wierzga, rzuca się, bardzo bezpośredni sposób. Tyle że niebezpieczny tak długo, jak przeciwniczka walczy. Trzeba by przedtem usunąć wszystkie przedmioty, którymi mogłaby go uderzyć w głowę, w oko... więc zniknąć musiałby terminal pilota apartamentu, pióro świetlne, nawet elbook.

I tak, zupełnie niepostrzeżenie, Mardok staje się mentalnym zabójcą własnej żony. Założmy mu na głowę czarny kape-

lusz, ubierzmy go w antracytową koszulę, dopnijmy także krawat, wsuńmy czerwony kwiat w butonierkę i mamy gangstera jak się patrzy. Nie pytajcie swoich mężczyzn, drogie panie, czy mieli wobec was mordercze zamiary. Nie chcecie usłyszeć odpowiedzi. Nawet gdy zapewnią was gorąco, że nigdy im do głowy nie przyszły podobne wyobrażenia, wspomnijcie przysłowie: „Jestem człowiekiem, więc nic, co ludzkie, nie jest mi obce”. Powiedział to filozof, humanista, z pewnością ktoś delikatny i subtelny. Nie pytajcie.

Dlaczego Mardok zaczął marzyć o morderstwie? Bo ma złudną nadzieję, że po akcji powróci utracony raj, a w basenie jego wyimaginowanej willi kąpać się będzie, a jakże, Mała May. Będzie brać w usta, będzie go dosiadać, będzie mu gotować, podawać ciastka, będzie go masować, głaskać, całować, ubierać, prawić mu komplementy, rozumieć, hołubić, tańczyć przed nim, chwalić owoce jego pracy i zawsze go rozumieć, słowem: pełnia szczęścia.

Jeśli naprawdę w to wierzy, powinien czym prędzej wrócić do onanizmu, jak za starych dobrych czasów.

Albo niech sięgnie do hotek zrobionych dawno temu. Ma ich mnóstwo w omniku. Niech przejrzy ujęcia z wielu wakacji, gdzie byli przecież z Eve szczęśliwi. Niech obejrzy holofilmy z wyjazdów. Na nich widać bowiem prawdziwe uczucia żony. I bardzo drobną, ale kluczową rzecz: Eve nie jest częścią jego osobowości, nie jest wymyślonym obrazem, ale osobną, zupełnie osobną, osobą. Kimś, kto ma własne potrzeby, oczekiwania, swój świat. I swoją tęsknotę.

Popatrzmy, Mardok posłuchał naszej rady. Siedzi w fotelu, ogląda holofilm. Zatrzymuje kadr na roześmianej twarzy Eve. Po policzku płynie mu łza. To dobrze. Nie przeszkadzajmy mu. Mężczyzna właśnie sobie przypomina, albo może dopiero

odkrywa, kim jest jego partnerka. Tak to jest w małżeństwie: ludzie żyją ze sobą czasami wiele lat, a wciąż się nie znają. Lub, żeby rzecz uściślić, siebie znają całkiem, całkiem, lecz drugą osobę – nie bardzo. Eve właśnie wróciła z pracy. Miejmy nadzieję, że Mardok wykona arcytrudną czynność, będącą jednak krwiobiegiem każdego partnerstwa: porozmawia z żoną. W związku każda rozmowa jest jak uderzenie serca. Im ich więcej, tym serce bije żywiej. Mardok o tym zapomniał i przez wiele miesięcy milczał. Ja wiem, że milczenie i cisza są dla mężczyzny jak chleb dla ciała, ale skoro samiec jest w związku, powinien choć trochę zmienić obyczaje. Eve ma instynkt. Widząc męża oglądającego film z wakacji, przysiada na oparciu fotela. Dotyka jego ramienia. Jeszcze nie rozmawiają, ale już patrzą w jednym kierunku. To dobrze. Może obudzi się w nich potrzeba wyjazdu? We dwoje? By odświeżyć związek? Poznać się na nowo?

Jeśli nie, zawsze pozostanie Mała May, która nie ma wad. Będzie wierna mężczyźnie do końca. Tyle że kiedy on się zestarzeje, jej zarys będzie coraz słabszy i bledszy. Ale nawet wtedy, gdzieś na dnie kieliszka, czasem uda mu się dojrzeć jej ślad.

Jarosław Urbaniuk
ŻYCIA PODWÓJNE

To nie był smród, do którego przywykł: wiórków mydlanych, kiszanej kapusty czy kwaśnego mleka. Nawarstwiał się przez lata i był smrodem mielonych na zagrychę, dziwek i pijanych nożowników. To była knajpa-muzeum, knajpa-pokazówka, miejsce wytchnienia dla frajerów. Gdy ktoś z towarzystwa chciał zadać szyku, przychodził właśnie tu, na najlepsze śledzie, niedrogie dziewczyny i mocną wódkę, posłuchać akordeonisty, który potrafił wygrywać tanga tak, jakby całe dzieciństwo spędził w Argentynie. Madrygalski – właściciel, bufetowy, wódz – znał się dobrze i z miejscowymi, i z cyrkułem. Młody oficer w mundurze saperów i jego cywilny znajomy rozpijali właśnie trzecią flaszkę starki, a na półce, ponad flegmatycznie czyszczącym szklivo Madrygalskim, piętrzyły się butelki: pękate martelle, kanciaste ballantinesy i podobne do stojących niżej czystych baczewskich, J&B-sy. Gdyby ktoś sobie życzył, a czasem, choć rzadko, sobie życzone, mógłby nawet dostać Brut Impérial, upchniętą na zapleczu między bryłami lodu.

Student nie chciał zadawać szyku, był na to zbyt inteligentny i stanowczo zbyt biedny. W każdej innej knajpie została by natychmiast spacyfikowany przez ferajnę, ale Pod Żółtym Koralem panowały odmienne zasady. Gdyby wybuchła prawdziwa awantura, interweniowałyby siedzący ponuro nad szklanką pan Rufus, który co chwilę dolewał sobie do herbaty odrobinę piołunówki. Niewielka, gorzka, acz osłoda smutnego losu policyjnego wywiadowcy, szpicla oddelegowanego do pilnowania nowego miejsca nowych wyższych sfer.

Jegomość w złotych cwikierach przy stoliku obok polewał koniak dwóm dziewczynom. Student już je kojarzył: pulchna blondynka była chórzystką w kabarecie, ta szczupła i ruda robiła przeważnie za subretkę w jakimś podłym teatrzyku. Znajomość z dżentelmenem w cwikierach, recenzentem literackim i teatralnym popołudniówki, musiała być dla nich aktem ostatecznej rozpaczy. Ruda wiedząc, że nic dziś nie wskóra, najwyraźniej postanowiła przyjąć taktykę blondynki, czyli po prostu uchlać się za darmo. Na zdrowie.

Chłopak czekał tu co wieczór, już od kilku dni. Popijał ciepłąwą, cuchnącą wódkę, która dla miejskich bywalców Złotego Korala była prawdziwą atrakcją, a jemu przypominała bimber z Kaszowa. W rogu sali zainstalował się mandolinista o wyglądzie małpowatego prowincjusza. Zaczął śpiewać, nawet dość czysto, ale oficerowie buchnęli śmiechem i zawołali posługacza, by przyniósł kolejną starkę. Gdy mandolinista skończył pieśń o kwiatach i zaczął tę o włosach i oczach, został przepędzony przez chudzielca o urodzie podstarzałego fryzjera z przechodzonym hohnerem w dłoniach. Po chwili zrobiło się argentyńsko. Oficerowie wzniesli toast, redaktorek wzięło do tańca pulchną chórzystkę i nie minęła minuta, a obok zaczęło się gibać dwóch miejscowych cwaniaczków z miejscowymi panienkami. Właśnie wtedy w knajpie pojawiła się Dorota.

I Izidor. Bez nazwiska i przeszłości, za to z kilkoma fenomenalnymi zamówieniami: same portrety, wszystkie lukratywne, a całe pieniądze przetracane na morfinę i knajpy. Student wiedział to, i wiele więcej. Towarzystwa dopełniało dwóch mężczyzn – pierwszy, siwy i bardzo przystojny pięćdziesięciolatek, ubrany w tenis, wyraźnie nie czuł się zbyt dobrze w tej zapyziałej atmosferze, drugi, chudzielec o ptasiej

głowie, miał minę, jakby nigdzie nie czuł się dobrze.

Student nie znał żadnego z nich, ale wiele wytłumaczyło mu zachowanie oficera, który zerwawszy się na widok siwego, w popłochu szukał czapki, by mieć do czego zaszalutować. Ten w cywilu rozglądał się nerwowo, a kiedy towarzystwo przechodziło koło oficerskiego stolika, siwy towarzysz Doroty syknął do mundurowego: „Nie bałwań się pan. Jestem *incognito*, prawda?”. W tej samej chwili redaktorem w cwikierach zaczął giąć się w figurach uwielbienia wokół czaplopodobnego chudzielca w okularach, tytułując go mistrzem.

Dorota nie patrzyła na redaktorka, ale na smętną subretkę, i wtedy student zobaczył w jej oczach to, co wtedy, gdy spojrzała na niego w ten sposób pierwszy raz. Zrobiło mu się mdło, walnął jeszcze jeden kieliszek. Pieczenie w nosie i gardle przywróciło mu przytomność. Tak, to było właśnie to spojrzenie.

* * *

– One wszystkie kurrwy... Mówię, panie Bednarek, kurwyyy.

Nie wiadomo, czy przeciąganie samogłosek wynikało z tego, że Majewski pochodził spod Krakowa, z chęci zaakcentowania nienawiści do kobiet, czy było efektem kolejnego stadium kiły. W chwilach szczerości, gdy Majewski się upijał, mawiał, że salwarsan nie pomaga, a on nie chce kobiet nawet teraz, gdy syfa już nie złapie.

– Napijesz się pan ze mną, panie Bednarek?

Janek cieszył się, że Majewski, dzielący z nim pokój i skromną kuchnię babki Broniszowej, nie lubi chłopców.

– Nie, panie Majewski. Idę zaraz do nowego ucznia. Nie

mogę wodą śmierdzieć. A poza tym nie piję.

Wyszedł na ulicę. Pełnia wiosny, lekkie kabriolety, ludzie chodzili jakby szybciej. Kobiety poskracały spódnice, a z knajpy na rogu, mimo wczesnej pory, dochodziły dźwięki *Lambeth Walka*. Janek nie rozumiał jazzu, bo nie słuchał muzyki, z kobiecymi nogami było już nieco lepiej. Mógł się na dzisiaj umówić na lekcję, bo wykłady miał dopiero po południu, tym bardziej że większość profesorów piła właśnie w Ziemiańskiej z przybyłym ze Lwowa Banachem, który miał przemawiać w Towarzystwie Matematycznym – wszyscy na wydziale czekali tylko na to.

Janek stał przed kamienicą Kacperskich przy placu Unii Lubelskiej, sterczącą w niebo kiszka z kryształowymi windami. Dziwił się trochę, że mieszkanie, w którym ma udzielać korepetycji, choć należy do sztabowego pułkownika, mieści się właśnie tutaj, a nie w jakiejś wygodnej willi pod miastem lub w którymś z cichych zaułków Warszawy.

Przez bramę wtoczył się cieć z sumiastymi wąsami, w złachanej czapce i długim szarym fartuchu. Popatrzył na Janka i spytał:

– A kawalir to do kogo, a?

Janek wyciągnął wizytówkę i podał staremu:

Płk dyp. Adam Fidelski

Marszałkowska 1 m. 23

Ta zdawkowa wizytówka wiele, zdaje się, mówiła staremu, bo odruchowo zgiął się wpół.

– Pan wsiada, winda już jest.

Janek ruszył za cieciem i nim się spostrzegł, stary władował się za nim do windy, nagle odzyskując rezon.

– A to pan pewni nauczyciel dla panicza młodego pułkownika?

Feudalne stosunki wciąż były popularne, szczególnie w sferach okołowojskowych. Nie wiedząc, czy o młodym Fidelskim należy mówić „panicz”, stary obdarzał go tytułem, na który jego ojciec najpewniej ciężko zapracował. Młody Fidelski nie będzie już musiał tego robić. Polska zapewni wszelkie możliwości synowi pana pułkownika. Na razie Jan Bednarek będzie za grosze uczył go matematyki.

– Tak, do syna pana pułkownika. – Światło odbijające się w kryształowym lustrze oślepiało Janka. – Podobno nie ma go, ale...

– Ali żona się dzieckiem zajmuje, znaczy, jak jest... – Stary ugryzł się w język i nie powiedział już nic. Potem śledził Bednarka wzrokiem, gdy tamten zadzwonił do drzwi. Wrócił do windy, dopiero kiedy w progu pojawiła się służąca.

Z rąk ciecia w ręce służącej, a jakby co, to w ręce policjanta, gdyby naruszył obowiązujące tu zasady. Czasem Bednarek myślał, że komuniści mają rację i gdyby paru nie znał, to może dałby się i namówić na rewolucję proletariacką. Z kilkoma jednak miał już przyjemność i nie był przekonany do oddawania im w ręce jakiegokolwiek władzy. Wieś również znał, nawet lepiej, był więc skutecznie zaszczepiony i na komunizm, i na agraryzm.

Dziewczyna, ładna, choć nieco zbyt szczupła i blada, zabrała od niego płaszcz. Musiała być zorientowana, bo kiedy zaczął wygłaszać standardową litanię: skąd, dlaczego, że wizytówka i że korepetycje są umówione, kiwnęła tylko głową i poprowadziła go dalej.

Salon, w którym się znalazł, w najmniejszym stopniu nie kojarzył się z zawodowym wojskowym, tym bardziej dypl-

mowanym. Prążkowana bordowa tapeta optycznie pomniejszała pomieszczenie. Kilka dużych kanap i parę drogich, ale niepasujących do siebie krzeseł. Na ścianach obrazy, jednak bijące od okna światło nie pozwalało dostrzec, co na nich jest, tym bardziej że większość wyglądała na jakieś potępieńcze abstrakcje.

Służąca wykonała ręką nieokreślony gest i zanim Bednarek zdążył o czymkolwiek pomyśleć, znikła w drzwiach prowadzących prawdopodobnie do służbówki.

Nagle głos:

– Niech pan tu podejdzie.

Tu? Głos dobiegał nie wiadomo skąd. Gdzie „tu”? Głos chyba zdawał sobie sprawę, że Bednarek nie wie.

– Do okna.

Niepewnie ruszył przed siebie, tak że stanął pomiędzy sofą a oknem i dopiero wtedy światło majowego przedpołudnia naprawdę go poraziło.

– Proszę sobie przysunąć krzesło.

Głos, kobiecy, dochodził jednak z rogu pokoju, z dziwnego szezlongu czy sofy. Nie do końca odróżniał. Przysunął i usiadł. Od głosu dzieliły go jakieś trzy metry. Dostrzegł stopę jego właścicielki, wąską i długą.

– Pan Ferle rekomendował pana jako doskonałego korepetytora, który potrafi trafić nawet do dość... cichych dzieci. Czy słusznie pana polecił?

Jego oczy przyzwyczyły się już do światła, półmroku i oślepiającego rozdarcia między nimi.

Była piękna urodą gwiazd filmowych, ale nie europejskich. Amerykańskich. A może tylko w taki sposób jak one bawiła się małą koniakówką? Skrzywiła się, ale nie mógł stwierdzić, czy chodzi o smak trunku, czy o to, że właśnie się skoń-

czył. Odstawiła kieliszek. Była blondynką z wyraźnym rudym poblaskiem. Ubrana w długi, jedwabny, turkusowy szlafrok, na nogach czarne sznurowane powyżej kostki baletki. Jej stopy, chociaż nieruchome, miały w sobie nerwowość, jakby przed chwilą przestała tańczyć. I twarz. Wąska, szlachetna, pijana. Przypatrywał się jej w milczeniu, a ona czekała na odpowiedź. Odezwał się, dopiero gdy znowu zanurzyła się w ciemność pokoju.

– Studiuję matematykę na Uniwersytecie. I mam praktykę w uczeniu.

Przesunęła się do przodu, nie wstając z szezlongu. Miedziany poblask. Znowu bez twarzy.

– Skąd pan pochodzi, panie Janku?

– Z Kaszowa, pani pułkownikowo.

Zdał sobie sprawę, że coś tu jest nie tak i że to dziwne mieszkanie, dziwna służąca i dziwna gospodyni, a nade wszystko – że nie ma tu ucznia.

– Proszę tak do mnie nie mówić. Nie jestem muzulmanką, nie muszę się zbawiać razem z mężem. Chciałabym, aby przychodził pan dwa razy w tygodniu. Raz jak dzisiaj, w piątek, poza tym we wtorek. Myślę, że godzina wystarczy. Marianna będzie pana wpuszczać i prowadzić do pokoju. Dostanie pan pięć... no, powiedzmy osiem złotych. Jeśli będę widzieć postęp, dorzucę coś jeszcze.

To nie było mało. Właściwie dla nikogo, a szczególnie dla niego. Jeśli utrzyma się do wakacji, będzie mógł obstać nowe ubranie, buty i płaszcz, które wystarczą do końca studiów. Chyba żeby niespodziewanie przytył, wtedy trzeba będzie doliczyć pieniądze na przeróbkę. Przy jego trybie życia akurat na to się jednak nie zanosilo. Mimo wszystko nie widział powodu, by nadmiernie wylewnie dziękować. Nie miał

dostawać tych pieniędzy za darmo.

– Dziękuję, pani pułkownikowo.

Wstała gwałtownie. Wyprężyła się, wciąż tyłem, i oparła o stół. Obrót jak piruet, może po to baletki? Bednarek znowu zobaczył jej twarz. Teraz oczy były wściekłe, a wargi wydęte. Zdał sobie sprawę, jak bardzo jest piękna i jak bardzo wstawiona. Pomyślał, że takie kobiety nie mają wieku, ale ona wyglądała jakoś tak młodo. Poza oczami, które były stare i zmęczone. Usta miękkie i wąskie, a zmysłowe. Oblizwała je powoli, wyprostowała się, zmrużyła oczy. Wycelowała i zamachnęła się mocno. On ani drgnął. Kieliszek przeleciał koło Bednarkowego ucha i rozbił się o ścianę. Służąca wbiegła do pokoju, a Fidelska cały czas patrzyła mu w oczy.

– Marianno, odprowadź pana Janka do pokoju mojego syna, już na niego czeka. Do widzenia.

Poszła w stronę drzwi prowadzących do kolejnego pomieszczenia. Bednarek nie mógł wykrztusić ani słowa i tkwił tak pomiędzy szezlongiem, oknem, wejściem do pustego już salonu, kawałkami kieliszka leżącymi pod ścianą i służącą Marianną.

– Niech pozwoli ze mną. Zaprowadzę.

Poszedł jakimiś drzwiami w przedpokoju, których przedtem nie zauważył. W ogóle dziwny rozkład mieszkania. Powiedział o tym służącej.

– Pani koniecznie chciała tu mieszkać, a kamienica taka... inna, więc połączono dwa mieszkania i teraz tak dziwnie się chodzi. – Spojrzała na niego przyjaźnie.

– A pan pułkownik co na to? – zapytał. Służąca popatrzyła już mniej przyjaźnie i zacisnęła usta.

– To tutaj. – Zostawiła go przy drzwiach. Nacisnął klamkę.

Przy nowoczesnym biurku z jasnego drewna, na które padała wiązka światła ze specjalnie umieszczonego świetlika, siedział chłopiec. Jego płowe włosy wyglądały w tym świetle jak siwe.

– Pan jest nowym korepetytorem? – Głos dziecka, najwyżej dziesięcioletniego, brzmiał poważnie i zimno i Bednarek przypomniał sobie starego cicia oraz jego uniżony stosunek do tego chłopca.

Z zadaniami, jak po chwili się okazało, mały radził sobie całkiem dobrze, rozumiał tłumaczenie na wyższym poziomie, wykazując jednocześnie całkowite niezrozumienie dla klasycznych metod wykładania, choć właśnie takie najlepiej sprawdzały się w przypadku dzieci w jego wieku. Podziękował dokładnie po godzinie, bez patrzenia na zegarek. Bednarek zabrał swój ołówek i wyszedł. Marianna podała mu dwa pięciozłotowe banknoty z Boną.

Już do wieczora nie myślał o niczym innym. Lecący kielišek, piękna matka, dziwne dziecko, nieobecny pułkownik... Nieobecny, bo on tam nie bywał. To się czuło od razu. W tym mieszkaniu brakowało mężczyzny, brakowało właściciela tego miejsca i tej kobiety. Jak miało się okazać później, ona zresztą nigdy nie miała właściciela.

Prawie zapomniał o Banachu.

Po wykładzie, na którym byli zresztą wszyscy jego koledzy i znajomi, zgodził się pójść z nimi Pod Żłotego Korala. Często namawiali, by się z nimi wybrał, ale zawsze odmawiał. Lecz dziś pozwolił wziąć się pod rękę i poprowadzić do dorożki.

Madrygalski popatrzył na niego jak na idiotę.

– Limoniadę? – Spojrzał bezradnie na bar. – Piwa mogę dać.

Bednarek usiadł ze szklanką w rogu stolika matematyków, gdzie Ulam opowiadał o jakimś problemie, popijając wiśniówkę, a inni słuchali. I kiedy już wszyscy przytulili się do swoich szklanek – weszła ona.

Stolik ferajny ucichł pierwszy, potem któryś z matematyków popatrzył w stronę drzwi i rozdziawił gębę, później następny i następny, w końcu spojrzął sam Ulam. A potem nastąpiła cisza. Tylko akordeonista niestrudzenie grał swoje krzywe tanga.

Stała w progu wyraźnie wypita, ale opanowana. Papieros był długi, a mężczyzna obok niej wyjątkowo paskudny, z wyrazem twarzy śniętego karpia. Gdy, na krótką chwilę, jego oczy stały się przytomniejsze, spojrzął na wszystkich z wściekłością. Brakowało tylko, żeby zawarczał: „Ona – moja!”. Matematycy przestali się gapić, ale ferajna robiła to nadal: mocno, bezczelnie, choć zdolnych do bójki było może ze dwóch. Mimo wszystko to oni byli u siebie, byli w prawie.

Fidelska i karpioваты usiedli. Wyglądali na stałych gości, bo posługacz po kilku minutach przyszedł i nakrył ich stół obrusem, co zdaje się nie należało do codziennych praktyk – matematycy chlali i żarli od dłuższego czasu, a stół był zaledwie omiatany ścierką przy znoszeniu kolejnych butelek i półmisek. Stolikowi Fidelskiej i karpia nie groził bezpośredni zapach kiszonych ogórków, gotowanej kiełbasy czy marynowanego śledzia ani lepszej czy gorszej wódki, a właśnie te zapachy dominowały w oddechu matematyków. Karp zamówił butelkę jarzębiaku dla siebie i od razu butelkę wermutu dla niej. On pił powoli, ona się nawalała. Palili i rozmawiali. Jej twarz robiła się coraz bardziej sarkastyczna, oczy coraz bardziej skośne, i w tym uskośnieniu i wyzłośliwieniu była jeszcze piękniejsza.

Mówiła coraz głośniej, śmiała się mocno, ale samymi ustami, jej ciało i spojrzenie były ni to smutne, ni to wściekłe. Bednarkowi zakręciło się w głowie. Wstał, a gdy wychodził i mijał ich stolik, usłyszał jej śmiech i ociekające wredną słodyczą słowa:

– Więc skoro się nie boisz, to czemu tam ze mną nie pójdziesz?

– Czemu mi nie powiesz... – Karp wydawał się wściekły.
– Chcę wiedzieć. Czy on już jest w mieście?

Wydęła wargi i upiła wermutu.

– Bo chciaabym, żebyś choć raz czymkolwiek zaryzykował...

Reszta zginęła mu w szumie knajpy, dziwne, że usłyszał aż tyle. Tak czy inaczej – dosyć tego miejsca, tych ludzi, tej nadwiślańskiej wersji milonga.

Niebo było granatowe, z wyraźnymi gwiazdami. Jutro będzie ładna pogoda. Nie wiedział, czy dygocze bardziej od nikotyny, która nagle zaczęła stawiać mu włosy na skórze, czy od chłodu.

– Czy mógłby mnie pan poczęstować? Swoje zostawiłam w środku. A raczej już...

Wyszła za nim, musiała zobaczyć, że pcha się do wyjścia, a teraz stała obok, w toczku i etoli. Dziwne, nie zauważył, aby miała je w środku.

– To mój jedyny papieros.

Podeszła jeszcze bliżej, mrużąc oczy. Bez słowa wyjęła mu papierosa spomiędzy palców, zaciągnęła się i spojrzała w tym samym kierunku, w którym patrzył Janek.

– Co pan tu robi?

– Przyszedłem z kilkoma kolegami i docentami...

Roześmiała się.

- Macie tu sabat korepetytorów?
- Matematyków, pani pułkownikowo.

Zaciągnęła się mocniej i spojrzała na niego.

- Tak, zapomniałam, że jest pan już po pracy. Ale ja też nie jestem przy moim mężu, więc akurat teraz może pan sobie tę pułkownikową już zupełnie darować. - Zamilkła na chwilę.
- A za ten dzisiejszy kieliszek przepraszam. Myślałam o kimś innym.

Zaniemówił. Kiwnął głową. Oczywiście, mógłby coś powiedzieć, ale absolutnie nie wiedział, jak by to zabrzmiało. Mogłoby przecież zabrzmieć sztucznie, co go przerażało, choć nie wiedział dlaczego. Stał więc w milczeniu, właściwie nie oddychając.

- Więc skoro ustaliliśmy - zaczęła po chwili - że jest pan już po swoich zajęciach i to pana czas wolny, to czy nie odprowadziłby mnie pan do dorożki albo taksówki?

Znów kiwnął głową, ona chyba uśmiechnęła się leciutko, ale nie był pewien, bo chwilę wcześniej okno Żłotego Korala przesłonił cień tańczących. Fidelska zniknęła w drzwiach i po kilkunastu sekundach pojawiła się z powrotem. Ogarnęło go poczucie, że przecież teraz, przy niej, mogłoby się zdarzyć właściwie wszystko, i wciąż milcząc, podał jej ramię.

Ruszyli wzdłuż pustej uliczki, a już za rogiem wsiedli do taksówki.

Pomyślał o pieniądzach. Najpierw, czy będzie mógł zapłacić. Portfel miał w kieszeni marynarki, więc będzie mógł, za to kalkulacja kosztów płaszcza pozostawionego Pod Żłotym Koralem była już sprawą poważniejszą. Jedyne, na co mógł liczyć, to przytomność kolegów. Ale szybko przestał o tym myśleć. Fidelska wyciągnęła z torebki jeszcze jednego zmiętego papierosa.

– Na Marszałkowską przy placu Unii – zaordynowała. – Został mi jeszcze jeden, mogę się odwdzięczyć. – To już było dla uszu Bednarka.

Pokręcił głową.

– Właściwie to nie palę.

W świetle zapalniczki spojrzała na niego. Uważnie. Po pierwszym zaciągnięciu widać było, że to pierwsza chmura nikotyny jest tą najprzyjemniejszą. Zdał sobie sprawę, że dla babki Broniszowej połowa tego, co dzisiaj widział, byłaby nie do pomyślenia, a Fidelska zostałaby wielokrotnie zwyzywana. Nieraz słyszał, jak gospodyni rozwodzi się nad „kurestwem i wywłóctwem” różnych sąsiadek. W przypadku Fidelskiej charakter stosunków z ryjowatym jegomościem nie pozostawiał wątpliwości i babka Broniszowa niewątpliwie wydałaby swój pełen prostego ludowego okrucieństwa i sprawiedliwości wyrok.

– Pan studiuje matematykę. Dlaczego akurat to?

– Nauczyciel gimnazjalny stwierdził, że jestem doskonały z rachunków. Posłali mnie na studia. Matka umarła, a ja przenieśliem się z agronomii na matematykę.

– I dlatego musi się pan sam utrzymywać?

– Nie. Musiałbym się utrzymywać bez względu na to, co bym robił. – Zabrzmiało to dość oschle. Dla niej zarabianie z pewnością nigdy nie było żadnym problemem, najpierw rodzice, później mąż pułkownik, wcale by się nie zdziwił, gdyby rozwiodła się z nim i wyszła za dyplomatę. Lub generała. Widział już, że męża nie kocha, bo mimo niewielu doświadczeń z kobietami, miał w tej dziedzinie swego rodzaju intuicję, ona zaś mówiła mu, że takie kobiety, stwierdziwszy, że nie pokochają nikogo, idą drogą awansu.

W Marszałkowską wjechali od strony placu Bankowego.

Neony zawsze go onieśmiały, te na Marszałkowskiej nie wyglądały tak spektakularnie jak w filmach, ale w odróżnieniu od nich były prawdziwe. Twarz Fidelskiej zrobiła się zielonosina od światła neonu Branki. Taksówkarz przyspieszył, dojeżdżali do Alej Jerozolimskich.

– Proszę się zatrzymać.

Zapłaciła. Szli teraz w stronę placu Unii Lubelskiej.

– Niech mi pan coś zabawnego opowie. Najlepiej o matematyce. Miałam kiedyś wielu przyjaciół naukowców. Głównie filozofów, ale i logicy by się znaleźli, a przecież to właściwie jeden krok.

– Nawet więcej. Logika jest matematyką. To znaczy jedną z jej podstaw, czy jedną z matematyk. To znaczy nasza logika.

Poprosiła go o wyjaśnienie tych wielu matematyk i Bednarek, któremu zimno wyraźnie dobrze zrobiło na rozpaloną głowę, opowiadał jej o wyciąganiu wniosków z założeń, a jako dodatek – o paradoksie Tarskiego–Banacha i ilustrujących go dwóch kulach powstających z jednej. I tu po raz kolejny się zdziwił.

Używając terminologii, którą usłyszała od niego, ale w sumie ściśle, zaczęła zadawać pytania. Odpowiadał jej w świetle coraz rzadszych neonów. I zawsze pytała akurat tyle, aby on znał odpowiedź, nigdy o nic więcej, ani razu nie musiał odpowiedzieć jej: „Nie wiem”. Czuł się jak wykładowca, który instruuje studentkę, choć studentka była od niego starsza i stała w swym byciu całe eony wyżej.

Przy bramie kamienicy, gdzie mieszkali Fidelscy, kręcił się stary cieć. Wąsy mu się trzęsły, fartuch miał zmięty, nawet miotła w jego dłoniach wyglądała na zdenerwowaną. Fidelska lekko zeszywniała pod ramieniem Bednarka.

– Co się stało, panie Ostoja?

Cieć, który nagle zyskał w oczach Bednarka nazwisko, wyraźnie się rozluźnił, jakby własne nazwisko w ustach pułkownikowej uspokoiło go, a jednocześnie uwolniło napięcie, które do tej pory trzymało go w jednym kawałku i dusiło.

– Taj. Tu beł... Ten pan, co w gościnie u państwa pułkownikostwa bewał. – Stary ważył słowa: jak w sposób możliwie zawołowany powiedzieć Fidelskiej, że był tu jej kochanek.

– Co się stało, panie Ostoja? – zapytała jeszcze raz, jakby mniej pewnie.

– Taj był tu państwa przyj... znajomy... Ten taki czarniawy... – Bednarek dopiero teraz przypomniał sobie, że rybotwarczy kochanek Fidelskiej głowę miał okoloną resztkami ciemnych włosów, choć z mocnymi i w jakiś sposób świeżymi, siwowymi pasmami. Fidelska spięła się jeszcze bardziej.

– Co się stało, panie Ostoja? – zapytała spokojnie, po raz trzeci. Jezu, niech nas Bóg broni przed takim spokojem.

– Taj przyszedł tutaj. To zatrzymał ja. Ale to był... raptus, raptus straszny, taj się miotłą zastawił ja. – Bednarkowi stanął przed oczami dziadek Paliwoda, który dwóch przyjezdnych z Przyszorydów o mało nie zatłukł laską na śmierć. Od razu wiedział, jak stary Ostoja mógł się „zastawić”. Tacy staruszkowie nie umierają w łóżku. Przynajmniej nie we własnym.

– A wszedł na górę, panie Ostoja? – Głos wciąż miała opanowany.

– Gdzie ja bym puścił? Ja tu pracuji! – Tego człowieka przepęłniała jakaś duma. Niepotwierdzona ani miotłą, ani fartuchem, ale bijąca z każdego włosa jego wąsów.

– Ale nie wszedł na górę? – upewniała się.

– Taj mówij, że bym nie puścił!

– Dziękuję panu, panie Ostoja. Niech pan o tym nie wspomina mężowi.

Ciekawe, ile razy Ostoja już to słyszał? Bednarkowi zakręciło się w głowie, choć przecież praktycznie wcale dziś nie pił. On, ona, cieć, kochanek, mąż w tle, dziecko śpiące na górze, chuda służąca. Nagle to wszystko do niego dotarło.

– Panie Janku. Niech pan pozwoli ze mną. – Aż nim wstrząsnęło. Brzmiała obco i oschle, zupełnie inaczej niż dotychczas. Weszli do jasnej windy. Szarpnięcie. Pocałowała go między pierwszym a drugim piętrem.

Na górze służąca była jeszcze lekko rozdygotana, pewnie cieć poszedł się poskarżyć w nadziei, że spotka „pana pułkownika”.

– Co się stało, Marianno?

– Dzwonił pan Krewicz. Bardzo zdenerwowany.

– Gdzie był mój syn?

– U siebie w pokoju.

– Pan Krewicz dzwonił wcześniej niż pół godziny temu?

Służąca zmarszczyła brwi, spojrzała na zegar na ścianie i pokręciła głową.

– Dziękuję ci, Marianno, możesz już odejść. Właściwie możesz zrobić sobie wolne. Dziś i jutro. – Nie patrzyła ani na nią, ani na niego. Marianna zniknęła w głębi mieszkania, gdzieś tam musiało być przejście do służbówki. Janek stał, nie wiedząc, czy powinien wytrzeć sobie usta, na których wyraźnie czuł smak Doroty. Teraz już tak o niej myślał: „Dorota”.

Rzuciła etolę na fotel, wskazała mu miejsce, nalała koniaku sobie i jemu. Wszystko prawie jednocześnie w drodze do telefonu. Szybko i pewnie wykręciła numer.

– Dobry wieczór, proszę z panią Anielą... Pułkownikowa Fidelska... Na pewno podejdzie do telefonu.

Chwila ciszy, podczas której Bednarek zaczynał rozumieć gdzie, a raczej do kogo dzwoni.

– Dobry wieczór pani. Mówi Dorota Fidelska. Powinnyśmy się pamiętać z rautu u świętej pamięci pułkownika Sławka... Tak, właśnie... Mnie również jest bardzo przyjemnie. Dzwonię, aby powiedzieć pani, że nie jest prawdą, jakoby pani mąż był na przyjęciu w ministerstwie rolnictwa... Tak, wiem dość dokładnie... Brał udział w orgii w mieszkaniu niejakiego Halbermanna... Wiem, bo sama tam z nim byłam... Ma ślady zębów na plecach, może pani sprawdzić... Tak, to były moje zęby i jakiegoś młodego aktora... Nie, jego nazwiska akurat nie znam... A, i jeszcze chciałabym powiedzieć pani coś osobistego... Chwileczkę...

Spojrzała na Janka i zaczęła powoli poruszać ustami. Ale on nie słyszał, co mówi, ani nie potrafił odczytać słów z ruchu jej warg. Potem, gdy próbował analizować tę chwilę, a czynił to wielokrotnie, także nie zdołał domyślić się jej słów, jakby wszystko, co zostało wypowiedziane po słowie „chwileczkę”, naprawdę nie mogło trafić do nikogo poza Krewiczową.

Bednarek skurczył się nagle cały do swojej czaszki, nie mogąc się poruszyć, jego głowa była niczym ściśnięta jakąś cholerną garotą, słyszał tylko szum krwi w uszach i czuł ucisk, a przed oczami zaczęły mu się pojawiać mroczki.

– I to jest to, co chciałam powiedzieć pani osobiście. Dobranoc. – Fidelska patrzyła już nie na niego, lecz na aparat telefoniczny, próbując trafić słuchawką na widełki, jakby nagle ta rozmowa straszliwie ją zmęczyła albo jakby znów była pijana.

Garota puściła.

Światło dwóch lamp, tej pod ścianą i mniejszej, stojącej na stoliku w rogu pokoju było dziwnie czerwonawe. Bordowe

ściany, czerwonawe światło, jej czerwone usta i także sukienka. Patrzył na obrazy, bo bał się spojrzeć na nią. Wiele kobiet, pięknych, kilku mężczyzn. W postaci wojskowego Janek rozpoznał pułkownika, a na innym obrazie także chłopca, któremu miał dawać korepetycje. Wiedział, co Ostoja miał na myśli, kiedy wspominał o „paniczu młodym pułkowniku”. Ojciec nie wyparłby się syna, a syn ojca.

– Podobają się panu moje obrazy – bardziej stwierdziła, niż zapytała, spokojnie i obojętnie, jakby ostatnie kilka minut zupełnie nie istniało.

Nacisnęła przełącznik leżący na małym barku na kółkach i na obrazy spłynęło światło z żarówek ukrytych w liście pod sufitem. Wtedy stwierdził, że drugim ze znanych mu mężczyzn był chemik z uniwersytetu, uwieczniony na czwartym z kolei obrazie. Odszedł po jakimś małym skandaliku, którego elementem był romans z żoną dziekana i z jego synem. Ciekawe, bo do tej pory Bednarek raczej nie dawał wiary takim obrzydliwym plotkom, a właściwie po prostu go one nie obchodziły. Teraz jednak wierzył już we wszystko, co o nim mówiono.

Najciekawsze były jednak dwa ostatnie obrazy. Pierwszy przedstawiał starszą kobietę z zaczesanymi gładko ciemnymi włosami, w czarnej, prostej, wdowiej sukience. Miała w sobie coś podobnego do Doroty, choć nie w wyglądzie i nawet nie w spojrzeniu. Z jej postawy było to, co wyczuwał i u Doroty – za tą kobietą stało coś więcej. Albo ktoś. Na drugim obrazie cztery kobiety w stylizowanych na ludowe siedemnastowiecznych sukniach i czepcach podrzucały na rozciągniętej płachcie manekina wyobrażającego rumianego mężczyznę.

– To moja babcia – stwierdziła, widząc, którym obrazom się przygląda. – A ten tu to manekin ze słomy. Goya, oczywi-

ście kopia, ale piękna. – W jej głosie jednak zabrzmiało zmęczenie, a on uświadomił sobie, że ma podobny wyraz twarzy do tego manekina i chwilę temu był świadkiem, jak ona rozbija czyjeś małżeństwo. Między jednym a drugim łykiem koniaku.

– Pan jest taki młody...

Dotknęła jego włosów. Poczł się groteskowo. Pogładziła go po policzku i wtedy stało się coś, co zdjęło z niego ten nagły strach. Poczł, jak pomiędzy dwoma ostatnimi na ścianie obrazami, Fidelską i czymś za jego plecami rozpościera się jakaś siła, która unosi go lekko w górę. Fidelska okrążyła go, jednocześnie zrzucając suknię tak sprawnie, że widział, jak ubrana gładzi go po policzku, potem zakręciło mu się w głowie, a kiedy wyłoniła się zza jego pleców, wsuwając dłoń między guziki jego koszuli, była już naga.

Nad ranem nie chciał zamykać się w windzie z kryształowymi drzwiami, nie chciał zamykać się nigdzie. Szedł po schodach, ciężkich, marmurowych.

Dziesięć, jedenaście.

Miękki szezlong, na którym widział ją pierwszy raz, był wystarczająco szeroki, aby pomieścić ich oboje. Leżała, pieszcząc stopami rzeźby na brzegu mebla – motywy orła i lwa. Wrastała swym jasnym ciałem w jedwabne obicie. Zdawała się go naprowadzać: „Tu i tu”.

Stał przed nią, odpinając ostatnie guziki koszuli. Udało się i studencki łach wylądował na lampie stolikowej, światło zmiękło, zrobiło się ciemniej. Właściwie bardziej upadł na kolana, niż uklęknął przed nią, tronuującą na szezlongu, oszołomiony jej zapachem; kiedy, przedtem, stanęła przed nim naga, na tle portretu babci i obrazu Goi, poczuł go w pełni. Jakby mięta, może trochę pieprzu, na pewno jakieś orientalne nuty. Teraz doszło coś mocniejszego. Jej włosy były twarde i drażni-

ły go w nos, może dlatego wydało mu się, że to właśnie one są źródłem zapachu. Wyglądały całkowicie naturalnie, ale później, kiedy mógł już zwracać uwagę na takie szczegóły, widział, że goliła je tak, aby dobrze wyglądały również przy złożonych nogach. Lubiała stać na palcach, nago. To wiedział teraz, schodząc po schodach.

Czternaście, piętnaście.

Ta siła. Ta siła wyniosła go już na samym początku. Słyszał: „Do nieba”, coś dźwigało go w górę, ale ona była tu i teraz. Kiedy zrzuciła suknię, roześmiała się, opierając jednocześnie głowę na dłoniach.

Siedemnaście, osiemnaście.

Usiadła na komodzie w rogu, jedną nogę oparła o ścianę, drugą o cokół mebla. Wyciągnęła rękę, a mała lampka, na której ciągle tkwiła jego koszula, oświetlała jej ciało. Twarz pozostawała w cieniu, przywoływała go gestem, pomalowane na jakiś dziwny odcień czerwieni paznokcie tańczyły. Ruch trenowany chyba tysiące razy. Stanął między jej nogami, a ona odepchnęła się od ściany i nadziała na niego. Zatapiał się w niej do końca, bo kiedy go objęła i zaczęła się poruszać, zeszedł się ze sobą najbardziej. Zrozumiał to dopiero teraz, na schodach.

Dziewiętnaście.

Zbliżył usta do jej ucha, jęknęła, obejmując go rękami, nogami, całym ciałem i całą sobą. To raczej ona wsysała go w siebie, niż on wchodził w nią.

Dwadzieścia, dwadzieścia jeden.

Spełnił. Przełknęła prawie wszystko, wytarła usta, ale na jej podbródku zostały ślady. Wstała, z tym swoim niepojętym wyrazem twarzy, który pojawił się, dopiero gdy zrzuciła przy nim sukienkę.

Dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery.

Nie wtedy, kiedy rozmawiała z Krewiczową i powiedziała jej coś osobistego, czego on nie słyszał. Cisza, nagła cisza, poza tym nic.

Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć.

W słabym świetle jej nogi wydawały się bardzo szczupłe, ale wiedział, że pod skórą kryje się kobieca miękkość. Chodziła na palcach i wyglądała przy tym tak naturalnie. Przykucnęła przed barkiem, zaczęła nalewać czegoś do dwóch półokrągłych szklanek. Jak szklane kule, przeszło mu przez myśl. Gdy wracała z małą tacą, na której tkwiła jeszcze popielniczka, w ustach trzymała papierosa. Nagle zobaczył w niej starą Majerową, wiedźmę z Pychowa, strach lat dzieciennych.

Dwadzieścia siedem.

Roześmiała się. „Wiem, wyglądam jak wiedźma”. Spojrzała na tacę, a raczej na swoje piersi, podeszła i gdy uniósł się na łokciu, miał jej włosy na wysokości twarzy. Zanurzył w nie nos. Roześmiała się, na pewno nie bez przyjemności, i wyślizgnęła z jego ust, przewracając się na szezlong, pomiędzy jego nogi i oparcie. Zastłoniła mu usta stopą i wyzywająco wysunęła podbródek, jakby mówiła: „Gdzie z tym pyskiem”, a kiedy zaczął całować jej palce, ze śmiechem wyjęła mu je z ust i położyła stopę na jego piersi, na brzuchu, niżej. Podała mu szklankę. „Pij do dna”.

Napój smakował cynamonem i goździkami i po chwili rozlało się po nim ciepło i spokój, od żołądka aż po koniuszki palców.

Zapaliła papierosa dużą marmurową zapalniczką i rzuciła ją na fotel; zgasła w locie. Zanurzyła końcówkę papierosa w popielniczce, zaciągnęła się głęboko, a w jej oczach rozbłyły zielone ogniki.

Strzepnęła popiół na podłogę, ponownie zanurzyła papieros w popielniczce, podała mu, wziął go z jej ręki. Dym wypełnił całe płuca, czuł to dokładnie, i nagle coś eksplodowało mu w głowie, tak jak wtedy, gdy zdjęła sukienkę. I jeszcze jedna eksplozja, i kolejna... To wszystko go uniosło. Drugi raz garota na skroniach, ale tym razem delikatna, pieszcząca, zaciśkana tak, że można było o niej marzyć. Roztapiał się w sobie, ale mógł patrzeć już tylko na nią.

„Dasz mi papierosa?”, i dłoń gładzi go po brzuchu.

Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć.

On oparty rękami o ścianę, ona pomiędzy nim a ścianą. Cały w jej ustach.

Trzydzieści.

Galopowała na nim. Czuł wszystko: każdy włos dywanu, niedopałek papierosa, z kokainą, o czym dowiedział się później, jej kolana na swoich bokach, ostre paznokcie na piersi. Prędzej zainteresowałby się dywanem niż bólem, a ten nie zajmował go zbyt długo.

Trzydzieści trzy, trzydzieści cztery.

Coraz słabiej widział jej twarz, coraz mocniej stawała się plamą pośród drucików miedzi. Zaczęła się kołysać, do przodu i do tyłu, a on każde przesunięcie jej ciała odczuwał jako wielką...

Trzydzieści pięć, trzydzieści pięć, trzydzieści pięć.

Poświata wokół jej włosów, nie wiedział, czy przez te żarówki na ścianie, czy to halucynacja, nie ogarniał tego, skupiony tylko na jej twarzy. Teraz włosy były białe.

Światło. Uderzyło go światło.

Motorniczy zadzwonił gwałtownie, gdy Janek o mało nie wślazł na tory oślepiiony przez słońce.

Broniszowa siedziała na łóżku w czarnej wdowiej su-

kience, trochę takiej, jaką miała kobieta na obrazie.

– Co pan Janek taki przestraszony? Kawę panu przyniosłam, bo już szósta, a pan jeszcze nie wstał. Oj, musiał pan Janek zarządzić, oj, musiał.

Roześmiała się, a on poczuł dziwne łamanie w kościach. Dorota. Kiedy powiedziała mu, jak ma na imię? I czy to on o nie zapytał, czy powiedziała mu sama? I jak miał teraz do niej mówić? „Proszę pani”?

Podziękował Broniszowej za kawę, upił łyk. Zbożówka. Zrobiło mu się trochę lepiej. Dobrze, że nie ma Majewskiego, choć przecież ciągle tu śmierdzi. Dziś, pewnie jak co sobotę, była kapusta i ziemniaki. Potem sobie odgrzeje, gdy będzie mógł już wstać. Na razie ledwie zdołał zdjąć buty i marynarkę.

Pozbierał się około dziesiątej. Paskudne mdłości i dziwne uczucie, że ktoś rozciąga mu kości, już właściwie minęło, za to na krześle obok siedział Majewski i wietrzył stopy.

– No, panie Bednarek, jak to tam u was w Mazowieckiem mówią: „Cicha woda”? A toś pan taki nabzdryngolony wrócił, żeś do wieczora spał z przerwami.

Majewski czyścił sobie paznokcie scyzorykiem z zatar- tym symbolem teatru rządowego, pochodzącym z czasów, gdy chadzał jeszcze do teatru.

– Pan się napije, panie Bednarek, jeszcze zimna, w piwniczce w Radości był kawałek lodu. Ale ja już chyba tam robić nie będę.

Normalnie Bednarka otrzepałoby na widok kielicha wódki podanego przez jak zawsze cuchnącego Majewskiego, ale nie dziś. Wziął, podziękował, wychylił. Zrobiło mu się zdecydowanie lepiej.

– A czemu to, panie Majewski, nie chce pan robić w Radości? Przecież pan sobie chwalił, że dobrze płacą. A może pa-

na wyrzucili za organizowanie ich narzędzi?

Majewski z godnością uniósł głowę, ale szybko ją opuścił i ponownie polał Bednarkowi, jednak mniej niż za pierwszym razem. Ten wychylił bez namysłu.

– Nie, panie Bednarek, nie za organizację, a płacili dobrze, fakt, ale ja jestem gospodarski syn i z władzą nie chcę mieć nic wspólnego. A tam dzisiaj policja i pogotowie, i jacyś wojskowi, z tym Putremem byli.

– A czemuż to, panie Majewski?

– A temuż, że pani pracodawczyni się zastrzeliła.

Bednarek poczuł, że właśnie coś się zaczyna. Dziwne, bo po tym, co się zdarzyło tej nocy, myślał, że nigdy nie będzie już miał takiego wrażenia. Majewski, widocznie zadowolony z efektu, jaki wywarła jego wypowiedź, ciągnął dalej:

– Z pistoletu swojego męża się zabiła. Dopiero dzisiaj widziałem go pierwszy raz, znaczy się pierwszy raz wiedziałem, że to mąż, przedtem tylko raz był i to akurat jak wyjeżdżał. Musiał być nocny marek albo w ogóle w domu nie bywał.

Bednarkowi zrobiło się jakoś tak słodkawo w ustach.

– A kiedy się zastrzeliła?

– Podobno wieczorem. A przedtem ktoś do niej dzwonił i rozmawiała spokojnie, apotem poszła do gabinetu męża, i po chwili się zastrzeliła. Podobno list zostawiła. A mąż to pobladł tak naprawdę, dopiero jak wojskowi się zjawili, bo ona była córką tego pułkownika, co do sprawy przyjechał. Znaczy Putrem z domu.

Słowa ledwie przeszły Bednarkowi przez ściśnięte gardło:

– A po... khm... A po mężu jak?

– Krewicz. – Majewski polał sobie i wypił.

Bez pytania nalał i podał Bednarkowi, któremu teraz

naprawdę zrobiło się słabo. Ale zebrał się w sobie, chociaż jego głos brzmiał obco:

– A skąd pan wie to wszystko, panie Majewski? Przecież policja panu tego nie powiedziała.

Majewski lekko się zmieszał, ale odzyskał rezon i stwierdził:

– Służąca bardzo płakała, a że to krajanka mojego szwagra, to się pocieszało w hoteliku. Kiedyś pokażę panu gdzie, niedrogo...

Bednarek wypił po raz trzeci, zwlókł się z łóżka, założył marynarkę i poszedł do kibla na korytarzu. Siedzenie z Majewskim było ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył.

Dołem ciągnęło. Usiadł na grubej opuszczonej desce, ale kiedy stwierdził, że i ona jest przesiąknięta wilgocią, jak cały kibel i cały korytarz, podciągnął nogi i tak zastygł, kucając na muszli. Wiedział już, co ma zrobić. Ma przyjść, z wdziękiem wyminąć Ostoję i powiedzieć Dorocie, że chce jeszcze raz. Kurwa. Tak. Pójdzie tam we wtorek, przecież i tak ma lekcję.

Wszedł do kuchni, zjadł kilka zimnych ziemniaków i przegryzł je kawałkiem zastygłej, ale tłustej i smacznej kapusty. Nieraz bywało gorzej, a on jeszcze żyje. Może dlatego, że akurat jemu nie powiedziała nic „osobistego”. Dopiero teraz to zrozumiał i przeszedł go dreszcz, jeszcze silniejszy niż w pełnym przeciągu kibla.

Gdy wrócił do pokoju, spostrzegł, że Majewski wyciągnął nową butelkę.

– Tak, mam już nową pracę. Ale jutro – wolne. Od pojutra robię trzy oficerskie ogródki na Szustra. Może przynajmniej zginą na jakiejś wojnie, a nie w domu. – Nagle się zreflektował – a tfu, żeby jakiej wojny tylko nie było. O Panie, niech różga gniewu twego ustanie i zlituj się nad sługami two-

imi.

Majewski, gdy sobie popił, lubił popadać w biblijne tony. Nie był w tym zbyt wierny tekstowi Pisma, ale nadrabiał to zaangażowaniem, jak przystało na syna pewnej praczki i proboszcza z Brzoskwini. Bo takie to były „gospodarskie” korzenie Majewskiego.

Bednarek upił się dokumentnie, a ostatnie słowa, które do niego dotarły, brzmiały: „Gdyby wasza wiara była jak ziarnko gorczycy, powiedzielibyście tej wierzbie: »Wyrwij się z korzeniami i przesadź do morza!«, a by się wyrwała i przesadziła. Siulim, panie Bednarek”.

Potem nie pamiętał już nic.

Gdy we wtorek przyszedł do mieszkania Fidelskich, Ostoja otworzył mu tak, jakby nie widział go tamtej nocy, a służąca na pytanie o „panią” tylko szerzej otworzyła oczy:

– Pieniądze ja mam panu dać. Dziesięć złotych, tak jak ostatnio.

Nie pozostało mu nic innego, jak tylko powiedzieć głupie „dziękuję” i uczyć „panicza młodego pułkownika”, który zresztą poprosił, aby mówić do niego Marek, podczas gdy do Bednarka zwracał się nieodmiennie per „panie korepetytorze”. Janek zauważył, że chłopiec przygląda mu się ukradkiem, choć podczas pierwszej lekcji patrzył wyłącznie na kartkę.

Podczas następnej lekcji Doroty nie było, podczas kolejnej także. I w końcu Bednarek zapytał.

Chłopiec spojrzał na niego smutno i powiedział:

– Dziwię się, że pan korepetytor dopiero teraz pyta. Od razu było widać, że pana korepetytora skręca.

Janek nie wiedział, co powiedzieć. Chłopiec dokończył kreślenie figur, nie czekając na opinię, podziękował i podszedł do przeciwległych drzwi.

Odwrócił się i teraz Bednarkowi wydawało się, że patrzy na niego stulatak.

– Pan jest miły, panie korepetytorze. Ona pojechała do Berlina, wraca za tydzień. Mężczyźni powinni sobie pomagać. Do widzenia.

Tego dnia był dziwnie spokojny. Dziwnie, bo jakoś zawsze, kiedy o niej myślał, dygot powracał, ale dziś nie.

Kolejna lekcja minęła normalnie. Nie pytał Marka o nic, ten kreślił figury i rozwiązywał wzory na pola powierzchni. Gdy Dorota weszła do pokoju, chłopiec natychmiast lekko się spiął. Bednarek mógł to dostrzec, bo sam przeżył to samo.

Jej spojrzenie było spokojne, ale nie obojętne. Krótka sportowa kurtka i spodnie, włosy, z tym stałym połyskiem miedzi, upięte w kok. Z jakiegoś powodu uznał, że do kompletu brakuje tylko szpicruty.

– Panie Janku, niech pan po lekcji przyjdzie do mojego gabinetu.

– Już kończymy – powiedział Marek. Pewnie, ale z lekką rezygnacją.

Dokończył zadanie, pożegnał się i także opuścił pokój. Bednarek musiał poprosić Mariannę o pomoc w znalezieniu gabinetu, który okazał się raczej czymś pośrednim pomiędzy gabinetem a buduarem w stylu chińskim. Piękne, ciemne parawany z żurawiami, lampiony, kilka kolonialnych mebli i mały stolik inkrustowany ląką, postawiony na wyższym, tekowym, tak aby dało się na nim pisać, siedząc na wygodnym foteliku. Fidelska stała z, jak zdążył się zorientować, nieodłącznym kieliszkiem. Bawiła się gałązkami rozsypanymi na blacie. Podrzuciła je dwukrotnie i zmarszczyła brwi.

Odstawiła kieliszek i zbliżyła się do Bednarka. Ujęła go pod brodę. Mocno, bez delikatności. Nie odsunął się, ale też i

nie poddawał jej uściskowi. Rozbawiło ją to chyba, bo roześmiała się i polizała go w ucho.

– Tylko sobie za wiele nie wyobrażaj.

Uklękła przed nim, a Bednarek nie dziwił się już niczemu. Tym bardziej że nie było już Janka Bednarka, lecz jedynie pozbawiony jakiegokolwiek refleksji dodatek do zakończeń nerwowych. Usta Doroty brały go głęboko, czuł, jak dotyka rozluźnionych mięśni gardła. Potem... nie było żadnego potem.

Rozsmarowała go sobie po twarzy, nie starta – rozsmarowała dokładnie, jedwabną chusteczką, pocałowała go i czuł na jej ustach swój własny smak. Przez myśl przebiegła mu stodoła w Baszowie, kiedy próbował własnych wydzielin. Tak o tym wtedy myślał: „wydzielin”, taką miał książkę do biologii, a w naukę wierzył.

Podeszła do kolejnych drzwi. Ten dom chyba cały był przechodni.

– Powtarzam – nie wyobrażaj sobie za dużo.

Roześmiała się, a połysk na jej twarzy znowu stał się całkowicie naturalny. Kiedy wyszła, Bednarek poczuł chłód i dopiero wtedy uświadomił sobie, że jego spodnie są wciąż opuszczone.

Na uniwersytecie szło mu coraz lepiej i właściwie w dwa miesiące nadrobił wszystko, co przedtem zaniedbał przez bieganie na słabo płatne korepetycje. Sesja poszła mu znakomicie, dostał też nagrodę za pracę o całce Lebesgue’a. Dziekan osobiście mu pogratulował i wspomniał coś o skromnym, ale stałym, stypendium.

Ciągle był korepetytorem, ale mimo to znajdował czas na świeżo odkrytą wódkę, na książki i na Dorotę. Ta zresztą nie pozostawiała mu żadnych złudzeń co do tego, kto do kogo ma się dostosować.

Skończył się rok akademicki, Bednarek nie miał nic do roboty. Do domu nie chciał jechać, po co? O ile czuł jakiś związek z rodzicami, o tyle brat, ponury i zajęty wyłącznie gospodarką, nie był dla niego nikim szczególnie ważnym. Bednarek pogodził się z tym, że zerwie wszelki kontakt z Kaszowem. Czasem tylko myślał o tym, jak podobne były do siebie twarze jego, brata i ojca, kiedy wspólnie zasiadali nad miskami okraszonych ziemniaków i żuru. Kwadratowe głowy, łysiejące czaszki. Broda ojca, wąsy brata i jego ogolona szczęka. Jakby zmiany owłosienia twarzy rodu Bednarków pokazywały odejście od starożytnego całkowicie owłosionego przodka. Na rzecz... Właściwie nie wiadomo kogo, bo ewolucja linii Bednarków zaczynającej się na Janku obejmowała chyba również naddatek w postaci okularów. Takie ostatnio zaczęły go nawiedzać myśli. Po raz pierwszy w życiu patrzył na siebie z boku. Zaczynał rozumieć, gdzie jego myślenie jest blokowane i jak dalece różni się od swoich kolegów, dla których matematyka, nauka i kariera akademicka były celami samymi w sobie. Łapał się na tym, że dla niego studia stanowiły raczej środek do osiągnięcia celu. Nie wiedział tylko do końca, co to za cel. Nie zastanawiał się zresztą nad tym zbyt mocno.

Na początku lipca Dorota wyjechała razem z Markiem na Maderę i pierwsze trzy tygodnie spędził na kolejnych papojkach z młodymi matematykami i na rozmyślaniach.

A rozmyślał o tym, że świat nie jest już taki poukładany. Że zaczyna go czuć własną skórą, że letnie słońce ma prawdziwy kolor i blask, i że po raz pierwszy od czasów dzieciństwa wydaje się sobie młody, a jednocześnie dojrzały. W niecałe dwa miesiące został „Gwiazdką matematyczną”, jak mawiał o nim roześmiany dziekan, a jego słów słuchano w salach wykładowych i przy kawiarnianych stolikach na „sabatach”

matematyków.

Myślał też o tym, co stało się z Krewiczową i o „słowach osobistych”, a także o Krewiczu, który miesiąc później wyjechał z jakąś misją dyplomatyczną do nowo powstałej Słowacji. Pisały o tym zarówno ludowe dzienniki, które czytał Majewski, jak i katolickie i, jakże by inaczej, narodowy „Orędownik”, którego lektura, poza modlitwą, gotowaniem i dogadywaniem sublokatorom, była ulubionym zajęciem babki Broniszowej.

Myślał o synu Doroty, o tym, że mąż pułkownik mógłby równie dobrze nie istnieć, za to z pewnością istniała jej babka. To dziwne, ale często wyobrażał sobie Dorotę w takiej staromodnej czarnej sukni, w jakiej widział kobietę na portrecie. Ale ta myśl była w jakiś sposób chora, odpędzał ją od siebie.

Myślał o tym, kiedy ona wróci z Madery i czy będzie się z nim nadal porozumiewać małymi karteczkami w zaklejonych kopertach, które razem z pieniędzmi za lekcje przekazywała mu Marianna. Właśnie taką kartką, dzień przed wyjazdem, wezwała go do jakiegoś małego pokoiku w biedniutkim hotelu. Czekala tam już, siedząc na brudnym parapecie w samej halce z dziwnego siniego jedwabiu. Wtedy myślał głównie o jej umiejętności dopasowywania się do łóżek, wnęk i mebli. Później, przez przynajmniej godzinę, nie myślał już o niczym.

A teraz zbliżał się dzień jej powrotu i Janek zdał sobie sprawę, że stracił głowę beznadziejnie i do reszty.

Marek przyjechał opalony, ale chyba jeszcze smutniejszy niż przedtem. Bednarek próbował wypytywać go o wrażenia z atlantyckiej wyspy.

– Bardzo ciepło. Jedzenie paskudne, ale dobre owoce. I ludzie jacyś tacy... Mali, czerniawi.

Z wyraźną ulgą wrócił do zadań.

Po lekcji Dorota poprosiła przez Mariannę, żeby Janek

przyszedł do salonu na herbatę porozmawiać o postępach w nauce.

Siedziała opalona, z kilkoma piegami na nosie, nie próbowała ich nawet tuszować pudrem. Wyglądały doskonale, dopełniane nową, falowaną krótką fryzurą i białym, ni to arabskim, ni to kolonialnym kostiumem. Okna ciemnego salonu były otwarte na oścież. Wpuściła lato do domu.

Nalała mu herbaty o kwaśnym, owocowym zapachu, chyba z hibiskusa. Spojrzała stanowczo i zapytała, czy Marek nie opuścił się w nauce przez ostatni tydzień.

Dopiero teraz, siedząc naprzeciw niej, Janek poczuł, że czas, gdy była na tej cholernej wyspie, był czasem jałowym i straconym, że teraz, właśnie teraz, świat wraca na swoje miejsce. Może oddychać i smakować, tak jakby przez ostatnie dni był pogrążony w letargu, nawet o tym nie wiedząc. Patrzył jej w oczy i plótł, że Marek to zdolny uczeń, że dodatkowe zadania, że z pewnością, tak, nie, ależ oczywiście, a wszystko aż w nim krzyczało: „Opuścił, nie opuścił, co za różnica, czemu nie było cię tak długo?”.

– Znakomicie, jestem bardzo zadowolona z nauczyciela Marka.

Kurwa. Tak to powiedziała: „z nauczyciela Marka”. Oboje unikali form ty, pan lub pani, aby nie zadeklarować wprost, że pamiętają dość oczywiste sceny wysysania soków i wzajemnej dobroczynności. Ciekawe, czy uprawia takie dwójstwo ze wszystkimi facetami, z którymi sypia, czy to atrakcja specjalnie dla niego?

Potem poprosiła go o wyjaśnienie jakiegoś problemu z *Beiträge zur Begründung der transfiniten Mengenlehre* Cantora. Gdy zapytał, skąd ma tę książkę, pierwsze niemieckie wydanie, odparła, że po babci, i zaproponowała mu coś mocniej-

szego. Madera i wlewające się przez okno lato niczego nie zmieniły w jej zachowaniu. Nadal piła, nadal była wyzywająca bez względu na to, co mówiła i czym się aktualnie zajmowała. A on ciągle chciał jej. Nikogo ani niczego innego.

Gdy dolewała sobie, zawiesił wzrok na portrecie babki. Światło wpadające przez okno pozwalało teraz dostrzec jedynie połowę jej twarzy i Janek spojrzał na wpatrujące się w niego oko. Wstał i zrobił kilka kroków. Zadzwonily szklanki. Odwrócił się i gdy Dorota zwróciła jego uwagę dźwiękiem szkła, stał już przed obrazem, wpatrując się w to puste i niewidzące oko. Dostrzegł wiszący na ramie obrazu niewielki szary gałganek i bezwiednie wyciągnął do niego rękę.

– Nie! Zostaw to! Proszę to zostawić!!!

Odskoczył, a między nim a obrazem pojawiło się to samo napięcie, które poczuł tej nocy, gdy umarła Krewiczowa. Cofnął rękę i wbił wzrok w Dorotę, która odrzuciła głowę do tyłu, przygryzając dolną wargę, w geście, który musiał robić wrażenie, kiedy miała dłuższe włosy. Niezadowolona z efektu, opuściła głowę i znów spojrzała na Bednarka.

Usiadła na przywieszonej w zeszłym tygodniu skórzanej kanapie, która nie pasowała co prawda do reszty pokoju, ale była bardzo wygodna. Cóż tu zresztą pasowało? Na pewno nie Bednarek. Wskazała mu miejsce obok siebie, usiadł, a ona położyła mu rękę na kroczu, tak naturalnie, jakby podawała mu dłoń na powitanie. Spróbował pogładzić ją po włosach, ale gwałtownie się odchyliła. Chwilę patrzyła na niego półprzykniętymi oczami, zaczynając go jednocześnie masować stopą przez płócienne letnie spodnie. Wypiła całą szklanekę, oblizała wargi i spytała bezbarwnym głosem:

– Tęskniłeś za mną?

Właśnie w takich chwilach przerażała go najbardziej.

Kiedy na moment, na mgnienie oka, kojarzyła mu się ze staruchą.

– Tak.

Jej stopa pracowała szybciej. Odstawiła szklanekę i chwyciła go za podbródek. Usiadła na nim okrakiem.

– Oj Bednarku, Bednarku.

Po wszystkim pogłaskała go po twarzy i podała mu szklanekę.

– Pojenie spragnionego. Uczynek miłosierny względem ciała. Wpadłeś w *little death*, chłopcze...

Nie znosił, jak traktowała go jak dziecko, ale teraz próbował po prostu dojść do siebie.

– Trzeba cię jakoś ogarnąć. Jesteś miły. Coś z ciebie będzie, ale teraz się marnujesz. Trzeba ci parę rzeczy pokazać. I nie będzie od parady, jeśli ciebie też się pokaże.

Kolejne tygodnie uczyniły go innym człowiekiem. Budził się w najdziwniejszych miejscach, a kiedy nie udzielał lekcji Markowi, cały czas spędzał z Dorotą, pijąc w mieście. Poznał grupę młodych poetów i pisarzy, jak sami o sobie mówili: neopostfuturystów, którzy z dawno przebrzmiałego futuryzmu zrozumieli tyle, że trzeba „zajebać wszystko, co jest”, jak głosił tytuł jednego z wierszy programowych. Ponieważ jak dotąd niczego nie drukowali, a ich lider, Krajeński, był uznawany za „warszawskiego człowieka” sanatora i satanisty Kostka-Biernackiego, robili nawet dobre wrażenie.

Bednarek nie pisał, był na to zbyt bystry, ale za to pił z nimi, przeważnie za darmo, od czasu do czasu wygłaszając jakieś bełkotliwe stwierdzenia o nieskończoności. Kiedy przespał się z dwiema poetkami (o czym Dorota wiedziała i co nie przeszkadzało jej w najmniejszym stopniu), w trosce o swą moralność i wątrobę przestał bywać na spotkaniach literatów.

Tak mijały pierwsze i prawdziwe wakacje w jego życiu. Czas, który już zawsze musiał pamiętać. Nie: chciał, nie: mógł – musiał. I wiedział, że bez względu na to, co jeszcze się wydarzy, są rzeczy, które będzie pamiętał już zawsze.

Jej stopy na rogach stylizowanej abstrakcyjnej rzeźby-fotela. Jak mawiał autor dzieła i okazjonalny kochanek Doroty, Izydor: „To prawda. W tych rogach jest jakaś prawda”, lecz gdy ktoś pytał: „Ale jaka prawda, Izydorze?”, patrzył długo coraz bardziej mokrymi oczami i w końcu oznajmiał: „Nie, jak tak nie mogę... To za trudne” i prosił o pożyczanie stu złotych. Złośliwi mówili, że na problemach interpretacyjnych związanych ze swą sztuką zarabiał więcej niż na samych dziełach, co do których miał wątpliwości. Choć przecież Izydor był naprawdę utalentowany. Potrafił na przykład zorganizować orgię na za plecach Zachęty. Choć nie wiadomo, czy udawało mu się przekonać obsługę uczestnictwem w tych sezonowych radościach, czy po prostu była to przyjęta praktyka, ale Dorota tam bywała, a Janek razem z nią.

O jej stopach myślał właściwie najwięcej, co najmniej tak mocno jak jeszcze do niedawna o schodach prowadzących na górę galerii i fasadzie w marnym klasycyzmie, który dawniej wywoływał u niego dreszcze. Takie to było eleganckie. Teraz on, Janek z Kaszowa, ujeżdżał panią pułkownikową na spiżowym grzbiecie Izydorowego rzeźboroga, w pełnym oświetleniu, pomiędzy rozrzuconymi ubraniami: solidnymi kamaszami, spodniami, sandałkami i lekką letnią sukienką.

Pamiętał dłonie trzymające framugę drzwi, za którymi pan Ostoja próbował udawać, że go nie ma. Chociaż nie mógł już udawać, po prostu się nie dało, nie mógł żyć dalej ze swą cieciovą godnością, kiedy „pani pułkownikowa”, dysząc, opierała się o jego drzwi.

Plecy. Z groszowych wydawnictw dla czeladników szewskich i perwersyjnych panien kuchennych, spragnionych gęstych od spermy historii, takich pół pornograficznych *Trędowatych* dla jeszcze uboższych duchem, znał określenie „podniecająca linia jej pleców”. Nigdy nie udało mu się rozwikłać, co to tak naprawdę znaczy. Jeszcze w Kaszowie czytywał na głos niektóre z tych dzieł miejscowym dziewczynom, które maślanily się, pod każdym względem. Teraz dowiedział się, w jaki sposób linia może być podniecająca. Tak jakby jego wzrok stał się kamerą, a plecy Doroty fragmentem krajobrazu.

Miała wspaniałą skórę, ciepłą i delikatną, tą delikatnością drobnych porów. Kiedy wysychała, widział je dokładnie, obkurczone jeszcze mocniej niż zwykle. Łapał się na tym, że na usta cisną mu się najbardziej cliwe określenia. „Oczy jak gwiazdy, słońce i księżyc pod stopami...”. Po raz pierwszy pomyślał, że nie jest już dzieckiem. Chyba niesłusznie.

I piersi, miękkie, duże, ale nie obwisłe. Często wychodziła bez stanika, pozwalała im tańczyć, szczególnie w słoneczne dni, kiedy mogła łapać spojrzenia wpatrzonych w nią mężczyzn. A tego lata było wiele słonecznych dni. Gdy zakładała letnią sukienkę i słomkowy kapelusz, wyglądała jak starsza koleżanka ze studiów albo może kuzynka. Nadeszły upały i chodziła ulicami Warszawy w jakimś widzie, a on chodził razem z nią. Piła właściwie przez cały czas i wtedy starzała się gwałtownie, by młodnieć z kolejnym kieliszkiem.

Gdy był na tyle trzeźwy, żeby zobaczyć świat pomimo wódki, kokainy, laudanum i papierosów, mógł dostrzec jej metamorfozy. Młoda dziewczyna w jasnym świetle ulicy, w łóżku dojrzała kobieta, a chwilę później leżąca obok mała, maleńka dziewczynka. I jeszcze ten moment, o którym najpierw myślał, że jest złudzeniem, odpowiedzią mózgu na wyczerpanie, gdy

ostre światło padało na jej twarz. Widział, jak jej włosy lśnią nagłym srebrem, a na jej wciąż gładkiej twarzy pojawia się starość. Czasem to wszystko zabierało ledwie kilka minut. Wejście do jakiegoś hoteliku, gdzie pluskwy walczyły o lepsze z brudem – nie wiedział dlaczego, ale lubiła takie miejsca – potem bardzo szybki seks i powrót do światła. Starał się nie dostrzegać szyderczego wzroku portierów, często równie brudnych jak te hotele.

Schudł i ostrzygł się do skóry. Gładziła go po nieogolonej szczęce i ze śmiechem mówiła, że wygląda jak Majakowski z okładki Szczuki. Obstałował sobie trzyczęściowy garnitur, ale na co dzień chodził w spodniach z grubego płótna i luźnej koszuli. „Nie lubię, kiedy masz na sobie zbyt wiele ubrań”, mówiła, zrzucając swoje. Szczupłość uwydatniła jego mięśnie, chłopskie, ususzone, a jednocześnie twarde jak węzły, jeszcze mocniejsze od pływania i seksu. Szczególnie wzmocniły się jego nogi. Lubiała oplatać go swoimi i kochać się na stojąco, wyglądali wtedy jak para zastygła w tańcu. Za pierwszym razem o mało nie stracił przytomności, zrobiło mu się ciemno przed oczami i gdyby nie stała za nimi kanapa, prawdopodobnie coś by sobie połamał, przygnieciony ciałem Doroty, albo przynajmniej stłukł tyłek. Ale nic się nie stało. Nic nie stało się również wtedy, gdy przesadzili z kokainą i zaczął wymiotować, a z nosa pociekła mu krew. Nachylając się nad nim, gładziła go po skroni i mówiła, że wszystko będzie dobrze i żeby połknął tę pastylkę, a na pewno się uspokoi. Zobaczył w niej wtedy coś bardzo starego. Na pewno starszego niż ona, na pewno starszego niż jej babka, starszego niż cokolwiek, co znał.

Pewnego dnia powiedziała:

– Bądź jutro o trzeciej pod kamienicą Hersego. I ubierz

się ładnie.

Śmiała się nie wiadomo z czego, a on nie zadawał pytań. Ubrał się jak zwykle. Wiedział, że jeśli ceni w nim cokolwiek, to właśnie to, że w przeciwieństwie do jej znajomych, adoratorów i zwykłych przechodniów, którzy zagnieździli się w jej życiu tylko po to, żeby je ubarwić, nie zwraca uwagi na zewnętrzność.

Z Kredytowej poszli na Jasną, na – jak powiedziała – „coś w rodzaju inteligentnego rautu”, do Izydora. Kiedy Janek wszedł do mieszkania, zwrócił uwagę na wielkie *panneau* z ciemnym kutasem i renesansowe meble, które musiały kosztować majątek. Mieszkanie było pełne tego wszystkiego, co mogła zaproponować Warszawa końca lat trzydziestych: na tyle nowoczesna, aby starać się nawiązać do Paryża, i na tyle przestarzała, że panowały tu jeszcze niektóre żelazne mody z czasów, kiedy dużo weselej było w Berlinie. Z Berlina przysłała zapewne morfina, którą wstrzykiwano sobie w gabinecie. Dorota nigdy nie chciała się kłuć. „Igły źle mi się kojarzą”, powiedziała kiedyś. Laudanum – tak. A kokainę najczęściej piła z szampanem.

Towarzystwo było porozbijane na grupki, pomiędzy którymi krążyła Dorota, roznosząc kokainę na cynowej tacce ze srebrną rurką i utrzymując w stanie czuwania tych, którzy zaliczyli już wizytę w gabinecie. Bednarek stał przy fortepianie, na którym podstarzała dama w boa ze strusich piór wygrywała melodie, od Brechta po kinowe szlagiery, i śpiewała przerażającym falsetem.

– Chodź już. – Fidelska podeszła do Janka od tyłu i objęła go. Spojrzenia zebranych zrobiły się czujne. W końcu poza dwoma dziubasami, jednym byłym popem, usilnie próbującym zostać warszawskim Seliwanowem, i jednym emerytowanym

pułkownikiem, który przed widmem złamanej kariery uciekł w morfinę, wszyscy mężczyźni w tym pokoju chcieli ją wydyrać. Spora część kobiet zresztą też.

– Chodź, mam dość tego nie wiadomo czego. – Spojrzała z obrzydzeniem na podstarzałą diwę. Nachyliła się bliżej i mówiła mu prosto do ucha – to facet, kochanek kogoś w MSZ-cie. Nie wiem, kto go tu przyprowadził, potrafi zawyć dokładnie wszystko.

Obróciła się kilkakrotnie, jak w tańcu, a Bednarek nie mógł pojąć, w jaki sposób udaje jej się jednocześnie wirować i wciągać kokainę z trzymanej tacki, ale kiedy się zatrzymała, tacka była czysta, a ona rozpromieniona. Potarła nos, odłożyła tackę na mały intarsjowany stolik, na którym stały również puste kieliszki. Spojrzenia śledziły ją przez cały czas. Wiedząc o tym, oparła rękę o malowidło na ścianie. Jej wargi bezgłośnie powiedziały: „Nudzi mi się”. Słyszał to już tak wiele razy. Wyszepcane, wykrzyczane i wypłakane zaraz po orgazmie, kiedy on dopiero dochodził do siebie. Znał już te słowa i wiedział, że zaraz coś się zacznie.

– Proszę państwa – powiedziała głośno i w pomieszczeniu natychmiast zapadła cisza – rozmowy zmierzają w niewiadomych kierunkach, trzeba podkreślić metafizyczną atmosferę. – Bednarek wyczuł w jej głosie kpinę. Kolejnym pokłosem dawnego, wesołego Berlina, tak innego od tego stojącego na bacność molocha, gdzie wszyscy wymachują sobie do oczu rękami, była ezoteria.

Izydor, przytulony na zydlu do krytyka muzycznego imieniem Zygmunt i przytłumiony morfiną oraz ciepłym męskiego ciała, powiedział z ni to wyrzutem, ni to naganą:

– Doroooooaaaa.

Nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi.

– Wezwijmy kogoś. Z tamtej strony!

Kilka osób przyklasnęło, pozostałym było wszystko jedno. Dobrze odżywiony, szpakowaty mężczyzna, nazywany przez wszystkich Doktorem, wraz z bladym chłopakiem ściętym na pazia przywlekli stojący w rogu pokoju okrągły stół. Jedna z kobiet zasłoniła okno, ktoś inny podstawiał krzesła, a Izydor z wystudiowaną, znudzoną miną pocałował krytyka w policzek i przyniósł tabliczkę.

Ktoś przygasił światło i wszyscy zasiedli dookoła stołu. Bednarek znalazł się pomiędzy kompozytorem a jakąś zamroczoną panną z dobrego domu. Dorota usiadła naprzeciwko. Kiedy palce siedzących przy stole zetknęły się, tworząc okrąg, rozpoczęła inwokację.

Nie było to zwykłe: „Przyjdź duchu”. Zaczęła nucić jakąś piosenkę. Melodia była smępna i dziwna. Jeśli Janek miałby porównać ją do czegokolwiek, co słyszał w życiu, byłaby to pieśń bandosa. W dzieciństwie widział wychudzoną gromadę ciągnącą na zachód w poszukiwaniu pracy. Śpiewali coś takiego i zapamiętał to dokładnie. Ten słoneczny dzień, i ta ich pieśń, i ten widok. A ona nuciła właśnie coś takiego. I nagle zaśpiewała inaczej, głośniej, tak, że aż podskoczył. Jakby w jednej chwili znalazł się w małym drewnianym kościółku, a ona była dziewczynką przystępującą do pierwszej komunii. Zamilkła i opuściła głowę, włosy zakryły jej twarz, potem jej oddech przyspieszył i spojrzała przed siebie. W nikłym świetle wyglądała pięknie i kiedy zamknęła oczy, Janek spostrzegł, że jej rzęsy rzucają cień.

Nad jej głową zaczął formować się jasny owal, który rozmywał się i płynął wewnętrznymi smugami, przybierając różne kształty, by w końcu utworzyć postać. Stara kobieta z obrazu, babcia Doroty, z twarzą wykrzywioną przez wście-

kłość. Po chwili jej piersi i brzuch zaczęły nabrzmiwać, przedramiona napuchły, cała urosła, zwielaśniała i odmłodziła. Siwe włosy stały się grubymi strąkami murzyńskich loków, nos rozpląszczył się, skóra pociemniała. Zaciśnęła swoje tłuste palce na ramionach Doroty i materiał zmarszczył się tak, jakby był dotykany ludzką ręką. Pod jej spojrzeniem Bednarek poczuł się jak w imadle, tak jakby wiedziała o nim wszystko. Dorota zaczęła dygotać, ale to nie ręce Murzynki nią trzęsły, one raczej utrzymywały ją na krześle, powstrzymując siłę rozsadzającą jej ciało. I nagle z jej ust wydobył się pisk, cichy i ohydny, odrzuciła głowę do tyłu i zeszywniała, a Murzynka zniknęła, tak jakby ktoś odłączył od prądu lampę wyświetlającą wielkie przeźrocze.

Janek podbiegł do Doroty, odwrócił ją do siebie, ale wciąż wydawała się nieobecna. Ktoś podkręcił światło, ktoś podał kieliszek koniaku. Odruchowo wypić. Otrząsnęła się, wytarła usta, a Janek spojrzał na zebranych, którzy otoczyli ich kołem. Kiedy Dorota wstała, wszyscy cofnęli się, a dwie czy trzy osoby stojące z tyłu wymknęły się do przedpokoju.

Chwyciła go za rękę i wyszli, nie żegnając się z nikim. Na klatce schodowej dogonił ich Izydor.

– Doroto – krzyknął, patrząc w dół schodów, ona jednak szła, nie zatrzymując się, z opuszczoną głową i wzrokiem wlepionym w stopnie. Podbiegł do niej, a ona pocałowała go w policzek i wyszła z Jankiem na zewnątrz.

Znów szli Marszałkowską, znów w świetle neonów.

– Chyba winna ci jestem wyjaśnienie.

Bednarek milczał.

– Co się stało? Co ty tam widziałeś? Bo coś się stało, prawda?

Dopiero teraz zrozumiał, że Dorota zwyczajnie niczego

nie pamięta.

– Na początku śpiewałaś...

– To wiem. Co potem?

Opowiedział jej.

W świetle kolejnego neonu wyciągnęła papierosa. Pocałowała Bednarka, ale bez tej typowej zaborczości, czule i smutno, inaczej.

– To koniec, Janek. To zaszło za daleko.

Wiedział, że któregoś dnia wszystko się skończy, bo przecież nie mogło trwać, ale teraz poczuł to nagle i wyraźnie. Jakby na weselu, podczas najbardziej ognistego kujawiaka, gdy pary wirują niczym rozkręcone odpustowe frygi, orkiestra po prostu przerwała grę. Pogładziła go po twarzy, przechylił głowę, żeby czuć jej dotyk jak najdłużej, zsunęła palce pod brodę.

– Nie, jednak nie będę ci niczego tłumaczyć. Za daleko to zaszło, za dużo, za dużo się zmieniło. A ja jak idiotka uważałam, że można poruszyć każdą strunę tego świata. – Jej oczy zrobiły się wielkie i lśniące, i po raz pierwszy usłyszał, jak drży jej głos. – Nie idź za mną.

Nie poszedł. Patrzył tępo na jej kołyszące się biodra, a kiedy zniknęła w bramie, długo stał przed wystawą pełną czekolad w lśniących celofanach.

* * *

Następnego dnia nie chciało mu się wstawać. I kolejnego także. Kiedy leżał trzeci dzień, Majewski przysiadł obok.

– Baba?

To nie wyjaśniało istoty problemu, ale Bednarek pokiwał głową. Równie ciężko pokiwał Majewski i zaproponował wódkę, jako jedyne rozsądne rozwiązanie. Przepili całą noc, a

Majewski kładł Bednarkowi do głowy, że Bednarek to cipa i żeby się nie dał. I Bednarek postanowił się nie dać. Postanowił się pożegnać. Albo zrobić cokolwiek – byleby ją zobaczyć, przynajmniej na moment. Do tego jednak trzeba było znaleźć ją na mieście. Sądząc po incydencie z Krewiczem, odwiedziny nie wchodziły w grę.

Do rozpoczęcia roku akademickiego został okrągły miesiąc. Janek siedział Pod Złotym Koralem i pił. Piąty, szósty wieczór? Zostało mu jeszcze sporo pieniędzy zarobionych korepetycjami, trochę też zaoszczędził, nie płacąc praktycznie za nic, poza wódką.

I kiedy ją zobaczył – z Izydorem, ptasiogłowym i przystojnym majorem w cywilu – aż coś w nim zawyło. Właściwie nie wiadomo było, czemu major tu jest, poprzedniego dnia ogłoszono przecież mobilizację. Bednarek miał stawić się dopiero drugiego września. Całe miasto żyło ewentualną wojną z Niemcami i myślą, czy polska armia zdąży wkroczyć do Berlina, zanim wejdą tam Francuzi. Mówiło się o kopaniu okopów, sypaniu umocnień, zabezpieczaniu domów i o tym, czy podczas wojny użyją gazów.

Ale Bednarka niewiele to obchodziło. Patrzył na nią i po prostu zastygł. Nagle poczuł, jakby był częścią tego prądawnego układu, w którym starsze kobiety i szukający swojego miejsca młodzi mężczyźni spotykali się codziennie, pod każdą szerokością geograficzną i w każdym miejscu na świecie. Jakby on i Dorota powtarzali tę samą, podaną już w milionach odsłon, historię. Taką, której nie da się opowiedzieć do końca, ale nie można też przerwać jej w połowie.

Wypił jeszcze raz, przemógł się i wstał. Starając się iść prosto, ruszył w stronę Doroty i jej towarzystwa. Major z niechęcią słuchał ptasiogłowego, Izydor z niesmakiem pił koniak,

a recenzent teatralny przywłókł do stolika obie towarzyszki i właśnie szeptał im, jakie to ważne postacie siedzą obok. Nachylał się do ucha to jednej, to drugiej. Po twarzach pańienek widać było, jak bardzo nie rozumieją, co do nich mówi, a recenzent najwyraźniej czepiał się swojej namiastkowej znajomości z ptasiogłowym.

Janek podszedł do stolika.

– Chciałem się pożegnać.

Towarzystwo zamilkło, spoglądając na Janka z mieszaniną irytacji i rozbawienia. Poza Dorotę. Ona patrzyła w zupełnie innym kierunku.

Major przełknął koniak i powiedział niskim, modulowanym głosem:

– Chyba nie do końca wiesz, z kim rozmawiasz, chłopcze, i myślę, że warto ci to wytłumaczyć.

– Zamknij się, Komorowski. – Spokojny głos Doroty był pełen wściekłości. – Zamknij się, bo powiem, co robisz ze swoim adiutantem na manewrach i pucybutem na co dzień.

Cisza. Nawet akordeonista zamilkł i patrzył na nich. Major spurpurowiał, ale tego Bednarek już nie widział, wypychany z knajpy przez Dorotę.

Kiedy wyszli, pocałowała go.

– Poczekaj tu, zaraz wrócę.

Zniknęła w drzwiach, a on dygotał, trochę z zimna późnoletniego wieczoru, a trochę dlatego, że jednak była z nim, że coś jeszcze trwało, ostatnia rzecz, która trzymała go w jednym kawałku.

Kiedy pojawiła się z powrotem, nie mówił, że tęsknił i wył. Nic nie mówił. Patrzył. Zawsze czuł, że z jej wiekiem jest coś nie tak, że pływa pomiędzy dziewczęcością a starością, ale dopiero w marnym świetle wiszącej na drucie lampy zobaczył,

jak bardzo jest stara, nie wiekiem, nawet nie tym nieustannym balem przemieszonym z papojką, w które zamieniła swoje życie. Ta starość biła z jej środka, z wnętrza.

Zapaliła papierosa i patrzyła na Janka, długo, poważnie. Zaciągnęła się mocno, rzuciła niedopałek w mokry mrok i pocałowała go. Chciał ją objąć, ale przytrzymała jego rękę.

– Mów do mnie.

– Co mam mówić? – Przecież nie miał w tym momencie nic do powiedzenia. Chciał tylko być blisko, nieważne, w jakim charakterze, nieważne po co, byle być przy niej. Mógł równie dobrze mówić. Co za różnica?

– Nieważne. Mów cokolwiek, przez chwilę. – Przywarła do niego całym ciałem. – Ja się rozpadam, Janek.

Chciał jej powiedzieć, że on także, ale dopiero teraz dostrzegł to w niej, więc zaniemówił. Makijaż, strój, zapach – wszystko, co kiedyś było jej dopełnieniem, nagle stało się sposobem na przetrwanie. Nawet puder z bliska kojarzył się Bednarkowi z tynkiem. Zaczął jednak mówić, chociaż to raczej coś mówiło przez niego. Czuł, że rusza ustami, i słyszał głos, jakby obcy, i słowa, też jak nie własne. Wódka nałożyła się na zmęczenie i na podekscytowanie spotkaniem. A głos mówił rzeczy, które w normalnych warunkach wywołałyby uśmiech na twarzy każdej pensjonarki. Słuchał samego siebie, jak proponuje Dorocie ucieczkę. Z nim. I z dzieckiem oczywiście. Do Stanów Zjednoczonych, albo i Ameryki Południowej. Wuj Bednarka mieszkał koło Caracas, nawet przysłał mu kiedyś pięć „dularów”, jak to chrzestny – na pierwszą komunię... Kiedy zamilkł, lekko wytrzeźwiał. I może nawet zacząłby się śmiać, gdyby to, co powiedział, nie było takie tragiczne.

Zdał sobie sprawę, że niemal wszystkie pieniądze, którymi dysponuje, a nie było tego dużo, miał od niej, a ona od

męża. „Ja pierdolę”, pomyślał z ostateczną prostotą. Fordanser przynajmniej potrafi tańczyć. Nie miałby nic przeciwko, gdyby go teraz wyśmiała, ale ona pogładziła go tylko po twarzy.

– Daj spokój. Za późno na wszystko. – Właściwie nie było powodu pytać dlaczego. – I dla większości tych, którzy siedzą w tej knajpie, też. Choć może nie dla ciebie...

Drzwi otworzyły się. Jeden z „koralików złotych” wyleciał właśnie na kopie pana Rufusa. Znaczący się – musiał podskoczyć do majora. Szpicel-wykidajło, wracając do swej herbaty i podstołowej butelki, nie omieszkał zmierzyć Bednarka i Doroty wzrokiem, i dojrawszy, z kim ma do czynienia, rozpląnął się w obleśnym uśmiechu, w którym było tyleż oddania pani pułkownikowej (o której mężu mało kto nie słyszał w ostatnich dniach), ile zrozumienia: dama i parobek na siano, gdy pana nie ma w domu. Plus całej sytuacji był taki, że zamknął drzwi knajpy, tłumiąc muzykę i głosy pijących. „Koral złoty” potoczył się w dół ulicy, prawdopodobnie w ogóle nie wiedząc, co się z nim stało. Po chwili z mroku dobiegły odgłosy rzygania.

– Każdy ma swoje przeznaczenie. I ja, i ty, i ten pijaczek, i ten szpicel. – Zapaliła następnego papierosa. Bednarek poczuł, że razem z pojawieniem się pana Rufusa coś się zmieniło.

– A ty swoje znasz, prawda? – Teraz głos Bednarka zabrzmiał głucho.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę.

– Nie, dokładnie nie znam. Ale z pewnością lepiej niż wielu innych.

– To może mi powiesz, jakie jest twoje przeznaczenie?

– Łatwiej byłoby powiedzieć o twoim. Ale to nic dobrego: wiedzieć, co się stanie.

Zrozumiał, że najważniejsza część rozmowy jest już za nimi.

– Zaczyna się czas umierania, Janek. Ty masz szansę. Za mnie już zadecydowano.

– O czym ty mówisz? Kto zadecydował?

– Ktoś na górze, ktoś na dole. Tego nikt do końca nie wie. Ale przynajmniej – zaciągnęła się papierosem – ty masz jeszcze możliwości manewru.

Bednarek nic z tego nie rozumiał.

– I co się z tobą stanie?

– Umrę, jak wszyscy. Tylko że wcześniej i razem z tymi, którzy wtedy ze mną będą.

– To będę z tobą.

– Nie będzie cię. Pojutrze wyjeżdżam, zabieram syna w bezpieczne miejsce i wyjeżdżam. Ale później muszę i z nim się rozstać. To będzie łatwiejsze.

– Dokąd pojedziesz? Pojadę za tobą, za wami.

Roześmiała się i pogładziła go po policzku. To nie był gest kochanki, ale matki. Chyba zdała sobie z tego sprawę. I z tego, że to protekcyjne, również. Pocałowała go, tym razem nie wyrzucając papierosa.

– Tak. Tylko że nie za mną, a ze mną, i nie pojutrze, lecz dziś.

Z uśmiechem, takim, jak jeszcze niedawno, potrząsnęła kluczykami z małym kryształowym breloczkiem. Znał te kluczyki. Fiat Izydora stał za rogiem. Nigdy nie widział jej prowadzącej samochód, zawsze ją wożono – dorożkarze, taksówkarze, kolejni faceci. Ale dziś było inaczej. Dziś, choć jechała z nim, czuł, że musi coś załatwić zupełnie sama.

Jechali szosą, mijając co pewien czas pędzące z naprzeciwka ciężarówki. Kilka razy dostrzegł stojących na rozwidleniu dróg żołnierzy na „sokołach”. Raz nawet ich zatrzymano, ale wystarczyło parę cichych słów Doroty, aby postawić żoł-

nierzy na baczność. W końcu to pułkownikowa Fidelska, a nie było rozkazu zatrzymywać.

Nie odezwali się do siebie ani słowem. Wiedział, że nie jest na to czas, tylko chłonał jej obecność, jej zapach, i czuł spokój, taki cholerny, potężny spokój początkującego alkoholika czy morfinisty, który wyposzczony i wygłodzony, dostał swoją wymarzoną zabawkę czy raczej wytęskniony i wyciekany haust powietrza. Prowadziła szybko i pewnie. Minęli Piaszeczno i Górę Kalwarię.

– Czuję, jakby coś mnie opuszczało – powiedziała, kiedy zatrzymali się przy starym, świeżo pobielonym dworku. – Nie ma w tym nic dobrego, ale to znaczy, że mam pewną swobodę wyboru. Mój syn będzie nawet bezpieczniejszy beze mnie, ale ty i ta, do której przyjechaliśmy, nie.

Reflektory oświetliły ganek, nieco podobny do tego, który Bednarek znał z Kaszowa, choć chyba jednak starszy, z ciemnym, całkowicie niewidocznym herbem.

– Tu się urodziłam. Chodźmy.

Zadzwoiła do furtki. Po chwili z domu wyszła starsza kobieta, ubrana w letnią sukienkę i męskie buty nałożone na gołe stopy. W ręce niosła małą elektryczną latarkę.

– Idę już, idę, kto tam tak wydzwania... – Bednarek znał dobrze takie gadatliwe baby. Kiedy nie miały czego mówić, odmawiały godzinki i nawet „w tej ostatniej godzinie” jeszcze poruszały ustami. Bednarek widział taką śmierć dwa razy. I nigdy nie wiedział, czy ostatnie wyszeptane słowa to modlitwa, czy przekleństwa. Kobieta zmrużyła oczy i zaświeciła im latarką na twarze.

– Panienska Dorota!

– Dzień dobry, Wikto. – Dopiero teraz to zauważył. Dużo większym szacunkiem darzyła taksówkarzy i służące niż moż-

nych tego świata.

– Panienska przyjechała – pisnęła stara i rozplakała się. – Wiedziałam, czułam, starsza pani też była podenerwowana. Nie pytałam, ale wiedziałam.

Dorota podeszła i przytuliła kobietę.

– Już dawno nie jestem panną. Chodźmy do babci.

Bednarek szedł z tyłu, za Dorotą i Wiktą, zwirową dróżką. Nigdy nie myślał o jej przeszłości, dla niego Dorota zaczęła się w chwili ich pierwszego spotkania. Nawet jej dziecko, mąż i starzy znajomi wydawali się tylko dekoracją. Teraz ten porządek został rozbity: Dorota była skądś, a on, Jan Bednarek, stanowił jedynie część jej terażniejszości.

Weszli na przeszkloną werandę, a potem do wnętrza. Tu światło było rześiste, a w tle klatki schodowej dostrzegł ciężkie, poczerniałe ze starości drzwi. W elektrycznym świetle Bednarek zobaczył, że Wikta nosi buty jak pantofle, z przydeptaną piętą. Chodzi w domu na bosaka? Nie byłoby w tym nic dziwnego.

Za drzwiami znajdował się przestronny pokój, urządzony trochę jak stara sypialnia z plecioną, najwyraźniej dziewiętnastowieczną makatą, krótkim łóżkiem, dywanem, sekretarzykiem i fotelem. Trzy czwarte pomieszczenia pozostawały puste. Jak muzealna ekspozycja. A jej dopełnieniem była kobieta z obrazu w salonie Doroty.

– Wróciłaś.

Dorotą aż zatrzęsło. Bednarek po raz pierwszy od czasów dzieciństwa stwierdził, że naprawdę się boi, że wizja kobiety podczas seansu była przy tym zaledwie bajeczką dla dzieci.

– Wróciłaś po tych wszystkich latach. I kogo ze sobą przyprowadziłaś? Gacha...

I nagle zaczęła mu się przyglądać. Oczy świdrowały coraz przenikliwiej, aż Bednarek poczuł, że stara wie o nim wszystko. Nie tylko to, co stało się podczas ostatnich tygodni – lecz że zna go od urodzenia, że zna go lepiej, niż znali go rodzice, lepiej, niż zna sam siebie, że czyta w jego głowie jak w książce. Z jej oczu zniknęła niechęć, pojawił się jakiś żal, współczucie, błysnęło coś, co dostrzegał czasem u babki Broniszowej, gdy widziała, jak zaciekle się uczy, ignorując zaczepki Majewskiego.

– Jego też w to wciągnęłaś?

Te słowa w ustach starszej pani postawiły ją poza czasem. Jeśli Bednarek mógł przedtem uważać ją za element przeszłości Doroty, teraz zrozumiał, że stara jest kimś dużo ważniejszym.

– Nie wiedziałam, samo się stało. Wyciągnę go z tego. – Dorota podniosła głowę. – Musimy uciekać. Jak wtedy.

Postać z obrazu sięgnęła za fotel po grubą drewnianą laskę, podparła się i wstała. Dopiero teraz Bednarek zdał sobie sprawę, że równie dobrze mogłaby mieć osiemdziesiąt, jak i sto lat. Niczym trup wrócony do tego świata, aby na zawsze zakłócić sen tym, którym się ukaże. Otarła usta i wyciągnęła palec w kierunku Bednarka.

– Słuchaj, do ciebie mówię. Uciekaj, i to szybko. – Przeniosła wzrok na Dorotę. – A ty, jak śmiesz tu przychodzić?

Dorota była dziwnie spokojna, przynajmniej tak mu się wydawało.

– Jedź ze mną, proszę. Pojutrze już nic tu nie będzie.

Stara podparła się na lasce drugą ręką.

– Ja stąd nie wyjadę. A ty... Ty przecież też wiesz.

– Wiem. – Dorota spojrzała na starą. – I mam ważniejsze rzeczy na głowie. Jedźmy, to jeszcze da się zmienić.

– Nic nie da się zmienić. – Usiadła, jej twarz była blada i zimna. – Czemu to wszystko zrobiłaś? Czemu to zmarnowałaś?

Janek zdał sobie sprawę, że czeka na odpowiedź Doroty równie bardzo jak stara, choć nie miał pojęcia, co miała zmarnować Dorota.

– Nie wiem, czemu myślałam... – Było to bardziej pytanie niż stwierdzenie. – Do widzenia.

– Niech cię błogosławi – powiedziała stara głucho.

Dorota spojrzała na splekaną Wikte, a potem po prostu wyszła. Janek ruszył za nią.

Stali przy samochodzie. Patrzyła w oświetlone okna dworku, i miał wrażenie, że próbuje je zapamiętać.

– Kim ty naprawdę jesteś, Dorota? Nigdy mi nie powiedziałaś, nic o tobie nie wiem. Chcesz, abyśmy więcej się zobaczyli? Dobrze. Ale muszę wiedzieć, kim jesteś. Dopóki się nie dowiem, to mnie nie wypuści, już zawsze będę myślał o tym jako o niedokończonym sprawie. Po prostu mnie wypuść. Zasłużyłem na to. – Bednarek znowu słuchał swojego głosu i miał wrażenie, że tkwi w jakiejś mdłej bańce, a oczy, uszy i całe ciało porosły mu niewidzialną błoną.

Przyjrzała mu się z ukosa. Teraz jej uśmiech był smutny. Rozdzierająco. Fizycznie odmłodziła, ale w jej oczach było widać ciężar straconego życia.

– Zaczęłam sypiać z chłopaczkiem, a ten emancypuje się w mężczyznę. Dobrze, niech i tak będzie. Ona nigdy mi nie wybaczyła. Maria. Moja babcia. Ta, którą widziałeś – mówiła to z błyskiem w oku, mała złośliwa dziewczynka.

– Czego?

– Tego, że roztrwaniem swój talent w świecie. W wielkiej oberży świata. Wiesz, że to już nasz prawdziwy koniec?

Kiwnął głową.

– I że to wszystko, co dzieje się teraz, było możliwe tylko dlatego, że w każdym momencie byliśmy razem? I że to miało się skończyć? Wiesz o tym?

Kiwnął głową po raz drugi, choć nie bardzo rozumiał, o co jej chodzi. Czuł tylko, że w jakiś sposób ona już zawsze będzie w nim żyć.

I gdy wracali do Warszawy, aż szumiało mu w wygolonym łbie. Pewnie jeszcze miesiąc temu potraktowałby to jako zupełną bzdurę, jedną z tych rodzinnych historii o duchach, które opowiada się w długie zimowe wieczory. Ale zobaczył zbyt wiele. I to, co Dorota robi z ludźmi, i sposób, w jaki rzeczywistość zakrzywia się w jej obecności, i wszystko, co robiła także z nim.

– Dlaczego babka tak do ciebie...? – Zaczął odzyskiwać wrodzoną ciekawość.

– Każdy bierze odpowiedzialność za tego, kogo uczy. Ona wzięła za mnie. Uważa, że za to po śmierci nie zazna spokoju. – Po chwili dodała – jakby nie miała dość własnych grzechów na sumieniu.

W kierunku Warszawy jechało kilka wojskowych ciężarówek, za nimi wlokły się wozy z zaopatrzeniem powożone przez żołnierzy w płaszczach, zbyt ciężkich jak na koniec sierpnia. Wyglądali trochę jak jesienni gospodarze w grubych kapotach, zwożący ostatnie ziemniaki.

– A ty... – Spojrzała na niego, jakby chciała przypomnieć sobie jego twarz. – A ty...

Pokręciła głową i uśmiechnęła się. Dziwnie szczerze. Zauważył, że jakby się uspokoiła, jakby opuściło ją to nieustanne napięcie. Jechała szybko, bardzo szybko, lawirując między kolejnymi ciężarówkami. I Janek poczuł, jakby nagle znalazł uzasadnienie, jakby uchwycił sens, zrozumiał coś, czego nikt ni-

gdy już mu nie odbierze.

Dojeżdżali do skrzyżowania. W lewo do Warszawy, zaledwie kilka kilometrów, w prawo do Lublina. Na środku wielkie drzewo.

– Wiesz, prawie wszystko, co powiązane, da się rozwiązać. Miałeś rację, bez tego ta historia nie byłaby zamknięta.

Wyglądała teraz jak młodziutka dziewczyna, czymś przestraszona i przejęta. Bednarek dostrzegł, że kilkanaście metrów od drzewa stoi wojskowy gazik i tankietka. Uchwycił zdumienie w oczach młodego żołnierza w okularach podobnych do jego własnych, a potem blask światła odbijających się od pnia, i nagle huk, i ciemność.

* * *

Nie mógł się poruszyć i było mu ciasno. Słyszał czyjeś głosy, a światło, które kilka razy zatrzymało się na jego twarzy, raziło go nieprzyjemnie. Zauważył, że włosy Doroty wcale nie mają miedzianego odcienia, i zdziwił się, że przez cały czas tak mu się wydawało.

Dorota gdzieś zniknęła, za to coś nieprzyjemnie szarpnęło jego ciałem. Krzyknął, choć nawet nie z bólu. W ustach miał szkło i coś jeszcze. Odchrząknął i splunął, żeby pozbyć się tego dziwnego, słono–ziemistego smaku.

Kiedy znów się ocknął, było mu zimno. Leżał oparty o drzewo i powoli dochodził do siebie. Ból promieniował od barku na całą lewą część ciała. Ostrożnie spuścił wzrok i zauważył, że jego lewa ręka spoczywa na temblaku. Poruszył palcami u stóp, potem nogami.

Młody żołnierz w drucianych okularach, który najwyraźniej tu dowodził, rozmawiał przez telefon polowy. Dwaj

żołnierze, równie młodzi jak dowódca, powiedzieli Jankowi, że panią pułkownikową zawieziono do Warszawy, a dla niego nie znalazło się miejsce w ambulansie, tym bardziej że właściwie nic mu się nie stało. Może ma i wstrząs mózgu, ale cóż to znaczy, skoro zaraz będzie wojna? Zakręciło mu się w głowie i zaczął wymiotować. Stracił przytomność po raz ostatni tej nocy.

Młody żołnierz w drucianych okularach siedział na brzegu tankietki w blasku reflektorów gazika. Pozostali gdzieś zniknęli. Nie był więc chyba dowódcą, może po prostu sprawiał takie wrażenie przez swą pewność siebie.

Podszedł do Janka, na chwilę zasłaniając sobą reflektory. Ostrożnie pomógł mu podnieść się z ziemi, z kieszeni przepastnego płaszcza wyjął małą butelkę i wcisnął mu w zdrową rękę.

– Łyknij, na otrzeźwienie.

Bednarek pociągnął odruchowo i oparł się o drzewo. Rzeczywiście, zrobiło mu się cieplej. Żołnierz wskazał głową na wbity w drzewo wrak fiata.

– Ona też była pijana.

Bednarek przełknął ślinę.

– Co z nią? Co się z nią stało?

– Mówili ci przecież, powieźli do Warszawy. – Żołnierz spojrział uważnie na Janka i wyjął mu z dłoni butelkę. – Jak ją zabierali, to żyła. – Pociągnął nosem. – Do Warszawy dwa kilometry, może zdążyli. Jak polecisz zaraz, to też zdążysz. Miałeś szczęście, ręka nie jakoś strasznie złamana.

Odwrócił się i znowu usiadł na brzegu tankietki, ale tym razem w taki sposób, że światło już go nie obejmowało. I nagle do Bednarka to dotarło: że ona przecież umrze, że jej już nie będzie. Spojrzął przed siebie i ruszył w stronę miasta.

Jakub Żulczyk
OCH, RAFAŁ

Dopiero po siedemdziesięciu dwóch godzinach wszyscy pokapowali się, co tak naprawdę się wydarzyło. Rozumiecie – to oznacza, że rzeczywiście wydarzyło się COŚ. Potrzebowali na to trzech dni. Trzech dni, podczas których wszyscy biegali w takiej panice, jakby nagle cały świat oślepl. Wszyscy ludzie oślepli, w sensie. Zresztą, jakby wszyscy ludzie oślepli, byłoby to niewiele mniej dziwne od tego, co naprawdę się wydarzyło.

Ale do rzeczy. Wytłumaczę wam to najjaśniej, jak potrafię. Przepraszam, że będę odbiegał od wątku. Z natury jestem gadatliwy. Moja żona przed Zniknięciem mówiła: ty tylko gadasz i gadasz, Rafał. Mógłbyś się już zamknąć. Po co ty tyle paplasz? Płacą ci za to? Jakby ci za to płacili, to byśmy w końcu mogli normalnie żyć. Kredyty byśmy pospłacali. Jakby ci płacili od słowa. Nawet teraz, jak słyszę ją w głowie, odpowiadam jej na głos: zamknij się, Marzena. Zamknij się, do kurwy nędzy. Mówię tak głośno, do lustra, do siebie, ale tak naprawdę mówię to do niej.

Najgorsze jest to, że często mówiła do mnie w ten sposób przy ludziach, przy rodzinie, na różnych uroczystościach. Co miałem zrobić, wstać i trzasnąć ją w gębę? Oczywiście, niezły byłby z tego raban. Jeden z tych wieczorów, że Wiśniewscy i Fydrychowcie siedzą u nas na grillu, pijemy wódeczkę, karkówka, ogórek, niby miło, ja coś opowiadam, bo przecież Fydrych się mnie pyta – pyta, to odpowiadam – ona znowu, czemu ja tyle gadam, a ja na to: gadam, kurwa, bo przecież przyszli do nas goście, i nagle wstaję, i trach ją w łeb. Z płaskiego.

Z płaskiego tak naprawdę to silniej jak z pięści. Trach ją

w łeb i do niej – zamknij się, Marzena. Zamknij się, do kurwy nędzy. To ty się zamknij. To z twoim gadaniem jest problem. Ale byłby raban. Oczywiście, nigdy tego nie zrobiłem.

Więc, do rzeczy. Z reguły wszyscy kłamią. Włączcie, na ten przykład, takie TVN24. Coś się wydarza, po dwudziestu sekundach już zachrzania na dole, po tym żółtym pasku, i od razu wszyscy wiedzą, o co chodzi. Wiecie, na przykład gdzieś jest jakiś wybuch w metrze, zginęli ludzie, wiadomo, tragedia. Nie mówię niby, że nie tragedia. Ale ci po trzech minutach już wiedzą – odpowiedzialna była za to terrorystyczna organizacja Fijab Al-Asir z Bambarystanu Zachodniego pod dowództwem Szamy Ibn Kebaba, użyli bomby nadzianej drobinami przerdzewiałych gwoździ z trującym destylatem z siarczanu dupnego. Po trzech minutach. Tak jest w każdym przypadku, przy każdej katastrofie, każdym ataku, zamachu, przewrocie, wszystkim, zawsze wiedzą od razu. I dlatego uważam, że wszyscy kłamią. Uważam, że nic z tego się nie dzieje naprawdę. Że gdzieś, kurwa, jest – albo przynajmniej była przed Zniknięciem – specjalna komórka, jakieś studio, w której fabrykują i robią te wszystkie rzeczy, World Trade Center, Bin Ladena, Srin Ladena, Breivika, w których robią te wszystkie materiały. Mówiłem o tym nieraz Marzenie. Ona oczywiście odpowiadała, żebym się zamknął.

W każdym razie – TO wydarzyło się naprawdę. I to jest właśnie dowód, że nie wiedzieli o tym po trzech minutach, tylko potrzebowali na to trzech dni, trzech dni, by zrozumieć, o co tak naprawdę chodzi.

A Marzena nie może już się przekonać, że wyszło na moje. Marzena Zniknęła.

Trochę mi tęskno, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Mówię szczerze. Możecie sobie pomyśleć, że ze

mnie kawał skurwysyna. O każdym można pomyśleć, że jest kawał skurwysyna, ale najpierw lepiej jest się postawić w jego sytuacji. Tęskno mi trochę do Marzeny, ale to taka tęsknota, jakby cię trzymali cały czas w piwnicy i torturowali cię jakąś muzyką, najgorszą jakąś, rapem, czy czymś takim, nie wiem, tym metalem od satanistów, i w końcu by to wyłączyli. I niby cisza, błoga ulga, a trochę tęsknisz, czegoś ci brakuje, bo w końcu przyzwyczyłeś się do tych wszystkich chujowych kawałków, które przewiercają ci mózg w pięciu miejscach naraz. Marzena była jak taki chujowy kawałek. Jak satanistyczny rap.

W globalnej kwestii, to oczywiście tragedia, co się wydarzyło. Nie mówię niby, że nie. Ale z drugiej strony, czy to naprawdę tragedia? Tragedia to jeden człowiek albo kilku. Million to statystyka. A tyle, ilu zniknęło? Uważam, że nie można patrzeć na to w tak zwanym aspekcie globalnym. Każdy człowiek, gdy umiera, to jest to jego własna tragedia, której nie można zrozumieć, dopóki się samemu nie umarło, a jak już się samemu umrze, to się chyba niewiele rozumie. A zrozumieć trzy miliardy? Co? Jakoś emocjonalnie się w to wczuć? Ja? Rafał Królicki? Wykształcenie średnie techniczne? Właściciel firmy dystrybuującej włoskie mosiężne klamki do drzwi? Ja mam poczuć za trzy miliardy? Rozumiecie?

Po pierwsze, wolę się skupić na tym, co to zmieniło w moim życiu. A ja raczej, mówiąc szczerze, odniosłem z tego korzyści. Po drugie, nie wiadomo w ogóle, czy oni naprawdę umarli. Wiadomo, że Zniknęli. Że ich nie ma. Może są w jakimś innym wymiarze, czy czymś w tym rodzaju, i bawią się tam całkiem nieźle. Mają tam całkiem przyzwoitą imprezę. Grill, jakieś promocje, hostessy, basen, takie tam. Jedno wielkie alinklusiwe, czy jak to się tam nazywa. Tak to sobie wyobrażam. Byliśmy raz z Marzeną na all inclusive i ona cały czas joj-

czyła, a to że jedzenie niedobre, że drinki za słodkie, że tłum na basenie, ta to by wygrała w totka całą kumulację i dalej by ją w dupie wierciło, ja to co innego, bawiłem się wyśmienicie. Wieczorem były super balangi, karaoke i takie tam. Naprawdę bawiłem się świetnie.

Ja odniosłem z tego wszystkiego dużo korzyści, a największą była Aneta. Osiemnaście lat. Dupa jak marzenie. Mówię wam. Te piersi, rozmiar D. Jak dwa piękne owoce. Nie jakieś konkretne, bo takie piękne owoce nie występują w przyrodzie. Mówię wam, co za samica. Rude włosy, tipsy, nogi jak stąd do podłogi, i ten zad, ten tyłek, ten tyłeczek, też porównałbym go do jakiegoś owocu. Ale takie owoce nie rosną. Nie występują w przyrodzie. Ta buzia. Usteczka w ciup. Oczy jak talerze. I te detale, dołeczek w brodzie, i dwa dołeczki nad pupą, wiecie, o które chodzi, to fachowo nazywa się „kolce biodrowe tylne górne”. Wiecie, te, od których nie możesz oderwać oczu, gdy robisz to z kobietą od tyłu.

Aneta Warlicka. Córka naszych sąsiadów. Znam ją od ósmego roku życia, ale żeby nie było, żebyście sobie nic nie pomyśleli – te uczucia do niej pojawiły się u mnie dużo później, mniej więcej wtedy, kiedy pojawiły się u niej te wszystkie rzeczy, o których pisałem wcześniej. Przecież gdy miała osiem lat, nie miała cyków, tyłków i dołeczków. Żeby nie było, że ja jestem jakimś popierdoleńcem. Co to, to nie.

Może gdybyśmy mieli z Marzeną jakieś dzieci, i one albo by Zniknęły razem z nią, albo zostały razem ze mną, to byłoby inaczej. A tak – ostatni rok był naprawdę ciężki, ja pierdołę. Poważna kwestia. Jeśli mieliśmy jakiś seks, to raz na dwa miesiące. I tak musiałem pomyśleć o Anecie albo o jakiejś lasce z pornosa, częściej o Anecie, a najczęściej o Anecie, która w mojej głowie robiła te różne rzeczy, które robią laski w porno-

sach, żeby w ogóle mi zadziałał. Poza tym, jak uprawiać seks z kimś, kto reaguje na ciebie jak na zasranego żuła z wściekłą, gdy w ogóle otwierasz usta? No, jak? To są straszne rzeczy, i wszyscy je mają na co dzień. Dużo straszniejsze niż te wszystkie fikcyjne katastrofy z TVN24. I jak się głębiej nad tym zastanowicie, to przyznacie mi, kurwa, rację.

W każdym razie Aneta jest teraz u mnie w domu i bierze prysznic, bo u niej w domu nie działa woda. Nie wie dlaczego. Nie ma kogo zapytać. Ją akurat poszkodowało dość mocno. Zniknęli jej ojciec i matka – ja tych Warlickich nigdy szczególnie nie lubiłem, zwłaszcza ojca, zasranego esbeka, no ale to jej rodzice, jacy by nie byli – i jej brat, została tylko żona brata, ale ta z kolei pojechała do swojej matki, której zniknął ojciec, w sensie mąż.

Aneta powiedziała mi to wszystko godzinę temu, stojąc u mnie w drzwiach, ze łzami w oczach, a potem zapytała, czy może się u mnie wykąpać.

Obraz jej nagiej, ociekającej wodą, wcierającej żel pod prysznic w te swoje wielkie, piękne cycki, przyciskającej te namydlone i wielkie owoce do ścian prysznicza przeszył mnie jak potężna, ciepła igła.

– Oczywiście, że tak, Anetka, wchodź – powiedziałem. – Poczekaj, zaraz dam ci ręcznik.

– Czy to na pewno nie jest problem? – zapytała, cała zapłakana i zasmarkana.

– Nie, na pewno, na pewno, Anetko, wchodź – odparłem i zaprosiłem ją do środka.

– Czy pan, u pana również... – zakwiliła jak śliczny ranny ptaszek z cyckami, a ja zamknąłem za nią drzwi.

– Tak. Moja żona. Jeszcze to do mnie nie dotarło – pokiwałem głową i dodałem – łazienka jest na górze.

– To straszne! To potworne! – zakwiliła znowu i ruszyła przed siebie, bezwiednie kręcąc tym swoim niesamowitym tyłkiem.

Mlasnąłem głośno, a ona na pewno tego nie słyszała, tak była zaryczana. Oparłem się o framugę. Możecie uznać mnie za skurwysyna, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

* * *

Więc teraz Anetka siedzi u mnie dalej. Jemy lody, ciastka, to, co jest w lodówce. Ja jem jeszcze kanapkę z kotлетem schabowym, który Marzena tydzień wcześniej usmażyła i zamroziła na zaś. Może być, ale Marzena nigdy nie była mistrzynią kuchni. Do tego trzeba mieć serce. Ale może być. Nie narzekam. Oglądamy telewizję. Aneta założyła jakieś dresy, które wyciągnąłem jej z szafy, i jakąś bluzkę Marzeny. Marzena była dużo gorzej od niej wyposażona. Cycki rozsadzają tę bluzkę tak, że zaraz pęknie materiał. Na jej brązowej skórze widzę jeszcze kropelki wody. Muszę ugryźć się w rękę, żeby za nie nie złapać. I wiecie, domyślcie się, co dzieje się w moich gaciach. To fizyczny ból. To jakby ktoś przez cewkę do szczania nalał ci roztopionego ołowiu. Matko jedyna, nie czułem się tak nigdy w życiu.

– Jak to się stało, ja tego nie potrafię ogarnąć – mówi Anetka. – Ja tego nie potrafię zrozumieć. Słyszysz pan, co mówią? Podobno z każdej rodziny, każdej firmy, szkoły, każdego miasta, województwa, każdego państwa zniknęła mniej więcej równo połowa ludzi. Rozumie pan? Równy połowa. Kto ich zabrał? Ktoś sobie wybierał, że ten jest lepszy albo gorszy?

Słucham jej słodkiego głosu. W telewizji jakiś rozhisteryzowany dupek macha rękoma do kamery. Łzy leją mu się z

oczu. Musiała zniknąć mu żona albo bachory. Na pasku pod spodem przejeżdża napis: *SZACUNKI ONZ MÓWIĄ O ZNIKNIĘCIU TRZECH MILIARDÓW CZTERYSTU DWUDZIESTU TRZECH TYSIĘCY PIĘCIUSET OSÓB*. Ta. Akurat. Z dupy sobie to wyjęli. Z tej samej dupy, z której wyjęli sobie Srin-Badena i Ibn Kebaba. Podają te dokładne cyfry tylko po to, aby wmówić tej drugiej połowie ciemniaków, która została, że mają nad tym jakąkolwiek kontrolę.

– Więc jak pan myśli? – pyta, i nie mogę tego nie zauważyć, ale w przymałych dresach Marzenki odciska się jej między nogami ten piękny kształt, przypominający ciastko. Albo pestkę.

– Nie jestem pan – mówię do niej. – Jestem Rafał. Napisz się czegoś?

– Lepsi czy gorsi? – pyta ona, i znowu zaczyna beczeć. – Kto o tym zdecydował? Kompletnie nie mogę tego zrozumieć!

Oczywiście, że zniknęli ci gorsi, ty głupia Anetko. Wstaję i podchodzę do barku. Oczywiście, że zniknęli ci gorsi. Zniknęła moja żona jędza, twój ojciec esbek i twoja matka, która nigdy nie umiała posprzątać trawnika po gównach waszego kundla, większych niż on sam. Zostałem ja i zostały twoje cy-cuszki. Rachunek jest prosty.

– Wszyscy ci ludzie... – szlocha – to niepojęte!

Na ekranie telewizora wyświetla się kolejna informacja: Marsze Przerażonych Idą Przez Wszystkie Stolice Świata. „Kto za to odpowiada? Kto? To Rosjanie. To na pewno oni. Szykowali to od dawna”, mówi jakaś starsza kobieta w Warszawie. „No cóż, taki sam marsz idzie przez Moskwę...”, komentuje to prowadzący. Po policzku ścieka mu łza. „Przepraszam państwa, moja żona... była w siódmym miesiącu...”, mówi. Rozkleja się w studiu, i na nic nie przecinają.

Zaraz zmienię kanał, tylko znajdę coś do picia. Trochę jeździliśmy z Marzeną po Europie, i praktycznie zawszęd przywoziłem jakiś fajny alkohol. Zastanawiam się teraz nad taką przywiezioną z Bułgarii flaszeczką likieru w kształcie kutasa z jajami. To dobry likier, ale to może być zbyt ostentacyjne. W sensie ten kształt butelki. Ten kutas z jajami. Biorę butelkę Malibu. Tak, to dobry wybór. Takie młode dupeczki bez wątpienia uwielbiają Malibu. Nalewam jej do szklanki, sobie nalewam setkę whisky. Czerwony Johnnie Walker, nic ekstrawaganckiego. Lubię ten smak. Z colą najlepsze.

– To do tej pory najbardziej niewytłumaczalne zdarzenie w historii ludzkości – teraz gada jakiś jajogłowy kretyn w brylach jak denka po słoikach od musztardy. – Czyżby dinozaury wiele lat temu spotkało to samo? Niewytłumaczalne zniknięcie? Czyżby ci wszyscy ludzie przenieśli się w jakiś inny wymiar? Nie znaleziono ani jednego ciała...

– To początek Sądu Ostatecznego – odpowiada mu siedzący obok klecha. – To dzieje się teraz, na naszych oczach, to początek przyjścia Jezusa Chrystusa.

Wyłączam ten pieprzony telewizor, dosuwam sobie krzesło i siadam naprzeciwko niej. Jest taka piękna. Na zewnątrz jest cicho. Piękna pogoda. Widzę przez drzwi na taras, jak słońce wylewa się na trawnik. Wspaniale byłoby ją posuwać tam, w trawie, na zewnątrz. Położyć ją na tym miękkim, chłodnym zielonym dywanie i ją wylizać. Boże, zaraz pęknie mi kutas. Przebiega mi przez głowę bardzo zła myśl, i zaraz ją wyganiam. Spokojnie, zawsze możesz wyjść na chwilę do łazienki i zwalić sobie gruchę. Spokojnie, najpierw trzeba z nią porozmawiać.

– A... a twój pies? – pytam.

– Co z moim psem?

– Czy... czy został – pytam, i biorę łyk. Ona również upija trochę Malibu. Dobrze, dziecinko. Pij, pij.

Rozchyła nogi i znowu widzę odciśnięty w szarym dresie, wspaniały kształt. To Zniknięcie, przysięgam, to najwspanialszy prezent, jaki mógł mi się przydarzyć.

– Został – pochlipuje – to widocznie dotyczyło tylko ludzi. Ale to nie tylko moi rodzice... moja najlepsza koleżanka, Agnieszka...

Agnieszka. Brunetka, chuda, małe cycki, ale wspaniałe dupsko. Pamiętam ją. Pamiętam ją bardzo dobrze. Przed zaśnięciem w mojej głowie wyświeślały mi się wspaniałe trójkącki z nią.

– A u pana, oprócz... oprócz pana żony... rodzina, przyjaciele? – Bierze kolejny łyk, dużo większy, bardzo dobrze, dobra dziewczynka.

– No cóż – odpowiadam, wpatrując się w te dwie ciężkie, dorodne kule – nie ma nikogo, kto nie poniósłby żadnych strat. Znowu zaczyna ryczeć.

– Ale takie jest życie – dodaję.

– Co pan ma na myśli? – otwiera szeroko swoje piękne oczęta i podaje mi do ręki pustą szklanekę – czy mógłby mi pan dolać?

– Rafał, nie żaden pan – poprawiam ją. – I już ci dolewam.

W tym momencie możecie się zapytać, co z moją dalszą rodziną. OK, Marzena jak Marzena, załapaliście już pewnie, że była po prostu zrzędliwą cholera. Ale przecież miałem jeszcze innych bliskich. Rodziców, rodzeństwo, przyjaciół. Powinienem rozpaczać również po nich. Można nie kochać swojej żony, ale nie kochać swojej matki? Przecież to czyste bydlęctwo, możecie powiedzieć. Już tłumaczę, żeby nie było. Żeby nie by-

ło, że jestem jakimś skurwysynem. Na Boga, przecież jestem tylko zwykłym gościem, który ma dom w Białymstoku i sprzedaje klamki.

Już mówię, już mówię. Z moją matką wszystko cacy. Jest taką samą wrzaskliwą-i-głuchą-starą-modlącą-się-do-ojca-Rydzika-oddającą-całą-rentę-na-Kościół-ropą, jaką była, i nigdzie się nie wybiera. Mój ojciec Zniknął, ale od tego zniknięcia nie minęły trzy dni, lecz dobre dziesięć lat z okładem. I jeśli nie znacie mojej matki i nigdy z nią nie rozmawialiście, to nie macie najmniejszego prawa go oceniać. Chłop po prostu nie wyrobił. Wóz albo przewóz. Jeszcze jeden dzień z tą babą równał się trumnie. Tyle w kwestii tego, że szukamy babek takich jak nasze matki. Rodzeństwo – nie mam żadnego rodzeństwa. Ojciec coś podobno później zmalował, ale w życiu nie widziałem i nie miałem kontaktu. Babcia i dziadek ze strony matki nie żyją. Babcia i dziadek ze strony ojca nie żyją tym bardziej. Zadzwoiłem też do mojego najlepszego kumpla, Leszka. Jego żona również Zniknęła, tak jak moja. Chciałem go zaprosić na kawalerski weekend, ale z płaczu nie mógł wyduścić z siebie słowa. Poznałem tę jego Jolę, i owszem, babeczka niczego sobie, a i parę zdań wypowiedzieć potrafi. Byliśmy kiedyś razem na Mazurach, na żaglówce i strasznie się spiliśmy, i pamiętam, że zostałem z nią we dwójkę na fordku, myślałem nawet, żeby nie wykręcić z nią jakiegoś szybkiego numerku, była dosyć ciepła i widziałem po oczach, że szuka przygody, ale jak już zostaliśmy we dwójkę, zaczęła niemiłosiernie pierdolić; że samorealizacja, że czegoś jej brakuje, że chciałyby coś więcej od życia, że przeczytała taką to a taką książkę i że nawet napisała w tej sprawie do „Wysokich Obcasów”, ale nikt tego nie wydrukował. No nieważne, szkoda babki. Mam tylko nadzieję, że jak już trafi na tym drugim świecie

na Marzenę – bo przecież oni musieli gdzieś się przenieść, nikt mi nie powie, że trzy miliardy ludzi tak po prostu sobie zniknęły – to jej nie powie, że tam wtedy, na tym fordku, jak patrzyliśmy na to piękne i ciemne jezioro, to dała sobie trochę wymiętosić dupcię.

Mam nadzieję, że będzie trzymała głowę na kłódkę.

* * *

– Jestem zmęczona, muszę się położyć – mówi Anetka – ale nie chcę wracać do domu, tam jest tak pusto...

– Możesz położyć się tutaj – mówię do niej – możesz położyć się tutaj, wszystko w porządku.

I mlaszczę znowu, nie mogę nad sobą zapanować.

– Na pewno nie będzie problemu? – pyta. I dodaje – bardzo się boję.

Nie pytam, czego się boi, i tak zaraz mi to powie. Boże, te cyce. Mówi, że się boi, i ściąga ramiona do siebie i je ściska, tak że zaraz one pękną, trzasną, wybuchną, i tryśnie z nich to, co jest w środku, mleko, miód, płynna czekolada, to zaraz wszystko pęknie i zaleje mnie, uduśi.

– Boję się, że to tak poszło, rozumie pan, to znaczy, rozumiesz, Rafał, na raty – mówię – że najpierw zabrali jedną połowę, a potem zabiorą nas.

Kucam przy niej i biorę jej dłoń w swoją. Tę piękną, drobną dłoń z różowiotkimi jak dupcia świniaczka tipsami. Tyle razy wyobrażałem sobie tę dłoń na moim kutasie. Mój Boże, tyle razy.

– Nie, Anetko – mówię jej – na pewno tak nie będzie.

– Obiecujecie mi pan? – pyta.

– Obiecuję – kiwam głową – Obiecuję.

Te cyce są dziesięć centymetrów od mojego nosa. Dziesięć centymetrów. No, może dwadzieścia. Boże przenajświętszy, przecież ja zaraz zładuję się w spodnie, po raz pierwszy od czternastego roku życia.

– Więc gdzie mogę się położyć? – pyta, i zaczyna to robić. Przysięgam, że zaczyna to robić. Sama. Zakłada trochę nogę na nogę, tak trochę, wystawia do mnie udo. Rozkłada rękę. Patrzy na mnie. Już nie płacze. Trochę ściekł jej makijaż, ale tylko trochę. Przysięgam, że zaczyna to robić. Zaczyna mi to proponować. Możecie mi wierzyć albo nie, ale ona właśnie to robi. Jej usta jeszcze tego nie powiedziały, ale jej ciało, jej ręce, jej nogi mówią „Połóżmy się razem. Zróbmy to. Jakby nie patrzeć, ze świata zniknęły trzy miliardy ludzi, w tym moi rodzice. Potrzebuję pomocy, proszę. Potrzebuję, aby ktoś mnie przytulił. Przytul mnie, Rafał”.

– Tutaj? – pokazuje palcem kanapę.

Nie, są lepsze miejsca w tym domu, uwierz mi. Jest bardzo wygodne łóżko w sypialni, na piętrze. Znakomity materac, wydałem na niego kupę forsy i przyznam, że jeszcze wtedy, parę lat temu, gdy jechałem do meblowego z Marzeną, nie wiedziałem, po jaką cholerę to robię. Marzena mówiła coś, że ona na deskach spać nie będzie. Że stać nas – czyli mnie – na to, aby dobrze się wysypiać. Jak ma, tak ma. To wspaniały, sprężynujący materac. Teraz widzę cię, Anetko, i już wiem, czemu wydałem na to łóżko dwie średnie krajowe.

Wielokrotnie, w tym łóżku, tańczyłaś mi przed oczyma. Moje ręce w powietrzu zdejmowały twój stanik. Miętosiły cyciki. Wkładały ci rękę między nogi. Moja bogini. Anetka. Głaskałem ci cipkę, a ty robiłaś te wszystkie słodkie minki, takie, które znalazłem na twoim profilu na Fotka.pl, zupełnie przypadkiem. Boże, co to był za moment. Zaschło mi w gardle, momen-

talnie wskoczył mi stan podgorączkowy, przysięgam. To było prawie jak wtedy, gdy po raz pierwszy rozebrała się przede mną dziewczyna, miałem jakieś siedemnaście lat, na osiemnaście u kumpla, ten kumpel miał ksywę Jajo, pamiętam, i nie-specjalnie go lubiłem, bo strasznie żydził kasę, a do tego miał motor Yamaha i nikomu nie dawał nim jeździć, nie pamiętam za to specjalnie tej dziewczyny, pamiętam, że miała małe cycki, pamiętam, że wypłem przedtem pięć piw, chyba Żywiec, chyba, pamiętam, że mało z tego pamiętam i cały czas bałem się, czy w trakcie nie puszcę pawia, zresztą nieważne, to było prawie jak wtedy. Prawie, podkreślam. Zupełnie przypadkiem, szukając różnych dziewczyn do zwaleni sobie gruchy – i przestańcie mnie oceniać, bo również walicie sobie gruchę do zdjęć różnych małolatek w internecie, robiących sobie głupie zdjęcia trzymanym z góry telefonem, tak żeby było widać cycki i żeby twarz była wygłędniejsza – znalazłem twój profil, Anetka, twoje zdjęcia, z psem, z kotem, z rodzicami, ale też sama ty w pokoju, w bieliźnie, robiąca usta w ciup, z pluszakami, ze zdjęciem koleżanki w ramce w kształcie serca, w objęciach jakiegoś młodego muskularnego dupka na pomoście nad jakimś jeziorem, z plakatem Brada Pitta, znalazłem te zdjęcia i nie zapomnę tego wieczoru do końca życia.

A teraz tu jesteś. A teraz chcesz tego. Serce zaraz wypadnie mi z klatki piersiowej. Chyba powinienem włączyć z powrotem telewizor, aby przestać o tym myśleć, chociaż na króciutką chwilę. Rozproszyć się czymś.

– Coś ci jest? – pyta.

– Nie, kanapa jest OK – odpowiadam – ale łóżko na górze jest trochę wygodniejsze. W sypialni, w sensie.

Przysięgam, że rozdwoja mi się w oczach. Wstaję i podchodzę do barku nalać sobie jeszcze kielicha. Powoli. Powoli. I

coś mi się przypomina. Młody muskularny dupek.

– Nie wiem, czy powinnam... Pan, to znaczy Rafał... to łóżko, w którym... – mówi, a jej słodki głosik i jej słodki mózdzek nie są w stanie dopowiedzieć żadnego z tych zdań do końca. Nalewam sobie łychy prawie po brzeg.

– A twój chłopak? – odwracam się.

– Co mój chłopak? – pyta zdziwiona.

– Czy on... Zniknął... – pytam, i kończę zdanie potężnym łykiem.

– A skąd wiesz, że mam chłopaka? – pyta, patrząc na mnie, jakby z szyi wyrosła mi nagle druga głowa.

– Trudno, żeby taka dziewczyna jak ty go nie miała – mówię, i od razu chcę dodać, dziewczyna z takimi cycuszkami, dupcią, kolcami biodrowymi tylnymi górnymi.

– Nie wiem, nie wiem... nie myślałam o nim... zerwałam z nim miesiąc temu... no właśnie, co z Sebastianem... – i znowu zaczyna ryczeć, i ściska te swoje przepiękne balony ramionami, tak że znowu są na granicy eksplozji, te dwie piękne, przepiękne, najpiękniejsze brązowe miękkie ogromne kule, i wtedy to się dzieje, nie mogę się powstrzymać, to straszne, ale właśnie, w tym momencie, na ten widok, czuję, jak po moim lewym udzie i po bokserkach rozlewa się seria ciepłych strzyknięć, raz, dwa, trzy, cztery, kurwa, robię się cały czerwony i opieram się o barek i gdy ona kończy beczeć, otwiera oczy i pyta:

– Czy wszystko w porządku?

A mnie pozostaje tylko kiwnąć głową i powiedzieć:

– Tak. Wszystko w porządku. Wszystko OK. Kanapa jest OK. Połóż się na kanapie.

* * *

Więc, Anetka jest tu dalej. Minęły trzy dni.

Telewizja cały czas mówi nam nowe rzeczy. Anetka nie ma gdzie iść. Mówi, że nie ma gdzie iść, a ja po pierwsze jej wierzę, a po drugie, nie chcę, aby gdziekolwiek szła. Czemu ma mnie zostawiać. Gdzie ma iść. Jestem przy niej, bardziej niż kiedykolwiek byłem przy kimkolwiek innym. Jestem cały jej i tylko dla niej. Ona robi mi śniadania i obiady. Prasuje, gotuje, sprząta, takie tam. Opiekuje się mną. Współczuje mi. Wydaje jej się, że strasznie cierpię, że jestem rozbity jak rozbity talerz, że Marzena zniknęła, że jej nie ma, że ci wszyscy ludzie, że wszystko legło w gruzach. Staram się, aby myślała tak dalej. Przedwczoraj, gdy jedliśmy obiad – zrobiła sznycle, smakowały jak kapeć starej baby, no ale jak dla mnie, to ona może mnie karmić karmą dla chomików – rozpłakałem się. Była przekonana oczywiście, że to z powodu Marzeny. Podeszła do mnie i mnie objęła. Gdy poczułem, jak te piękne cyce przyciskają się do mnie swoim boskim ciepłem, rozpłaszczają się o mój mostek, wybuchłem jeszcze większym płaczem. Bo płakałem jak dziecko, płakałem ze szczęścia, że ona tu jest, i płakałem z żalu, wyłem jak to zwierzę leśne we wnyki złapane, że jeszcze nie mogę, jeszcze nie mogę jej wydymać, wygrzmocić, przepraszam, kochać się z nią, kochać się z tym aniołkiem moim.

Jeżdżę do sklepu, który wciąż działa, chociaż wszyscy non stop w nim płaczą, sklepowa i dziewczyna, która została, i wszyscy mówią, że zaraz przyjadą tu rządowi i zabiorą nas w inne miejsce. Że został ogłoszony jakiś globalny stan wyjątkowy. Tereferę. W dupie to mam. Z firmy Zniknęło mi dwóch magazynierów i sekretarka, ta sekretarka to jakaś idiotka kompletna, kazałem jej odkurzyć raz biuro, to mówiła, że się jej paznokcie połamią. Jak dostałem raz billingi telefonu, ile

ona dzwoni z roboty, najpewniej po koleżankach i do mamusi, że jej źle ondulację położyli, to o mało co zemdlałem. Wziąłem ją na dywanik i powiedziałem, że leci jej to z pensji. Płakała, klękała przede mną. Zdjąłem jej połowę. Teraz jej nie ma. I dobrze. Jest zastój w interesie, ale mówię, wszystko wróci do normy. Trzy miliardy ludzi zniknęło, ale zostały trzy miliardy i nie ma bola, żeby z tych trzech miliardów nikt nie potrzebował dobrej, mosiężnej klamki do drzwi.

Moja matka wydzwania do mnie co drugi dzień, że się boi. Że jest bardzo przestraszona. Że musi do mnie w tym momencie przyjechać i siedzieć mi na dupie, „dopóki sytuacja się nie unormuje”. A takiego. Będiesz mi tu węszyć. Mi i Anetce. Nie ma mowy, stara ropo. Ja już się z tobą w życiu nasiedziałem. Dwadzieścia cztery lata, dopóki nie poznałem Marzenki i nie wzięliśmy kredytu na to dwupokojowe mieszkanie, co zresztą szybko poszło, bo w pewnym momencie te klamki zaczęły iść jak złoto i mogłem spokojnie postawić sobie chałupę.

Zresztą, pies im wszystkim mordę lizał.

Mi kutas po prostu wybija zęby. Anetka chodzi po mieszkaniu w samych szortach. Ostatnio w tych szortach robiła dla nas pierogi, wyszły beznadziejnie, w życiu gorszych nie jadłem, ale jak kręciła tym tyłeczkiem przy lepieniu, matko jedyna, jak dla mnie to ona mogłaby mnie żwirem i ziemią karmić, zresztą mówiłem już o tym. Nie wiem jeszcze, jak się do niej dobrać. Trochę telewizji razem oglądaliśmy, ale przestaliśmy, bo tam w kółko gadają tylko o tym Zniknięciu. Premier Izraela, prezydent USA, ten Murzyn Obama, premier Polski nie gada, bo zniknął, gada pełniący obowiązki, ten Schetyna cały się załapał, w mordę bity pastuch i złodziej, i karierowicz jeden, jak oni wszyscy, ten też na pewno nie narzeka, że to całe

Zniknięcie miało miejsce. Więc oglądamy filmy, mam tego trochę na DVD, i z gazet, i kupione, głównie komedie romantyczne, Anetka lubi też ten serial *Seks w wielkim mieście*, to trochę oglądamy, ale ja nie mogę tego oglądać, co za bzdura, to niby jest serial o życiu, cztery stare i zaschłe ropy jedną nogą w trumnie, mumie jebane, a sami najlepsi modele je posuwają – ludzie, kto wymyśla takie bzdury, ja się pytam?

Najgorsze jest to, że nie mogę się do niej dostać. Coś tam już szemram, ale ona cały czas się odsuwa. Bardziej sobie wkręciła, że jestem dla niej jak jakiś wujek. Cały czas muszę ją poprawiać, żeby nie mówiła do mnie „proszę pana”. Czasem tu ją trochę obejmę, tu rączkę położę na ramionku, jak oglądamy ten telewizor, trochę na kolanku, ale ona się od razu odsuwa, a ja nie mogę być taki natarczywy, bo zaraz mi tu umknie, zwieje gdzieś, no ale nie mogę, muszę to w końcu zrobić. Mówię jej, że jest piękna. Że włosy ma piękne, i wszystko ma piękne, ciało, nogi, wszystko ma takie wspaniałe, ale ona wcale nie słucha. Mówi, że jest gruba jak bela, że musi schudnąć piętnaście kilo i że już blada się robi, dzwoniła, aby sprawdzić, czy solarium otwarte, ale nikt nie odebrał. I że odrosty jej się robią już, że musi iść do fryzjera. Powiedziałem, że ją zabiorę niedługo. Za parę dni. Jak wszystko wróci do normy. Ja tam nie wiem. Dla mnie to ona może być nawet zielona. Wczoraj nie wytrzymałem i podejrzałem ją, jak się przebiera. Po raz pierwszy, z tyłu, zobaczyłem ją na golasa. Boże jedyny. Myślałem, że się na nią rzucę, chwycę za włosy, zacznę ścisnąć, macać, łapać, ślinić to wszystko, lizać, całować, ścisnąć, myślałem, że ją zjem, ale tak kuciałem i patrzyłem przez szparę w drzwiach, jak stoi na golasa i zastanawia się, który swój łach założyć, nie wiadomo na jaką okazję, bo przecież siedzimy tylko razem w domu i najlepiej by było, gdyby się po prostu rozebrała, i patrzyłem, i gry-

złem się w dłoń, z całej siły, aż krew mi poszła.

Nawet nie wiecie, co to za tortury. Nie macie zielonego pojęcia.

Muszę się jakoś dobrać do Anetki. Jakoś ją wkręcić. Ale nie ma bola. Dziś chciałem jej dać trochę buziaczka, ale zrobiła aferę.

– Ja wiem, ja wiem, że pan... to znaczy, Rafał, ja wiem, że twoja żona, że ciebie to wszystko boli... – powiedziała, robiąc kanapki – ale to nie jest wszystko w porządku, i ja nie chcę...

– Jesteśmy dorośli, Anetko – wydusiłem z siebie w końcu. – A ty... ty jesteś taka piękna... że chciałbym...

– Uspokój się, Rafał – powiedziała takim tonem, jakby chciała mnie skarcić. – Zjedz kanapkę. To ci dobrze zrobi.

Ale stała jeszcze chwilę, tak jakby czekała, aż ja zrobię coś jeszcze, ponowię atak, no ale cóż, jakoś nie mogłem, coś mnie powstrzymywało. Zawsze byłem inny do kobit. Uparty. Wiedziałem, że często „nie”, to znaczy tak naprawdę „tak”, i że po prostu trzeba brać swoje. Parę razy dostałem w gębę, a potem te same, które mnie biły, leżały pode mną i jęczały: „Rafał, Rafał”, „Och proszę, Rafał”, „Jesteś wspaniały, Rafał”, „Masz cudownego pędzla, Rafał”, „Och Rafał, tak, Rafał, tak, mocniej, kocham cię, Rafał”. Przyznam, jestem całkiem niezły figo-fago w te klocki. Długo mogę i ostro. Lubię ostro. Nawet czasami lubię kajdanki, te sprawy, różne zabaweczki z seks szopu. I może dlatego z Anetką zatrzymuję się tak w pół gwizdka. Bo z nią nie mógłbym ostro. Z nią musiałbym dużo mizianka, delikatnie i powoli. Ona jest jak kwiatek, jak Boga kocham, obserwuję ją i ona jest jak kwiatek, łązi po moim domu, gotuje mi obiady, prasuje, sprząta, opiekuje się mną, i przysięgam, że wygląda jak sam anioł zmartwychwstały.

Muszę wymyśleć na to jakiś patent, bo zwariuję. Na rany

Chrystusa.

Zwariuję. Albo odetnę sobie kutasa. Albo i jedno, i drugie. No bo powiedzcie mi szczerze, z ręką na sercu, czy jak ktoś obcina sobie kutasa, to nie znaczy właśnie, że zwariował?

* * *

Rozwiązanie przyszło samo.

Mówię wam, najlepsze rozwiązania przychodzą same.

Zacznijmy od tego, że ja jestem całkiem niezły w bajerce. Dużo gadam, jak już mówiłem, i lubię gadać, i nieraz od tej Marzeny, niech jej ziemia lekka będzie, mojej byłej żony, dostawałem przez to tak zwany O-P-R. No, ale gadać tak po prostu, tak gadać to jedno. Ale mieć co gadać, to drugie. Moi kumple często mi mówili – Rafał, ty to jesteś malowany agent, ty to powinieneś rzeczywiście występować w jakimś programie, w którym wręczasz ludzi albo po prostu bajerujesz. Wszystkich potrafię zbajerować, mówię wam. Babę w US-ie, jak mi się firma z PIT-ami spóźniła za pracowników, bo ta kurwa głupia, sekretarka, znów wolała paznokcie sobie szlifować, no to ja musiałem, wiecie jaki jest US, musiałem wziąć róże, bombonierę i hajda, no, ale dobrze przyciemniłem, nie ma co. A ilu to ja zbajerowałem misiaków. Więcej, niż zjedliście w życiu kiełbasy. Za każdym razem ten sam bajer, działa jak złoto, do szpitala, żona rodzi, szybko, ludzie, nie macie pojęcia, łóżysko już się w pierwszym miesiącu odklejało, ciąża zagrożona, ona biedna w łóżku cały czas, bo nie mogła wstawać, cierpi, krwotoki, nie wiem, co będzie, i w ryk, i łyzy, ja muszę, panie władzo, niech pan będzie człowiek, też by pan docisnął kopyto w takiej sytuacji. Za każdym razem działa, bo to też trzeba mieć dar przekonywania. Raz się tylko naciąłem, jak nie rozpoznałem

takiego jednego ancymona, co już mi lizakiem machał, i ja w ryk, że żonie krew uszami od tego porodu idzie, a on do mnie – panie, drugi raz w ciągu czterech miesięcy ta żona panu rodzi?

No, ale z tego też się jakoś wykaraskałem. W każdym razie, grunt to dobra bajera.

Zacznijmy od tego, że w telewizji mówią coraz dziwniejsze rzeczy. Naprawdę, jakby zacząć się tym przejmować, to w głowie robi się takie halo, że ja przepraszam. Ja już w nocy oglądam, żeby Anetka nie widziała. Po co ma się przejmować tym, że na niebie pojawiają się dziwne obiekty w kształcie spiral, że ludzie widują je na całym świecie, od Grenlandii przez Kukuryku po Madagaskar. Że zdjęcie satelitarne zrobili na Pacyfiku i tam jakaś ogromna biała plama się zrobiła, jakby nic tam nie było, albo jakaś ogromna energia, a plama wielkości połowy Europy, tak mówią. Ludzie wariują, na całym świecie. Że ci, którzy Zniknęli, przychodzą do nich do domów, nad ranem, jak duchy, pojawiają się na chwilę i zaraz znikają, a zanim znikną, to gadają, że ci, co zostali, muszą dokończyć dzieła. Że muszą wziąć nóż, leki, sznur, no wiadomo, i wyprawić się tam, gdzie oni już są. Że tam jest bardzo klawo, mówią, lepiej niż w ulotkach świadków Jehowy, bo równie kolorowo, można się ciupciać, tylko że statki kosmitów zmieściły tylko połowę, a reszta musi pomóc sobie sama. Mnóstwo samobójstw jest z tego powodu. Ludziom miesza się we łbie. Może i mi by się pomieszało, gdyby nie Anetka.

I tak oglądałem, oglądałem i oglądałem, i ta inspiracja w końcu przysłała sama. W jednym programie, nad samiuśkim ranem siedziała jakaś baba, wielka jak sterta gnoju, z mordą niewiele wyglądniejszą, radiomaryjna chyba, z brylami jak słotki, dlatego chyba nad ranem ją zaprosili, żeby nikt nie oglądał tak szpetnej i spasionej ropuchy i ona, ta bambaryła zapleśnia-

ła, mówi tak do prowadzącego:

– Ludzie teraz powinni zacząć się rozmnażać. To znak od Pana Boga. Powinni zacząć szybko prokreować i tworzyć nowych ludzi. Bo to znak od Pana Boga. Rozwiążłość, antykoncepcja, aborcja, cywilizacja śmierci, to wszystko doprowadziło do tego, co właśnie się stało. Bóg poświęcił połowę ludzkości, aby dać nam znak, że musimy się rozmnażać. Muszą się rodzić nowe dzieci. Musimy kochać Boga, przestać żyć w grzechu, w związkach lesbijskich, musimy uklęknąć przed Panem i sprawić, aby ludzkość się odrodziła.

I wtedy we łbie zaświeciła mi się żarówka. I wtedy mnie olśniło. Jak już mówiłem, zawsze byłem dobry w bajerce.

Następnego dnia Anetka leżała na kanapie, jadła jajka na twardo i oglądała *Seks w wielkim mieście*. Jak co rano. Czuła się już tutaj coraz bezpieczniej. W szafie podzieliła rzeczy na moje i jej. Wybrała sobie swój kubek do kawy i swoją szklanę do soku. Przyniosła z domu obok swoje ubrania, mały różowy laptop, zdjęcia rodziców w ramkach w kształcie serc, które ustawiła z czcigodnością na parapecie w kuchni, zrobiła taką wystawkę ku czci i ku pamięci, nawet wyglądną, powiem, chociaż po cholere mam mieć na parapecie zdjęcia tego esbeka i tej kurwy, co to nawet po psie nie potrafiła posprzątać, no ale cóż, Anetka tak chciała, to ma, nie będę się wtrącał. Ja nie robiłem jej awantur. Pozwalałem jej robić to, co chce. Chodziłem za nią jak pies, wpatrzony w te cycki, w ten tyłek, w te kolce ogonowe, dreptałem, czołgałem się, łkałem po cichu, zapłakany, waliłem gruchę w nocy w łazience, gdy ona znowu, na tej kanapie, przysypiała zmęczona po całym dniu telewizji; ona sprzątała, gotowała, prasowała, jak gdyby nigdy nic.

I gdy pewnego dnia coś jej powiedziałem, zacząłem o czymś tam gadać, ona oparła się o blat, popatrzyła na mnie

tymi ślicznymi oczkami i stwierdziła:

– Czy ty musisz tyle gadać, Rafał? Gadasz i gadasz, jakby ci ktoś za to płacił.

I wtedy zrozumiałem, że już tak dalej nie może być. Że jest przecież tak samo jak z Marzenką. Prasowanie. Gotowanie. Opieka. Usługiwanie. Telewizja. Opierdol i pretensje za gadanie. I zero bzykania.

No ale rozwiązanie przyszło samo.

Podszedłem do niej ostrożnie, z miną, jakbym coś nabroił, i stanąłem przed nią kompletnie bezbronny, rozkładając ręce. Jak mały chłopczyk. Babkom się to zawsze podoba, i nikt nie wmówi mi, że jest inaczej; babki zawsze lecą na to, gdy facet jest jak ta bezbronna chłopina, której dopiero co wyrosły włosy na jajach; i dopiero gdy przyjdzie co do czego, zamienia się w prawdziwego buhaja.

– Coś się stało, Rafał? – zapytała, mrużąc oczy.

Od czasu gdy próbowałem jej dać całuska, zrobiła się mocno podejrzliwa. Ale wiedziałem już, jak to ugryźć.

– Anetko – mówię do niej – wczoraj w telewizji powiedziano coś bardzo ważnego.

– Co? – Poruszyła się z niepokojem, i znowu to zrobiła, znowu przycisnęła ramionami te wspaniałe cycki do siebie, a ja przełknąłem ślinę tak głośno, jakbym przełykał kamień.

– Posłuchaj – powiedziałem i usiadłem obok niej, i popatrzyłem jej w oczy, tak, jak to się robi, gdy mówi się komuś coś ważnego.

Patrzyłem na nią przez chwilę, milcząc, a jakiś głosik w mojej głowie zaczął kołatać, pukać o ściany mojej czaszki, mówiąc: „Tym razem się uda, sukinkocie, zobaczysz, tym razem naprawdę się uda”.

– Anetko, wczoraj w telewizji ogłosili, że na całym świe-

cie rusza taki przymusowy program – powiedziałem najspokojniej, jak umiałem – że wojsko będzie chodzić po domach i sprawdzać, czy ludzie przystosowują się do tego programu, a jeśli nie, to będą wdrażać go siłą, i to będzie bardzo nieprzyjemne.

– Jaki program? – zapytała, i zrobiła taką minę, jakby ktoś właśnie obudził ją wylanym na głowę kubłem zimnej wody.

– Program przywrócenia populacji – oświadczyłem z grobową miną po dłuższej chwili.

– Czego? – zapytała.

– Populacji – pokiwałem głową z zafrasowaną miną – to oznacza ilość ludzi.

– Ale co to jest, ten program?! – zapytała.

Wstałem, tak jak się wstaje, gdy komuś opowiada się coś ważnego, i zacząłem łązić w kółko po pokoju.

– Chodzi o to – powiedziałem po chwili – że wszyscy ludzie, jeżeli pozwala im na to wiek, zobowiązani są do tego, aby przywrócić ilość ludzi przed zniknięciem. Czyli wszystkie kobiety mają obowiązek zachodzić w ciążę. W tym momencie. Jeśli nie zrobią tego z kimś, z kim żyją, z partnerem, z mężem, to specjalne, rozumiesz, jednostki, będą je wyłapywać i zapładniać na własną rękę.

Popatrzyła na mnie z autentyczną zgrozą. Już wiedziała, co się święci. Rozumiałem trochę jej strach, ale wiedziałem, nie jestem najbrzydszy. Lat mam raptem trzydzieści osiem. Trochę brzuchola, ale bez przesady. Cycków babskich nie mam. Łysinka lekka, ale żel i zaczeska załatwiają sprawę. Nie musiała patrzeć na mnie z takim przerażeniem, ale wybaczyłem jej to. W końcu nie musiałem być w jej typie. Pewnie dlatego nie było jeszcze między nami bzykanka.

– Rozumiesz – u nas też niedługo będzie inspekcja. Zapytaj cię, czy robimy te rzeczy. Powiesz, że tak, wrócą za miesiąc i zrobią ci test ciążowy. I jak będzie na nie, to specjalnie oddelegowany wojskowy... no cóż, Anetko, będziesz musiała... to nie będzie przyjemne...

Zauważyłem, że już płacze, z przejęcia.

– Dla dobra ludzkości... – dodałem jeszcze dla lepszego wrażenia.

Siedziała tak chwilę, z ustami ubabranymi ketchupem, bo zawsze jadła te jajka na twardo z ketchupem, łyzy kapały jej po policzkach, aż w końcu odwróciła się do mnie i powiedziała:

– Ale ja jestem za młoda. Naprawdę. Nie jestem jeszcze gotowa.

– Wiem, Anetko – pokiwałem głową – ale ten cały prikaz obejmuje kobiety od szesnastego roku życia wzwyż.

Anetka wybuchła znowu płaczem, śliczny dziubek znowu zalał się łzami, a ja poczułem się już jak w domu, jak na zdobytej bazie, krok przed metą, moment przed podium, już wiem, już widzę, już za chwilę, Anetko, za chwilę będę całował tę buźkę, o Boże, ścisnął te cycuszki, ścisnął tę cipkę, tę dupcię, za chwilę, Anetko, to się stanie, ta najpiękniejsza z chwil, najwspanialsza, Boże, w końcu się udało, już za chwilę, czekałem na to od dwóch lat, od dwóch lat o tym śniłem, Anetko. Nie musisz wiedzieć, że mam bardzo słabą spermę i lekarz powiedział Marzence, ku mojej wielkiej uldze, parę lat temu, że raczej nigdy nie będziemy mieć dzieci.

– Co, co teraz? – zapytała, i odruchowo przycisnęła do siebie pluszowego misia, którego również przytargała z domu, razem z ciuchami.

– No... albo ja, albo ten obcy żołnierz. – Rozłożyłem ręce i

naprawdę starałem się przy tym nie wyszczerzyć ze śmiechu, i nie mlasnąć tak głośno, jakby ktoś właśnie skoczył obok do wody na główkę. – Uwierz mi, to też jest dla mnie trudne. Bardzo trudne.

Siedziała dłuższą chwilę na kanapie, nie wiedząc, co zrobić, aż w końcu drżącą ręką odłożyła talerzyk na podłogę, wstała i popatrzyła na mnie, mrugając oczami jak nakręcana lalka, i nieśmiało, tak bardzo nieśmiało położyła mi rękę na klatce piersiowej i powiedziała, cicho, jakby mnie za coś przeproszała:

– To ja pójde się umyć.

Pokiwałem głową. Pocałowałem ją w czoło, opiekuńczo. Zaraz będę całował ją w cipę. Boże, Anetko, to już teraz. W końcu. W końcu się to uda. Tyle dni. Tyle wymarzonych nocy. Anetko. Mój kwiatku. Mój motylku. Moja najpiękniejsza dupeczko. Jak ja cię kocham. Nie widzę poza tobą świata. Dobrze, że rano zbiłem gruchę, bo znowu zładowałbym się w spodnie.

– Idź, Anetko, poczekam – powiedziałem, chrapliwym głosem umierającego denaturaciarza.

I poszła na górę, kręcąc tym swoim boskim tyłeczkiem, poszła na górę, a ja patrzyłem za nią, patrzyłem i nie mogłem się napatrzeć na tę wspaniałość, patrzyłem i patrzyłem, aż w końcu zawróciłem i poszedłem na taras.

Stałem na zewnątrz. Wciągnąłem powietrze i spojrzałem na niebo, i zobaczyłem wtedy ten kształt.

Zajmował prawie połowę nieboskłonu, jak ogromne słońce. Pulsujący, spiralny. O fioletowym kolorze, intensywnym jak jasna cholera. Zamrugałem, ale on nie zniknął. Trwał dalej, niewzruszony, tylko się kręcił, jakby wsysał w siebie całe niebo, i kazał mi się na niego patrzeć, w kółko, nie odpuszczając, jakby w środku tej spirali tkwiło jakieś ogromne oko.

Nie mogłem się poruszyć. I ten cichy dźwięk, jakby coś buczało pod ziemią, jakiś ogromny transformator. Jakby wszystko zaczęło wpadać w ten kształt, niebo, ziemia, ja, dom, dom rodziców Anetki, zwinięty przy ogrodzeniu basen ogrodowy, wszystko zaczęło wpadać do środka tego wiru, a mi przypomniało się nagle, jak miałem pięć lat i razem z tatą patrzyliśmy przez przydymioną szybkę na zaćmienie słońca, i pomyślałem sobie o tej plamie na Pacyfiku, że jest jak królowa pszczoł, a te wiry na niebie to takie małe pszczołki; kształt wirował i wirował; z góry usłyszałem odgłos odkręcanego prysznicza.

I pomyślałem o cyckach Anetki, przyciskających się do szyby, wspaniałych, pięknych, namydlonych, pomyślałem o tym, jak je ściskam.

Spirala rozrosła się na całe niebo. Wielka ta spirala, pomyślałem, kurwa jej mać.

Myślałem o jej dupci, o kolcach ogonowych.

Myślałem o tym, jak leżę na niej i delikatnie wkładam jej do środka.

Myślałem o tym, że tyle życia zmarnowałem z tą Marzenką.

Kształt przestał wirować.

I ten dźwięk, coraz głośniejszy.

Coraz głośniejszy.

Myślałem o tym, jakie dźwięki wydaje Anetka, gdy się ją

–

Był już tylko kształt, ta spirala.

Myślałem o –